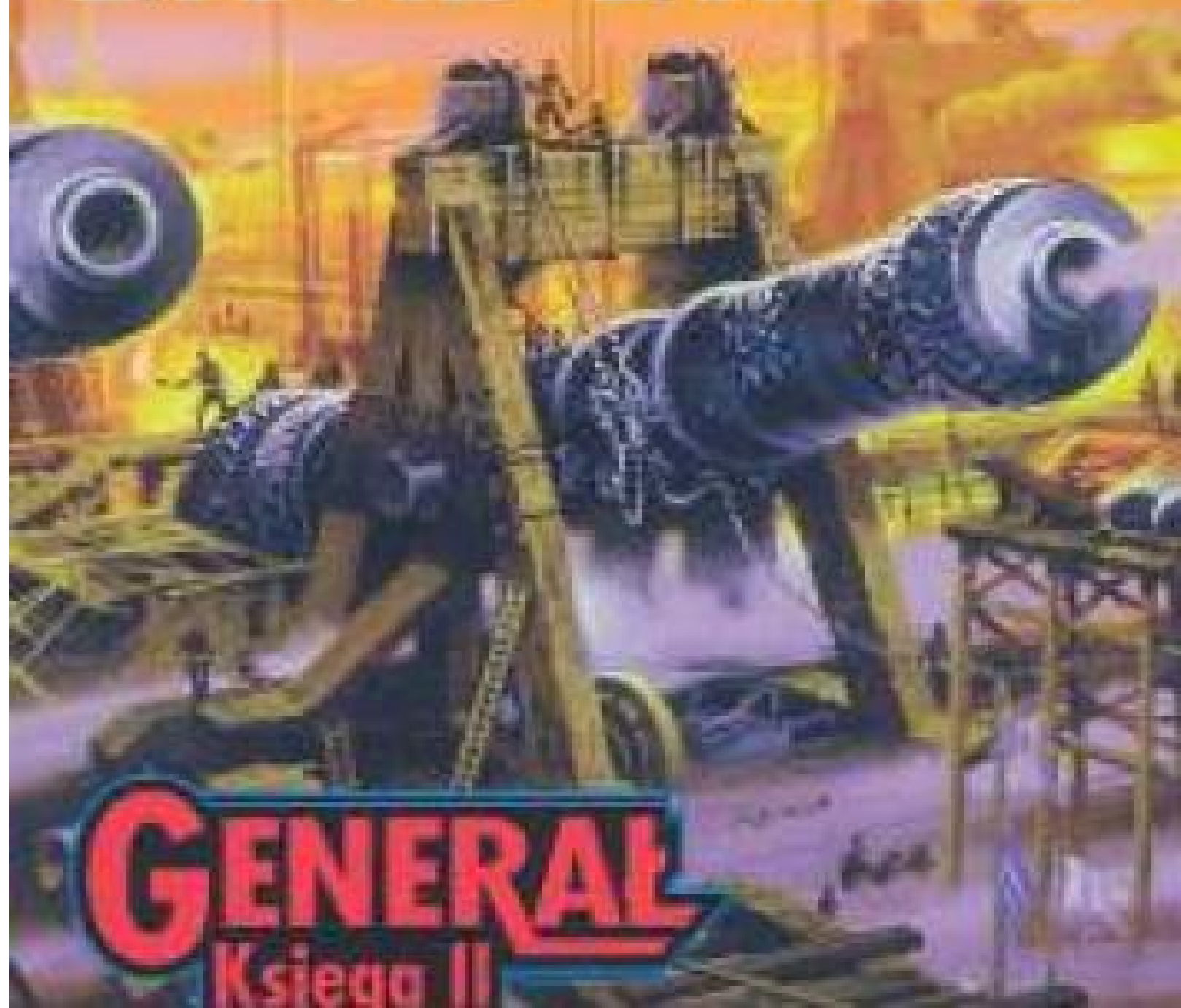


S.M. STIRLING

# MELOT

DAVID DRAKE



**GENERAL**

Księga II

**S.M. Stirling David Drake**

**MŁOT**

# *The Hammer*

**Tłumaczenie: Marta Koniarek**

**GENERAL -KSIĘGA II**

*Dla Jan I dla Rudyarda Kiplinga, który tak dobrze wszystko wyrażał*

# Rozdział pierwszy

– Raj? – wymruczał Thom. A potem nieco zszokowany powtórzył – Raj!

Obydwaj młodzieńcy patrzyli na siebie przez chwilę. Raj Whitehall poczuł, jak mu skóra cierpnie z przerażenia. *Nic* nie zmieniło się tutaj przez prawie dwa lata. Zupełnie nic od tej chwili, gdy Thom Poplanich zastygł w bezruchu w okrągłym pokoju z lustrami, stanowiącym ciało bytu, który nazywał sam siebie strefową jednostką dowódczo–kontrolną AZ 12–b 14–c000 Mk.XIV. Thom wciąż miał nie zagojone draśnięcie po goleniu na swoim chudym, oliwkowym policzku i rozdarcie w miękkich tweedowych spodniach od rykoszetu, kiedy to Raj próbował się wydostać, strzelając ze swojego ceremonialnego rewolweru. A jeśli chodziło o Raja... minęło *całe życie*. Thom pozostał tutaj, a Centrum posłało Raja Whitehalla, aby był jego agentem w upadłym świecie.

– Raj jesteś...

– Starszy. O dwa lata starszy. Wszyscy są starsi oprócz ciebie, Thom – rzekł łagodnie Raj, zmuszając się, by mówić spokojnie.

Zmuszał się do zachowania spokoju, odkąd tylko z niechęcią zszedł raz jeszcze do katakumb pod Wschodnią Rezydencją w roku tysiąc sto piątym po Upadku. Raj powstrzymywał się przed ucieczką od zapamiętanego zapachu, całkowitej neutralności przefiltrowanego powietrza, nie przypominającej niczego istniejącego na świecie. Dziwaczna podłoga, która w jakiś sposób go podtrzymywała, choć jej nie dotykał, doskonałe lustro ścian odbijające tę, a nie inną rzecz. Jego dłoń zacisnęła się na kolbie pięciopalcowego rewolweru, nie dlatego, że ta broń mogła coś zdziałać, ale dlatego, iż czerpał otuchę z dotyku solidnego żelaza i drewna.

To tutaj dwadzieścia miesięcy temu zmieniło się jego życie. Szok widoczny w oczach Thoma sprawił, iż ponownie sobie to uświadomił, to i młodość twarzy przyjaciela, który był przedtem starszy, mądrzejszy i lepiej znał się na sprawach miasta. Raj przypominał sobie swój obraz, jakim był i porównał z obrazem teraźniejszym: wciąż wysoki i kościsty, 190 centymetrów, o szerokich barkach i smukłych kończynach. Brązowa twarz o wysokich kościach policzkowych i zakrzywionym nosie była teraz bardziej pobrużdżona, a w oczach miał coś...

–  
Co mi się stało? – spytał trzęsącym się głosem Thom.

–  
Nic. Centrum jest...

>>Thom Poplanich miał dostęp do całej wiedzy w ludzkim wszechświecie od czasu upadku Federacji.<< Powiedziało Centrum nieco ciętym, metalicznym głosem; nie miał on tonu, lecz posiadał jakiś wewnętrzny odpowiednik modulacji. >>W dodatku ma on do dyspozycji strefową jednostkę dowódczo–kontrolną AZ12–b 14–c000 Mk. XIV mogącą go przez nią poprowadzić. Z pewnością to więcej niż nic.<<

–  
Ano właśnie – powiedział Thom, a część napięcia znikła z jego głosu. Potem obliznął wargi, a Raj bez słów podał mu swoją manierkę. Jego przyjaciel odkorkował ją i napił się z wdzięcznością. Była to woda zmieszana w jednej czwartej z winem i z wrzuconym plasterkiem

cytryny. Tym razem Raj przyszedł odpowiednio przygotowany; tylko pistolet na szczury i miejscowe spersauroidy, sznur i stara kurtka.

Ano właśnie, pokazywało mi... Raj, to, co stało się z Bellevue od czasu, gdy straciliśmy nadświetlny tranzyt, jest jak miniaturowy model tego, co stało się z Federacją...

*Thom nigdy przedtem nie był religijny*, pomyślał Raj. A właściwie Thom naśmiewał się z prostej wiary przyjaciela w Świętą Federację i opowieści ze świętych ksiąg o czasach sprzed Upadku z Gwiazd, kiedy to wszyscy ludzie stanowili jedność z Duchem i nie było ani ubóstwa, ani starzenia się, ani śmierci. Teraz mówił o tych starożytnych sprawach tak, jakby były równie rzeczywiste i materialne jak prozaiczny, nowoczesny świat gazowych lamp i powozów.

Centrum mówi, że działa tu jakaś naturalna siła odśrodkowa, rozbijająca rzeczy na coraz mniejsze i mniejsze...

>>Obserwuj.<< powiedziało Centrum.

\* \* \*

– ...a mężczyźni i kobiety zawyli, kręcąc się po wielkim placu. Niektóre z otaczających go budynków miały połysk Człowieka sprzed Upadku, ogromne budowle, które zdawały się na przekór logice być zbudowane z koronkowego kryształu. Pozostałe budynki były bardziej konwencjonalne, kamienne i ceglane, z kolumnami i kopułami, choć nie znał żadnego ze stylów, i wyglądające bardziej starożytnie, niż dało się wyrazić słowami. Wielki, odbijający światło staw biegł środkiem, kończąc się spiczastym monumentem. Pojedynczy, mały, żółty księżyc wisiał na nocnym niebie, lecz znajdujące się w dole twarze tłumu skąpane były w światłach jaśniejszych niż światło słoneczne, jaśniejszych nawet niż lampy łukowe w Gubernatorskiej Przystani. Z podestu obok stawu przemawiał mężczyzna, a jakaś magia technologiczna nie-Upadłych rzucała obraz jego głowy i ramion jak ogromne wzgórze na jeden z wielkich budynków znajdujących się za nim. Jego głos rozbrzmiewał jak głos boga, a tłum odchrząknął w adoracji i strachu.

Nagle z jednej strony ludzkiej masy wybuchło zamieszanie. Żołnierze wpychali się w tłum, zmierzając ku mówcy. Byli prymitywnie wyposażeni, z hełmami, długimi pałkami i tarczami, które wyglądały jak ze szkła, ale nie mogły z niego być, biorąc pod uwagę to, jakie ciężki znosiły. Zwarcu w falangi żołnierze przedarli się jak mydlana bańka porządku w falującym chaosie. A wtedy mężczyzna na podium wskazał palcem i wykrzyczał rozkaz. Butelki i kamienie poleciały ku żołnierzom, a potem ruszyła ku nim fala ludzkich ciał. To, co nastąpiło, było jak ciężki grzywacz rozbijający się o rafę, tutaj jednak to rafa uległa skruszeniu. Kiedy tłum się cofnął, ci z tarczami leżeli nieruchomo... w tym wielu w oddzielnych kawałkach.

Coś, co wyglądało jak latające pudełka, śmignęło nad tłumem. Z jednego z nich wystrzeliły strumienie ognia, ciągnąc za sobą dym ku przemawiającemu mężczyźnie. Drewniany szkielet podestu wybuchł kulą pomarańczowego płomienia, a więcej ognistych lancetów cięło tłum. Nagle zgasły niebiańskie światła i budynki stały się ciemne poza światłem pożarów, światłem wystarczającym, aby zobaczyć tysiące stratowanych, gdy tłum uciekał...

– punkt widzenia znajdował się w pokoju. Ściany pełne były urządzeń technicznych – płaskich ekranów i czytników, takich, jakie można było zobaczyć na którymkolwiek z ołtarzy Rządu Cywilnego, z tym, że funkcjonujących. Na ekranach migotały niezrozumiałe obrazy i kolumny cyfr, a

całość wydawała z siebie odbierany podświadomie szum życia. Dwaj mężczyźni *unosili się* pośrodku pokoju, jakby znajdowali się pod wodą. Ubrani byli w obcisłe niebieskie kombinezony, mundury Świętej Federacji, takie, jakie zachowały się w starożytnej Książeczce Kanonicznej. Młodszy mężczyzna mówił nagłym szeptem. Używał starego nameryjskiego, języka, który przetrwał tylko we fragmentach i w zdewaluowanej formie, jaką posługiwali się barbarzyńcy z zachodu, ale Raj w jakiś sposób go rozumiał.

— Admirale Kenner, musimy dokonać czystek w tym sektorze. *Musimy*, panie. Jeden szybki wypad, zrzucamy pocisk Bethe z opóźnionym zapłonem i zmiatamy Sieć Tanaki. To tak jak wypalenie rany, panie.

Starszy mężczyzna skinął głową z kamiennym wyrazem twarzy. — Niech tak będzie, komandorze — powiedział, zginając się, żeby złapać za uchwyt i dotknąć ekranu. — Wpisałem kody odpalenia do twojej dyspozycji.

— Dziękuję bardzo, panie — powiedział młodszy mężczyzna. Admirał zdążył tylko się obejrzeć i spotkać z nożem...

— a Raj patrzył z góry na Wschodnią Rezydencję. Nie było to miasto z jego czasów, ale starożytne miasto z szerokimi, trawiastymi alejami i wieżami jak ze snu. A potem w jego środku zabłysło światło, jasne jak słońce, a za nim po mieście rozeszły się falą kłęby chmur. Wyrosła piętrząca się chmura w kształcie grzyba...

— znajdował się na ulicach Wschodniej Rezydencji, widząc znajome budynki, które obróciły się w porośniętą zielenią ruinę. Mężczyźni w mundurach jego własnych służb toczyli chaotyczną walkę uliczną, zdając się być bardziej skupieni na plądrowaniu tych kilku ocalałych sklepów i domów. Dwóch przewróciło się zwartych w walce, krzyżując karabiny. A potem jeden z nich skrzywił w bok, wyrzucił drugiego w twarz kolbą i odwrócił karabin, wbijając mu długi bagnet w brzuch. Nie zawracał sobie głowy wyciągnięciem go, zanim nie przeszukał kieszeni ofiary, ignorując drgawki i słabe próby pochwylenia podejmowane przez umierającego mężczyznę.

— Pałac Gubernatora był trawiastym pagórkem porośniętym dębami. Raj rozpoznał go tylko przez wzgląd na kształt leżącej poniżej zatoki, długi owal biegnący ze wschodu na zachód. Wciąż można było rozróżnić sieć ulic pośród lasu, tu i ówdzie widoczna była resztką murów albo garbate kształty obronnych wałów. Odgłosy dzieci biegających i bawiących się rozbrzmiewały echem na otwartej przestrzeni parku. Na pierwszym planie dwóch mężczyzn siedziało w kucki przy ognisku. Jeden zręcznie strugał grot włóczni kawałkiem szkła. Drewniane drzewce i pęk rzemieni do wiązania leżały obok. Drugi rozbierał tuszę do pieczenia, pracując przy pomocy kawałków szkła i kamiennego młota do łamania kości. Obydwaj mężczyźni byli nadzy poza skózanymi opaskami łądzwiowymi i włochaci jak niedźwiedzie. Minęła chwila, zanim Raj zdał sobie sprawę, że ciało, które rozbierali, także było ludzkie...

\* \* \*

Raj się wzdrygnął. Wizje rzeczy minionych, teraźniejszych, i tego, co jeszcze być może. — Tak się stoczyli ludzie bez Ducha — powiedział.



Thom spojrział na niego, mrugając. – Cóż, to jeden ze sposobów patrzenia na to – zgodził się.

Raj skinął głową, przelękając ślinę i odwracając wzrok. – Taa. Ja, ach, cóż, spytałem Centrum, czy mógłbym się z tobą zobaczyć, bo my – Korpus Ekspedycyjny – wyruszamy ku Południowym Terytoriom. Gubernator – Barholm, jego wuj Vernier zmarł i Barholm siedzi na Krześle – jest zdecydowany je odzyskać. Ja z pewnością wyruszę z armią... i najprawdopodobniej będę nią dowodzić.

Tym razem to Thom był zaszokowany. – Gratulacje... ale czy to nie za duży skok jak na kapitana, nawet jeśli jest on jednym z nowych gwardzistów gubernatora?

Raj się uśmiechnął, smutno i gorzko. – Sytuacja się nieco zmieniła, Thom – powiedział.

Zobaczył, jak jego przyjaciel zeszywniał i słaby błysk prześliznął się przez jego oczy. Raj Whitehall nie potrzebował wizji Centrum, żeby zobaczyć to, co pokazywano Thomowi Poplanichowi. Rajowi dostarczała tego własna pamięć i sny o wiele częściej, niżby sobie tego życzył.

Linia obrony załamująca się pod El Djem, gdy uciekinierzy uderzyli na nich od tyłu. Suzette z szaleństwem w oczach krzycząca „Oni nie żyją, oni wszyscy nie żyją” w odpowiedzi na jego pytanie. Falująca masa odzianych na czerwono Kolonistów wokół ostatniego obozu taborowego, jego własny zdarty i ochryply głos krzyczący raz po raz „Krok w tył i salwa!”, dusząca chmura prochowego dymu, gdy armata wystrzeliła, i koszmarny odwrót przez pustynię. Umierający gubernator Vernier, Barholm i pani Anna Clerett u stóp łoża pośród ministrów, kapłanów i lekarzy. Twarz Anny jak coś, co przysiadło na drzewie, przypatrując się chorej owcy. Sandoral i bataliony Kolonistów maszerujące przez grań w doskonałym porządku pod swoimi zielonymi sztandarami, w dół, w dym z prochu, tam, gdzie pojedynkowało się dwieście dział. Stosy trupów przed jego okopami i ten ostatni moment, gdy wiedział, że nie uda im się przedrzeć, a potem im się udało. Zastanawianie się dokąd uciekł Osadnik, przywódca Kolonistów, i moment, gdy najemnik, Skinner, przyniósł mu głowę Jamala szczerzącą się w uśmiechu z jakiegoś dowcipu dotyczącego śmierci.

– Widzisz zatem, że są dobre strony bycia zakładnikiem – rzekł Raj z pełnym zazdrości smutkiem.

>>Thom Poplanich nie jest zakładnikiem.<< Poprawiło go Centrum z beznamiętną pedanterią, będącą jego zwykłym tonem. >>Wypuszczenie go teraz zagroziłoby planowi zjednoczenia Bellevue, odbudowie Przestrzennej Sieci Przesiedleńczej Tanaki, a w końcu odbudowaniu Federacji.<<

Thom się uśmiechnął, podnosząc nieco wzrok. Kiedy przemówił, Raj rozpoznał ton od dawna przytaczanego argumentu.

– To zajmie pokolenia, a nawet wieki. Pod warunkiem, że nie spełźnie na niczym, co, jak sam przyznajesz, jest bardzo prawdopodobne.

>>Najkrótsza podróż kończy się jednym fałszywym krokiem.<< odparło Centrum.

Thom się zaśmiał, przerywając śmiech wobec zdziwienia swego przyjaciela. – Było kiedyś powiedzenie, że najdłuższa podróż – och, nieważne, i tak nie da się tego dobrze przetłumaczyć na sponglijski. – Wzruszył ramionami – był to ekspresywny gest rezygnacji mieszkańca Wschodniej Rezydencji oznaczający „nie dające się uniknąć okoliczności”. – Skoro Centrum wybrało cię za swój instrument w tej krucjacie, co ty myślisz o tym pomysle, Raj? – spytał.

Raj przesunął ręką po krótkich, czarnych lokach pokrywających jego głowę.

– Nie wiem, Thom, szczerze mówiąc, nie wiem. Jestem żołnierzem, a nie kapłanem.

Przez pięćset lat Whitehallowie walczyli w wojnach Rządu Cywilnego, często w nich ginąc. Pozostawiając po sobie do przywiezienia do domu, ziemi przodków w hrabstwie Descott, tylko urnę prochów albo miecz.

–

Ale ty mnie znasz, jestem chowany na wsi i zbyt staromodny, aby mieć oryginalne myśli. Służę Duchowi Człowieka Gwiazd i Świętej Federacji, a ponieważ jestem żołnierzem, służę im tak, jak musi służyć żołnierz, na polu bitwy i pod bronią. Ja... nie sądzę, abym zasługiwał na anioła jako doradcę, naprawdę nie. Jeśli tym jest Centrum. – Był to z pewnością komputer i komputerami były niematerialne sługi Świętej Federacji. – Wiem tylko, że muszę się starać najlepiej, jak mogę.

–

Kiedyś myślałem, że wojna oznacza sławę. A teraz... jedyna rzecz, jaką można o niej powiedzieć to to, że pokazuje ci, jacy ludzie są naprawdę. Przez ostatni rok zdobyłem paru dobrych przyjaciół, cholernie dobrych. I sądzę, że mam pewne zdolności do tego gówna, a co to mówi o mnie, tego nie wiem. Muszę się jednak starać.

Thom wyciągnął rękę, a Raj ścisnął ją w swojej. – Wiem, że zawsze będziesz się starał – powiedział Thom. – Zaśmiał się krótko. – Na zewnętrzne ciemności, to nie jest takie złe. Byłem uczonym, w każdym razie z temperamentu. W tym tylko mój pech, że byłem bratankiem starego gubernatora. Można powiedzieć, że obydwaj mieliśmy to nieszczęście, że dostaliśmy to, o co prosiliśmy.

Raj zmusił się do spojrzenia w oczy swojemu przyjacielowi. – Thom, jest jeszcze jedna, ostatnia sprawa. Chodzi o...

–

Desa, tak. Centrum mi powiedziało. – Thom odpowiedział mu spojrzeniem. – Był moim bratem, a także idiotą. To, że pozwolił sobie na wplątanie się w ten spisek, aby obalić Barholma, było samobójstwem, Raj. On nadział się na twój miecz.

*Właściwie to spaliłem go żywcem*, pomyślał Raj, przełykając ślinę i przypominając sobie dźwięk i zapach dochodzący z pokoju poniżej. *Jego i około setkę innych*. Większość z nich na to zasługiwała, choć nie nieszczęśni żołnierze, którzy dali się wplątać w próbę przewrotu. Des Poplanich był nie bardziej winny, tak naiwny, że nawet nie uświadamiał sobie, że jest marionetką. A Duch wiedział, że Barholm uczynił wystarczająco wiele, aby zasłużyć sobie na wrogów...

–

Pozostawi to Ewardo jako głowę rodziny, bowiem będąc tutaj, na dole, jestem właściwie martwy – ciągnął Thom. Ewardo był to jego pierwszy kuzyn i jedyny pozostały przy życiu dorosły mężczyzna Poplanich. – Raj... opiekuj się nim, jeśli możesz?

–

Postaram się. Nigdy nie wykazywał żadnego zainteresowania polityką ani niczym innym, oczywiście poza dowodzeniem batalionem domu. Mam pewne wpływy na Krzesło... postaram się. – Wyprostował się i zsalutował, przykładając pięść do skroni. – Do widzenia, Thom. Wrócę, jeśli będę mógł.

Jeszcze gdy Raj się odwracał, Thom Poplanich zastygał w bezruchu – posąg w całkowicie pokrytej lustrami kuli. Nic nie pozostało przy życiu oprócz jego umysłu.

\* \* \*

– Na Wielkiego Ducha, Raj, narada wojenna zaczyna się za pięć minut, gdzie żeś by... – Suzette przerwała, zmuszając się do uśmiechu.

Jej oczy prześliznęły się po brudzie i starożytnym kurzu na ubraniu jej męża.

*W tunelach*, zdała sobie sprawę, i przeszedł ją dreszcz. Raj nigdy nie powiedział jej, jak właściwie zniknął Thom Poplanich... co znaczyło, że nie powiedział nikomu.

*Barholm uważa, że Raj strzelił mu w plecy i zostawił ciało, co tylko pokazuje, ile nasz szacowny gubernator wie o moim mężu.*

Suzette by tak zrobiła – Thom stawał się zbyt niebezpiecznym znajomym, podczas gdy sukcesja była niepewna i tak wielu ze starej szlachty było wciąż lojalnych w stosunku do domu Poplanicha – ale jej rodzina była mieszkańcami miasta, dworskimi wielmożami, dopóki pokolenie temu nie utraciła swoich ziemi. Posiadłości Whitehallów były bezpieczne i znajdowały się wystarczająco daleko od Wschodniej Rezydencji, aby ich rodzina mogła sobie pozwolić na luksusy takie jak honor.

–

Cóż, nieważne – rzuciła radośnie. – Dalej, nieużyteczne dziewczyny, zajmijcie się panem! Nie masz czasu, żeby się naprawdę przebrać, ale, kochanie, *zdejmij* tę szmatę!

–

Zatem będą musieli na mnie poczekać – choć najpewniej tego nie zrobią – rzekł szorstko Raj. Nowe bruzdy odcisnięte po obu stronach nosa, sięgające aż do kącików jego ust, pogłębiły się. A potem zmusił się do odprężenia i uśmiechnął do niej. – Miałem inne sprawy na głowie – odpowiedział łagodniej.

Służące spadły na niego niczym lawina perfum, szeleszczącego materiału i miękkich dłoni. Było ich o wiele więcej, teraz, gdy wykupił prawa do części pałacu należącej do starego domu Poplanich. Cztery podwórza, sala przyjęć, pokój stołowy mogący pomieścić czterdziestu gości, kwatery służby... i ten przyjemny taras ze szklanymi ścianami wychodzący na ogrody. Pomędzy wysokimi cyprysami, za aksamitnymi trawnikami i marmurowymi posągami – głównie religijnymi, statkami kosmicznymi i terminalami – widać było: fontanny, ozdobnie przycięte krzewy i wijące się ścieżki kolorowego żwiru. Powietrze było chłodne i świeże po późnowiosennym deszczu, który spadł ostatniej nocy, czystsze niż zwykle w tym zadymionym mieście. Opadająca majestatyczność dachów z czerwonej dachówki i niskich, kwadratowych wież rozciągała się ku ogromnym magazynom i dokom na południu, skąd niósł się odległy szum odgłosów ulicy.

–

Tylko kurtkę – wymruczał. Dwie ze służących przyklękły i postarały się jak najlepiej wytrzeć mu buty mokrymi ścierkami. Inne zdjęły mu płaszcz, przyniosły tunikę od wyjściowego munduru z epoletami, ubrały go w nią, zapięły pas i bandolet z paradną szablą i wysadzonym kością słoniową rewolwerem, przerzuciły mu przez głowę szarfę z orderami i ozdobami, przczesały włosy, wręczyły paradne rękawice i pozłacany hełm z piórem – obydwie te rzeczy były rzadko zakładane, należało je wkładać na dworskie uroczystości...

– Przynajmniej nie muszę zakładać tych przeklętych rajtuz i klapy zasłaniającej krocze – wymruczał. Paradny mundur nie był wymagany na spotkaniach roboczych. *Szkoda biednego Barholma*, pomyślał ironicznie. Gubernator musiał nosić dwadzieścia funtów ubrania wyszywanego złotem za każdym razem, gdy wychodził z łóżka. *Oczywiście, prawdopodobnie sprawia mu to przyjemność – spędził dość czasu, spiskując, aby to dostać.*

–  
Och, sądzę, że one całkiem dobrze uwypuklają twoje... zalety, mój drogi – powiedziała Suzette, opadając na krzesło i przyglądając mu się z brodą wspartą na pięści.

Raj mimowolnie parsknął śmiechem, patrząc w kpiące oczy swojej żony. Jego serce zabiło, gdy się jej przyjrzał. Suzette Emmenalle Forstin Hogor Wenqui Whitehall wywierała wielki wpływ na większość mężczyzn. Mała, ledwo sięgająca mu do ramienia, szczupła, z charcią gracją, a jej staranne wychowanie było widoczne jak światło przez cienką porcelanę. I tak pełna życia, tak pełna życia...

– Przyjmiesz to? – spytała cicho.

– Prawdopodobnie. Duch Człowieka wie, że nikt z jakimś doświadczeniem nie chce Korpusu Ekspedycyjnego. Tak właściwie to formalność... jeśli nie skrewię.

– Czy możesz temu podołać?

Raj trzepnął rękawicami o dłoń. – Tak sądzę. – *To jeszcze jedna rzecz, którą w tobie kocham. Nigdy nie częstujesz mnie optymistycznym kłamstwem i myślisz, mój aniele.*

– Wiele zależy... Nie wiemy wystarczająco dużo o Eskadrze. Ministerstwo ds. Barbarzyńców nie wkładało w tę sprawę dostatecznego wysiłku. Na orbitę prawości! I tak mieliśmy niewielki kontakt z nimi od paru pokoleń. Przynajmniej gubernator wybrał odpowiedniego człowieka z cywilnej strony.

Brwi Suzette wygięły się pytająco.

–  
Właśnie usłyszałem – powiedział. *Czy to Centrum? Czasami nie potrafię już tego odróżnić.* – Mihwel Berg; pochodzi z Ciudad Gut, a jego rodzina handluje w całym rejonie środkowego Morza Śródświatowego, ma także przyjaciół i krewnych poza obszarem Rządu Cywilnego. Będzie bezcenny... *jeśli* będzie współpracował.

Suzette podeszła do niego, położyła mu ręce na ramionach i stanęła na palcach. Pochylił się, aby przyjąć pocałunek. Nagle pochwyciła go zapalczywie.

–  
*Możesz temu podołać – powiedziała, szepcząc mu do ucha. – Czasami myślę, że pogłoski są prawdziwe, no wiesz, o tym, że Duch cię dotknął.*

Wyprostował się, rzucając jej krzywy uśmiezek i salutując.

\* \* \*

*Messa* Suzette Whitehall wstała, gdy wyszedł, mrugając w zamyśleniu i stukając kciukiem o brodę.

– Zostawcie mnie – powiedziała do służebnych. – Nie ty, Ndella – dodała, zwracając się do

wysokiej, niezgrabnej kobiety Zanj. Pozostałe służące skłoniły się i wyszły z szelestem. Kiedy zostały same, Suzette poleciała – Przynieś kawe i zawołaj mi Abdullaha i... hmmm, Fatimę. Sprowadź ich osobiście. I bądź dyskretna.

– Messa.

Czarnoskóra kobieta wyszła z cichą sprawnością. Suzette została wychowana w wielkim domu we Wschodniej Rezydencji i miała swoje własne pomysły na to, jak radzić sobie tutaj w pałacu. Raj byłby zadowolony, mając swoich służących z Hillchapel, rodzinnej posiadłości Whitehall, ale Descotczycy byli zbyt niezręczni w mieście, a wedle jej opinii wolnych służących zbyt łatwo można było skorumpować. Jak większość, kupiła swoją służbę domową, lecz w przeciwieństwie do większości sama poświęcała temu uwagę. W grę wchodzili tylko ci spoza Rządu Cywilnego, nie mający tu ani przyjaciół, ani rodziny, tylko silni, zdrowi i inteligentni, i tylko po starannym, osobistym przesłuchaniu. Pilnowała ich przeszkolenia, a w niektórych przypadkach i kształcenia. Każdemu wypłacano niewielkie apanaże, z obietnicą ostatecznego wyzwolenia i wystarczającą ilością pieniędzy na posag, sklep lub gospodarstwo. Jedyną karą była groźba sprzedaży.

Większość ludzi nie doceniała niewolników, nawet jeszcze bardziej niż mężczyźni nie doceniali kobiet. Rozmawiali też w ich obecności, jakby ci byli głusi.

Weszła Ndella, niosąc tacę. Mężczyzna w nie rzucającym się w oczy ale przyzwoitym ubraniu szedł za nią. Ubrany był w buty z metalowymi kłamrami, matowo–złote spodnie, czarną kurtkę i zwyczajną płócienną chustkę pod szyją. Podążała za nim pulchnawa, śliczna, młoda kobieta, niosąca roczne dziecko, która była ubrana w plisowaną spódnicę, wyszywaną kurtkę i koronkową mantylę szacownej, miejskiej matrony. Mogła ona być żoną urzędnika albo rzemieślnika, ale miała wygląd czystej krwi Arabki. Dziecko było ciemniejsze, ale choć ledwo chodziło, miało w sobie coś z grubokościstej masywności Descotczyka.

–

Niech pokój będzie z wami – rzekła Suzette w biegłym arabskim, języku, który wspólnie znali, a który był nieco bezpieczniejszy od sponglijskiego.

–

I z tobą niech będzie pokój – odparli. Ndella obsłużyła pozostałych, a potem opadła z powrotem na pięty. Dręcząca woń świeżo parzonej kawe zabarwiła zapachy kwiatów i kadzidełek unoszące się w pokoju. Pszczoły brzęczały w krzakach bzu za oknami.

– Abdullah – powiedziała.

–

*Saaidya* – odparł Druze, podnosząc się szybko, aby sprawdzić okna i drzwi. Po ich sprawdzeniu wrócił do stołu. Urodził się jako Abdullah al’Azziz; dokładnie mówiąc, byłby Abdullahem cor Wenqui – wyzwoleńcem rodziny Wenqui – gdyby zapis tej transakcji znalazł się w rejestrze. – Przygotowałem wstępny raport o messerze Bergu, jego domu, powiązaniach, bogactwie i opiniach.

Niewielki Druze wyciągnął mały zwój papieru z jednego z rękawów kurtki i wręczył go jej.

–

Moje podsumowanie: messer Berg jest rzeczywiście bardzo obiecującym człowiekiem na to stanowisko. Jednakże został on na nie powołany głównie dlatego, iż znajduje się w niełasce u kanclerza Tzetzasa; drobna kwestia procentów z opłat w licytacji podatków z farm. Co więcej

jest podejrzany w oczach Czyścicieli Wirusów – dochodzeniowego ramienia Kościoła – bo jego krewni, żyjący na terytorium Brygady, nawrócili się na kult Ducha Człowieka tej Ziemi. W

każdym razie ma to być dla niego ciężkie stanowisko, kara. Może odzyskać swoją pozycję albo poprzez wspaniały sukces – zapewne uważa to za mało prawdopodobne, dzieląc ogólną opinię dotyczącą wojskowej prawidłowości – albo też rujnując messera Whitehalla i w ten sposób zdobywając łaskę Tzetzasa.

Skinęła głową. Było całkiem możliwe, że kanclerz *mógłby* wymyślić sposób zniszczenia ekspedycji, a także wywinąć się od winy.

– Dziękuję ci, Abdullahu – powiedziała szczerze, wsadzając plik notatek do swojego rękawa. On się skłonił, uśmiechając. Przyjemność z jej wdzięczności i podniecenie wywołane zadaniem promieniały z jego twarzy.

– Ndella – ciągnęła.

Zanjika podniosła głowę. Jej czarna, płaska twarz była egzotyczna w oczach Wschodniej Rezydencji, a Suzette dodała złote wężowe zwoje na jej ramionach i szyi, aby wzmocnić ten efekt. Ludzie w Rządzie Cywilnym rzadko spotykali Zanjiczków i znali ich głównie dzięki pełnym uprzedzeń opowieściom z Kolonii. Koloniści byli handlowymi rywalami miast-państw na południu kontynentu i pomiędzy nimi a Rządem Cywilnym często wybuchały starcia – a całkiem niedawno wojna pełną gębą. W ten sposób Ndella skończyła na aukcji w Sandoral – a ortodoksyjni muzułmanie Sunni z Kolonii nienawidzili herezji Zreformowanego Baha’i, jaką praktykowali Zanjiczcy. Jak słuchało się Kolonistów, to wszyscy Zanjiczcy byli zdeprawowanymi dzikusami, którzy zjadali swoje dzieci i parzyli się ze wszystkim, włącznie z carnosauroidami.

Nikt zatem we Wschodniej Rezydencji nie będzie podejrzewał, że Ndella umie na przykład czytać w czterech językach...

–

Messa Whitehall. Mam teraz dostęp do domu messera Berga w pałacu. Kilka spraw z uzdrawianiem i ach – zakaszła dyskretnie – bardzo się zaprzyjaźniłam z jedną ze służących, podkuchenną. – Ndella lubiła dziewczęta, co normalnie było nieistotne, ale tutaj raczej użyteczne. – Lorhetta dodaje *capoyamu* do chilli messera Berga, uważając, że to poprawia trawienie i humor.

–

Dodać *beyem* – ciągnęła, na krótko pokazując mały, szklany flakonik – do czegokolwiek, co pije i... atak serca gotowy. Całkowicie bezpieczne dla tych nie uwrażliwionych przez *capoyam*. Nie do wykrycia.

... i nikt nie podejrzewałby, że Ndella jest również lekarzem. Kobiety mogły się uczyć medycyny w Rządzie Cywilnym, choć większość z tych, które tak robiły, to były umartwione siostry. Kolonia jednak była bardzo restrykcyjna. Wszyscy zakładali, że Zanjiczcy jeszcze bardziej.

– Doskonale – powiedziała Suzette. – Dziękuję wam, moi przyjaciele.

Abdullah i czarnoskóra kobieta zrozumieli ten znak i wyszli. Fatima wypuściła swego wierzącego się syna. Chłopczyk przebiegł kilka kroków i pochwycił poduszki na stojącej

naprzeciwko kanapie. Odwrócił się, aby obdarzyć obydwie kobiety bezżębnym uśmiechem szczęścia, a potem podreptał wzdłuż sofy rączka za rączką, aż znalazł się na jej końcu, z twarzą w twarz z domowym kotem, śpiącym i zwiniętym w kłębek na poduszce. Zwierzę otworzyło żółte oczy i poddało się poklepywaniu i gaworzącym okrzykom radości przez chwilę, zanim uciekło. Dziecko na czworakach z determinacją ruszyło w pościg.

Fatima odwróciła się z powrotem do Suzette z takim samym błyskiem zainteresowania w oczach, jakie wykazywała przez ostatnie pół godziny; jednak rozumiała aluzję. Musiała troszczyć się o dziecko.

Suzette odsunęła na bok zazdrość. Teraz nie było na to czasu, później... – Wygląda na to, że młody Barton rozkwita – powiedziała Suzette.

Fatima westchnęła. – Tylko jeśli jego ojciec będzie rozkwitał – odparła, nieco przygaszona.

Suzette odchyliła się w tył, kiwając głową i popijając swoją kawe. Jej własny punkt widzenia został uznany. *Którykolwiek z nich jest jego ojcem, pomyślała. Obydwaj jednak są ludźmi Raja.*

Arabska dziewczyna niemalże pozbawiła kiedyś oka żołnierza z 5 z Descott, podczas gdy on i jego oddział próbowali ją zgwałcić, w El Djem, w kolonijnym miasteczku przygranicznym, gdzie dorastała jako bardzo poślednia córka pośledniej konkubiny burmistrza miasteczka. Była wówczas Fatimą bint Caid, a teraz jest Fatimą cor Staenbridge. Dwóch oficerów Raja uratowało ją przed śmiercią pod żołnierskim bagnetem – wiedzeni bardziej kaprysem niż czymkolwiek innym, sami będąc kochankami – a jej się udało wrócić do granicy Rządu Cywilnego wraz z Piątym w trakcie chaotycznego, koszmarnego odwrotu przez pustynię. Rozsądne posunięcie, biorąc pod uwagę opcje dostępne dla niedziewicy bez rodziny w surowym, islamskim społeczeństwie Kolonii.

Była wówczas również w ciąży – dzięki Gerrinowi albo Bartonowi, ale to nie mający dziedzica Gerrin Staenbridge wyzwolił ją i zaadoptował dziecko. Co, technicznie rzecz biorąc, czyniło ją wolną kobietą z gminu, z miłą, niewielką dożywotnią rentą i wspaniałymi perspektywami matki szlacheckiego dziedzica. Poza tym wciąż bywała – bardzo rzadko – kochanką obydwu mężczyzn, i to mocno lubianą. Zarówno Gerrin Staenbridge jak i Barton Foley byli teraz Towarzyszami, a ich losy związane były z Rajem. Gerrin stanowił jego prawą rękę.

– Byłaś dla mnie bardzo życzliwa, messa Suzette – rzekła cicho Fatima.

To była prawda. Raj i Suzette byli gwiazdnymi rodzicami młodego Bartona Staenbridge'a, co oznaczało powiązanie na całe życie, traktowane bardzo poważnie przez szlachtę Rządu Cywilnego. A Suzette ułatwiła jej także drogę towarzysko. Metresa nie mogła być przyjmowana oficjalnie, ale nieoficjalne uznanie było możliwe – jeśli istniał przychylny konsensus szlachcianek. A Suzette dopilnowała, aby tak było. Miała posłuch u pani Anny, żony gubernatora.

–

Chętnie – przepraszam, z chęcią odwdzięczę ci się za twoją życzliwość – powiedziała Fatima, przechodząc na sponglijski, którego z takim trudem się nauczyła.

Suzette pochylila się i poklepała ją po ramieniu. – Nie martw się, moja droga. Czasami po prostu musimy... troszczyć się o swoich mężczyzn. Teraz chciałabym, abyś zajrzała do Tanhy Heyterez. – Kochanki Berga, i to raczej zaniebawianej, jak głosiły plotki. – To wiejska dziewczyna, dopiero co przybyła z Kendrun i nikogo tutaj nie zna. – Najpewniej też była rozpaczliwie samotna i gotowa mówić. – Potrzebuje przyjaciela... i trzeba, żeby Berg pomagał – także sobie samemu – a nie

przeszkadzał.

–  
Potrzebuję zatem wiedzieć – ciągnęła, zniżając głos – *wszystko* o messerze Bergu. A zwłaszcza czego się lęka, co lubi, jakie ma gusta.

Fatima powoli kiwnęła głową. – Rozumiem, messa Whitehall – rzekła oficjalnym tonem. A potem się uśmiechnęła z łobuzerską miną, która sprawiła, że jej twarz wyglądała znowu na osiemnaście lat. – Mam jednak problem. Barton i Gerrin, oni nie chcą, cobym tym razem pojechała z nimi na kampanię. Gerrin chce, żebym wróciła do jego posiadłości i została z jego żoną.

– Czemuż by nie? – spytała Suzette. Jako że z bezpłodną żoną można się było w każdej chwili rozwieść, ta pani powinna być raczej wdzięczna. Teraz, gdy Staenbridge miał dziedzica, ona była bezpieczna. Nie było też o co być zazdrosną, jako że, z tego co Suzette się dowiedziała, żona Gerrina знаła jego gusta jeszcze przed ślubem.

– Nudne! – powiedziała Fatima. – Poza tym chcę być z nimi, jeśli zostaną ranni.

Suzette skinęła głową, rozumiejąc. Ona sama zawsze podążała za bębniem dobosza. Wystarczająco złe było wysyłanie Raja do walki. Znajdowanie się w odległości tysiąca kilometrów, przez całe miesiące nie *wiedząc* co z nim – wzdrygnęła się lekko. *On mnie potrzebuje.*

– Nie mogę się rzucić w domu messera Staenbridge’a – zwróciła jej łagodnie uwagę.

– Och, ja się tym zajmę. Gerrin mi obiecał, że będę mogła pojechać, jeśli tylko być zdrowa, a teraz on i Barton starają się, cobym znowu zaszła w ciążę i *musiała* zostać w domu.

–  
A tobie się to nie podoba? – spytała zaskoczona Suzette.

–  
Och, podoba mi się to *staranie się*, ale po prostu nie chcę, coby się *udało*.

Roześmiały się obydwie, a Suzette nieco mocniej niż się spodziewała. Przez ostatnich parę miesięcy tutaj w pałacu było niewiele okazji do wesołości. Wykonywanie manewrów przeciwko kanclerzowi Tzetzasowi było czymś, czemu trzeba było poświęcać całą swoją uwagę, nawet, gdy było się dobrą przyjaciółką żony gubernatora.

– W tym mogę ci pomóc – powiedziała Suzette, ocierając oczy. – A raczej Ndella może pomóc, kiedy jej powiem, żeby tak zrobiła. – Uciszyła się. – Z przyjemnością wydam się znowu ze Wschodniej Rezydencji – rzekła. – Tam, gdzie widać, co się zbliża.

Siedząc w milczeniu po odejściu młodej Arabki, pomyślała, że było to dziwne. Kiedy była dziewczyną – czasami musiała sobie przypominać, że wciąż brakowało jej czterech lat do trzydziestki – Suzette nigdy nie spoglądała w górę wzgórze, na pałac, bez ukłucia zazdrości. Było to jej prawo wynikające z urodzenia, dziedzictwo *genów* Wenqui. Czterdzieści pokoleń szlachty Wschodniej Rezydencji, od kiedy tylko nastali gubernatorowie, uciekając przed wojskowymi przewrotami w Starej Rezydencji. Jednak bieda trzymała ją z dala, a także potrzeba troszczenia się o ojca po tym, jak matka zmarła, wykasłując płuca, pozostawiając czternastoletnią Suzette panią umierającego domu.

*Biedny ojciec. Zawsze ze swoimi książkami i kilkoma starymi druhami, nigdy niczego nie*



*zauważał*. Nie zauważał, kiedy musiała wyprzedać meble, obrazy i dywany, aby ich wykarmić i zapłacić trzęsącym się ze starości służącym, których nie miała serca odprawić, kiedy żalosne renty z ich ostatnich kilku farm musiały iść na utrzymanie domu w mieście, aby nie sprzedano im dachu nad głową. Wszystkie te lata skąpienia i przypochebiania się, aby dostać zaproszenia, lata lekcji, badań i kalkulowanych na zimno igraszek miłosnych, których celem było właśnie to. Wielki apartament w pałacowych pomieszczeniach, bogactwo, uznanie, bycie znanym i budzącym lęk graczem w tym starożytnym, stylizowanym menuecie intrygi...

*Wszystko to zmarnowane, mój kochany*, pomyślała z ciepłą ironią. Kogo miała nadzieję spotkać na przyjęciu w ogrodzie u Aloisa Orehueala? Nie mogła sobie nawet teraz tego przypomnieć. Raj Ammenda Halgern da Luis Whitehall był po prostu jeszcze jednym nazwiskiem na wykradzonej liście gości, kolejnym nieokrzesanym descotyjskim ziemianinem przybyłym z północno-wschodnich wzgórz, bez wątpienia z orszakiem kręcących się koło niego bandytów w mundurach, ledwo potrafiącym odróżnić, którym widelcem jeść rybę... i wtedy cię zobaczyłam, wyglądającego jak miecz w srebrnej oprawie i całe to szkolenie i wysiłek, jaki w nie włożyłam, okazały się na nic.

—

— Nie, nie *całkowicie* na nic – rzekła cicho do siebie, podchodząc do okna i wychodząc na taras.

Opierając się na balustradzie, spoglądała w dół, ku zgrabnym, lecz zbudowanym na planie kwadratu barakom otaczającym główną bramę. Gwardziści zmieniali się, wyglądając z daleka jak owady, figurki obracające się i zatrzymujące na kolorowej kracie cegły na placu. Zabrzmiało słabo chłodny dźwięk trąbek i surowe bicie bębnów. Niebiesko-złoty gwiazdny sztandar Świętej Federacji został opuszczony i podniesiony, wymieniono saluty i rytualne słowa.

—

Tutaj jest tak wielu wrogów, że nie możesz walczyć twarzą w twarz, pistoletem, mieczem i honorem żołnierza – wyszeptała. Twarz jej przyjęła wyraz jak ostrze noża. – Zatem zrobię to dla ciebie, mój kochany. Czy kiedykolwiek się o tym dowiesz, czy nie.

## Rozdział drugi

Czterech Towarzyszy powstało z ławek i zasalutowało, gdy otworzyły się drzwi do apartamentów Whitehallów. Para żołnierzy z 5 z Descott stanęła na baczność i wzniosła bagnety karabinów, prezentując broń. Raj wymruczał pozdrowienie i odwzajemnił ten gest. Byli to starzy kamraci, weterani kampanii Komar i bitwy o Sandoral na wschodniej granicy. Jego „Towarzysze”, żeby się tak posłużyć starożytną frazą, zmartwychwstali w czymś, co tylko częściowo było żartem.

– Lepiej się pospieszmy, panowie – rzucił krótko.

Ruszyli w szeregu za nim, z lewymi rękoma spoczywającymi na rękojeściach szabli. Nieświadomie cała grupa stawiała miarowe kroki, a odgłos uderzeń o podłogę żelaznych ćwieków ich podkutych butów do jazdy odbijał się echem od kamiennych płyt korytarza. Jak większość Wschodniej Rezydencji, ta część składała się z dwupiętrowych bloków ustawionych wokół podwórców. Wspięli się po schodach do sieni, gdzie szepczące grupki oficerów i dworzan rozstępowały się, aby zrobić im miejsce. Brygadier Whitehall był dobrze znany po ostatnim tryumfie na wschodzie i stłumieniu próby przewrotu, która po nim nastąpiła. Tak samo jak jego towarzysze. Niemalże ostentacyjna gładkość ich standardowych mundurów – bordowe spodnie, niebieskie kurtki i okrągłe hełmy – wyróżniała ich w tłumie.

Kaltin Gruder był pierwszym, który przemówił. Wciąż lekko utykał od kuli, która przeszła mu przez udo w czasie bitwy nad Drangosh. Zanim spotkał Raja Whitehalla, był nieco dandysowaty. Wypad na Komar pozbawił go brata i pokrył prawą stronę twarzy siateczką blizn.

– Siódmy wciąż jest trochę niepewny – powiedział. – 7 Zwiadowczy z Descott był nowy pod jego komendą. – Mnóstwo zastępstw po stratach w ludziach.

– Mógłbym oddać paru podoficerów z Piątego – powiedział Gerrin.

Raj nieco zmylił krok. 5 z Descott był z początku pod jego dowództwem, a ostatnio został także powiększony. Wciąż był nominalnie kapitanem głównodowodzącym, ale Gerrin przejął właściwe dowodzenie... a *ty mu ufasz*, przypomniał sobie Raj.

– Dziękuję, Gerrin. Duch Człowieka wie, że przydaliby mi się – odparł Gruder. – A przy okazji, czy widziałeś tych ambasadorów Brygady?

Antin M'lewis zaśmiał się lekko, ukazując kilka skrzywionych, poplamionych tytoniem zębów, pośród lśniących złotych, zastępujących te wybite w czasie bitwy. – Nawet dzieciaków by nie przestraszyli, co?

Da Cruz skrzywił się lekko na niego, a potem wzruszył z rezygnacją ramionami, gdy M'lewis wyszczerzył się w uśmiechu i potrząsnął ramieniem oznaczonym oficerskimi epoletami i gwiazdkami starszego porucznika. Mały eks-żołnierz z parafii Bufford był jednym z dwóch Towarzyszy, których Raj zabrał ze sobą, aby udaremnić próbę zamachu na gubernatora zeszłej wiosny, podczas gdy reszta strzegła pani Suzette. Wdzięczność gubernatora trwała na tyle długo, żeby M'lewis dostał przydział i średnich rozmiarów posiadłość niedaleko stolicy. Całkiem spory krok w górę jak na dawnego kioniokrada i okazjonalnego bandytę, będącego o krok od katowskiego topora.

Przynajmniej nie otrzymał dowództwa. Szacowni żołnierze, drobni właściciele ziemscy z hrabstwa Descott nie zgodziliby się na to, nawet jeśli technicznie rzecz biorąc, był teraz szlachcicem. Pochodzenie z parafii Bufford, hańby hrabstwa, było już wystarczające. Nie mówiąc o jego wątpliwym statusie społecznym. Radził sobie całkiem nieźle ze zbieraniną szumowin, do których zaciągania, głównie z odwachów i więzień, dał mu prawo Raj. Oficjalnie stanowili oni Grupę Zwiadowczą 5 z Descott, bardziej znaną jako Czterdziestu Złodziei. Da Cruz wolał pozostać przy randze mistrza sierżanta, mimo iż zarobił wystarczająco na wschodniej wojnie, żeby kupić własną ziemię w rodzinnych stronach w hrabstwie Descott, farmę, którą przedtem planował wynająć, gdy przejdzie w stan spoczynku.

– Ci barbarzyńcy mieli ciekawą broń – rzucił flegmatycznie podoficer. – Nieźle strzelają, i zaskoczyło mnie, że udaje im się wydobyć taką akuratność z tych ładowanych od lufy dział.

Brygada była całkiem cywilizowana jak na barbarzyńców, od wieków już rządzących ziemiami starego Rządu Cywilnego na dalekim zachodzie. Mimo to emisariusze i tak wyglądali krzykliwie, ubrani w jelenie skóry z frędzlami i purpurowy jedwab, kapelusze z szerokimi rondami z zatkniętymi w nich piórami carnosauroida, obwieszeni złotem i klejnotami oraz z dumą prezentujący długie, ostre miecze przewieszane przez ramiona. Większość z nich miała cztero lub pięciopalcowe rewolwery przewieszane z tyłu obok sięgających głowy strzelb. Dali pokaz strzelania w ogrodach, równie dobry pokaz jak ten, który można by urządzić przy pomocy karabinów ze zbrojowni.

Gerrin w zamyśleniu postukał palcem z pierścieniem o główkę swojej szabli. – Ale powoli się je ładuje – powiedział. – Wyglądało na to, jakby lepiej nadawały się do polowania i strzelania do celu.

Kaltin prychnął. – Jak przypuszczam, ostatnio nie było za wiele prawdziwej walki.

–

– Nie nasz problem, ni, ponie? – rzucił sucho da Cruz. – Ale i tak Eskadra nie będzie taka twarda jak ta tu Brygada, w żadnym razie.

Pozostali skinęli głowami. Eskadra przybyła z rykiem z północnej dżiczy półtora wieku temu, aby przejąć Południowe Terytoria od Rządu Cywilnego. Wówczas byli zwyczajnymi dzikusami, a pod ich rządami Terytoria zeszyły na psy.

–

Nawet mimo tego, nie mogę powiedzieć, aby ludzie byli zbyt chętni, by się z nimi zmierzyć – rzekł ostrożnie Gerrin, zerkając w bok na Raja. – Nie po roku ciężkich walk na wschodzie. To prawda, że Eskadra nie może się mierzyć z brudasami, ale trzeba płynąć, żeby się do nich dostać. Mokra walka to nie wybór Descotczyka.

Raj mruknął znowu, pochylając lekko głowę.

>>Obserwuj.<< powiedziało Centrum.

\* \* \*

– Raj stał na pokładzie rufowym trzymasztowca, jego pozbawiony ciała punkt widzenia znajdował się obok koła sterowego. Sztorm przycichł, pozostawiając białe czapy na pomarszczonym morzu koloru wina. Płynące transportowce Rządu Cywilnego rozsiane były od horyzontu po horyzont, wiele z nich pozbawionych było masztów albo też kołysało się ciężko z żaglami rozwalonymi w

trzepoczące na nagich słupach strzepy. Pośród nich zanurzały się galery wojenne Eskadry, a od taranów z brązu znajdujących się na ich dziobach wzbijały się ogromne pióropusze wodnego pyłu. Wiosła pracowały jak odnóża stonogi. Były pomalowane cynobrowo– biało, a długie, węzowate kadłuby na czarno. Niedaleko pojawiało się ich więcej, ich żagle były jeszcze nie zwinięte przed bitwą. Piętrzyły się w górze łańcuchy, jasnokarmazynowe płótna ze złotym słońcem i kometa barbarzyńców. Jeden ze statków zatrzymał się gwałtownie, a czubki masztów się zakołysały, gdy jego taran wbił się w deski kadłuba transportowca.

Nieszczęsny statek kupiecki przechylił się mocno pod wpływem uderzenia. Malutkie postacie wylatywały przez burzę, miotając się przez krótką chwilę, dopóki pożądlive macki padlinożernych wciągaczy nie powlokły ich ku kłapiącym dziobom. Inni pogrążali się pod piórami wiosł, gdy te unosiły się i opadały jak maszynka do mielenia. Niedaleko rozbrzmiała echem armata i podniósł się dym, gdy jedyny parowiec Rządu Centralnego wystrzelił salwę z dział na całej burcie. Potężny wystrzał pomknął ponad falami. Jeden z pocisków wyrzucił w ławę wiosłarską galery, ale pozostałe statki odwróciły się zwinnie bokiem, aby uniknąć pędu wpadającej na nie większej jednostki. Tylko jeden był widoczny. Być może, sądząc po dymie, kolejny znajdował się poza horyzontem. Dziesiątki galer i setki nieszczęsnych ofiar.

Raj obrócił się, gdy jakiś żeglarz pociągnął go za rękaw i punkt widzenia odwrócił się wraz z nim. Nastawał na nich okręt Eskadry z dwiema ławami wiosłarskimi. Raj widział morze rozgarniane taranem w kształcie grotu strzały, a lufy czterech mosiężnych, krótkich dział dużego kalibru wychylały się z kwadratowej pokładówki nad nim. Kanonierzy czekali z dymiącymi stoczkami. Przedni maszt najeżył się kolcami trapów abordażowych, wyglądających jak dzioby kruków gotowych opaść i szepić razem jednostki, a za nim tłoczyli się żołnierze piechoty morskiej Eskadry, wrzeszczący i wymachujący w powietrzu masywnymi rusznicami i toporami.

\* \* \*

– Taak, cóż – rzekł cicho, nie rozglądając się, świadomy, że zmylił krok.

Pozostali przyzwyczaili się już do tych napadów introspekcji. Żaden z towarzyszy nie znał go dobrze zanim... *stał się awatarem Duchy Człowieka Gwiazd?* Raj wzdrygnął się i poruszył ramionami. Dla innych to właśnie w takich chwilach wyciągał coś niemożliwego z kapelusza.

Jakby coś go zainspirowało.

– Cóż – ciągnął. – Rozumiem, że ludzie, którzy byli na wschodzie, chcieliby jeszcze nieco odpocząć. – Była to największa kampania od sześćdziesięciu lat i po raz pierwszy od jakichś czterdziestu lat z okładem Rząd Cywilny pokonał Kolonię w dużej bitwie. Pamięć wyświeciła mu: Kawaleria Kolonistów pędząca ku kurczącemu się kręgowi Raja w Dolinie Śmierci. Przywódcy sekcji wrzeszczący i wymachujący zakrzywionymi, zaostrzonymi od wewnątrz jataganami, oraz milcząca masa jaskrawo–kolorowych jeźdźców, trzymających wodze w zębach, aby obsługiwać karabiny obydwojoma rękami. Wspomnienie było tak wyraźne, że Raj zmylił krok.

*Mnie samemu przydałby się odpoczynek, pomyślał smutno.*

>>Człowiek, którym się stałeś przez te ostatnie dwa lata, nie potrafiłby odpoczywać, Raju Whitehallu.<< powiedziało Centrum. Jeśli ten głos w myślach miał jakiś ton, to pobrzmiwał w nim żal. >>Nie bardziej niż ja bym to potrafił.<<

Raj potrząsnął głową i ciągnął na głos – Problem w tym, że jeśli to ja *mam* zostać wysłany, aby

odzyskać Południowe Terytoria, to wolałbym mieć ze sobą trochę ludzi, którzy nabrali zwyczaju wyciągania łbów z dupy, żeby od czasu do czasu się rozejrzeć.

\* \* \*

Rada Wojenna spotykała się w starej kaplicy, w półkolu siedzeń schodzących w dół ku ołtarzowi. Za nim znajdowała się gładka ściana z takiego samego białego marmuru przetykanego szarością, jakim charakteryzowała się reszta dużego pomieszczenia, z balkonem na chór powyżej, osłoniętym rzeźbionym kamieniem *nair*, który połyskiwał srebrem i różem w żółtym, jasnym świetle gazowym. Plotki głosiły, że pani Anna Clerett obserwowała spotkania zza tej zasłony... a słaby, ulotny zapach jaśminu pośród wosku i kadzideł w pomieszczeniu wskazywał na prawdziwość plotek. Ołtarz był pokryty lśniącem elektrum i zawierał gładką kulę rozmiarów głowy człowieka. Materiał stanowił część jego tajemnicy; nic co produkowała obecna technologia, nie potrafiło go nawet zadrapać, gdyby spróbował tego ktoś bezbożny. Był to komputer starożytnych, sprzed Upadku, ponadczasowy i święty.

>>7ec42<< Powiedziało Centrum swoim pozbawionym emocji tonem. >>Zawiadujący automatyczną kontrolą ruchu ulicznego dla przedmieść Starej Rezydencji przed Upadkiem.<< przerwa >>I nawet wówczas miał częstotliwość błędów nie do przyjęcia.<<

Znajdujący się poniżej tłum składał się wyłącznie z mężczyzn, poza jedną z asystentek najwyższego wielebnego hierarchy *sysupa*. Obecnych było około pięćdziesięciu, głównie wojskowych, ubranych w tuzin kolorowych wariantów standardowego munduru. Odwrócili się, aby spojrzeć na Raja z ulgą malującą się na twarzach, gdy wraz z towarzyszami wszedł przez wielkie drzwi na tyłach łuku siedzeń. Gubernator Barholm zajmował Krzesło przed ołtarzem, błyszczącą mieszankę elektrum i mosiądzu, pereł i klejnotów, z ogromnym złotym Rozbłyskiem Gwiazd z tyłu.

– Ach, brygadier Whitehall – powiedział.

Jego głos, dobrze wyszkolony instrument, niósł się z łatwością w doskonałej akustyce kaplicy. Mimo szat ze złotej materii Barholm Clerett przypominał prostego posiadacza ziemskiego ze wzgórz hrabstwa Descott. Mężczyzna zbudowany był jak cegła, z potężną klatką piersiową i nosem jak dziób na ciemnobrązowej, kwadratowej twarzy. Tylko bardzo głupi człowiek dałby się nabrać na ten wygląd. Clerett panował nad Rządem Cywilnym przez piętnaście lat jako wicegubernator swego niedomagającego wuja, a potem już sam, dzięki intrydze, zamieszkom i wojnie.

Obok niego, na karmazynowej poduszce, spoczywała buława, krótka broń wykuta z pojedynczego kawałka stali, wyłożona srebrem i platyną. Symbol rangi, który mógł nosić jedynie dowódca niezależnej armii wysłanej poza granicę Rządu Cywilnego.

–

*Dziękuję ci za przyłączenie się do nas* – ciągnął sucho, gdy Raj i jego towarzysze wśliznęli się na siedzenia zarezerwowane dla nich w pierwszym rzędzie.

Kilku wysoko urodzonych oficerów z przednich szeregów uśmiechnęło się głupawo. Kanclerz Tzetzas odchylił się do tyłu w swojej szacie koloru błękitu nieba o północy, z azanijskiego jedwabiu *torofib*. Po czym uniósł brew z wyrazem twarzy skalkulowanym co do milimetra.

–

Właśnie omawialiśmy – ciągnął Barholm – święte zadanie odzyskania Południowych Terytoriów od barbarzyńskich heretyków, którzy obecnie je zajmują. Zadanie – dodał złośliwie

– które budzi zdumiewająco mało entuzjazmu!

Wasza Wysokość – zaprotestował starszawy mężczyzna w mundurze – źle byśmy ci służyli, gdybyśmy nie radzili ci szczerze. Starsi bracia – wzdrygnął się lekko – starsi bracia mojego ojca i mój dziad popłynęli z ostatnią flotą wysłaną, aby odzyskać Terytoria.

Raj znajdował się w dokach, tam, gdzie statki kupieckie pływające po głębokich morzach wpływały do przystani. Była to Wschodnia Rezydencja, ale wcześniejsza. Nie było tu stacji Kolei Wschodniej, a widoczni ludzie z klasy messorów nosili opadające, szerokie rękawy, okrywające im ręce aż do kostek dłoni. Moda z czasów jego pradziadka, tak jak i koronkowe wachlarze dam znajdujących się w tłumie. Zarówno Miniluna jak i Maxiluna były w górze i w pełni, po przeciwległej stronie horyzontu niż zachodzące słońce. Ich blade, przezroczyście, usiane kraterami kule unosiły się nad mrocznym morzem.

>>Obserwuj.<< powiedziało Centrum.

\* \* \*

Żołnierze otaczali baseny, gdzie zadokowało tuzin transportowców. Mewy uganiały się za syczącymi dactosauroidami przez smolisty labirynt olinowania, dźwięk ten ginął w głosach przypominających ryk fal. Motłoch był na tyle przejęty, że napierał na wystawione bagnety. Raj widział mężczyzn dzgających nimi od czasu do czasu do przodu, długie ostrza wracały zabarwione czerwienią na końcach, a skraj tłumu cofał się chwiejnie, falując. Oficerowie z dobytymi szablami siedzieli za linią strażników na swoich psach. Pozostałe postacie schodziły po trapach transportowców, postacie w postrzępionych resztkach mundurów Rządu Cywilnego. Wlekli się po skrzypiących trapach grupkami, grupkami po jedenastu. Dziesięciu mężczyzn, a każdy z rękoma zatkniętymi za pas znajdującego się przed sobą i wilgotnymi od ropy bandażami na pozostałości po oczach. Mężczyzna prowadzący każdą z grup miał jedno dobre oko, ale brak mu było rąk...

\* \* \*

...i nigdy nie zapomnę słów mojego ojca, który opowiedział mi, jak jego jedyny żyjący brat wrócił jako oślepiiony eunuch.

Wasza Wysokość – ciągnął starzec, wyciągając ręce w niemalże błagalnym geście; były one poznaczone odciskami od trzymania wodzy i szabli. – O potężny panie suwerenie, tylko dlatego, że mój ojciec nie wstąpił wtedy jeszcze do Świętego Kościoła, przetrwał w ogóle nasz ród. Przez całe życie służyłem Krzesłu w czasie wojny, i moi synowie, i synowie moich synów. Oszczędź ich, Wasza Wysokość!

Nastąpiła chwila dźwięczącej ciszy. Kanclerz Tzetzas zakaszlał dyskretnie w chusteczkę.

Wielce wzruszające, wielce wzruszające. – Był wysokim, smukłym mężczyzną w połowie sześćdziesiątki, z ładną oliwkową skórą i delikatnymi rysami starej szlachty miasta. – Wola

Waszej Wysokości jest oczywiście i moją wolą. Mimo to rozważamy tu mocno pochopny tok działania. Kampania na wschodzie w zeszłym roku zakończyła się bardzo pomyślnie – Tzetzas skłonił

się ze swobodą w stronę Raja – a jedynie pokryła swoje własne koszty.

Raj zacisnął usta, a potem zmusił się do swobodnego uśmiechu i skinął głową, dziękując uprzejmie. *Bo nie pozwoliłem ci położyć łap na całym łupie*, pomyślał chłodno. Część poszła na nagrody za zwycięstwo, sporo na emerytury dla żołnierzy okaleczonych w wyniku odniesionych ran, żołnierzy, których kanclerz wyrzucił z przyznanych im ziem, jak tylko zostali zarejestrowani jako niezdolni do służby.

–

Nasz potężny pan suweren, gubernator Barholm, podjął się licznych projektów mających gloryfikować Ducha Człowieka Gwiazd – nowa świątynia opłacona wzrostem podatku na sól – i aby poprawić życie ludzi: przedłużenie kolei, nowe przystanie, tamy i młyny parowe. Podsumowując, jestem zmuszony sam przyznać, iż nie mam pojęcia, gdzie można by znaleźć fundusze na tę ekspedycję.

–

*Weź je z tego, co kradniesz, Tzetzas.* – Wezwanie to zostało wyszeptane *sotto voce* przez jednego z młodszych oficerów w wyżej położonych rzędach siedzeń. Śmiech zagrział wśród wszystkich obecnych mężczyzn, choć ubrani w szaty urzędnicy kanclerza siedzieli w porażającej ciszy. Głowa Tzetzasa odwróciła się, a ten ruch przypomniał Rajowi carnosauroida, jakiego widział w menażerii gubernatora – w jednej chwili ptak był nieruchomy niczym martwy, w następnej łapał owada w powietrzu. A potem kanclerz się odprężył, uśmiechając przez zaciśnięte usta, gdy Barholm przyłączył się do wybuchu wesołości.

*Nie chciałbym być człowiekiem, który to powiedział*, pomyślał Raj. Był taki stary żart o kłogębie, który ugryzł Tzetzasa. Plotka głosiła, że jadowita jaszczurka zdechła w konwulsjach.

>>Obserwuj.<< powiedziało Centrum.

\* \* \*

–

młody oficer usiadł gwałtownie w łóżku. Raj rozpoznał pokój, a raczej jego układ. Kwatera dowódcy kompanii w barakach Wschodniej Rezydencji, choć śpiąca kobieta była zdecydowanie wbrew regulaminowi. Oficer miał zaspaną twarz, gdy sięgnął wiedziony instynktem do zwisającego z wezłowia łóżka pistoletu w kaburze.

– Heysos? To ty? – wymamrotał.

–

*Nao* – powiedział głos, gdy drzwi się otworzyły i wszedł przez nie zamaskowany mężczyzna w ciemnym ubraniu. Nagi żołnierz miał tylko tyle czasu, aby wyciągnąć ciężki pistolet dragona z kabury, zanim pocisk ze strzelby trafił go w twarz, odrzucając ciało i większość głowy do tyłu, na ścianę za nim.

Kobieta wrzasnęła dwukrotnie. Zabójca podszedł do niej na odległość metra, zanim wypalił kolejny raz.

\* \* \*

Tzetzas rozłożył ręce. – W każdym razie... kwestie wojskowe znajdują się poza moją dziedziną

wiedzy. Nie chciałbym spekulować co do szans powodzenia. Jednakże można by sądzić, że niebezpieczeństwa dla wschodniej granicy są oczywiste. Straciliśmy kilka prowincji na rzecz Kolonii, kiedy *ostatnia* ekspedycja została zniszczona.

*Łup.* Wszystkie oczy zwróciły się ku Barholmowi, gdy ten położył stylizowaną klawiaturę na poręczy Krzesła. Znajdujące się na jej powierzchni symbole z diamentu i szafiru *padparascha* zabłyszczały, pasując do szat autokraty.

– Dzięki znajdującemu się tu brygadierowi Whitehallowi – wycedził Barholm – Kolonia jest bez Osadnika. Ali i Akbar wciąż rozstrzygają, kto ma być władcą...

>>Obserwuj.<< powiedziało Centrum.

\* \* \*

ciemnoskórzy mężczyźni w szatach z psiej sierści czekali za alabastrowym gazonem wypełnionym krzewami róż o czerwonych i żółtych pąkach wielkości talerzy. Postać w długiej szacie i turbanie ze złotej materii kroczyła po ścieżce, tam, gdzie pośród delikatnych kafli szemrały fontanny. Za nią szli strażnicy – czarne olbrzymy obnażone do pasa, z długimi, zakrzywionymi, obnażonymi klingami spoczywającymi na ramionach. Gazon się przewrócił i ci znajdujący się za nim wyskoczyli do przodu, z uniesionymi, zagiętymi sztyletami i krzyczeli. Ich wrzaski wściekłości zmieniły się w okrzyki strachu, gdy zasyczały miecze, a karabiny snajperów na przeciwległym dachu wypłuły białe kłęby dymu...

przysadzisty, posiwiały Tewfik stał w otwartej klapie polowego namiotu dowódcy, ubrany jak zawsze w zwyczajny szkarłatny burnus i spiczasty hełm regularnego, kolonialnego wojska, z pieczęcią Salomona na czarnej, skórzanej opasce na oko. Jego lewa dłoń ze zbielełymi kostkami zacisnęła się na rękojeści zakrzywionej szabli, lecz spokój słyszalny był w jego głosie i widoczny na jego twarzy, gdy przyglądał się żołnierzom w czasie musztry. Za nim, przy stole z mapami, czekał mężczyzna w cywilnej szacie i ha'aiku, popatrując z niepokojem na oficerów stojących wokół niego ze skrzyżowanymi ramionami. Z jego miny można było wnosić, że był w pełni świadom, iż będą oni zachwyceni rozkazem zdjęcia go – i zastrzelenia, jak tylko zejdzie z dywanu.

Z żalem do mego szlachetnego brata emira Alego – wycedził Tewfik – a moja wiadomość dla niego brzmi tak, jak moja poprzednia wiadomość – proszę, obydwaj wiemy, że została ona przeczytana przez kogoś jeszcze poza zamierzonym adresatem – do mego szlachetnego brata emira Akbara. Niech pokój Allaha będzie z nimi obydwoma. Nie można oddelegować żadnych żołnierzy do... misji w stolicy. Nie teraz ani też dopóki rada *ulemma* nie wybierze następnego Osadnika, aby poprowadził wiernych.

Cywil się zawahał, a potem skłonił. – Niech pokój będzie z tobą, sa'yid – wymruczał i prześliznął się obok niego, zdążając do swego czekającego borzoja.

I z tobą także, niech będzie pokój, ty żmijo – wymruczał Tewfik, kiedy posłaniec zniknął. A potem się obrócił, przerywając oficerom gniewnym spojrzeniem i powstrzymującym gestem dłoni. – I *nastapi* pokój. Każdy z moich braci będzie dobrze rządził – ale sięgnięcie przeze mnie



po władzę oznaczałoby wojnę domową. Znacze prawo. – Dowódca wiernych musi mieć doskonałe ciało. – Będzie, jak zechce Bóg. A wszystko dzieje się zgodnie z wolą Boga.

–  
Inshallah – wymruczeli oficerowie.

\* \* \*

Tewfik jest zdyskwalifikowany, dzięki niech będą za to *Duchowi*.

Raj skinął głową, przytakując podświadomie. Tewfik był zdecydowanie najzdolniejszym z prawowitych synów starego Jamala, ale brakowało mu oka, straconego w Zanjiskich Wojnach dekadę temu, i zgodnie z prawem kolonialnym dyskwalifikowało go to.

– Zaiste, Wasza Wysokość – rzekł Tzetzas, a w jego głosie pobrzmiwał miękki ton rozsądku, tak, iż chciało się z nim od razu zgodzić, bojąc się wydać natarczywym lub irracjonalnym. – Przez rok z okładem Kolonia będzie osłabiona. Jednak podbój Południowych Terytoriów zabierze całe *dekady*.

– Z pewnością nie możemy sobie pozwolić na *ogolocenie* wschodnich terytoriów – powiedział Fiydel Klostermann. Był on obecnie mistrzem żołnierzy, administracyjnym dowódcą, będącym tak blisko stanowiska szefa sztabu Rządu Cywilnego, jak tylko można było. – A to musielibyśmy zrobić. Eskadra może wystawić setki tysięcy ludzi. Jeśli będą wyposażeni w garłacze, a nie mają oni artylerii wartej wspomnienia, to i tak daje to dwieście batalionów zdolnych do walki ludzi. – Rząd Cywilny utrzymywał pod bronią ćwierć miliona ludzi, jednak większość z nich stanowiły niemobilne garnizony piechoty.

Przemówił admirał Tiburcyo Gharderini. Był nerwowo wyglądającym, małym mężczyzną z upstrzonymi siwizną czarnymi włosami, w czarno–złotym mundurze marynarki Rządu Cywilnego. Oficerowie marynarki często pochodzili z samego miasta i z kupieckich rodzin, w przeciwieństwie do armii, zdominowanej przez posiadaczy ziemskich. Gdy rozejrzał się po pomieszczeniu, widać było, iż zdawał sobie sprawę z niewielkiego znaczenia swego statusu społecznego.

– Cóż... *mamy* napędzane parą tarany i kanonierki – powiedział. – Przez ostatnie pokolenie udawało nam się utrzymać z dala korsarzy Eskadry.

– Zazwyczaj – rzucił sucho dowódca kawalerii. Gharderini mocno poczerwieniał.

– Ale to jest co innego niż zaatakowanie Port Murchison – ciągnął niechętnie żeglarz. Była to stolica Terytoriów. – Nie mamy dostatecznie dużo jednostek we flocie, aby przeznaczyć je do pilnowania konwoju takich rozmiarów, nie mamy stacji zaopatrujących w węgiel dostatecznie blisko, brakuje nam ludzi i funduszy. Niech Wasza Wysokość wybaczy – zakończył raptownie, skłaniając się w kierunku kanclerza.

Barholm stukał berłem z klawiatury o poręcz Krzesła ze złowróżbną cierpliwością.

Podniósł się młodszy oficer. Raj go rozpoznał: Anhelino Dalhouse, dowódca 17 Kirasjerów z Doliny. Bogaty i wysoko urodzony, bez zbytniego doświadczenia w walce, chyba że liczyć stłumienie jakiegoś powstania wieśniaków.

—  
Siedzimy tu, uciekając się do wykrętów jak stadko starych kobiet! – wybuchnął, aż drżały mu koniuszki wąsów. – Kimże jesteśmy, wojownikami czy przyzwoitkami panienek na ich pierwszym balu? Heretycy z Eskadry siedzą na naszej ziemi, zbierają nasze dochody, prześladują nasz lud i nasz Kościół. Co tu jest jeszcze do powiedzenia?

Najwyższy wielebny hierarcha sysup powstał, dotykając palcami amuletu z obwodów znajdującego się na jego piersi. – Więcej niż prześladują! – rzekł gniewnie. – Wasza Wysokość, jesteś opiekunem trzódki Kościoła w każdej krainie. Bestie z Eskadry trzymają swoje psy do jazdy w naszych kościołach albo jeszcze gorzej, przekształcają je w miejsca tego ich heretyckiego kultu Ducha Człowieka tej Ziemi – większość ze słuchaczy chwyciła za swoje amulety i wymruczała modlitwę – rabują, plądrują i niewolą naszych wyznawców, którzy odmawiają przyjęcia ich ohydnych zabobonów. Ich admirał zabrania wyboru sysupa, aby prowadził diecezje w Terytoriach. Sysupowie–misjonarze, których wyznaczyłem, zostali spaleni żywcem, a kapłani okaleczeni. Umartwione siostry są grupowo gwałcone. Duch Człowieka Gwiazd wymaga od nas działania! Koniec pliku.

—  
Koniec pliku – wymruczeli pobożnie pozostali, dotykając swoich amuletów. *Przynajmniej jakiś szczery głos*, pomyślał Raj.

Barholm skinął głową, zadowolony.

Klostermann odchrząknął i przemówił – Szacunek i cześć dla Świętego Kościoła i jego najwyższego wielebnego hierarchy sysupa, ale otrzymywaliśmy meldunki o okropieństwach od ponad wieku, od czasu, gdy Eskadra okupuje Terytoria. Dlaczego Duch Człowieka Gwiazd domaga się od nas działania *teraz*, a nie później, kiedy warunki będą nam sprzyjały? Czy przysłuży się Świętemu Kościołowi, gdy stracimy kolejnych pięćdziesiąt tysięcy ludzi i może jeszcze tereny przygraniczne, o których utrzymanie walczyliśmy z Kolonią w zeszłym roku?

Znowu zapadła cisza, przerywana jedynie skrzypieniem piór sekretarek spisujących protokół spotkania i powolnym tykaniem mosiężnego zegara osadzonego w jednej ze ścian kaplicy.

– Brygadierze Whitehallu – powiedział wreszcie cicho Barholm. – Potrzebujemy twojej opinii w tej sprawie.

Raj poczuł chłód. *Nadszedł czas, co, Centrum? Czy Rząd Cywilny jest teraz rzeczywiście wystarczająco silny, aby odzyskać Południowe Terytoria?*

>>Jak ci pokazałem, Raju Whitehallu.<< Odparł głos w jego głowie. >>Nie mogę zagwarantować powodzenia, ale... nie wybrałem cię po to, abyś nie próbował.<<

Młody generał podniósł się powoli, spoglądając w dół na swoje dłonie. Były pokryte bliznami, z delikatnymi, ciemniejszymi liniami na kostkach, ziemią wżartą po długich marszach, której nie udawało się nigdy całkowicie wyszorować. Kiedy podniósł wzrok, poczuł, jak pozostali pochylili się lekko do przodu w swoich siedzeniach. Tylko pełen desperacji strach mógł sprawić, iż tak wielu otwarcie nie zgadzało się z gubernatorem, który nie był wybaczącym człowiekiem. Najbardziej zdesperowani bali się wyznaczenia na dowódcę tej ekspedycji. Klęska oznaczałaby prawdopodobnie uznanie za zdrajcę, śmierć lub konfiskatę posiadłości całej rodziny dowódcy.

Wasza Wysokość – powiedział i przerwał. – Zgodnie z twymi rozkazami przestudiowałem ten problem. Sądzę, że ponowny podbój Południowych Terytoriów *może* się udać. – Oficerowie wciągnęli oddech.

I to udać się przy kosztach i ryzyku będących do przyjęcia. Bez obrazy dla walecznych czynów, ale ostatni Korpus Ekspedycyjny nie był ani dobrze zorganizowany, ani dobrze poprowadzony. A Eskadra, z którą się zmierzyli, wciąż stanowiła postrach Morza Śródświatowego i miała marynarke pierwszej klasy.

Pozwolili swojej flocie zmarnieć i armii również. Wiecie, nie mają stojącego w gotowości wojska. To nie miało znaczenia, kiedy admirał Ricks – legendarny wojenny wódz, który poprowadził Eskadrę, a potem stworzył flotę, która przez całe pokolenia pustoszyła Śródświat – co roku wzywał swoich wojowników na pirackie najazdy, aby „wytoczyć wojnę tym, na których gniewa się Duch Człowieka”... obecnie jednak większość z nich po prostu siedzi na dupie i przygląda się, jak pracują ich wyrobownicy.

Wysłanie pięćdziesięciu tysięcy ludzi byłoby ryzykiem nie do przyjęcia i byłoby zbyt kosztowne. Z trzydziestoma tysiącami jestem całkiem pewien sukcesu.

Patrzył, jak zmieniają się wyrazy twarzy. Tzetzas się odprężył, a twarz Barholma ściągnęła się w grymasie.

>>Nie dostaniesz trzydziestu tysięcy.<< powiedziało Centrum. >>Prawdopodobieństwo 89% plus minus 6.<<

Raj westchnął w myślach. Centrum zmniejszyło nieco przyjemność negocjacji swoją zdolnością do mówienia ci dokładnie, na co przeciwnik się zgodzi, zanim to się stanie.

Piętnaście tysięcy *mogłoby* to sprawić: pięć tysięcy kawalerii jako siła uderzeniowa, dziesięć tysięcy piechoty do garnizonów i jako baza do manewrów oraz trzydzieści dział. Oceniam to na ponad rok prawdziwych walk, jeśli zostanie odpowiednio rozegrane, a samo plądrowanie opłaci wydatki kampanii, nie wspominając o późniejszych dochodach. Przy mniej niż piętnastu tysiącach z żalem odmawiam zajęcia jakiegokolwiek stanowiska.

Z twarzy Barholma nic nie dało się wyczytać, gdy skinął na Tzetzasa. Była to mina „a nie mówiłem”. Twarz kanclerza wyglądała tak, jakby ten przez chwilę ssał cytrynę, a jego głos brzmiał, jakby był naprawdę ożywiony, prawie jak krzyk.

Nawet jeśli ekspedycja jest *możliwa*, to jeszcze nie powód, aby to *zrobić* – rzucił złośliwie. Raj potarł szczękę dłonią. Odcisk od szabli okalający kciuk i palec wskazujący zachrząścił o ciemny zarost.

To prawda, kanclerzu, gdyby chodziło tu tylko o zwykłe sprawy. Ale... cóż, religia może brzmieć dziwnie w ustach żołnierza, a Duch wie, że jestem tylko żołnierzem. Panowie – rozejrzał się po kręgu twarzy. – Panowie, *jesteśmy* ostatnimi reprezentantami Świętej Federacji. Rząd Cywilny to nie tylko kolejny następca państwa żyjący na ruinach świętości. Mamy

*obowiązek, aby sprowadzić wszystkich na Ziemię...*

>>Bellevue.<< Wtrąciło się Centrum. >>Ziemia później.<<

—

*...całą Ziemię i jej ludzi z powrotem do Świętej Federacji i jedności z Duchem Człowieka Gwiazd. Czyż nie każdy – barbarzyńca, Kolonista czy heretyk – nie jest stworzony na obraz i podobieństwo Ducha? Jeśli to odrzucimy, to odrzucimy Ducha w nas samych, a nasza wiara będzie pozorna...*

Podniósł głos, lecz przerwał raptownie, gdy zobaczył, jak pozostali zamrugali oczami na jego zapalczywość. Zaczerwienił się przy pomrukach „doskonale, brawo” dobiegających od wielu oficerów i wobec gestu błogosławieństwa najwyższego wielebnego hierarchy sysupa.

– A kto powinien poprowadzić tę ekspedycję? – spytał neutralnym tonem Barholm.

– Oczywiście ta decyzja należy do ciebie, Wasza Wysokość – rzekł niezręcznie Raj. – Ale rozmyślałem nad tym od dawna i szczerze mówiąc, uważam, że najlepiej byłoby wybrać mnie.

>>A ja rozmyślałem nad tym od tysiąca lat... << Wyszepało Centrum w jego mózgu. >>Nareszcie... <<

Barholm skinął głową. – Niech zostanie zapisane, że messer brygadier – nie, lepiej uczynmy tego brygadiera generałem – Raj Ammenda Halgern da Luis Whitehall został wyznaczony na dowódcę polowego Korpusu Ekspedycyjnego, mającego odzyskać poświęconą ziemię Świętej Federacji od barbarzyńców z Eskadry, z władzą wicekróla na terenie *barbaricum*. Niech wszystkie służby Rządu Cywilnego i Świętego Kościoła użyczą mu w tej sprawie prawowitej pomocy. Brygadierze generale Whitehallu, proszę przedstawić mi listę jednostek i dowódców... hmm, o tej samej porze jutro, do rozważenia i zaaprobowania.

Wykonał gwałtowny gest i adiutant uniósł poduszkę z buławą stanowiącą symbol stanowiska, przyklękając na jedno kolano przed Rajem. Raj uniósł buławę obydwoma rękami i podniósł do ust. Oficerowie wznieśli potężny okrzyk aprobaty, formalny i krótki.

Gubernator z uniesionymi brwiami rozejrzał się po oficerach. – Nie ma już dalszych *rad*? – rzekł ironicznie. – Nie?

Najwyższy wielebny hierarcha sysup rozpoczął zawiłą ceremonię zakończenia. Trzymał swój amulet i czynił wraz z innymi modlitewne gesty dotykania klawiatury. Raj niemalże się uśmiechnął, widząc zazdrosne spojrzenia, jakimi niektórzy obrzucali go kątem oka.

*Zazdrość wobec człowieka, który właśnie skazał się na śmierć, pomyślał. Buława wydawała się być cięższa niż całe światy.*

## Rozdział trzeci

Wschodnia Rezydencja położona była na przylądku wystającym w stronę zachodu z podnóży wzgórz nadbrzeżnego łańcucha jak kciuk otaczającym wąski jezior wody z południowej strony. Na wschodzie znajdowało się ujście rzeki Hemmar, wpływającej z południa do Morza Śródświatowego. Obydwa księżycy zasły. Pałac i wewnętrzne dzielnice znajdujące się wokół niego były jasne od gazowych lamp ulicznych, podczas gdy większość stolicy stanowiła bryłową ciemność budynków i wzgórz, czerń wyróżniającą się na tle żółtych plamek lamp. Na zachodzie widniało posępne światło dochodzące z hut i fabryk, podczas gdy na wschodzie, na najwyższym punkcie kopuły świątyni znajdował się złoty Rozbłysk Gwiazd, podświetlony przez elektryczne lampy łukowe i dotknięty pierwszymi promieniami słońca. Od strony przystani nie było nocy. Tysiąc pochodni zwielokrotniało światło gazowych lamp.

Był chłodny, wiosenny poranek. Zachmurzone i ciemne niebo mżyło cienką mgiełką deszczu, a dym węglowy spełzał ze wzgórz miasta. Jego gorzki zapach zmieszany był ze smrodem smoły, zaprawionym ściekowym mułem przystani i zapachami tysięcy psów i dziesięciu tysięcy okrętujących się ludzi.

Pierwsze statki floty Rządu Cywilnego wypływały z wewnętrznej przystani, ale doki marynarki wciąż znajdowały się w stanie ledwo zorganizowanego chaosu. Przysadziste, małe wiosłowe holowniki i dwudziestowiosłowe galery holowały wielkie trzymasztowe statki towarowe na wschód za falochrony. Gdy statki się odłączały, żagle wędrowały w górę serią rytmicznych szarpnięć, a długie kadłuby przechylały się ostro, chwytając północny wiatr. Na pozostałych jednostkach wciąż trwał załadunek, nie kończące się szeregi niewolników – robotników portowych wędrowały po trapach z workami i skrzyniami, a drewno żurawi jęczało, gdy te przerzucały na pokład działa polowe i wozy. Żołnierze wprowadzali swoje psy wierzchowe przez drzwi w burtach kadłubów specjalnie wyposażonych transportowców. Większość z nich narzuciła kurtki psom na głowy dla pokrępienia, jakie dawały ciemność i znajomy zapach, i tak jednak dało się słyszeć ciągłe wycie, a od czasu do czasu wybuchy głębokiego jak grzmot poszczekiwania wielkich zwierząt. Piechota stała dalej w głębi lądu, w uporządkowanych kolumnach kompanii. Setka z okładem stanowiła limit dla jednego statku, służyła także zniechęcaniu do dezercji wcielonych siłą żeglarzy.

Raj przyglądał się z cienia żurawia, gdy jedna z jednostek gotowała się do zaokrętowania.

– Kompania A, 17 Piechoty z Kelden! *Alo sinstra, waymanos!* Lewa, naprzód! – Żołnierze maszerowali lekko pochyleni pod ciężarem plecaków i karabinów, toczyli się niczym długa stonoga odzianych na bordowo nóg i ciał w niebieskich kurtkach. Posępne twarze połyskiwały pod hełmami w kształcie misy, gdy wojacy podążali za zwiniętym sztandarem batalionu. Ćwieki dźwięczały na granitowym chodniku, a mężczyźni zaczęli śpiewać chrapliwie:

*Marsz! Błoto mocno oblepia gacie,*

*Na wprost! Patrz, jak flaga się rozwija,*

*Na wprost! Twarze kobiet w oknach to nie to, co macie*

*Zabrać na pokład, gdy statek odbija.*

Niech Duch Gwiazd będzie z nimi wszystkimi, pomyślał Raj. Nowo mianowany brygadier-generał stał obok okrętu wojennego. Okręty odbijają ostatnie, jako że wszystkie były napędzane parą. Czarny dym bił z wysokich, bliźniaczych kominów na każdym z nich. Były one nisko zanurzonymi, węzowatymi jednostkami z wielkimi, przypominającymi pudła pokrywami na koła łopatkowe po obu stronach pokładówek śródokręcia. Ich okute żelazem tarany na dziobach i sześć lekkich dział odtylcowych po obu burtach były niemalże zakryte przez tony stłoczonych od przednich do tylnych masztów wiklinowych koszy z węglem.

– Coś nie w porządku z węglem? – spytał Raj mężczyzny obok.

–

Messer Whitehall, z tym węglem niewiele jest w *porządku* – rzekł Muzzaf Kerpatik. Mężczyzna uśmiechnął się szyderczo. Błysnęły białe zęby na tle ciemnej jak drzewo tekowe skóry, spiczastej brody i wąsów. – Połowa z tego to łupek. A reszta jest miękka, to nie twardy antracyt. Połowa ceny dobrego węgla do parowców. Mniej niż połowa mocy potrzebnej do grzania.

–

Tzetas – powiedział Raj z pełną znużenia rezygnacją, wyprostowując się. Duży żuraw ponad nimi sapnął, gdy uchwyt poruszył napędzany parą kołowrót i przerzucił ciężką sieć opału na pokład okrętu wojennego.

Muzzaf był Komarianinem, z jednego z południowych miast przygranicznych leżących wzdłuż granicy z Kolonią. Człowiekiem z dziwnej, nowej klasy ryzykujących pieniędzmi ludzi, którzy inwestowali spore sumy w produkcję albo handel, a mimo to nie byli tak naprawdę kupcami ani lichwiarzami, ani rzemieślnikami. To wciąż wydawało się Rajowi nieco nienaturalne, zdobywanie bogactwa bez dziedziczenia albo zdobywania go.

–

W Komarze uważałem się za nikczemnika, bo spiskowałem z ludźmi kanclerza, by wykręcić się od płacenia należnego żołnierzom żołdu – powiedział Muzzaf. Żaden z nich nie musiał dodawać, że to Raj Whitehall przyjął jego skruczę, gdy ten spisek pozostawił rodzinne miasto Muzzafa bezbronnym. I to Raj od tamtego czasu chronił go przed kanclerzem. – Tzetas... od czasu przybycia do stolicy widziałem jak macza we wszystkim palce – potwierdził Komarianin. – Ma interesy w kopalniach w Łańcuchu Wybrzeża. – Wyprostował się, strzepując czarny pył ze swej brązowej, bawełnianej kurtki i płaszczu przerzuconego przez ramię. Normalnie wyglądał nieco jak paw, ale dzisiaj ograniczył się do kilku sztuk srebrnej biżuterii i wachlarza z kolorowych piór sauroida przyczepionego do runda spiczastej z przodu i z tyłu czapki. – Messer, jestem zaskoczony, że ktokolwiek czerpie zyski z *czegokolwiek* w tym mieście. Oczywiście oprócz kanclerza i jego kumpli.

Raj skinął głową. – Doceniam twoją pracę, Muzzaf. Jesteś nieoceniony. Postaraj się zbadać resztę sytuacji zaopatrzeniowej, dobrze?

–

Jak sobie życzysz, messer – odparł Muzzaf, po czym skłonił się i dotknął czoła i ust, choć już był myślami gdzie indziej. Za nimi cichł dźwięk żołnierskiego śpiewu, gdy wchodzili na pokład statku.

*Wiwat! Nigdy nie będziemy zwycięscy,*

*Wiwat! Nigdy nie dożyjem, gdy ryknie armata!*

*Wielcy skrzydlaci padlinożercy*

*Poniosą nas hen*

*I nie ujrzysz już swego kamrata!*

Generał podciągnął pas z szablą po raz ostatni i udał się na spotkanie z dowódcami. Ci stali w anonimowych grupkach, z ciężkimi wojskowymi płaszczami na ramionach. Wydawało mu się, że oczy wyszlifowano mu piaskiem i wszystko widoczne było z nieco gorączkową wyrazistością. Owładnęło nim całkowite wyczerpanie, czego można było się spodziewać po zebraniu tego wszystkiego do kupy w tak krótkim czasie.

Barton Foley stał, drapiąc się *ostrożnie* czubkiem haka znajdującego się tam, gdzie przedtem była lewa dłoń. Prawą dłonią ścisnął rękę Gerrina Staenbridge'a. Jorg Menyez rozmawiał z Mekkle'em Thiddo, który wciąż miał skłonność popatrywania od czasu do czasu z podziwem na swoje gwiazdki dowódcy batalionu. Do czasu kampanii Komar był on szeregowym oficerem i porucznikiem. Kaltin Gruder żegnał się z ogromną zbieraniną dam, a większość z nich płakała zbyt mocno, aby kłócić się między sobą, gdy stanowczo je odpędzał. M'lewis znajdował się nieco z boku, naradzając się z kilkoma swoimi zwiadowcami. Paru z nich udał się drobny cud wyglądanego bardziej podejrzanie niż ich dowódca.

... Znajdowali się tam również obcy. Jednym z nich był Ewardo Poplanich, kuzyn Thoma. Nieco starszy, ale z taką samą szczupłą twarzą intelektualisty, nieco niepewny w tym towarzystwie. Kolejny to Anhelino Dalhouse i Mihwel Berg, szycha służb administracyjnych, jak zwykle nadąsany. Miał on ustanowić administrację cywilną w Południowych Terytoriach, gdy już je odzyskają. Rozmowa z Suzette zdawała się go nieco ożywiać. Barholm powiedział, że jest z niego człowiek pierwsza klasa i będzie stanowił ogromną pomoc. Jak dotąd, kurwa, nie było tego widać, co było dziwne, bo gubernator na swój sposób dobrze oceniał ludzi.

*Nie dość, że wtrynił mi Dalhouse'a*, pomyślał kwaśno Raj. To przemawiało zmęczenie. Od ponad tygodnia nie zaznał przyzwoitego snu... co było normalne w trakcie kampanii. Dalhouse prawdopodobnie miał zbyt wiele koneksji, aby Barholm mógł to ignorować. Poza tym Raj poprosił o wszystkie jednostki, które brały udział wraz z nim w kampanii na wschodzie – co było nieco podejrzane z punktu widzenia gubernatora.

– Dzień dobry, messerowie – powiedział.

Jeden ze służących wręczył mu jego hełm, zwykłą misę z czarnego żelaza z nitowaną kolczą osłoną podszytą z tyłu skórą. Oznaka rangi na czole była nowa – osiemnastoramienna, złoto–srebrna gwiazda na niebieskim tle, otoczona przez kolejnych siedem. Zapiął hełm, a jego swojski ciężar sprawił, że wojna wydała się rzeczywista po papierkowej robocie ostatniego miesiąca i koszmarze pełnienia roli kwatermistrza. Dalhouse uśmiechnął się z lekkim szyderstwem. *Jego* hełm był z wypolerowanego brązu, wykładany *niello* i srebrem, a kolczą osłonę miał z doprowadzonej do wysokiego połysku skóry torosauroidea przywiezionej z północnych stepów, z tego rodzaju, na którym wyrastały naturalne kryształy metalu.

– A teraz zamierzam wydać parę poleceń – ciągnął Raj, specjalnie zniżając nieco głos.

Mężczyźni pochylili się do przodu, wyęzając słuch. – Flota została podzielona na dziesięć części, plus eskorta marynarki. Kiedy znajdziemy się na morzu, polecenia od *każdego* oficera marynarki dowodzącego eskortą mają być przyjmowane tak, jakby były moje. Zrozumiano?

Czekał, aż wszystkich dziesięciu oficerów skinęło głowami. – Admirale Gharderini, twoim priorytetem będzie utrzymanie floty razem. Jeśli jakikolwiek statek oddzieli się z jakiegokolwiek powodu, flota się zatrzyma, aż eskorta sprowadzi z powrotem zbłąkanego. Jeśli zostaniemy rozproszeni przez pogodę, każdy będzie zmierzać do wyznaczonego punktu zbiórki dla tego odcinka podróży – sprawdźcie swoje mapy, messerowie. Ktokolwiek, kto wysforuje się przed flotę, niech się modli do Ducha Człowieka Gwiazd o pomoc, nie otrzyma bowiem żadnej ode mnie. I ktokolwiek – przerwał – ktokolwiek, kto zawróci bez pozwolenia, zostanie zastrzelony, a także każdy oficer na jego statku i co dziesiąty przypadkowy żołnierz. Mistrzu sierżancie da Cruz, możecie poinformować o tym ludzi.

Mała szansa, że po tym ktoś posłuży się odrobiną złej pogody jako wymówką. Nawet jeśli ta groźba nie była całkowicie wiarygodna – wielu oficerów miało rodzinne koneksje na tyle potężne, że mogły ich wyratować ze wszystkiego oprócz herezji – ale ludzie w to uwierzą i najpewniej zastrzelą każdego, kto zaryzykuje ich zdziśiatkowanie. Wśród oficerów nastąpiło lekkie poruszenie, a paru Towarzyszy się uśmiechnęło. Kilku nietowarzyszy spojrzało znowu na mężczyzn, którzy brali udział w kampanii z Rajem Whitehallem, zauważając blizny i brakujące kończyny. Wielu z nich wyglądało trochę na żółtodziobów. Nie było wielkiego pędu wśród dowódców do zgłaszania swoich jednostek na ochotnika do tej ekspedycji. Dalhouse czekał z wystudowaną cierpliwością, z palcami stukającymi o błyszczącą skórę swego pasa od Sama Browne’a.

– Ostatnie dyspozycje zostaną wydane przy Wyspie Sadlera, zgodnie z informacjami wywiadu, jakie tam zbierzemy – bo Ministerstwo ds. Barbarzyńców spieprzyło wszystko – i *pod żadnym pozorem* nie wolno nikomu próbować wejść do Port Murchison bez rozkazów. Prawdopodobnie wylądujemy spory kawałek na południe od miasta i ruszymy na północ lądem.

Dalhouse prychnął. Raj spojrzał na niego łagodnie, unosząc brwi. – Tak, messer? – powiedział.

–

Strata czasu, *ferramente*, płynięcie cały ten kawał za Port Murchison, a potem wracanie piechotą – powiedział, gładząc palcem czarny, nawoskowany wąs. – Powinniśmy popłynąć prosto do Port Murchison i *zabić* tych synów dziwek, a nie miotać się na cholernym wybrzeżu. Przewyższają nas liczebnie, więc powinniśmy wziąć ich z zaskoczenia. Panie.

Gerrin Staenbridge się roześmiał. – Rada z głębi licznych lat doświadczenia w walce? – powiedział. Dalhouse pozwolił swojej prawej dłoni opaść na rękojeść szabli i cofnął się o pół kroku.

–

Messerowie – rzekł cierpliwie Raj. *Nie prowokuj go, Gerrin, pomyślał. Wiem, że jest głupcem i fircykiem, ale pałac go tu chce.* – Messer majorze Dalhouse – ciągnął – w zeszłym roku walczyliśmy z brudasami na wschodzie. Mieli wojsko równie dobre jak nasze, o wiele większe, pod dowództwem księcia Tewika. Toteż wykorzystałem jedyną przewagę, jaką miałem

–

pozycję, i okopałem się tam, gdzie musieli do nas przyjść.

–



A teraz – rzekł wesoło – walczymy z Eskadrą, dla której wymyślono określenie „tępi barbarzyńcy”. W walce z nimi *naszą* przewagę stanowi nasza broń, nasza organizacja, nasza dyscyplina. Wiemy, co robią. Rzucą się jak stado sierpostopów na krowę. *Ich* przewagą jest liczebność i zaciekłość. – Nagle pochylił się do przodu, zbliżając twarz do twarzy młodszego oficera.

Jego głos stał się stanowczy. – Dlatego też nie jestem zbyt zachwycony pomysłem pakowania się w uliczną walkę wręcz na ślepo, messerze majorze Dalhouse. Nie zamierzam naśladować motłochu entuzjastów bójk po meczu. Wolę zaczynać od walki na otwartym polu, naprawdę wolę.

Dalhouse się rozejrzył. Większość pozostałych oficerów wpatrywała się w niego zaszokowana i niemal z troską, jaką obdarziliby człowieka, który został właśnie przejechany przez dwukółkę. Młody Barton Foley ściągnął skórzaną pochwę ze swojego haka i ostrzył wewnętrzną krawędź, przypominającą brzytwę, o ceramiczną ostrzałkę. Dalhouse zaczął się szyderczo uśmiechać. Przestał, gdy spotkał wzrok młodego Towarzysza, oblał się głęboką czerwienią pod naturalną oliwkową skórą i zamilkł.

– A teraz – ciągnął Raj, łagodnym i ponownie nieco niższym głosem. – Dinnalsyn?

Major Dinnalsyn skinął głową. – *Peenie* – powiedział z płaskim akcentem człowieka z miasta Wschodniej Rezydencji. Artyleria rekrutowała wielu takich, tak samo jak inżynierowie i marynarka. – Trzydzieści gotowych, standardowych dział polowych. – Siedemdziesięciopięciomilimetrowa, gwintowana broń odtylcowa. Eskadra wcale nie posługiwała się działami polowymi, tylko działami fortecznymi, a na okrętach wojennych działami ładowanymi przez lufę. Mianowanie dowódcy całej artylerii było pewną innowacją, ale Grammeck Dinnalsyn był człowiekiem, któremu można było ufać. – Ogołociliśmy inne jednostki z dział pierwszej klasy i pozostawiliśmy na lądzie wszystko, co wyglądało na ryzykowne.

– Menyez?

Długa, melancholijna twarz Jorga sposepniała bardziej, gdy mężczyzna przesunął dłoń po swoich przerzedzających się, rudawych włosach wilgotnych od mżącego deszczu. Menyez pochodził z północno-wschodnich prowincji, z hrabstwa Kelden, i z wyboru został specjalistą piechoty. Rzadkość – to kawaleria była prestiżowa, a Menyezowie byli bardzo bogaci – ale on był uczulony na psy.

– Regimenty piechoty są w pełnym składzie. Niewielu z nich to świeże mięso i są w pełni wyposażeni – powiedział. To było coś. Z dala od niebezpiecznych stanowisk przygranicznych niektórzy dowódcy piechoty wyposażali swoje bataliony w karabiny skałkowe pierwotnie przeznaczone do przygranicznego handlu z *barbaricum*. Jego żołnierze będą wszyscy wyposażeni w standardową broń odtylcową ze zbrojowni. – Poza tym są całkiem zwykli, oprócz mojej Siedemnastki i Dwudziestki Czwórki z Valentii.

Tzetas *bardzo* niechętnie pozwolił mu zabrać nawet te dwa bataliony piechoty z sił, jakie miał w armii Górnego Drangosh na wschodzie. Kwestia wydatków, jako że jednostki piechoty Rządu Cywilnego miały żyć z farm w sąsiedztwie garnizonów przyznanych przez skarb. Żołnierzom płacono tylko wówczas, gdy się przemieszczali albo znajdowali w polu, pomiędzy stałymi pozycjami. Kawaleria i najemnicy otrzymywali regularną zapłatę w twardej gotówce, ale były to elitarne oddziały. Piechotę stanowili wcieleni siłą wieśniacy ze środkowych prowincji, a ci zwykle nadawali

się tylko do obowiązków w drugim szeregu. Barholm nie widział zbyt dużej różnicy pomiędzy jedną jednostką piechoty a drugą. Tak samo było z Rajem, zanim zobaczył, co Menyez potrafił z nimi zrobić.

– Armia to jak wyrabianie cegieł bez słomy – rzekł z rezygnacją Raj. – Zadamawiasz się u Rzeźników, Mekkle?

Młodzieniec uśmiechnął się nieśmiało. Jego rodzina należała do tych, które Descotczycy nazywali drobnymi ziemianami: posiadaczami starożytnego nazwiska i pół tuzina małych farm wraz z kilkuset hektarami trzeciorzędnych pastwisk. Byli wolnymi właścicielami, ale byli dzierżawcy, którzy mieli więcej bydła i gotówki. Niewielkie perspektywy, życie z apanaży porucznika, choć miał niezłe wykształcenie.

*Raja nie obchodzi twoje pochodzenie, ale to, co potrafisz robić*, pomyślał. Pracuje się pod jego komendą ciężiej niż niewolnicy w kopalniach, ale odkupił ziemię, którą utracił jego dziad i poślubił Marię...

–

1 Rzeźników z Rogor jest gotowy do działania, panie – powiedział. – Trzeba się było trochę przyzwyczaić. Oni nie są tak, hmm, niewzruszeni jak Descotczycy – Rzeźnicy rekrutowali się z południowego pogranicza – i nie lubią za bardzo się pocić poza polem bitwy, ale Duch wie, że będą walczyć.

–

Dobrze, przyciskaj ich. Południowcy zwykle mają więcej zapędu niż rozsądku. Dobrze, messerowie. Rozejść się.

Zasalutował. Towarzysze odchodzący do swoich własnych jednostek pozostali chwilę dłużej i wszyscy stuknęli się pięściami, tworząc piramidę ramion.

–

Piekło albo łup, psi bracia – powiedział da Cruz, stary okrzyk wojenny hrabstwa Descott, i oficerowie rozeszli się do swoich jednostek.

Ehwardo Poplanich ociągał się przez chwilę. – Ahhh – powiedział, odchrząkując. – Panie?

– Tak, majorze? – spytał Raj.

–

Chciałbym... podziękować w imieniu ludzi – rzekł szybko. A wobec uniesionych brwi Raja dodał – Słyszałem pogłoski, przekonujące pogłoski, że Jednostka Własna Poplanich miała zostać rozwiązana po... problemie w zeszłym roku. Cieszę się z powodu ludzi, są przyzwyczajeni do służenia razem.

Raj skinął głową. Specjalny mundur, ciemno-zielony ze złotymi lampasami opowiadał tę historię. Jednostka Własna Poplanich rekrutowała się z posiadłości rodowych, spośród lepiej prosperujących dzierżawców i zarządców majątków i tym podobnych, a za ich wstępne wyposażenie płacono z rodowych szkatuł, odciągając z podatku ziemskiego. Nie było to rzadko spotykane rozwiązanie, zwłaszcza kilka pokoleń temu wstecz, i miało tę przewagę, iż pomagało budować ducha jednostki. Oczywiście wiązało się z nim również ryzyko natury politycznej w przypadku rodziny, która utraciła władzę i łaskę, ale nie polityczną popularność pośród starszej szlachty. *Zwłaszcza po tym, jak Des Poplanich był na tyle głupi, aby dać się wystawić jako malowany przywódca w próbie przewrotu,*

pomyślał brutalnie Raj. Było zdumiewające, że mężczyzna tak sprytny jak Thom miał brata tak politycznie naiwnego. Pamiętał wrzaski, gdy zaimprovizowany przez niego płomień z fugasa wybuchł w piwnicach wieży. Wrzaski, a potem zapach. – Powiedziałem już, że szkoda by było zmarnować lojalną jednostkę – rzekł łagodnie. Los samego Ehwardo także leżał na szali, ale Rajowi podobało się to, że ten najpierw myślał o swoich podwładnych.

–

Tak. I – pospiesznie – nigdy nie wierzyłem w te plotki, że miałeś coś wspólnego ze zniknięciem Thoma. Był twoim przyjacielem.

Raj skinął głową z nieodgadnioną twarzą. – Był. Ale Des nie. A jego *zabiłem*. Z żalem, ale to zrobiłem.

Mężczyzna, który uważał się za ostatniego żyjącego Poplanicha, spojrział mu w oczy. – Wiem. Messer Whitehall – przerwał i rozejrzał się po bokach, zanim zniżył głos. – Będę z tobą szczery. Nie aprobuję wielu rzeczy w polityce gubernatora i jeszcze mniej niektórych jego ministrów. Geny Poplanich mają także większe prawo do Krzesła, choć nie przyjąłbym tego stanowiska nawet, gdyby Duch Człowieka zszedł z Gwiazd i wręczył mi je. Ale Barholm nie jest tego rodzaju nieszczęściem, które musi być wysadzone z Krzesła za wszelką cenę; a Rząd Cywilny nie może sobie pozwolić na wewnętrzną wojnę. To ponad wszystko.

Wyciągnął rękę i Raj pochwycił ją na chwilę. *Będzie to wyglądało źle, jeśli ktoś się przygląda*, pomyślał. *A niech to pochłoną bezgwiezdne ciemności*.

– Ci podoficerowie, których mi użyczyłeś, wielce mi się przysłużyli – dodał Poplanich.

Raj uśmiechnął się posępnie. – Nie udajemy się na przygraniczną utarczkę – powiedział. Jednostka Własna Poplanich była jednostką garnizonową ze środkowych prowincji aż do zmiany dynastycznej, od tego czasu zajmowała się rutynowymi patrolami na północy. Ehwardo sumiennie podchodził do swojej profesji – co nie było cechą charakterystyczną ani powszechną wśród dobrze urodzonych oficerów z dziedziczną jednostką – ale był niedoświadczony, mimo iż starszy o kilka lat od Raja.

– To ożywiło ludzi na parę sposobów – powiedział Poplanich. – Trochę regionalnej rywalizacji. Twoi weterani uważali moich ludzi za żółtodziobów i nie ukrywali tego. Żołnierze są chętni do pokazywania, że można być wojownikiem nie urodziwszy się Descotczykiem w burzy, półdobermanem i półsauroidem...

Raj przyłączył się do śmiechu, aż nieskończenie zimny głos przemówił mu w myślach.

>>Obserwuj.<< powiedziało Centrum.

\* \* \*

... potężna ściana ryku uniosła się znad zatłoczonych doków Wschodniej Rezydencji, a rakiety sygnałowe wzniosły się znad lśniącej bryły pałacu, gdy statki z pokładami udekorowanymi flagami zmierzały ku dokom. Żeglarze i żołnierze tłoczyli się przy barierkach, wymachując łupami...

... pojedynczy okręt wojenny wpływał powoli do przystani, z masztami ściętymi równo z pokładem na dodatkowy opał. Ogromne żałobne wycie podniosło się nad miastem, gdy ukazała się czarna flaga na szczycie masztu...

## Rozdział czwarty

—  
Ponie.

Raj otworzył oczy, których powieki były sklezione jak lepem na ptaki.

—  
Ponie. – To był da Cruz, wyglądający na zmartwionego. – Kłopoty, ponie.

Generał usiadł na swojej pryczy i postawił stopy na ziemi. Poszedł spać w ubraniu. Zbyt wiele roboty, trzy dni po opuszczeniu Wschodniej Rezydencji. Płynęli na południe wzdłuż Łańcucha Wybrzeża i zatrzymywali się każdej nocy, aby pozwolić żołnierzom spać pod namiotami. Lepiej dla żołnierzy – masowa choroba morska na okręcie wojennym to nie żarty, nie wspominając o psach wariujących ze strachu – i lepiej dla zapasów. W ten sposób mogli kupować jedzenie od cywili bez sięgania do suszonego mięsa i sucharów, które będą im musiały starczyć na później. Za dużo papierkowej roboty, a nie było nikogo, kto tak naprawdę znał się na administracji. Sandorał w zeszłym roku był łatwy w porównaniu z tym. Wojsko po prostu zaopatrywało się w mieście i okolicy i siedziało tam przez całe miesiące, zanim Koloniści ruszyli na północ.

*Niech Duch ich zepchnie w ciemności, powinniśmy mieć stałe dowództwo i personel do tego rodzaju spraw, pomyślał nie po raz pierwszy. Za bardzo troszczymy się o obronę.*

Mistrz żołnierzy, Wschodnia Rezydencja, kontrola wypłat i całościowa logistyka – stanowiło to jednak rutynowe operacje garnizonu. Wojskową administrację połową trzeba było improwizować dla danej kampanii w oparciu o podręczniki... a on nie wiedział, jak radzili sobie ci przed nim, bez Centrum podpowiadającego i przypominającego.

*... a z drugiej strony, widzisz dlaczego gubernator niepokoi się stałymi, mobilnymi siłami.* Niejeden gubernator został obalony przez zwycięskiego generała, a kilku zostało nawet zestrzelonych z Krzesła przez pokonanych generałów.

Raj wsadził nogi w buty. Wszedł służący z gorącymi ręcznikami, wodą i mydłem i zaczął go golić. *Przynajmniej jakaś pociecha z generalskiej rangi*, pomyślał z ironią. Inny służący wyłożył jego kurtkę i czystą koszulę i przynosił kawe.

*Niech diabli porwą Berga za trzymanie go tak długo na nogach. W żaden sposób nie mógł znieważać mężczyzny, odmawiając zjedzenia z nim kolacji*, a każda z nich zmieniała się w cholerny bankiet z przechowywanymi w garnkach smakołykami ze Wschodniej Rezydencji. Czy on myślał, że to jakiś *cholerny piknik*? A człowiek mający przed sobą cały dzień pracy po prostu nie mógł siedzieć i pić po nocach.

Pożegnał go żart Suzette o pszczołach robotnicach i ironiczny toast Berga i jego druhów oraz paru młodych, pełnych werwy hulaków jak Dalhouse... Jej prycza była schludnie zasłana. Światło lamp czyniło z dużego namiotu oazę światła w ciemności poprzedzającej świt. W górze znajdował się tylko skrawek Miniluny i mroźny baldachim gwiazd. Nie było cicho, nie, kiedy wokół znajdowało się dwadzieścia tysięcy ludzkich istot, a na dźwięk składał się pomruk głosów i głębokie, urażone *lafy* kawaleryjskich psów, wyczuwających, że zostaną zaprowadzone z powrotem na pokład znieawidzonych statków.

–  
Melduj – warknął Raj przez mydliny. Golibroda był artystą i ostrze z łatwością ślizgało się po grubym, sinawym zaroście. Raj wolałby żołnierza–ordynansa, ale generał musiał utrzymywać pewne minimum służby, aby zachować szacunek. Jeszcze jedna robota Suzette. – Co się dzieje, na bezgwiazdne królestwo?

–  
Robota diabła, ani chybi – rzekł da Cruz i pociągnął za pomarańczowo–czarno–czerwoną chustkę pod szyją noszoną przez cały 5 z Descott. Światło lampy tańczyło po ciężkich, keloidowych bliznach na jednym z jego policzków, podciągających kącik ust w parodii uśmiechu. – Zabójstwo przy grze w kości.

Raj zaklął. To *nie* była jego sprawa i Top powinien był to wiedzieć. – To sprawa dla ich cholernego dowódcy batalionu...

–  
To Skinnerzy, ponie. Skinnerzy to zrobili. Cywil. Pewnie używał oszukańczych kości, ale go zarznęli bez ostrzeżenia. Tutejszy człowiek, a potem połamali kości, kiedy przyszła po nich *guardia*. Wygląda, że jeden chłopak zemrze.

– *Scramento*, pomyślał Raj. O kurwa.

Skinnerzy. Najemnicy i to barbarzyńscy nawet w porównaniu z Brygadą, a nawet z *Eskadrowcami*, z którymi płynął walczyć. Żyli na grzbietach psów, na północnych stepach, polując swoimi ogromnymi, piętnastomilimetroowymi karabinami o długości dwóch metrów na wielkie, pasące się sauroidy i cokolwiek innego, co się ruszało. Nie kończące się kłopoty w obozie: nie tyle z powodu ich zaciekłości – choć Duch Gwiazd wiedział, że samo to było wystarczająco złe – ale zwyczaju postępowania jak chcieli, kiedy tylko chcieli. Czasami zastanawiał się, czy psy z opadającymi uszami, na których jeździli, wyszkoliły do tego swoich panów, czy działało to w drugą stronę.

I nie bali się niczego, zupełnie niczego.

Ale paskudny temperament opadał z nich jak płaszcz, kiedy była robota do wykonania. Wziął ręcznik od służącego i wytarł twarz, przejechał palcami po kręconej masie czarnych włosów i zapiął hełm. Wsuniecie kurtki od munduru i zapinanie pasa z szablą sprawiło, że poczuł się w połowie normalnie, pomimo trzech godzin snu. Jego dłonie dobyły rewolweru i otworzyły go, kręcąc cylindrem i zatraskując go z powrotem. Napakowana cukrem parząca kawe i kukurydziany podpłomyk przełknięte, podczas gdy myślał, pomogły jeszcze bardziej.

Pochylił się, wychodząc przez klapę namiotu. Minał wartowników, którzy stanęli na baczność, prezentując broń. Słońce wschodziło z tyłu za nim, ponad akrami namiotów, szeregami psów i ogniskami do gotowania, rozniecanymi do przygotowania porannego posiłku i psiego żarcia. Większość z mniejszych transportowców została wyciągnięta na plażę. Osiadły one z przechylnymi masztami, tam, gdzie zostawił je przyływ. Większe statki kupieckie i okręty wojenne leżały na kotwicy dalej, a ich światła stanowiły żółto–niebieskie gwiazdy na fioletowo– czarnej wodzie. A ta była bardzo spokojna – admirał Gharderini dostawał szału za każdym razem, gdy myślał o tym, co sztorm mógłby wyrządzić statkom w takiej chwili – a powierzchnia wody była jak lustro z dołeczkami, odbijające gasnące gwiazdy. Było na tyle chłodno, że Raj cieszył się z kurtki, a rzadka, rudawa trawa na piaszczystej glebie była wilgotna od porannej rosy.

Raj przytaknął sobie samemu, gdy jego umysł sporządzał listy. – Oficer dyżurny – powiedział.

– Ponie! – Antin M'lewis wystąpił do przodu i zasalutował. Od czasu swego awansu zaczął podchodzić do tego bardziej entuzjastycznie.

– M'lewis, zwołaj wartę pod broń.

Kompania A z 5 z Descott odpowiedziała na jego rozkazy, przybiegając truchtem i prowadząc psy na wodzy. Potężny prostokąt ich formacji wypełniał sporo przestrzeni przed namiotem dowódcy, ponad setka mężczyzn i psów. Dowodził nimi Barton Foley, który zasalutował lekko i czekał obok sztandaru Kompanii A – jedwabnego węża pokrytego emaliowanymi czerwienią mosiężnymi łuskami. Sztandar wił się wokół drzewca, zwiotczały w nieruchomym powietrzu, szeleszcząc metalicznie.

–  
Sprowadź mi Dinnalsyna. – Posłaniec wbił pięty w swego psa i oddalił się, obsypując ich piaskiem.

–  
Pisane rozkazy do następujących dowódców batalionów: Staenbridge'a, 5 z Descott; Grudera, 7 Zwiadowczy z Descott; Menyeza, 17 Piechoty z Kelden; Thiddo, 1 Rzeźników z Rogor; Poplanicha, Jednostka Własna Poplanich – ciągnął dalej listę. Pięć powinno wystarczyć, nawet ze Skinnerami. – Stawić się w rynsztunku bojowym i czekać w gotowości. Przygotować się do okrążenia obozu Skinnerów. Kiedy bęben zagra *do broni* – normalnie był to rozkaz do stawienia się w gotowości – bądźcie gotowi do szybkiego ruszenia. Staenbridge przejmie kontrolę taktyczną. – Przyszedł dowódca artylerii, zapinając kurtkę. – Ach, Grammeck.

–  
Panie? – powiedział ten, salutując niedbale. W drugiej dłoni miał filiżankę z kawe.

–  
Jakie działa masz na brzegu albo dostępne w przeciągu następnych trzydziestu minut?

Artylerzysta wyprostował się, a jego jasnoorzechowe oczy zwęziły się, zauważywszy czekających żołnierzy. – Trzy – powiedział. – Nie, dwa – jedno ma podejrzenie wyglądający czop.

–  
Dwa będą musiały wystarczyć. Zwołaj je, sprowadź tutaj i czekaj w gotowości. Kesony załadować do pełna, kartaczami. Spodziewam się pewnych kłopotów ze Skinnerami. Mam nadzieję, że obejdzie się bez walki, ale dobrą wolą i artylerią zyskamy więcej niż samą dobrą wolą.

–  
Tak, *panie* – powiedział Dinnalsyn, okręcając się na pięcie. Odchodząc, cisnął filiżankę na bok. – Kapitanie Harritch! – krzyknął. – *Hadelande!* Ruszać...

Raj skinął głową z roztargnieniem, składając dłonie, żeby nasadzić rękawice. Chłopak stajenny sprowadził już jego psa, Horace'a, i nasuwał mu uzdę, skomplikowaną skórzano– żelazną rzecz, która przyciskała dźwignie do kości policzkowych, żeby obracać kaganiec zwierzęcia. Horace usiadł i położył swój łeb rozmiarów beczki na ramieniu Raja, przewracając ogromnymi, brązowymi oczami tak, że spoglądały na pana.

–  
Dobrze, teraz wszystko zależy od nas, staruszku – wymruczał człowiek, drapiąc psa po gardle i odpychając go, gdy liznął go jezor wielkości ścierki. Raj wsiadł na siodło, a Horace się podniósł.

–  
M'lewis – powiedział generał. Mały, żyłasty mężczyzna uniósł wzrok znad papierów leżących na biurku – kuchennym stole – znajdującym się przed namiotem dowódcy. – Dokładnie za pół godziny – oficerowie synchronizowali swoje zegarki codziennie na mszy o zachodzie słońca – niech dobosze zagrają *do broni*. – To przynajmniej sprawi, że wszyscy znajdą się na miejscu. Skinnerzy zignorują to, tak jak robili to z większością rytuałów armii. – Kapitan Foley, do mnie. Da Cruz, prowadź.

\* \* \*

Nocna warta rozłożyła klatkę dla więźniów koło małej rybackiej wioski El Sur, której obfite źródła stanowiły główną przyczynę zatrzymania się floty w tym właśnie miejscu. Okolica ta znajdowała się na południe od punktu, gdzie Łańcuch Wybrzeża skręcał na wschód i stawał się Oxheadami. Krajobraz bogaty był w falujące, bure wzgórza rzadkiej trawy i pastwiska dla owiec, pomiędzy którymi od czasu do czasu przebłyskiwały spłachetka hodowanego na sprzedaż jęczmienia. Dalej w głębi lądu, gdzie kilka rzek spływało z północy, leżały zirygowane ziemie i miasta; a tam gdzie były miasta, były markietanki, dziwki i hazardziści i wyglądało na to, że całkiem sporo z nich trafnie się domyśliło miejsca postoju Korpusu Ekspedycyjnego. Ich porozrzucane miasteczko szalasów z palmowych liści otaczało daktyłowe palmy El Sur i rozciągało się na rzyska. Wieśniacy kulili się za swoimi ceglanyymi murkami z błota i zamkniętymi bramami.

– Panie! – rzekł oficer straży, powstając i salutując, gdy podjechał Raj. – Porucznik Orfirio Dyaz, 23 Piechoty z doliny Hemmar.

Porucznik był czterdziestoparoletnim, siwiejącym mężczyzną o twarzy zmęczonego basseta. Jednostki piechoty stanowiły ślepy zaułek kariery, a warta była tym czymś, co w hierarchii dziobania przekazywano najbardziej bezbronnym. Przed oficerem znajdował się chwiejny, wiklinowy stolik z dzbankiem i jakąś papierkową robotą. Nad głową miał wysoki i strzelisty dąb, jedyny widoczny o porządnym rozmiarach.

– Melduj – powiedział Raj.

Pewne sprawy były oczywiste na pierwszy rzut oka. Dwaj Skinnerzy siedzieli w przenośnej, żelaznej klatce, obydwaj krwawili z paru cięć a na ich twarzach widać było świeże siniaki. Żołnierze zostali owinięci sznurem od szyi po kolana jak mumie. Jeden był półprzytomny, drugi czał się w kącie jak carnosauroid, patrząc gniewnie na wszystkich wokół. Byli ogoleni na łyso oprócz pojedynczego kosmyka skalpowego, straszliwie pokryci szramami, mieli brązową skórę, małe, spłaszczone nosy i skośne oczy. Byli niedużymi mężczyznami, przysadzistymi i masywnymi, noszącymi ozdobione paciorkami legginsy z psiej skóry, miękkie buty, wyściełane, udekorowane opaski lędźwiowe i niewiele więcej. Obydwaj wyglądali na półnagich bez potwornych piętnastomilimetrowych karabinów, podpórek do strzelania, pasów z nabojami i paroma nożami, które leżały na stosie w pobliżu, na kocu pod siodło. Zapewne tak też się czuli.

Na ziemi znajdowały się dwa ciała, przykryte kocami. Koło jednego z nich kuciała kobieta. Pióra

w jej barwionych henną włosach i krzykliwie przezroczyta spódnica oraz bluzka obwieszcały jej profesję. Szlochała miarowo, łzy spływały po grubym makijażu i w ostrym świetle poranka zmieniały jej twarz w oblicze klauna. Z pół tuzina mężczyzn z 23 Piechoty opatrywało obrażenia, które wahały się od złamanych żeber do w połowie odgryzionego ucha. Dwa tuziny zdrowych i uzbrojonych, z wymierzonymi bagnetami, otaczało klatki. W pewnej odległości, pod strażą, stała gromadka cywili – jaskrawo odziane, zapuszczone kobiety i mężczyźni ze sporą ilością metalu pobłyskującego przy pasach, w uszach i na palcach.

–

Panie – rzekł Dyaz. – Przy grze w kości prowadzonej przez zmarłego – spojrział w dół na notatnik – niejakiego Halfasa Arreyo, wolnego człowieka z Cyudad Harenaz, zmarły został napadnięty i zabity przez oskarżonych, dwóch Skinnerów tam się znajdujących – odmawiają podania nazwisk, panie. Wielu świadków. Oskarżeni opierali się aresztowaniu, co zaowocowało wieloma obrażeniami i jedną ofiarą śmiertelną, sierżantem trzeciej klasy Floreyzem Magonem.

Raj skrzywił się w myślach. Martwy żołnierz, i to regularny. To stawiało sprawy w innym świetle, nawet jeśli był on tylko piechur.

–

Pokażcie mi ciała – powiedział. Żołnierz odsunął kocy. Martwy piechur wyglądał na około siedemnaście lat, jego głowa zwisała w sposób nie pozostawiający wątpliwości co do

przyczyny śmierci. Ścięty na jeża jak to rekrut, szczupła, brązowa twarz ze śladami po ospie jak milion innych, wciąż wychudzona z niedożywienia. Dopiero w wojsku prawdopodobnie pierwszy raz mógł się najeść do syta.

Druga postać była prawdopodobnie dobrze ubrana. Trudno było to stwierdzić, jak też cokolwiek innego. Jedno ramię było odcięte w łokciu i rzucone na wypływające wnętrzności widoczne przez rozdarcia w brzuchu. Połowa twarzy zmarłego leżała w postaci płata odsłaniającego czerwono-biały uśmiech, a jego jądra zostały odcięte i wsadzone w rozwarte usta. Oczy leżały rozsmarowaną galaretą na twarzy, a muchy tworzyły już czarny dywan od stóp aż po czoło. Ciężki smród krwi i gówna z lekką słodyczą rozkładu w tle. Raj usłyszał, jak z tyłu przeklina cicho żołnierz noszący sztandar Kompanii A i szybką ripostę Foleya – *Cisza w szeregu!*

–

To ten hazardzista – dodał pomocnie porucznik.

–

Tek!

Obydwaj mężczyźni rozejrzeli się wokoło. To ta prostytutka, stojąca teraz i zmuszająca się do patrzenia prosto na oficerów. Miała zaciśnięte po bokach pięści. Na pierwszy rzut oka wydawały się one pokryte brązowymi rękawiczkami. Potem można było zobaczyć, że to wyschnięta krew powlekająca jej ramiona aż do łokci tam, gdzie próbowała zatamować niemożliwe do zatamowania rany.

– Tek, messerowie, on był hazardzista – powiedziała kobieta, ciężkim, monotonnym dialektem z południa kraju, zaprawionym arabskimi zapożyczeniami. – On był też kłamca i złodziej, i alfons, tak jak ja być dziwka. Ale to nie powód, coby te wasze oswojone barbarzyńce go pocięły! On był gównno



jak ja, ale był m'ężczyzna. Co mamy ja i moi *beni*, moi dzieciśka teraz zrobić? Proszę o sprawiedliwość, m'penie. A może to nie ma sprawiedliwości dla takich jak my?

Raj uniósł brwi. Oficer piechoty otworzył swój notes.

– Dohloreyz cor Arreyo, wolna kobieta...

– Zmarłego, wiem – powiedział Raj. Przymknął oczy, ściskając grzbiet nosa pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym i...

>>Jeśli nie będziesz rządzić swoją armią<< powiedziało Centrum >>wówczas twoja armia będzie rządzić się sama. Obserwuj.<<

\* \* \*

– oficerowie i podoficerowie starali się odeprzeć tłum żołnierzy ze skraju plaży. Twarze męczyzn były wykrzywione wściekłością; znajdująca się w polu widzenia flotylla statków podniosła żagle, podwijając ogon i uciekając do domu, a mężczyźni wrzeszczeli *wracajcie, wracajcie...*

–  
żołnierze wpatrujący się w niego tępyimi oczami z wieśniaczym uporem, nie chcą się ruszyć, stojąc i przestępując z nogi na nogę w okopie, podczas gdy rozproszeni żołnierze Eskadry zbierali się i przygotowywali do powrotu przez ziemię usianą trupami...

–  
Raj stał na szczycie wzgórza, patrząc, jak cały batalion wyłamuje się z szeregu, nacierając chaotycznymi grupkami. Ponad ich głowami, ponad zaroślami po prawej widział słońce pobłyskujące na stali wojowników Eskadry, którzy zsiadli z wierzchowców. Dym prochowy wypełnił powietrze, rytmiczną, trzaskającą salwą ognia. Gorączkowe rozkazy wypłynęły z ust przyglądającego się Raja, a posłańcy pognali psy w dół wzgórza, ale było o wiele za późno. Strzelcy Eskadry przedarli się przez ścianę zarośli i podnieśli się, by wypalić ze swoich muszkietów o podwójnych lufach, załadowanych kulami i śrutem. Lufy karabinów skałkowych miały kształt dzwonów, co nie miało wielkiego wpływu na rozrzut stożkowatych pocisków, ale czyniło wystrzały głośnymi niczym grom. Tysiące ołowianych kul wydawało swój własny dźwięk jak brzęczące pszczoły. Wzgórze było zbyt daleko, aby usłyszeć większość wrzasków.

Kolejna fala płomieni i hałasu, i kolejna. Każdy z barbarzyńców niósł dwa albo i trzy muszkiety, ciskając je na bok, gdy wypaliły i wymierzając następny. A potem dobywali wielkich tnących kling przerzuconych przez plecy i szarżowali przed siebie.

Lornetka powędrowała w górę do oczu Raja. Wskoczyły mu przed oczy wytatuowane twarze z długimi, opadającymi wąsami. Wielu z nich miało pianę na ustach, gdy posuwali się do przodu. Niektórzy trzymali w ustach grube krawędzie długich mieczy...

– stał na stołku o trzech nogach pod długą belką, z szorstkim, sizalowym sznurem wokół szyi. Był on przywiązany do znajdującej się w górze belki tak ciasno, że musiał stać na palcach na chwiejnej powierzchni. Był w stanie to stwierdzić, pomimo iż w tej wizji ograniczony był do wzroku i słuchu. Gdy się poruszał, rozpaczliwie starał się zaczerpnąć oddech. Nie jest łatwo tak balansować z rękami związanymi ciasno z tyłu. Tłum cywili Eskadry poruszał się i wrzał gniewem za barierą wojowników stojących z czubkami mieczy wbitymi w ziemię. Ludzie wykrzykiwali przekleństwa w chrapliwym nameryjskim i ciskali kupkami krowiego gówna i pomidorami. Barbarzyński wielmoża szedł w

cieniu rzucając przez belkę, czarny na tle białego pyłu placu. Jego skórzany kapelusz z opadającym rondem był wytłoczony i wyłożony srebrem, a na rękojeści miecza znajdowały się klejnoty. Raj ze swego punktu widzenia patrzył, jak wielmoża zatrzymuje się przy każdym stołku, zaś każdy stołek podtrzymywał oficera Rządu Cywilnego.

Przy niektórych barbarzyńca wymierzał obutą stopą kopniaka w podparcie, przyglądając się przez chwilę, jak więzień wije się i kopie. Stając przed innymi, przykładając czubek miecza do ciała i popychał z rosnącą siłą, aż stopy ofiary się ześliznęły. Za każdym razem od przyglądających się dobiegały burzliwe okrzyki radości. Wielmoża uśmiechał się szeroko, gdy zatrzymał się przed Rajem i przytknął czubek klingi do jego genitaliów...

\* \* \*

Raj otworzył oczy i spojrzał w dół na kobietę.

—

Będiesz miała sprawiedliwość – powiedział, kładąc dłoń na szyi Horace’a. – Wojskową sprawiedliwość.

Która tak się miała do prawdziwej sprawiedliwości, jak wojskowa muzyka do muzyki, ale trzeba się było zadowolić tym, co było dostępne.

—

Kapitanie Foley – powiedział Raj, zsiadając i zarzucając wodze na kulę siodła. Horace przypadł z pełnym gracji *laf i* złożył pysk płasko na ziemi, przyglądając się i nadstawiając uszu. – Pomóż, jeśli łaska. Poruczniku Dyaz, ty również. Niech wasi ludzie przyniosą krzesła. Czy macie tutaj obserwatora? – Obserwatorzy otrzymywali dodatkową zapłatę i zmniejszony zakres obowiązków w zamian za umiejętność czytania i pisania.

– Tak, sierżanta Hiscobara.

– Niech się do nas przyłączy i zapisuje, jeśli łaska, poruczniku. Wykorzystamy ten stół. I – obejrzał się za siebie; tak, kapelan Piątego znajdował się z plutonem straży. – Podhierarcho Dohminko, proszę czynić honory.

Błysk zrozumienia pojawił się w przytępionych oczach Dyaza – trzech oficerów dowodzących stanowiło standard w sądzie wojskowym w sprawach zagrożonych karą śmierci – i porucznik zaczął wyrzucać rozkazy. Żołnierze z plutonu warty ustawili uprzątnięty stół przodem do klatek, z trzema krzesłami za nim.

—

Ty – ciągnął Raj – zaprowadź tych świadków tutaj. Ty i ty – zmienił zdanie i zwrócił się do Piątego. – Poruczniku Gonhalvez, oddział, aby przyprowadzić więźniów, proszę.

Ośmiu Descotczyków zsiadło z psów i ruszyło ku klatkom, owijając rzemienie swoich psich batów wokół dłoni, aby posłużyć się giętkimi trzonkami i okutymi żelazem rękojeściami jako pałkami. Piechota się odsunęła z wciąż wymierzonymi bagnietami karabinów. Descotczyk, oficer dowodzący oddziałem, zatrzymał się na chwilę i odwrócił, aby na nich spojrzeć.

—

Wy wiejskie gnojki, *podnieście* te dźgacze i weźta paluchy ze spustów – warknął. – Teraz, zrobić to *teraz*, bo je wam wsadzimy w dupy.

Piechurzy cofnęli się i stanęli w szeregu, nerwowo zabezpieczając i podnosząc broń.

– I dać no klucz. – Jeden z nich podał go ostrożnie.

– Dobra – powiedział, skupiając całą uwagę z powrotem na klatkach. – Wszyscy gotowi. – Kawalerzyści dobyli szabli zza sprzączek po lewej stronie pasów i ustawili je w trójnóg, składając razem wywinięte mosiężne rękojeści, a potem podwinęli rękawy mundurowych kurtek.

Cele były sześcianami zespawanych żelaznych krat, przymocowanych na krawędziach grubymi jak kciuk nakrętkami i gwintami, żeby szybko dały się rozkładać. Drzwi były zamknięte zwykłą żelazną kłódką. Gonhalvez obrócił klucz w zamku z kliknięciem i otworzył drzwi.

*Whump.* Wyglądający na oszołomionego Skinner poderwał się z podłogi jak mocno pobudzony uczestnik wyścigu w workach i skoczył w powietrze, kopiąc związanymi stopami. Jego ocena sytuacji była nieco nietrafna albo też potknął się na nierównej podłodze z żelaznych krat i sierżant już blokował kopniaka. Stopy nie złamały karku żołnierza, jak planował Skinner, tylko walnęły go w brzuch i odrzuciły do tyłu o kilkanaście kroków, pozbawiając tchu. Drugi Skinner podskoczył do przodu, warcząc.

Descotczycy wpakowali się do klatki, przeklinając i wymachując ciężkimi uchwytami psich batów. Sierżant podążył za nimi, utykając.

Kapelan stał przed oficerami, trzymając kieszonkową kopię *Księżeczki Kanonicznej*, stanowiącej część jego wyposażenia. Cała trójka wyciągnęła lewe dłonie, aby jej dotknąć, prawymi ściskając własne amulety.

*Święta Wu, pomóż mi teraz*, modlił się gorączkowo Raj. Amulet z płyty obwodowej, który nosił, został przez świętą pobłogosławiony ponad wiek temu. Stojący obok niego Foley oblizywał nerwowo usta. Czasami trudno było pamiętać, że temu chłopakowi – mężczyźnie – brakowało jeszcze roku do dwudziestki. Nigdy też nie siedział na sądzie wojskowym.

–

Zebraliśmy się tutaj, aby wydać decyzję w sprawie ludzkiego życia – rzekł kapelan. Mówił czystym sponglijskim, dialektem stolicy, co było nieco zdumiewające, bowiem jego rysy i stare cięcie od szabli na policzku sprawiały, iż wyglądał jak karykatura trzydziestolatka z zadupia hrabstwa. – Czy uznajecie to?

– Tak.

–

Duch Człowieka Gwiazd jest zawsze z nami. Jego sprawiedliwość jest doskonała, jako że wszystkie dane przechowywane są w jego rdzeniach, zapisane na wieki. Czy uznajecie to?

– Tak.

–

Czy przysięgacie działać z bezstronną sprawiedliwością, ignorując wszystkie skażone zapisy danych, korzystając tylko z autoryzowanych kodów, nie odstępując od procedur właściwej oceny?

– Tak.

–

Zatem niech wasze dusze otrzymają dane ze świętego terminala, abyście zostali uniesieni na orbity prawości i stali się jednością z Siecią. Abyście wolni byli od wszelkiej infekcji wirusów

korupcji, w imieniu Kościoła Świętej Federacji. Koniec pliku.

– Koniec pliku – wymruczeli.

Raj usiadł, jego lewa noga zrobiła automatyczny wymach, usuwając z drogi pochwę szabli. Swojskość tego ruchu uświadomiła mu dziwność tego postępowania. *Już przedtem zabijałem i nakazywałem zabijać*, pomyślał. *Ale to są moi ludzie*. A przynajmniej część sił pod jego dowództwem... *Tak jak i sierżant Floreyz Magon*, przypomniał sobie chłodno. *A nawet Halfas Arreyo był obywatelem Rządu Cywilnego Świętej Federacji*.

– Przeprowadzić więźniów – powiedział.

Pokieroszowanych i ponownie krwawiących Skinnerów dowleczono na odległość dwóch ramion od stołu. Sierżant był zdyscyplinowanym mężczyzną i już nie posłużył się zaimprovizowaną pałką trzymaną w ręce, choć było zupełnie oczywiste, że miałby na to ochotę.

Głowa Raja zwróciła się w stronę gromadki świadków. Kilku z nich zadrzało, starając się ukryć w miniaturowym tłumie kilkunastu osób. Większość z nich wyglądała na takich, dla których jakikolwiek sąd oznaczał złe wieści. Raj wskazał na jednego w brązowej kurtce z resztkami krawata ze złotej koronki oraz butach ze srebrnymi klamrami.

– Ty. Czy widziałeś jak został zabity zmarły?

– Tak, messer generale – powiedział mężczyzna.

– Przez oskarżonych?

– Tak, messer generale.

– Czy ich sprowokował? – Wyraz niezrozumienia. – Czy uderzył ich pierwszy? Obraził?

– Nie, messer generale. Halfas był dosyć tępy, ale nie *aż tak* tępy. Tylko się trochę uśmiechnął, kiedy zgarniał wygraną.

– Czy oskarżeni byli pijani?

– Tak, messer generale, a w każdym razie dość szybko obciążali *arrak*. Wiecie, z tymi barbarzyńcami to trudno powiedzieć. Rzekłbym, że byli zalani w trupa, ale potem poruszali się tak *szybko*... W każdym bądź razie krążyła fajka, *mahrawan*, i myślę, że miała w sobie trochę opium.

Raj skinął głową. – Czy ktokolwiek z was widział walkę? – spytał.

Jeden ze świadków uniósł nieznacznie rękę. – To nie być walka, m’panie – powiedział. – Jeden go trzymał, a drugi go ciął. Ciął go powoli. Kiedy zjawili się wojacy, barbarzyńcy po prostu chwycili pierwszego i przekręcili mu głowę tak, że patrzył do tyłu, a potem inni, ci, co nie uciekli, po prostu zaczęli walić barbarzyńców kolbami karabinów i takimi tam. Sam bym zwiął, gdybym nie

musiał koło nich przechodzić, coby wydostać się przez drzwi.

Raj odwrócił się do Skinnerów. – *Hustai able Sponglishi?* – powiedział. Czy mówicie po sponglijsku? Odpowiedział mu tępy wyraz twarzy. Raj znajdował się na tyle blisko, aby czuć najemników, mieszankę świeżego potu, krwi spływającej po ich nagich, brązowych klatkach piersiowych i ciężki smród zjełczałego masła.

– *Say hum* – powiedział, szukając w myślach fragmentów paytoizkiego, języka Skinnerów. Nagle już tam były dzięki krystalicznej władzy wstawek Centrum.

– *Say hum* – powtórzył. – Ów człowiek, czy go zabiliście?

Ten ze Skinnerów wyglądający na bardziej czujnego zamrugął, a potem uśmiechnął się szeroko, usłyszawszy kogoś mówiącego jego językiem. Nawet w takiej chwili Raj zastanowił się nagle, dlaczego Centrum nie dostarczyło mu takiej biegłości zeszłego roku. Byłoby to użyteczne w stosunkach z żołnierzami Skinnerów na wschodzie.

>>W przeciwieństwie do mnie, twoja pojemność przechowywania informacji jest ograniczona.  
<< odpowiedziało Centrum.

–  
*Napas hum* – powiedział Skinner. Nie człowieka, tylko rolnika. – Ja, Luk Belhok, go zabić. On kraść nasze pieniądze, świnia. – Skinner splunął w stronę zmasakrowanego trupa. – Masz coś do picia, punie–mężczyzno? Mój przyjaciel i ja jesteśmy spragnieni.

– Czy zabiłeś żołnierza?

– Nie – za bardzo pijany, za dużo czarnego dymu. Mój przyjaciel, Loway Daygus, on zabić niebieską koszulę. – Drugi najemnik podniósł wzrok i skinął głową, uśmiechając się. – On wyglądać tak zaskoczony! My śmiać się mocno.

– Czy wiedzieliście, że było to wbrew prawu tej armii?

Obydwaj Skinnerzy wybuchli przenikliwym chichotem i zaczęli pohukiwać.

–  
My *fraihum*, prawdziwi mężczyźni! – rzekł pobłaźliwie ten pierwszy, jakby wyjaśniał coś opóźnionemu w rozwoju dziecku. – Zabijamy, kiedy chcemy, bierzemy, co chcemy. Może zabić ciebie, eh? Gdzie jest picie?

– Niech protokół pokazuje – rzekł Raj, lekko podnosząc głos – że oskarżeni przyznali się do zbrodni. – Spojrzał w obie strony. Foley nieco poszarzał pod naturalną brązową skórą, dłubiąc czubkiem swego haka w wiklinowym stole.

– Winni – rzekł cicho, nie patrząc w oczy swego przełożonego.

– Winni – powiedział stanowczo Dyaz, nieco znudzony.

Raj wstał. – Zgodnie z powierzoną mi władzą i osądem Świętego Kościoła, ogłaszam tych mężczyzn winnymi morderstw na Halfasie Arreyo, wolnym człowieku z Cyudad Harenaz i obywatelu

Rządu Cywilnego oraz sierżancie trzeciej klasy Floreyzie Magonie. Morderstwo Halfasa Arreyo popełniono przy niewystarczającej prowokacji. Wyrok: kara śmierci w obu przypadkach. Niech Duch Człowieka Gwiazd zredaguje ich programy rdzeniowe i połączy ich ponownie z Siecią, koniec pliku.

Spuścił oczy ze wschodniego horyzontu, blask słońca połyskiwał na jego siatkówkach, gdy zwrócił się do sierżanta, Descotczyka. Kiedy przemówił znowu, w jego głosie pobrzmiwał niemelodyjny tembr kutego żelaza.

—  
Powiesić ich.

—  
Tak, *ponie* – rzekł podoficer.

Dwaj żołnierze wyjechali na swych wierzchowcach z kompanii straży i zarzucili pętle arkanów na gałąź dębu, przewlekając drugie końce przez pierścienie na łąkach siodeł, jak *vakaro*. Skinnerzy szarpali się przez chwilę, gdy oddział pogonił ich ku zwisającym pętlom, a potem zaczęli śpiewać pieśń śmierci, wyjąc przenikliwie.

Przytłumione przez odległość bębny zaczęły wybijać nie kończące się *tra-ta-ta-ta*, zwołując do broni.

\* \* \*

*Krak.*

Kolejne piętnastomilimetrowe pociski Skinnerów przeleciały im nad głową, zbaczając ku zachodowi. Ogień ten nie był dokładnie wymierzony, jeszcze nie, ale hałas w obozie Skinnerów powoli narastał, krzyki, wrzaski wściekłości, dudnienie tam-tamów. Widział ich. Kręcili się grupkami, niektórzy tańczyli, drepcząc w kółko, powarkując i wyjąc, inni rozprawiali z dziką gestykulacją, jaką posługiwali się Skinnerzy, gdy byli zdenerwowani. Od czasu do czasu paru wybiegało z gąszczu schronień ze skór i derek, aby wykrzyczeć wyzwanie grupce regularnych żołnierzy widocznych na grani wokół ich biwaku i odwrócić się, by poklepać się i pokręcić gołymi pośladkami w ich stronę. Pieśń narastała w obozie, skupiając się na największym szałasie, gdzie na długim słupie znajdowała się dwumetrowa czaszka sauroida. *Mi-herda mau-dit. Mi-herda mau-dit...*

Raj uniósł lornetkę i wyskoczył mu przed oczyma szczerzący zęby w uśmiechu sztandar z głową bestii, z pustymi oczodołami i kłami długości bagnetu. Pod nim znajdowali się wodzowie, kłócąc się wściekle.

Kiedy to coś było żywe i chodziło na tylnich łapach, miało piętnaście metrów wysokości. Piętnaście metrów i dwadzieścia pięć metrycznych ton mięśni przykrytych skórą, która wytwarzała metalowe łuski.

—  
Raju Whitehallu, to jest *głupie* – wysyczał w ucho swemu dowódcy Gerrin Staenbridge.  
Oczywiście na tyle cicho, aby nikt inny nie usłyszał.

—

To całkiem możliwe, ale trzeba to zrobić – odparł chłodno Raj. *Czy rzeczywiście?* spytał się w myślach.

>>Takie postępowanie daje największe prawdopodobieństwo wykonania misji.<< powiedziało Centrum. >>Prawdopodobieństwo twojej śmierci wynosi 21% plus minus 7. Mieści się w akceptowalnych parametrach.<<

*Może akceptowalnych dla ciebie*, pomyślał Raj. Na głos do Staenbridge'a – A teraz, żołnierzu, zamknij się i zachowuj jak żołnierz.

>>Sukces zwiększy także użytecznie twój czynnik charyzmy. << dodało Centrum.

Raj przymknął na chwilę oczy i pomodlił się, unosząc jedną dłoń i kładąc drugą płasko na uchu w formalnym geście. O *Duchu Człowieka Gwiazd, prowadź mnie*, poprosił. *Nie lękam się śmierci w twojej służbie – nie bardzo – ale proszę cię, abys dopilnował, by to przybliżyło powrót Świętej Federacji i nasze ponowne połączenie z Gwiazdami. Zapisz we mnie to, czego najbardziej potrzebuję, choćby było to coś, czego najbardziej się lękam. Koniec pliku.*

Otworzył oczy. Suzette stała obok niego, w plisowanych spodniach do jazdy z białego płótna i tunice, ale wciąż w swojej dworskiej blond peruce i makijażu z przyjęcia. Jednakże nie dało się z niczym pomylić ust zaciśniętych w uparty łuk kupidyna ani zbiegających kostek ściskających kolonialny karabinek, który nosiła. Jej palfrey Herbie stała za nią, szarpiąc lekko wodze i machając ogonem z błagalnym spojrzeniem. Suka wiedziała, kiedy jej właścicielka miała pojechać stawić czoła niebezpieczeństwu...

– *Scramento* – powiedział, pozwalając ramionom opaść. Naprawdę niebezpiecznie było się modlić, mogłeś dostać to, o co prosiłeś.

– *Wynoś się stąd*. Nie mam czasu się sprzeczać – syknął wściekle.

– Nie, nie masz. I nie możesz sobie na to pozwolić na oczach ludzi, nie teraz – powiedziała, biorąc go pod rękę. Jej uśmiech był trochę wymuszony, ale tylko trochę.

>>Obecność messy Whitehall zmniejsza możliwość twojego niepowodzenia do 10% plus minus 3.<< powiedziało Centrum niezbyt pomocnie. >>Publiczna kłótnia w tej chwili znacznie zwiększy prawdopodobieństwo niepowodzenia twojej misji.<<

– *Scramento!* – powiedział z większym uczuciem. Nie było też czasu, aby rozkazać kilku żołnierzom odprowadzenie jej siłą. Właściwie to widać było tylko ludzi z Piątego, a oni mogliby odmówić. Wielu z 5 z Descott uważało messę generała za przynoszący szczęście amulet lub też za czarownicę, albo i jedno i drugie.

– W porządku – powiedział gorzko. – Jeśli *musisz* przysparzać mi więcej problemów.

Suzette skrzywiła się na to, ale bez słowa poszła z powrotem do swojego wierzchowca Herbie. Żałował tych słów, ale nie było czasu na inne.

Raj wsiadł na grzbiet Horace'a, palce jego butów do jazdy automatycznie znalazły strzemiona. Żelazne ćwieki zadzwoniły o stal, a Horace zawył, oglądając się do tyłu i wyczuwając strach jeźdźca.

– W porządku, chłopczyku – powiedział Raj. *Mam nadzieję*. Jakby po namyśle zdjął hełm i przyczepił go do pierścienia na jukach.

Ochotnik niosący sztandar znajdował się po prawej, a Suzette po lewej. Była to jego osobista flaga, podarowana mu wraz z awansem po Sandoralu: starożytny proporzec Whitehallów, biały pas nad czerwonym pasem, z niebieskim trójkątem oznaczonym jedną gwiazdą na końcu drzewca. Legenda mówiła, że przodek Whitehall przywiózł go z planety *Tekhanos*...

Spojrzał do tyłu, skinął raz na Staenbridge'a – *biedny gnojek, będzie dowodził, jeśli ja zginę*

–  
–  
i dotknął piętą boku Horace'a.

Spokojnie i powolutku, chłopczyku – powiedział. Pies zastrzygł uszami, pojmując i ruszył do przodu tempem spacerowym, w górę i przechodząc przez grań. Nie było przypadkiem, że Skinnerzy rozbili obóz w zagłębieniu. Nikt rozsądny nie chciał, żeby te zabijające sauroidy strzelby miały czyste pole do strzału w kogokolwiek. Pomysł Skinnerów na praktyczny żart wiązał się z rzeczami takimi jak odstrzelenie ci papierosa z ust z odległości stu metrów.

Jeśli sprzątnęło ci przy okazji głowę, to jeszcze zabawniej.

Gdy trzy psy przeszły przez grań i ruszyły w dół długiego zbocza, zapadła cisza, rozchodząc się jak kręgi po wodzie od mężczyzn, którzy pierwsi ich zauważyli. Narastająca pieśń – wzbudzająca w około sześciu setkach dzikusów żądzę krwi – urwała się i ucichła, gdy najemnicy rozpoznali generała. Wielu z nich było z Armią Wschodu w Sandoralu w zeszłym roku, a reszta w większości widziała go od tamtej pory. Pies Raja posuwał się dalej tym samym kołyszającym się krokiem, aż zeszli sto metrów w dół łagodnego zbocza i znaleźli się w połowie drogi do pierwszego z rozrzuconych skórzanych szałasów. Na tyle blisko, że widzieli twarze pojedynczych ludzi i okrągłe wyloty luf wielkich karabinów. Około stu wojowników mierzyło w jego stronę. Wystarczająco dużo, by rozedrzeć jego i Horace'a na krwawe strzępki.

Jego, Horace'a i Suzette.

Raj puścił swobodnie wodze na szyję Horace'a i zacmokał cicho. Pies się zatrzymał i stanął nieruchomo, opuszczając łeb i wywieszając jęzor. A potem Raj stanął w strzemionach i uniósł rękę w powietrze.

Z obozu Skinnerów podniósł się gwar. Za nim dało się słyszeć dudnienie niemalże tysiąca stóp i wielogłośny brzęk rynsztunku. Grupa flagowa 5 z Descott zatrzymała się na grani, a żołnierz niosący sztandar postawił drzewce i pozwolił swobodnie powiewać wstęgom i jedwabowi poznanemu dziurami po kulach. Trębacz i dobosz stanęli po bokach. Jednostka ustawiła się w zwartym szyku wzdłuż całego grzbietu, zsiadłszy z wierzchowców. Pierwszy szereg przemaszerował przez grań i przypadł na jedno kolano, a drugi zatrzymał się tak, że ponad granią widać było ich głowy i ramiona. Bagnety zabłyśły, gdy pochylili karabiny, przyciskane do klatki piersiowej pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Nie mierzyli z nich, ale trzymali w gotowości. Regularnie w szeregu rozstawiono chorągiewki kompanii. Kilka ostrych zawołań poprawiających szyk dobiegło od podoficerów i młodszych oficerów, a potem najgłośniejszym dźwiękiem był wiatr szarpiący proporcami.

Raj czekał, aż głosy wśród Skinnerów ucichną, a potem powoli wyciągnął ramię i wskazał na



prawo, na wschód. Zabrzmiały rzucone rozkazy i na grzbiecie wyrosły błyszczące czubki bagnatów i wypolerowane, połączane gwiazdy z brązu na szczycie flagowych drzewców, a potem zaokrąglone hełmy ludzi. *Lup... lup... lup* biły bębny ponad chrzęstem butów na miękkiej ziemi. Kaltin Gruder kazał stanąć obok sztandaru 7 Zwiadowców z Descott i cała formacja się zatrzymała, a potem zafalowała, gdy przedni szereg przykląkł, prezentując broń.

Raj wyciągnął ramię w lewo i widowisko się powtórzyło. Tym razem byli to Rzeźnicy z Rogor, pogranicznicy z południowo-wschodnich dystryktów. A potem Raj wskazał przed siebie, ku południowi, gdzie teren był płaski i widać było piaszczyste zakole plaży. Pojawił się szybko kolejny batalion, aby zamknąć tę lukę, biegnąc razem w kolumnach po czterech, aż trzęsła się ziemia – długi wąż stali, niebieskich kurtek i bordowych nóg. Oficerowie znajdowali się obok swoich jednostek z szablami przerzuconymi przez ramię. Jorg Menyez i 17 Piechoty z Kelden: wielcy, jasnowłosi mężczyźni z północnego-zachodu, nie byli lepsi niż inni pogardzani wieśniacy w mundurach, dopóki ich dowódca nie przekonał ich, że jest inaczej. Menyez zawołał i grupa flagowa znajdująca się wokół niego obróciła się zgrabnie w lewo i pomaszerowała w miejscu. Oficerowie wystąpili z szeregu i stanęli obok swoich chorążych z wyciągniętym ramieniem i szablą, aby utrzymać szyk. Bęben zadudnił po raz ostatni i zagrała trąbka. Piechurzy zatrzymali się i jak jeden mąż zwrócili w lewo.

Za nimi ukazały się dwa zaprzęgi po osiem psów, a każdy ciągnął siedemdziesięciopięciomilimetrowe działko polowe i keson. Kanonierzy jechali na działach albo na przedniej parze psów. Obydwa działka obróciły się w prawo i stanęły. Zanim zatrzymały się całkowicie, załogi już zeskakiwały, wyprzegając, odprowadzając zaprzęgi poza zasięg, a reszta otwierała kesony i popychała działka do przodu przez przejścia pomiędzy kompaniami Siedemnastego. Byli gotowi wypluć ładunki pocisków w obóz Skinnerów. Za działkami i piechotą pojawił się batalion kawalerii: elegancko wyglądający mężczyźni w zielono-złoty mundurach na wyczesanych border collie; grzebienie z piór sauroidów kiwały się na ich hełmach. Nadjeżdżała Jednostka Własna Poplanich, rekrutująca się z posiadłości jego starego przyjaciela.

*I posiadłości jego brata, którego zabiłem, aby utrzymać Barholma Cleretta na Krześle, ale miejmy nadzieję, że przymkną na to oko, pomyślał Raj.*

Kawaleria zatrzymała się i obróciła, pyski psów opadły i podniosły się przy obrocie. Wykrzyczano rozkaz i sześćset rąk powędrowało do rękojeści szabel. Kolejny rozkaz i klingi wysunęły się w górę ze zgrzytliwym brzękiem, błyszczące i długie, a potem spoczęły na prawych ramionach żołnierzy. Lśnienie było jak słońce na marszczącej się wodzie, niemalże boleśnie jasne, poruszające się, gdy psy przeniosły ciężar ciała i zawarczały basowym chórem. Teraz Skinnerzy znowu krzyczeli, a kilka wystrzałów poleciało w powietrze. Niewzruszeni jak kamień żołnierze Rządu Cywilnego czekali.

Za nim Suzette wyszeptała. – Kocham cię.

– Ja też cię kocham – rzekł cicho Raj poprzez skupienie, które zawężało to, co widział, jak tunel, do ścisłych granic następnych pięciu minut.

Żołnierz niosący sztandar zaśmiał się cicho. – Niech mnie Duch pierdoli, to jakiś miesiąc miodowy.

To sprowadziło Raja z powrotem na ziemię. Generał obrócił się lekko w siodle, żeby zobaczyć twarz mężczyzny. Ten szczerzył się w uśmiechu, jakby chciał zapytać, jaką karę ma na myśli – może

wysłanie na samobójczą misję?

—  
Jak się nazywasz, żołnierzu – ach, Hallersen M'kintok, prawda?

—  
Tak, ponie – rzekł żołnierz. – Tym razem nie przyłopiecie mnie na spaniu, ponie.

*Ach, ta niespodziewana inspekcja w zeszłym roku, pomyślał Raj, znowu patrząc do przodu. A teraz, tylko tyle czasu, aby powróciła rzeczywistość.*

Skinnerzy byli w kropce. Wszyscy regularni mogli otworzyć ogień bez trafienia się nawzajem, armata mogła ich pogrzebać, a każdy, kto się przez to przedrze, zostanie skoszony przez ludzi na psach. Nie żeby wielu to się udało, gdy prawie trzy tysiące karabinów wystrzeliwałyoby salwy z bliskiej odległości, nie wspominając o kartaczach z dział. Zasięg i celność Skinnerów będą bez znaczenia, a karabiny ze zbrojowni ładowało się szybciej niż długą broń, którą posługiwali się barbarzyńcy.

Skinnerzy byli dzikusami, ale nie byli głupi. Problem stanowiło to, że ich fizyczna wytrzymałość i odwaga były dla nich właściwie jak religia. Wojownicy Skinnerów nie przyznaliby, nie *mogli* przyznać, że lęk przed śmiercią zmieniał ich postępowanie, zwłaszcza nie przed samym sobą. Żadna groźba nie wystarczyła, nieważne jak bardzo była śmiertcionośna. Raj dotknął znowu piętą boku Horace'a i cała trójka poprowadziła psy do przodu. Zapadła martwa cisza, gdy minęli granicę obozu Skinnerów, jeśli cokolwiek tak luźno zorganizowanego mogło być tak nazwane. Śmierdziało, choć nie tak źle po jednym tylko dniu spędzonym na brzegu, pachniało po prostu tak, jak można się było spodziewać w miejscu, gdzie sześciuset mężczyzn i tyleż psów do jazdy sikało i srało, kiedy tylko zechciało. Wzdrygał się na myśl, jakie muszą być ich wierzchowce. Coraz więcej Skinnerów stawało i podążało za nim, paru jadąc, większość idąc piechotą i kołysząc się przy tym na swych pałakowatych nogach. Kiedy ściągnął wodze przed sztandarem z czaszką, setki znajdowały się za nim, śmierząc oddechem i odorem ciała.

Wodzowie w milczeniu podnieśli na niego wzrok. Było źle. Żadnych rytualnych wyzwisk, żadnych na poły poważnych gróźb i żadnej propozycji alkoholu. Raj czekał beznamiętnie, aż przemówił starszy wódz. Był to ten sam mężczyzna, który dowodził nimi w zeszłym roku. Ten, który przyniósł mu głowę Jamala, Osadnika Kolonii, kiedy pokonali brudasów, odrzucając ich z powrotem za granicę.

—  
Ty zabić *mes gars*, moich ludzi, punie–chłopcze – warknął wódz. – Ja, Juluk Paypan, tego nie lubię! Powiesić na sznurze, to nie śmierć wojownika, nie śmierć dla *fraihum*, prawdziwego mężczyzny.

—  
Tak, zabiłem ich – odparł głośno Raj we własnym języku mężczyzny. Zobaczył, że Skinner zamrugał na tę jego nagłą biegłość w posługiwaniu się paytoizkim. – Zabili człowieka ze szczepu Rządu Cywilnego – najbardziej przypominało to „obywatela” w tym świńskim języku – i jednego z *moich* ludzi, bez powodu.

Uniósł się w strzemionach. – Każdy wojownik, który czuje, że wyrządzono mu krzywdę, może z

tym przyjść do mnie, jak wolny człowiek do swojego wodza. Każdego, kto będzie się buntował, każdego, kto zabije swego towarzysza, ja zabiję jak wściekłego psa, którym jest!

Dobiegł kolejny pomruk Skinnerów, a długie karabiny powędrowały w górę, przestając w niego mierzyć.

Juluk Paypan się podrapał. – Masz jaja, co je trzeba nosić w obu rękach, punie–mężczyzno – rzekł z pewną niechęcią. Przyglądał się Suzette z ukosa, dotykając palcami amuletów przeciwko czarnoksięstwu. – Krzywdy – mamy wiele krzywdy!

– Zatem przyjdźcie i opowiedzcie mi o nich, za godzinę w moim namiocie. Powiedzcie mi to prosto w twarz, a nie skamłając po kątach jak stare kobiety.

Zawrócił ostro Horace'a, pies zwinął się w „U”, skręcając na całej długości, a potem Raj pojechał tym samym powolnym tempem prosto ku ścianie z ciał Skinnerów, z wolną ręką na biodrze i wzrokiem częściowo podniesionym. Barbarzyńcy rozstąpili się przed nimi. Usłyszał szepty. *Baraka*, moc ducha, *wheetigo*, diabelski–święty–czarodziej. Żadne z nich się nie odwróciło, zanim nie minęli szeregu Piątego i nie przekroczyli grani dzielącej ich od obozu Skinnerów.

Przez chwilę Raj pochylał się, zwisając na kuli siodła, dysząc.

– Kochanie! Dobrze się czujesz? – spytała Suzette. Jej twarz także poszarzała, a wokół ust miała białe obwódki.

Drżąc, zaczerpnął oddech i przesunął ręką po twarzy. Dłoń wróciła mokra.

– Po prostu nie spodziewałem się, że to się uda – rzekł szczerze, a potem się uśmiechnął, zwalczając przyływ beztrioskiego zadowolenia równie niebezpiecznego jak panika. – *Myślałem*, że to się uda – inaczej bym tego nie zrobił – ale tak naprawdę to nie *wierzyłem*, że się uda.

>>Moje kalkulacje<< powiedziało Centrum z lekką przyganą >>są niezmiennie trafne w ramach dostępnych danych.<<

\* \* \*

– Podejdźcie, towarzysze żołnierze – rzekł Raj.

Siedział przy stole w namiocie dowódcy, z podpiętą klapą wejściową, aby utworzyć trzyściankowe pomieszczenie długości czterech metrów z każdej strony. Ponad głowami delegacji mógł patrzeć na krzątanie w obozie, sięgając wzrokiem aż do plaży i zakotwiczonych przy niej statków. Nadchodził przyływ, zbliżając się szybko przy Minilunie i Maxilunie będących w harmonii, i pierwsze, czarne szeregi żołnierzy formowały się do zaokrętowania na statki na tyle małe, aby przybić do brzegu. Długie łodzie przewoziły więcej żołnierzy do znajdujących się dalej wielkich trzymasztowców, a kolumny czarnego dymu sięgały ku bezchmurnemu niebu, gdy na okrętach wojennych palono w kotłach pieców, wytwarzając parę. Świeża bryza wiała równoległe do wybrzeża, przynosząc zapach soli i węglowego dymu.

– Podejdźcie – powiedział znowu. Towarzysze oficerowie stali za nim w swobodnej pozycji

„spocznij”. Zaś po bokach otwartej klapy namiotu stali w pozycji „spocznij” żołnierze. – Żadnych nazwisk, żadnej karnej musztry. Powiedziałem, że wysłucham waszych skarg, i tak zrobię.

Delegacja składała się z jakiegoś tuzina mężczyzn. Nie tylko Skinnerów. Były tam niebieskie kurty regularnych oficerów oraz czterech czy pięciu dowódców szczepowych poborowych i najemników. Dwóch wielkich jasnowłosych Halvardi z wysmarowanymi masłem warkoczami, długimi halabardami i rozlicznymi pistoletami skałkowymi zatkniętymi za pas, kilku ludzi z Brygady w sięgających do pasa kurtkach z jeleniej skóry z frędzlami oraz Oddany z dalekiej zachodniej północy, z wygolonym tyłem głowy, ubrany w długą, robioną na drutach bluzę i kaftan w poziome pasy. Jego twarz, ramiona i nogi były różowe i schodziła z nich skóra od oparzeń słonecznych. Skórzany kaftan był ponaszywany żelaznymi kołami wielkości bransolety, a kilkanaście z nich służyło za uchwyty dla lekkich toporów do rzucania. W olstrach nosił dwa obrzyny, strzelby z podwójnymi lufami, a w ręce miał model o pełnej długości.

– Wy messerowie pierwsi – powiedział Raj do wodzów Skinnerów. Na jego znak ordynans przyniósł im filiżanki z dżinem.

– Świńskie rzygi – powiedział jeden z nich, spróbował, a potem obydwaj wychłęptali jasny płyn do dna.

*Dobrze, pomyślał Raj. Uspokoili się.*

– Widzisz, punie–mężczyzno – odezwał się niemalże wesoło Juluk, mówiąc po sponglijsku, żeby inni rozumieli. – My są prawdziwi ludzie, my chcąc iść do domu, polować na sauroidy, pieprzyć własne kobiety, uczyć naszych synów. Umowa z wodzem Barholmem z Wielkiego Kamienego Domu mówi, my walczyć jeden rok, a potem jeszcze jeden, jeśli powiemy „tak”. Jeden rok kończyć się za trzy dziesiątki dni, a my mówimy: już nie. Dostyc wálki. Nam nie podobać się wasze zasady, cały czas nie róób tego, nie róób tamtego, jedź na wielką wodę i wyrzycaj bebechy.

Oddany ponuro skinął głową i odezwał się następny, w nosowym dialekcie nameryjskim. Stojący obok niego mężczyzna przetłumaczył:

– To prawda, dostojny panie. Jesteś surowym człowiekiem. Jeden z moich wojowników został ukarany grzywną, bo załatwiał się tak, jak powinien mężczyzna, za krzakiem. Nie podoba nam się to kopanie dziur. Albo chodzenie w tę i z powrotem, kiedy żołnierze w niebieskich kurtkach ze znaczkami na ramionach na nas krzyczą. Walczymy jak powinien mężczyzna, biegnąc do przodu na spotkanie wroga, gdy go tylko zobaczymy. Następny z moich ludzi został wybatożony jak niewolnik, bo upuścił krwi temu, który nazwał go heretykiem! Nie podoba nam się wasze surowe, okrutne postępowanie. Pójdziemy za tobą i będziemy walczyć, bo nie sprzeniewierzymy się płacącemu nam żołd. Wszyscy wiedzą, że każdy z nas zginie w dalekich krajach pod działaniami Eskadry i spocznie w bezimiennym grobie zapomnianym przez naszych pobratymców. Toteż powinieneś być mniej surowy, bardziej przebaczący i łaskawy wobec nas. Ja, Hwilli Morgen, przemówiłem.

Walnął się w pierś dla dodania efektu, sprawiając, że zadzwoniło kilka toporków. Jako że miał

w dłoni strzelbę, znajdujący się z boku mężczyźni odsunęli się, aby uniknąć lufy.

– Wybaczcie, messer generale – rzekł jeden z regularnych oficerów, postępując pół kroku do przodu i salutując zgrabnie. – Barbarzyńca ma rację, mniej więcej. Duch wie, iż niewielu z nas popłynie z powrotem do Wschodniej Rezydencji. Panie, czy nie jest rozsądne, popuścić trochę ludziom?

Halvardi skinęli głowami i uderzyli drzewcami halabard o ziemię. Raj czekał, ale górale byli znani z tego, iż byli równie oszczędni w słowach jak ze swoimi pieniędzmi.

– Czy to wszystko, co macie do powiedzenia? – rzekł dowódca. – Bardzo dobrze. – Przerwał, popatrzył na swoje palce spoczywające na stole, a potem z powrotem na mężczyzn.

– Messerowie – zaczął, patrząc im w oczy. – Jestem żołnierzem tak jak i wy. Wiem, że udajemy się na niebezpieczną kampanię, że nie mamy przewagi liczebnej i tak dalej. – Pozwolił, aby przyswoili sobie te słowa. – Zatem naszą nadzieję, naszą *jedyną* nadzieję, aby wyjść z tego żywymi – w większości – pokładamy w Duchu.

– Tak, Duch Człowieka – nie powiedział „Gwiazd”, bowiem paru spośród obecnych wyznawało kult Ducha Człowieka tej Ziemi – jest naszą *jedyną* nadzieją. A Duch nie będzie z wojskiem, jeśli wojsko to zapomni o sprawiedliwości – sprawiedliwości we własnych szeregach i sprawiedliwości wobec bezbronnych, których naszym obowiązkiem jest bronić.

Gdy wstawał, walnął ręką o stół. – Toteż w tym wojsku *będzie* sprawiedliwość. Sprawiedliwość narzucana w jedyny możliwy sposób, poprzez *dyscyplinę*. Dla dobra nas wszystkich, bowiem bez tego Duch nas opuści, a ja mówię wam, iż wiem, jakby mi to objawiła święta wizja, że bez Ducha będziemy się wałęsać w małych grupkach po Południowych Terytoriach. I *Eskadrowcy* spadną na nas jak lawina z orbity i wyrzną nas. Zatem możecie albo mnie słuchać, albo zabić, messerowie, bo prędzej zginę tu, gdzie stoję, niż zawiodę w wypełnianiu swego obowiązku wobec Ducha Człowieka i wobec wojska, któremu Duch nakazał mi przewodzić.

Odpowiedziała mu cisza. Delegacja wpatrywała się w niego z rozwartymi szeroko oczami tak jak i wielu ze straży na zewnątrz. Poczuł, jak gorąco przebiega mu przez skórę i nagle zdał sobie sprawę z ich spojrzeń. *Czy to ja to wszystko powiedziałem?* – pomyślał.

– *Wheetigo* – wymruczał Paypan. Pozostali zaszurali nogami, pozbawieni języka w gębie.

– Rozejść się – powiedział Raj. – Musimy załadować wojsko na statki.

Siedział, gdy odchodzili, zaczynając rozmawiać pomiędzy sobą, czując się, jakby podcięto mu więzadła.

>>Nie spodziewałem się postawienia sytuacji w ten sposób.<< powiedział w myślach głos Centrum. >>Wydaje się jednak, że posłużyło to do osiągnięcia celu. <<

*Rzeczywiście, celu, pomyślał Raj. Ale czyjego?*



## Rozdział piąty

– ...a to są kopalnie Malfrenek – powiedział Muzzaf Kerpatik.

Raj skinął głową i dał znak, aby zamilkł. Komarianin sam był kopalnią informacji, ale przy odrobinie zachęty opowiadał ci więcej, niż chciałbyś wiedzieć, głównie o handlu. Raj widział małą, czarną smugę na ziemi, w oddali, tam, gdzie węglowy dym z wytapianej rudy barwił niebo. Kobilassiańskie żelazo i stal były słynne w całym Rządzie Cywilnym. Nie było śladu smrodu siarki, tylko ogromna czystość fal, białe grzywacze na ciemniejącym morzu, rozbijające się z grzmotem na falochronach zatoki miasteczka Hayapalco, gdzie flota czekała na wejście.

Wysoki grzbiet Półwyspu Kobilassa rozciągał się ku południowi i zachodowi jak ciemnoniebieska piła zabarwiona krwistą czerwienią tam, gdzie wieczorne słońce dotykało lodowców. Wyższe zbocza gór były ciemne od porastającego je lasu, tutejszych rdzawo– brązowych roślin o biczowatych pędach i pierzastych paproci, oraz czarno–zielone od buków i srebrnych świerków. Niższe zbocza gór ustępowały otwartym, pokrytym rudawą trawą wzgórzom usianym drzewkami oliwnymi i dębami korkowymi. Jeszcze niżej wąskie, zirygowane doliny rzeźbiły kręte pasy zieleni przez suche zarośla od czasu do czasu poszarpane przez resztki rudy albo kamieniołomy marmuru. Pobielone wapnem wioski wyrastały pośród sadów i małych kratak pól. Na wąskiej nadbrzeżnej równinie znajdowały się karłowate drzewka, gaje palm kokosowych, plantacje sizalu, zaś na niedawno zdrenowanych i zirygowanych bagnach wielkie kwadratowe działki bawełny, indygo, trzciny cukrowej i ryżu.

– Węgiel dostępny? – spytał Raj.

–

Mnóstwo, messer – powiedział Muzzaf z odrobiną goryczy. – Najlepszy i najtańszy w Rządzie Cywilnym. Mam tutaj rodzinę – wyglądało na to, że miał krewnych w każdej prowincji na południe od gór Oxhead – i sporo pieniędzy zainwestowano ostatnio w kopalnie i koleje. Mimo to monopol we Wschodniej Rezydencji należy do drogiego śmiecia wydobywanego ze starych kopalni Łańcucha Wybrzeża.

–

Tzetas – powiedział Raj.

–

Tzetas – potwierdził Muzzaf.

–

Znowu się brzydko wyrażacie? – spytała Suzette, podchodząc do nich z tyłu. Stała trochę za Rajem, ściskając go za ramię.

Jej palce na mięśniu jego bicepsa były smukłe i silne. Delikatny zapach jaśminu, którego używała, niósł się lekko poprzez woń smoły i morza. Muzzaf ruszył dalej wzdłuż barierki, a oni czekali w milczeniu, podczas gdy pojawił się mały holownik galery, mający ich poprowadzić. Mocne, burzliwe kołysanie statku płynącego „w kajdanach” zmieniło się w głębsze zanurzenie, gdy żeglarze przymocowali linę holowniczą. Transport posuwał się powoli przez wąski kanał pomiędzy falochronami, z których każdy kończył się masywnym betonowo–kamiennym fortem, z murami wznoszącymi się ku otworom na działa. Widać było paszcze ogromnych, karabinów, nie dziwiło

więc, iż nie było obwałowania nadmorskiego.

*Rozrosło się*, pomyślał Raj.

Studiował perspektywy i plany wszystkich większych miast w Rządzie Cywilnym, przypatrując się głównie ich fortyfikacjom. Hayapalco było średniej wielkości, czterdzieści tysięcy ludzi przy ostatnim cenzusie, ale starodawny mur obronny, jaki pamiętał, został zburzony, a zamiast niego wytyczono szeroką aleję. Za nią znajdowały się przedmieścia, kamienice i fabryki, choć większość miasteczka stanowił poplątany labirynt pastelowych i białych sześcianów wspinających się po wzgórzach aż do pałacu komisarza dystryktu i świątyni Gwiazdy. Nowy akwedukt ukazywał swoją surowość we wcięciach i nasypach na zboczach gór. Widać było wielką, nową arenę do walk byków, a także początki nowoczesnych ziemnych okopów zewnętrznych oraz fortów mogących wytrzymać atak dział oblężniczych. Doki były zatłoczone wszystkim, począwszy od małych statków przybrzeżnych z łacińskim ożaglowaniem i rybackich jednomasztowców aż po wielkie trzymasztowe statki do chwytania zwierząt – jednostki do polowań na ogromne morskie thalassasauroidy. Na przystani czarno było od ludzi i gdy wpłynęła pierwsza jednostka floty, podniósł się masowy ryk radości.

Zabrzmiał dźwięk orkiestr dętych. – Mam nadzieję, że będą dalej śpiewać – rzekł ponuro Raj. Dotknął ręką dłoni żony. – Ja... muszę porozmawiać z Bergiem – powiedział.

\* \* \*

– Mam nadzieję, że zameldujesz, iż Hayapalco okazuje swoją lojalność – powiedział Sesar Chayvez.

Komisarz dystryktu Kobolassa odchylił się do tyłu, wykonując zamaszysty gest zza szklanych drzwi. Orkiestry dęte, które podążyły za grupą dowodzącą aż do pałacu, wciąż grały. Za nimi ulice miasta wypełniały się bardziej stanowczym dźwiękiem, odgłosem maszerujących nóg i ciężkiego stąpania wierzchowych psów – to Korpus Ekspedycyjny schodził na brzeg. Miesiąc z okładem na przeciwieństwo ludzi i wierzchowców, załadowanie zapasów świeżych owoców i mięsa... i oczywiście na posmakowanie radości życia przed kampanią.

*Co prawdopodobnie wyjaśnia dobry humor obywateli*, pomyślał cynicznie Raj. Piętnaście tysięcy dobrze opłacanych mężczyzn z twardą monetą w kieszeniach mogło w ciągu tygodnia nieźle powydawać. *Choć błogosławieństwo arcysysupa było prawdopodobnie szczere*. Wszystkie południowe terytoria były znane z pobożności – w głębi ładu przez wzgląd na Kolonię i jej mużulmańskie hordy zaraz za granicą; a tutaj na wybrzeżu z tegoż powodu oraz z powodu stale obecnej groźby ze strony piratów Eskadry. Zachodni barbarzyńcy byli wyznawcami heretyckiego Ducha Człowieka tej Ziemi, co dodawało im zapału przy plądrowaniu kościołów i paleniu żywcem wszelkiego kleru, jaki dostał im się w łapy.

Raj spojrział na komisarza. Południowiec, mocno przypominający wyglądem Muzzafa, jeśli się dodało trzydzieści lat i dziesięć kilo, ubrany w brzęczącą od ozdób tunikę z białego, lśniącego, azańskiego *torofibu*. Ręka, którą głaskał się po swojej hiszpańskiej bródce i podwójnym podbródku błyszczała od pierścieni. Silnej perswazji wymagało zorganizowanie tego spotkania, zanim rozpoczęły się uroczyste bankiety: rundka walk byków ogłoszona ku czci goszczących żołnierzy i bal... a także *ich kociaki*, pomyślał. Jeszcze więcej perswazji wymagało ograniczenie spotkania do niego samego, Gerrina Staenbridge'a, Suzette, Berga, komisarza i jego osobistego sekretarza.



– Też mam taką nadzieję, Wasza Czcigodność – rzekł Raj. – Niestety, jest mały problem. Dwa małe powiązane ze sobą problemy.

– Problemy? – powiedział Chayvez, lekko marszcząc brwi.

Za drzwiami dał się słyszeć hałas, krzyki, ciężkie *łup* podkutej stałą kolby karabinu uderzającej w głowę. Barton Foley wsadził głowę przez skrzydła drzwi, puścił oko i zsalutował swoim hakiem, zanim je zamknął. Za szklanymi szybami po drugiej stronie pokoju szereg postaci zajął swobodną pozycję „spocznij”. Głowa komisarza odwróciła się, aby im się przyjrzeć. Zamiast jego żołnierzy stali tam regularni żołnierze w niebieskich kurtkach i bordowych spodniach trzymający karabiny z przymocowanymi bagnetami. Dokładniejszy ogląd ukazał przysadzistych mężczyzn o zakrzywionych nosach i brązowej skórze. Descotczycy.

– Nie martw się, przedsięwzięłem tylko środki ostrożności, zastępując pałacowe stráže moimi ludźmi z 5 z Descott – rzekł uspokajająco Raj. Chayvez drgnął lekko. Wszyscy wiedzieli, że była to jednostka, która podążała za Rajem przy ciężko wywalczonym odwrocie pod El Djem i ogromnym zwycięstwie pod Sandoralem. – Na pewien czas.

– A teraz – ciągnął Raj – najpierw sprawa węgla.

– Węgla? – powtórzył Chayvez. Jego twarz pełna była niedowierzania. Gniew walczył z szokiem wywołanym nagłym fizycznym strachem.

– Wygląda na to, że we Wschodniej Rezydencji załadowano zły rodzaj. Przypadek, jestem pewien. Na szczęście, powiedziano mi, że masz tutaj w Hayapalco doskonały węgiel do wytwarzania pary, zatem po prostu wyładujemy to, co nam zostało i zabierzemy wszystko, co nam potrzeba z rządowych składów. Wymienimy to ładunek po ładunku i zapłacimy różnicę w wekslach na okaziciela, a ty wykupisz je od razu, dobrze?

Raj dobył pistolet i postukał ostro kolbą o stół z drzewa satynowego, pozostawiając wgłębienie w miękkiej, jedwabistej fakturze powierzchni. Chayves się skrzywił. Był komisarzem od ponad dekady i musiał być mocno przywiązany do pałacu.

Drzwi otworzyły się ponownie. Wszedł Antin M'lewis, prowadząc dwóch żołnierzy z przewieszonymi karabinami. *Solhados* nieśli między sobą pudło, trzymając jedną ręką uchwyty ze sznurów znajdujące się po obu stronach. Postawili je z łupnięciem na stole, a M'lewis je otworzył. Wnętrze wypełniały ciemnobrązowe, prostokątne suchary. Unosił się od nich zatechły, spleśniały odór.

– To, widzisz, są suchary – powiedział Raj.

– Suchary? – rzekł Chayvez, unosząc brwi.

– Suchary, messer – powiedział Raj. – Taka zwyczajna rzecz, prawda? Ale armie maszerują dzięki sucharom, kiedy znajdują się z dala od domu i rynków. Jak również korzystając z nich w długiej, morskiej podróży z dala od miejsc do lądowania, co właśnie zamierza zrobić Korpus

Ekspedycyjny. – Po czym Raj poleciał M'lewisowi – Pokaż mu.

– Tek, ponie – stwierdził radośnie M'lewis, pochylając się nad stołem.

Żołnierz wziął jeden z sucharów i trzymając go w dłoni przed nosem urzędnika, powoli zacisnął na nim swoje żylaste, brązowe palce. Suchar od razu się rozkruszył, opadając na biały materiał tuniki Chayveza strumieniami brudnego proszku. Kiedy żołnierz otworzył pięść, nie pozostało nic poza pojedynczym włókiem pełzającym po pełnej odcisków dłoni. M'lewis uśmiechnął się, szczerząc złote zęby i zgniół robala pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, wycierając pozostałość o bezcenny jedwab *torofib*. Protesty komisarza zgasły nie wypowiedziane.

–

Wiesz no – rzekł żołnierz. – To powinno być dwa razy pieczone. Ale to troszkę kosztuje. Trzeba użyć węgla drzewnego.

–

A – ciągnął dalej Raj głosem z nagłą stanowczym i metalicznym jak pistolet – ten nie został dwukrotnie upieczony z pszenicznej i sojowej pełnoziarnistej mąki. Był przypalony tylko raz, przy użyciu wysuszonego ciasta, aby ukryć ten fakt. Teraz więc mam w ładowniach statków kilka tysięcy ton zapleśniałego pszenicznego pyłu. *Niewytłumaczalny* wypadek, bowiem biuro kanclerza zapisało to wszystko jako suchary z racji żywnościowych pierwszej klasy, od zaakceptowanych dostawców, *czyż nie tak, messerze Berg?*

Twarz przedstawiciela Służby Administracyjnej lśniła potem, bardziej niż usprawiedliwiało to suchy upał. Głowy żołnierzy zwróciły się ku niemu, jak wypatrujące celu wieżyczki z działami, a on uśmiechnął się zboląły. Było zbyt późno, aby się wycofać. Powiedział już za dużo.

–

*Bruha* – wybełkotał cicho. – Ona jest czarownicą. On jest *szalony*, ale ona jest *czarownicą*. – Co tam mówicie, messerze Berg? – spytał niewzruszony Raj.

–

Ach, *ferramente*, oczywiście, księgi – Berg wskazał na sporą, obłożoną w skórę księgę z wytłoczonym srebrem na okładce symbolem Gwiazdy Rządu Cywilnego – pokazują to zupełnie wyraźnie.

Chayves się zawahał, rzucając Bergowi jadowite spojrzenie, zanim uładził rysy twarzy w beznamiętnym uśmiechu.

–

Cóż, messer generale, wiesz, że takie wypadki się zdarzają – powiedział z szerokim gestem oznaczającym „my światowi ludzie”. – W każdym razie nie powinno to stanowić problemu, zupełnie nie. Musisz mieć ze sobą pieniądze, aby płacić żołnierzom – co sześć miesięcy, choć czasami dawano zaliczki – możesz zatem kupić tutaj zwykły chrupki chleb i pokryć różnicę, plądrując, gdy zakończy się twoja zwycięska kampania na Południowych Terytoriach.

– Cóż, to jedna z możliwości – ciągnął Raj. M'lewis stanął z tyłu za komisarzem. – Naprawdę nie podoba mi się wydawanie wypłaty żołnierzy na racje, za które Rząd Cywilny już zapłacił – messer administratorze Berg...

–

Osiemnaście tysięcy czterysta sześćdziesiąt złotych FedKredytów – rzekł urzędnik.

–  
...ponad osiemnaście tysięcy w złocie.

– Nie ma zbytnej alternatywy – rzekł Chayvez, oblizując wargi.

– Messerze Berg? – powiedział Raj.

Berg otarł sobie twarz płócienną chusteczką i otworzył księgę rachunkową, rozpościerając kilka luźnych arkuszy papieru ze złotą pieczęcią Centralnego Krajowego Biura Obrachunkowego.

– Zgodnie z tymi zapisami – powiedział, odkasłując. – Ach, zgodnie z nimi, Jego Dostojność kanclerz posiada wszystkiego dwadzieścia trzy tysiące czterysta dwadzieścia dwa hektary ziemskich posiadłości w czterech hrabstwach składających się na dystrykt Kobołassa. Z nich pięć tysięcy pięćdziesiąt sześć to zirygowane pola pod zboża, nie wliczając w to mniejszej ilości rancz hodujących byki do walki. – Raj znowu postukał w stół kolbą pistoletu.

– Ach, tak. Dających zgodnie z rachunkami podatkowymi urzędników skarbowych – co oznaczało pięćdziesiąt procent niedoszacowania – ponad ćwierć miliona buszli pszenicy, jęczmienia, kukurydzy i ryżu. Pszenica i jęczmień powinny właśnie być zebrane i zmłócone.

– Aż tyle! – rzekł, mrugając Chayvez. A potem skinął głową – Jestem pewien, że Jego Dostojność będzie zadowolony, sprzedając, co potrzeba twoim żołnierzom.

– Jestem pewien, że tak – odparł Raj. – Niestety, nie mam twardej waluty, aby za to zapłacić, zatem będzie musiał zaakceptować wymianę barterową. A dokładnie mówiąc,

trzydziestokilogramowe pudła podwójnie wypieczonych sucharów z pełnoziarnistej mąki pszenicznej i sojowej.

Raj spojrzał na Berga. Nieszczęśliwy mężczyzna przełknął ślinę i zaczął recytować.

– Piętnaście tysięcy żołnierzy, trzytygodniowe racje stanowiące ekwiwalent półtora kilograma chleba na dzień, plus cztery tysiące żeglarzy, ekwiwalent, plus trzy tysiące dwieście cywilnych pomocników, jak wyżej. Zapakowane w pudła suchary w cenie zaksięgowanej, zgodnie z ceną Wschodniej Rezydencji...

– Nie zapomnij o rozsądnej cenie przewozu – wtrącił pomocnie Raj.

– Z dziesięcioma *sentahvos* na tonokilometr, wartość sucharów powinna pokryć wszystkie konieczne zakupy zboża – powiedział Berg, a jego głos przyspieszył, stając się nieomal bełkotem. – Plus nadwyżka dwóch tysięcy trzystu złotych FedKredytów. Oczywiście już po wydatkach na mielenie, transport i pieczenie.

– Oczywiście – rzekł Raj – przyjmujemy nadwyżkę w gotówce lub też w dających się upłynnić aktywach z posiadłości. – Przesunął pergamin z rozlicznymi pieczęciami po stole, aż szturchnął

Chayveza w dłonie. – Rozkaz rekwizycji i wymiany, podpisany przez messera Berga, będącego przedstawicielem Służby Administracyjnej i urzędników skarbowych, przeze mnie jako dowódcę Korpusu Ekspedycyjnego, i przez ciebie, Wasza Czcigodność, zaraz tutaj, na dole, jako głowy rządu dystryktu.

Prędzej podpisałbym swój wyrok śmierci – wyszeptał Chayvez. – Ty głupcze! Czy myślisz...

Raj skinął głową. M'lewis się poruszył, chwytając palcami za pas i wyrzucając coś od siebie. Spleciona z drutu garota zabrzęczała, przecinając powietrze. Drugi drewniany uchwyt wpadł mu w lewą rękę, zataczając krąg wokół szyi Chayveza i M'lewis pociągnął skrzyżowanymi nadgarstkami z kolanem wspartym o oparcie krzesła z miękkiej, tłoczonej skóry. Garota nie przecięła jeszcze skóry urzędnika, choć zagłębiła się tak, że była ledwo widoczna; nie była to struna od pianina. Zaczęła jednak odcinać dopływ krwi i powietrza, a gdyby M'lewis użył wobec pętli całej siły ramion, to dokonałaby amputacji aż do kości kręgosłupa.

Chayvezowi oczy wyszły z orbit, a ręce macały bezsilnie z tyłu. Raj czekał, aż poczuł amoniakowy smród puszczonego pęcherza mężczyzny, a potem oparł się na obu rękach, pochylając do przodu.

*Korzyści płynące z posiadania dawnego bandyty wśród swoich zwolenników, pomyślał z goryczą. Parafia Bufford słynęła ze swoich koniokradów i zbójników nawet w nie bardzo przestrzegającym prawa hrabstwie Descott... a Antin M'lewis nabruździł sobie nawet w Bufford na tyle, że wojsko wydawało się lepszą propozycją. A mimo to, lojalny człowiek. Służba u Raja wyniosła go z *despoladho* do bogactw.*

Osobisty sekretarz urzędnika zaczął sięgać pod kurtkę. Był chłopakiem lat dziewiętnastu, ale jego dłoń poruszała się bardzo szybko. Gerrin Staenbridge wydawał się niemalże niespieszny w porównaniu z nim, jednak zanim skończył się długi świszczący dźwięk stali uderzającej o drewno, czubek jego szabli wbijał się w brodę młodzieńca. Pojedynczy krwisty punkcik pojawił się na oliwkowej skórze bez skazy, a potem ściekł powoli po wyciętych w stali rowkach. Staenbridge miał gruby nadgarstek, a jego ręka trzymała szablę równie nieruchomo jak w imadle, ale sekretarz zamarł.

– Dobry z ciebie gość – powiedział Staenbridge z czarującym uśmiechem. – W innych okolicznościach moglibyśmy być dobrymi przyjaciółmi. Teraz jednak, czy mógłbyś, proszę, wyjąć to, cokolwiek to jest, *dwoma* palcami, i przesunąć po stole do mnie? – Był to mały, czterolufowy pistolet o dużym kalibrze z rzeźbioną kolbą z kości zęba sauroida. – Doskonały gust.

Raj czekał beznamiętnie, aż stopy komisarza zaczęły szurać o dywanik z El Kebir. – Popuść odrobinę – powiedział. M'lewis posłuchał, a Raj przytknął swoją twarz do twarzy Chayveza, aż ich oczy znajdowały się w odległości zaledwie paru centymetrów. Urzędnik wciągnął kilka ostrożnych, pokaszających oddechów. A ciemny rumieniec zniknął z jego policzków.

– A teraz, Wasza Czcigodność – rzekł posępnie Raj – czy mnie słuchasz? *Czy rzeczywiście?*

Skinienie, szybko powstrzymane, gdy drut wbił się głębiej w ciało.

– Widzisz, Wasza Czcigodność, ja jestem żołnierzem. Jestem przyzwyczajony to tego, że jestem oszwabiany przez ludzi takich jak ty... albo nasz ukochany kanclerz. Ale *nikt* – absolutnie nikt – nie bawi się racjami ani wypłatą moich ludzi, jeśli tylko mogę coś na to poradzić. Mam do wykonania zadanie, dla Rządu Cywilnego Świętej Federacji i Ducha Człowieka Gwiazd i zrobię, co muszę

zrobić, aby je wykonać. Absolutnie wszystko. Zrozumiano?

– *Ci! Ci*, messer generale, tak, tak, podpiszę, zabierz go ode mnie, *pahvor*, proszę!

Na skinienie Raja M'lewis takim samym lekkim ruchem puścił garotę, przerzucając uchwyt z lewej ręki do prawej ostrym łukiem. A potem odsunął się ostrożnie w tył, machając drutem w powietrzu do przodu i do tyłu ze świszczącym dźwiękiem.

Chayves zakaszłał chrapliwie, masując gardło tam, gdzie okalała je cienka, czerwona kreska. Staenbridge cofnął szablę i ostrożnie wytarł jej czubek o rękaw, chowając ją do pochwy bez spojrzenia w dół. Oczy młodego sekretarza były równie spokojne jak jego dłonie, które otworzyły pudełko z przyborami do pisania i wręczyły swemu pracodawcy świeżo zanurzone w atramencie pióro. Dopiero wtedy młodzieniec wyciągnął z rękawa chusteczkę i przycisnął materiał do szczęki. Staenbridge uśmiechnął się, szczerząc zęby.

–

Zatrzymam to, dziękuję – rzekł, zabierając pistolet. Jego prawa dłoń spoczywała na kolbie rewolweru.

Komisarz podpisał dokument w trzech pustych miejscach zostawionych dla niego. Jego sekretarz ściągnął papierową, impregnowaną tłuszczem przykrywkę z dysku miękkiego wosku i przylepił go do pustego kółka w dole strony. Chayvez walnął w niego sygnetem z niepotrzebną siłą.

–

Zostaniecie tutaj ponad tydzień – powiedział. Z potrójną autoryzacją kanclerz Tzetzas nie mógł nic zrobić – to znaczy nic legalnego; a gubernator już jasno postawił sprawę, iż Raj Whitehall jest narzędziem, którego nikt inny nie może złamać. Sesar Chayvez będzie musiał po prostu błagać swego patrona o uznanie *force majeure*. Było nawet całkiem możliwe, że to się uda, jeśli dostatecznie pokryje straty ze swoich własnych funduszy. W końcu w mieście znajdowało się piętnaście tysięcy żołnierzy. Była to spora siła wedle wszelkich standardów.

–

O wiele dłużej niż tydzień – ciągnął komisarz. – Zarządcy ziemi Tzetzasa nie są pracownikami rządowymi. Będą bardziej myśleć o gniewie kanclerza niż o jakimkolwiek papierze, którym pomachasz im przed nosem. Jeśli pomachasz bronią, to lepiej bądź przygotowany do strzelania i wyjaśnienia *tego* Jego Wysokości.

Raj skinął głową. Posiadłości Tzetzasa będą prowadzone w zwykły sposób, wydzierżawione na pięć lat ludziom, którzy sami byli szlachcicami z pewnym majątkiem, mogącym dostarczyć kapitał roboczy i czerpać profity z różnicy pomiędzy dzierżawą a czystym zyskiem ze sprzedaży. Była to wariacja na temat systemu podatkowego od farm, jaką stosował Rząd Cywilny przy ściągnięciu swoich dochodów i tak jak on, system działał dość dobrze przy starannym nadzorze, gdy pilnowano, aby dzierżawca nie doprowadził posiadłości do ruiny dla szybkiego zysku. Tzetzas na pewno pilnował nadzoru. Nikt nigdy nie oskarżył kanclerza o bycie głupim albo leniwym i nikt przy zdrowych zmysłach nie współpracowałby w ogałacaniu posiadłości Tzetzasa. Nie, jeśli wiedzieli, co dla nich dobre. Będą nie kończące się opóźnienia... nie będzie też dobrze wyglądało wysłanie regularnych żołnierzy Rządu Cywilnego na łupieżcze wypadki przeciwko prywatnej własności kanclerza.

– Mam swoje własne metody – powiedział Raj, niemalże się uśmiechając.

– Wio, wio! – krzyknął woźnica. Woły pochyliły się w chomątach, a nie naoliwione drewniane osie zastękały.

Gerrin Staenbridge pochylił się na bok w siodle i jego pies skoczył w górę zbocza przy drodze. Długi sznur wozów ciągnął się, wijąc pomiędzy wzgórzami. Tutejsze, wysokie, rdzawo– brunatne trzylistne trawy falowały pod poskręcanyimi, małymi korkowymi dębami i srebrnolistnymi drzewkami oliwnymi, jakie ludzie sprowadzili tutaj półtora tysiąca lat temu. Droga z rowami po obu stronach i powierzchnią z ubitego żwiru wciniała się w niskie zbocze wzgórza. Żwir chrzęścił i strzelał spod okutych żelazem kół niemalże setki wozów, dwu i czterokołowych, ciągniętych czasami aż przez tuzin wołów. Gorące, suche powietrze miało mocny, zatechły zapach pocącego się bydła, pyłu drogi zgrzytającego w zębach oraz lanoliny i gówna z wielkiego stada owiec pędzonego ścieżką w dół zbocza.

Wozy były mocno obładowane utkanymi z sizalu workami z ziarnem, figami, suszonymi pomidorami i fasolą, ale nie było sensu odmawiać ludziom także odrobiny świeżego mięsa. Psy będą zadowolone z ochłapów i kości.

Posiadłości zmuszone do kontrybucji dostarczyły transportu, większość którego stanowiły standardowe, krzykliwe pomalowane wozy farmerskie. Mogli powlec bezwartościowe suchary Korpusu Ekspedycyjnego z powrotem, jeśli mieli ochotę. Świnie mogły to zjeść, jeśli będą wystarczająco głodne.

Staenbridge zagwizdał ostro i pluton żołnierzy oderwał się od podwójnej kolumny na końcu sznura wozów. Mistrz sierżant da Cruz i specjalny oddział podwójnie opłacanych ludzi trzymali się jednego małego wozu z opieczętowanymi, ciężkimi skrzyniami... a Barton prowadził pluton. Oficer poczuł znajome ukłucie winy na widok haka błyszczącego w słońcu. Foley nie wyruszyłby, aby podążyć za bębniem dobosza tak młodo, gdyby Gerrin nie...

*Wina to uczucie dobre dla sklepikarzy, powiedział sobie.*

Foley ściągnął wodze i zasalutował, uśmiechając się. *Był ślicznym chłopakiem, pomyślał Staenbridge, a teraz jest wyjątkowo przystojnym młodzieńcem i jeszcze bardziej nie można mu się oprzeć.* Psy zatrzymały się, żeby się obwąchać, lekko dysząc i machając swoimi przypominającymi bat ogonami. Obydwa były wyhodowanymi na farmie zwierzętami o nakrapianej sierści, spiczastym pysku i wysokości szesnastu stóp w kłębie. Każdy ważył około tysiąca funtów.

– Myślisz, że ci oporni będą gotowi zapłacić? – zapytał Foley.

–

Po tym jak przez tydzień gościli w domu oddział Skinnerów? – spytał Gerrin. – Mój kochany, będą pełni *entuzjazmu*. I lepiej, żebyśmy byli przygotowani.

Foley zwrócił się do żołnierzy. – Sierżancie Saynchez, przygotować karabiny, proszę. Składamy wizytę.

–

Ponie! – powiedział podoficer i obrócił się lekko w siodle. – Pluton, karabiny przy siodle w gotowości – *dobyć*.

Zabrzmiało rozliczny grzechot, gdy trzydzieści dwoje rąk powędrowało do karabinów w pochwach przy prawym kolanie, po czym błysnęło wypolerowane, brązowe drzewo i sinawe żelazo,

gdy wyciągano długą broń. *Slap*, gdy kolby pochyliły się w rękach żołnierzy trzymających wodze, a potem *czik–czak*, gdy prawy kciuk wbijano w dźwignię języka spustowego. To opuściło zamek, a jego wydrążona góra utworzyła „rampę”, po której palec mógł wepchnąć do komory ciężkie jedenastomilimetrowe ładunki, a potem *czak–czuk*, gdy dźwignie komory zamka zostały odciągnięte z powrotem do zamkniętej pozycji.

Foley obejrzał się do tyłu i pokiwał głową z zadowoleniem. Sierżant się wyprostował, a Gerrin zdusił uśmiech. Kiedy Barton był adiutantem, miał pewne problemy z ludźmi. Protegowany i chłopak ówczesnego kapitana Staenbridge’a miał ich niewiele od czasu, gdy wniósł ciało nieprzytomnego i krwawiącego Gerrina do lazaretu pod El Djem, i nie miał zupełnie żadnych od czasu, gdy stracił rękę i wygrał awans na polu bitwy i złoty order za odwagę pod Sandoralem.

– Pamiętaj, że odwiedzamy naszych *sojuszników* – powiedział młody oficer, odwracając się. Otworzył swój zegarek i kompas w jednym i wysunął rękę ku grzbietowi po lewej. Wiejska droga leżała w dolinie za nim.

Z tyłu sierżant wyszeptał chrapliwie – To oznacza twoją *dupę*, Hermanyez, jeśli wystrzelisz bez rozkazu.

Żołnierze oparli kolby karabinów na udach i kłusowali miarowo za oficerami. Pokonali grzbiet, wypłaszając z gniazd małe dactosauroidy, niewielkie stworzenia z łuskami–klejnotami, rozmiaru mniej więcej ludzkiej dłoni, ze skórzastymi skrzydłami i długimi, nagimi ogonami kończącymi się sterówkami w kształcie rombu. Jeden z nich przeleciał na tyle blisko twarzy Staenbridge’a, że oficer usłyszał, jak syczy i zobaczył miniaturowe kły w paszczy jaszczurki, gdy ta przechyliła się i skręcając pomknęła w dół z boku przed nim. Dactosauroidy zatrzymywały się, aby śmignąć ku owadom pobudzonym przez łapy kawalerii. Skrzydła błysnęły w górze i jastrząb z czerwonym ogonem zanurkował w dół i chwycił w powietrzu jedną z małych pseudojaszczurek.

*Oto metafora dla ciebie*, pomyślał Staenbridge.

*Jedziem z odsieczą przez gorące piaski pustyni,*

*Sześciuset Descotczyków, major z ludźmi swymi,*

*Hej! Spadaj, wole roboczy, słyszałeś, jak trąbka gra,*

*Drogą Drangosh nadjeżdża wojownicza Piątka!*

Żołnierze śpiewali dla zabawy oraz po to, by dać znać Skinnerom, że się zbliżają i że się nie boją. Melodia była wiejską przyśpiewką z hrabstwa Descott, wyryczaną przez trzydzieści mocnych, młodych głosów. Gdy jechali wiejską drogą, Staenbridge rzucił okiem w lewo na górski grzbiet Przylądka Kolobassa i westchnął lekko.

–  
Tęsknisz za domem? – zażartował Barton.

–  
Tylko wtedy, kiedy mnie tam nie ma – rzucił sucho Gerrin.

Tak naprawdę była to ładniejsza kraina niż większość Descott – krajobraz hrabstwa był często wspaniały, ale rzadko piękny – i o wiele bogatsza. *Kasgrane* Staenbridge’a, jego dwór, był kamienną stodołą w porównaniu z większością posiadłości, jakie odwiedzili tutaj. Rodzinne strony były

ponurą, wulkaniczną wyżyną, z rzadka porośniętą poskręcaną trawą, ze skalistymi pastwiskami, terenami pooranymi erozją, kanionami, rzadkimi górskimi lasami, a tu i ówdzie widoczne były spłachetki gleby namówionej do wydawania plonów przy pomocy nie kończącej się troski. Descotczycy żyli bardziej z hodowli bydła niż z uprawy roli i w znacznym stopniu z polowania – na dzikie bydło, wściekłe psy i tamtejsze zaciekle, czujne sauroidy. W Descott nie było żadnych miast oprócz stolicy hrabstwa, a ta była ulepszoną wersją wsi; nie było wiosek, ale porozrzucane gospodarstwa; żadnych wyrobników i niewielu niewolników. Rząd Cywilny nigdy nie dostawał za wiele podatków z Descott. *Produkowało* ono jednak mężczyzn takich jak ci, którzy jechali za nim – synów dzierżawców i *wakaro*. Twardych, niezależnych, urodzonych do siodła i strzelby. *I od czasu do czasu tęsknię za domem*. Czasami nawet tęsknił za żoną, a był mężczyzną, który przez większość czasu obchodził się całkiem dobrze bez kobiet.

– Skinner – odezwał się cicho Barton. Pochylił lekko głowę, wskazując zagajnik parasolowatych sosen o tysiąc metrów po lewej. Była to ogromna odległość dla karabinów ze zbrojowni, ale średnia dla wielkich strzelb do zabijania sauroidów, jakimi posługiwali się północni barbarzyńcy.

– Ach, ile bym dał za młode oczy – rzekł Gerrin.

Znajdowali się tam prawdopodobnie inni, których nie widzieli. Możliwe, że w odległości kilku metrów. Droga okolona była sięgającymi do pasa, pobielonymi, kamiennymi murkami i wysadzana drzewkami eukaliptusowymi, i schodziła w dół ku małemu jezioru powstrzymywanemu przez ziemną tamę. Staenbridge stanął w strzemionach i podniósł rękę powstrzymującym gestem, gdy pokonali ostatni zakręt i ruszyli drogą ku *kasgrane* posiadłości.

– Fiu, fiu! – zagwizdał cicho.

Wielkie, drewniane koło młyńskie przy tamie było poskręcaną, zwęgloną ruiną. Tak jak i drewniane budynki z dachówką, w których mieściły się: młyn zbożowy, młocarka do trzciny cukrowej i przędzalnia bawełny. Woda płynęła bez przeszkód przez młyński kanał, już wymywając ziemię z kamiennego koryta, pewnie też zalewając klinem zirygowane tereny rozciągające się w dole strumienia, jak tam, gdzie ziemia otwierała się ku wybrzeżu. Znajdujące się tam pola i sady były puste tak jak i położona na skraju głównego kanału, złożona z glinianych chat wioska wyrobników. Ci zniknęli, zanim przybyli Skinnerzy, zaganiając inwentarz na wzgórze...

Dwór przetrwał, w większości. Wszystkie okna zniknęły, poza odłamkami lśniącymi w bladym popołudniowym słońcu. Był to duży, kwadratowy, dwupiętrowy budynek postawiony wokół patio i zbudowany z pobielonej cegły obrośniętej bugenwillą. Większość została zerwana dla jakiegoś nieznanego celu barbarzyńców albo dla samej przyjemności niszczenia. Nad kilkoma oknami widać było pióropusze czarnej sadzy. Przed głównymi drzwiami, w ogrodzie, wykopano jamę, a nad nią na ogniu roznieconym z mebli piekł się cały byk. Na otwartej przestrzeni podjazdu z tuzin Skinnerów obnażonych do opasek lędźwiowych znęcał się nad kolejnym. Byk był pierwszej klasy zwierzęciem do walk, prawie tak wysokim w kłębie jak człowiek. Gdy żołnierze wjechali na podjazd, jeden z prawie nagich mężczyzn skoczył do przodu na spotkanie szarży, pohukując, przeskakując przez łeb z rogami i ponad zadem. Długi nóż błysnął mu w ręce, gdy wylądował, a zwierzę wydało ryk bólu, gdy przecięto mu ścięgna. Śmiejąc się, pozostali ruszyli, aby rozebrać go żywcem, gdy jeszcze się rzucał, radując się z jego szamotaniny i z tego, że jednemu z nich róg wbił się głęboko w udo.

Kilku Skinnerów rozwalonych wokół otwartej przestrzeni podniosło wzrok. Byli zajęci różnymi rzeczami, spaniem albo robotą przy swojej broni, graniem w różne dziwne gry z kamykami i



wyrysowanymi na ziemi planszami albo spólkowaniem ze zbieraniną zastraszonych kobiet, dziewczyn i chłopców z dworskiej służby. Ich psy głównie spały, ogromne, z opadającymi uszami, śladami po uzdach i pochylonymi smutno łbami. Kilka uniosło pyski i zawarczało ostrzegawczo w stronę wierzchowców kawalerii.

– Wkroczyć, proszę – powiedział Foley do sierżanta plutonu.

–

W szeregu – tempem spacerowym marsz, *stać* – warknął podoficer. Pluton rozdzielił się na dwie kolumny po dwóch żołnierzy z każdej strony, zatrzymując się zgrabnie w podwójnym szeregu za oficerami, stając twarzą w twarz ze Skinnerami. Ci zarzynający prawie nie podnieśli wzroku. Stanowili skupisko lśniących krwią postaci redukujących rasowe zwierzę do walk, warte

tysiąc FedKredytów, do poszarpanych kawałków. Jeden z leżących Skinnerów podniósł się, drapiąc z werwą po pośladkach i sikając na stertę gobelinów. Wystudiowanie swobodny, poprawił opaskę lędźwiową i zapalił fajkę przed podejściem do beczułki brandy i podstawieniem głowy pod odszpuntowany koniec. Podniósł się parszkając, wypluł, pociągnął sporo, a potem podniósł z ziemi poobijany złoty kubek i napełnił go po brzegi.

–

Eh, punie–mężczyzno – zawołał, podchodząc do miejsca, gdzie Gerrin kazał usiąść psu, odkopując na bok potrzaskany kryształ, stratowany materiał, ludzkie odchody, kości i psie gówna. – Dlaczego nie zabić teraz was wszystkich, eh?

Stał, szczerząc się w uśmiechu w odległości ramienia. Był to Skinner Bekwa, z czterocalowymi zębami sauroida przewleczonymi przez małżowiny uszne, z twarzą będącą masą blizn, niektórych rytualnych, i ze skrzyżowanymi na piersi pasami z ogromnych mosiężnych łusek. Zwierzęcy uśmiech na jego płaskiej twarzy ze skośnymi oczami ukazał dwa spiłowane na spiczasto siekacze. Nawet przy porażającym nos zapachu podwórza, dało się wyczuć zjełczałe masło, którym miał posmarowaną skórę i ogoloną czaszkę. Lok na skapie, w który wplecione były diamenty, rubiny i kawałki zgniecionej złotej biżuterii, odskoczył mu na karku.

*Przynajmniej mówi trochę po spongijsku*, pomyślał Staenbridge, pochylając się i biorąc kubek, pociągając łyk i wypluwając go na stopy Skinnera.

–

Skąd wzięłeś te psie szczyny? – powiedział. Tak naprawdę była to doskonała brandy, ale trzeba było zachować się uprzejmie. – Pluję tym na grób twojej matki, maciory, ty jebaczu trupów. – Wypił resztę, pozwalając odrobinie wycieknąć z kącików ust, zmiażdżył puchar w pięści i rzucił go przez ramię.

Skinner uśmiechnął się szerzej. – Masz jaja *cum pomme*, jak jabłka, punie–mężczyzno – powiedział, klepiąc się po piersi – *Moi... ja... Pai–har Tradaw, fils d’Puhplesi, shef bukkup* – wielki wódz. Ty kto, czego chcesz?

–

Gerrin Staenbridge i przynoszę ci wiadomość od *shefde–towt*, wielkiego wodza wodzów, Raja. On mówi, co byście podnieśli swoje bezużyteczne dupy, zeszli do statków – płyniemy walczyć.

– Ach, Raj – on *mai cum nus*, on zły jak my! – Twarz wodza prawie że pękła od uśmiechu.

–

Wieszać, strzelać – cały czas zabijać! Jechać, zrobić wielkie *thibodo*, zabić dużo.

Wciąż się uśmiechając, odwrócił się i pozwolił dwumetrowej strzelbie osunąć się z ramienia. W tej samej chwili jego dłoń spuściła krzyżak podpórki strzelniczej i ciężka broń opadła na niego zgrabnie. Wystrzelił, nie zadając sobie trudu, żeby podnieść broń do ramienia i dwieście metrów dalej żelazny kurek na dachu zadźwięczał jak dzwon i zaczął wirować zamazaną plamą. Długa lanca ognia z lufy karabinu dźgnęła w niebo i zanim szaro-biały dym uniósł się na wysokość dachu, Skinnerzy ruszyli. Mężczyźni się podnieśli, pochwycili worki z łupami i wskoczyli na grzbiety swoich psów. Zabijający byka zatrzymali się na chwilę, żeby wrzucić bryły surowego mięsa w skórę zwierzęcia i zwinąć ją, zanim dołączyli do reszty. Wielkie psy Skinnerów przeskakiwały przez niski murek ogrodu, gdy do środka wlewali się wartownicy i zwiadowcy. Cztery minuty po strzale trzydziestu Skinnerów przekotłowało się przez bramę posiadłości, galopując z łomotem, wrzeszcząc przeraźliwie i strzelając w powietrze.

–

Mamma, nie łobaczysz czegoś takiego, wracając drogą z targu Blayberry – powiedział sierżant z lekkim podziwem w głosie. – Rozkazy, ponie?

–

*Allya waymanos* – powiedział Foley, wszyscy ruszać. – Zbierzcie psy na tym wybiegu. Nie warto tracić czasu na sprzątanie tutaj.

Zsiadł z siodła i podszedł do jednej z kobiet, wciąż skulonej i leżącej na kocu. Jej zaniedbane włosy przylegały cienkimi kucykami do ramion. Uciekła w tył z wraskiem, zobaczywszy gest haka.

–

Ciii, *danad malino nayw, machacha* – powiedział kojąco. Już wszystko dobrze, dziewczynko. – Nie zrobię ci krzywdy. Skinnerów już nie ma, rozumiesz? Nie ma.

Zaczerwienił się z zażenowania, gdy na kolanach posunęła się do przodu i pochwyciła go za rękę, całując gorączkowo.

–

*Przestań* – rzucił stanowczo, postukał ją delikatnie w czubek głowy tępą krawędzią swego haka. – A teraz, idź, znajdź swojego pana – można się było bezpiecznie założyć, że cała służba domowa wiedziała, gdzie nadzorca zabrał zapasy i pieniądze z posiadłości – i powiedz mu, że pojechali i nie wrócą, *jeśli on zejdzie na dół i będzie współpracował. Comprene?* Rozumiesz?

Minęło parę minut zanim zrozumiała; a potem owinęła się kocem i wybiegła przez bramę i pobiegła w górę ścieżką na wyżej położone wzgórza za oliwkowymi gajami.

Foley poszedł z powrotem do swojego psa, potrząsając głową. – To obrzydliwe – powiedział cicho ze zmartwieniem na twarzy. – Nie lubię oglądać, jak tak źle traktują kobiety, nawet jeśli ja sam niezbyt ich potrzebuję.

– Żeby Fatima nie usłyszała, jak tak mówisz, mój słodki – uśmiechnął się, szczerząc zęby Gerrin. – Już i tak trudno ją opanować. Przy następnej kampanii *zdecydowanie* zostawiam ją w Descott z żoną. We dwoje wykończycie takiego starego człowieka jak ja.

–

Och, ona jest wyjątkiem – powiedział Foley, unosząc stopę ku strzemieniu.

—  
Toteż nie pozwól, żeby to usłyszała.

Młodszy mężczyzna parsknął śmiechem, a potem rozejrzał się wokół po zniszczeniach. – Nie zdawałem sobie przedtem sprawy, jak prawdziwe były te opowieści o Skinnerach – powiedział. Przybywający morzem najeźdźcy skinnerscy z północy Morza Piersona wylądowali w hrabstwie Descott jakiś wiek temu, a wciąż opowiadano historie. Prawdopodobnie opowiadano je także na północnych stepach, bowiem uciekło tylko pół tuzina rannych, którzy przeżyli i od tego czasu nikt już tego nigdy nie próbował. Poza tym Skinnerzy wybili wszystkich mieszkańców starych północnych miasteczek przybrzeżnych, które kiedyś dostarczały statki i żeglarzy.

—  
A to jeszcze nie wszystko – powiedział, muskając tyłem dłoni policzek drugiego mężczyzny i wskakując jednocześnie z powrotem na siodło. – A przy okazji, mój kochany – dobra robota. Skinnerzy zachowują się tak, kiedy się dobrze zachowują. – Jego oczy przypatrywały się zniszczonemu domostwu.

—  
Kiedy byłem świeżo upieczonym chorążym, mniej więcej w twoim wieku, byłem w północno–zachodnich prowincjach, w pobliżu Byrgez, kiedy zdarzył się paskudny najazd. Skinnerzy walczą jak diabły wcielone... ale jest jeszcze gorzej; gdziekolwiek się udadzą, niosą śmierć i przyrodzie. Palą lasy, zatrują studnie i rozbijają kanały irygacyjne, bo potrafią żyć w całkowitej dziczy, a nikt inny tego nie potrafi. W porównaniu z nimi Brygada to umartwione siostry, a Oddani to gromada dobrotliwych towarzyszy.

—  
A co z Eskadrą? – spytał Foley, po czym uśmiechnął się i pochylił, na sekundę przytulając się do dłoni Gerrina.

—  
Eskadrowcy, moje serce, to źródło wszelakiego zła.

—  
Czemu?

—  
Bo będą próbować nas zabić. W porównaniu z tym Skinnerzy wydają się gruchającymi gołąbkami. Wracamy na statki. Wyspa Stern czeka.

## Rozdział szósty

– Świnko! Ciu–ciu–ciu! Chodź do tatusia, świnko, tatuś cię kocha – łapać go, chłopaki! – zawołał sierżant Hallersen M'kintock, z naciskiem, ale nie głośno. Była to pierwsza szansa na świeże mięso, od kiedy wylądowali tego ranka, a on nie zamierzał jej zmarnować.

– Był to młody, spory świniak, na poły zdiczały i podejrzliwy w stosunku do dziwnie pachnących ludzi. Zwierzak skręcił i pomknął przez zarośla, trując miejscowe sukulenty i pozostawiając trop jak bergamotka. Pies do jazdy z wodzami przerzuconymi przez kulę siodła podniósł się, stając mu na drodze i rzucił się na niego, zatraskując swoje półmetrowe szczęki z dźwiękiem, jakby zamykały się mokre drzwi. Kwicząc w panice, świniak obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i rzucił do ucieczki. Dwaj żołnierze poskoczyli ku niemu. Jeden wylądował twarzą w kolczastym krzewie, a drugi na tylnych racicach świni. Podniósł się, stękając z wysiłku, z ramionami obejmującymi zwierzaka w połowie. Przyłączył się kolejny żołnierz i zrećnie pochwycił świnię za ucho, unikając wściekłego kłapnięcia, i wbił jej trzymany w ręce bagnet pod szczękę. Zwierzę zaczerpnęło świszczący oddech, kopnęło kilkakrotnie i zdechło.

Pozostali szczerzyli się w uśmiechu, pomagając swemu nieszczęsnemu kompanowi wydobyć się z organicznego drutu kolczastego. Krzew zaszeleścił jeszcze bardziej, gdy kilka sauroidów wielkości kurczaka} z krótkimi rogami na nosach i pierzastymi pasami na przednich łapach umykało spod miotającego się ciała.

– Lepsze niż cyrk, Halfons – rzucił jeden z żołnierzy.

–

Saynchez. Ty i Smeeth wykrwawta go i wypatroszta – wtrącił sierżant, rzucając okiem na słońce przez gałęzie *maquis*. Jeszcze około czterech godzin, zanim ich zlużują... – Carmanaz, nakarm psy ochłapami i znajdź no tam ździebko dzikiego czosnku i zieleniny.

Halfons Carmanaz był rekrutem prosto z hrabstwa, zaciągniętym zaledwie na parę miesięcy przed tym, jak Korpus Ekspedycyjny opuścił Wschodnią Rezydencję.

–

Nie zmarnujesz krwi i bebeczków, sierżancie? – powiedział, ocierając podrapaną i zakrwawioną twarz, i gapiąc się na podoficera. Zwiesił głowę, kiedy pozostali żołnierze się zaśmiali.

– Nie jesteś w domu na pieprzonej farmie twojego papy, Carmanaz, ty jebaczu owiec – wyjaśnił cierpliwie sierżant. – I nie ma tu też twojej mamusi, co by nam zrobiła kaszankę i flaczki.

–

Tam–ta–tam – zanucił Billi Saynchez, zdejmując niebieską kurtkę i znajdującą się pod spodem szarą, bawełnianą koszulę. Wyciągnął z buta krótki nóż o podwójnym ostrzu – bagnet był długi jak przedramię, o wiele za długi do zarzynania – i zrobił dwa ukośne cięcia przez gardło świni, gdy jego towarzysz przeciągnął rzemień przez jej kostki i podciągnął w górę na gałęzi, odwracając na bok, żeby uniknąć pierwszego potężnego strumienia krwi.

–

Powiedz no, sierżancie, co to w ogóle za miejsce? – spytał, wykonując długie cięcie od

odbytu aż po szyję. Było to przyjemne, swojskie zajęcie. Żołnierz pochylił się, żeby naostrzyć nóż o kieszonkowy kamień do ostrzenia, zanim dokonał kolejnego cięcia. *Przypomina mi to ubój*, pomyślał z nostalgią. Papa i bracia wpadający w mroźny poranek do zagrody i chwytający świnie przeznaczone na rzeź. Mama i siostry przynoszące wielkie gary z wrzątkiem do oparzania, psy szczekające w stajni, gdy poczuły krew...

—  
—  
—  
—  
—  
To tutaj to wyspa Stern – powiedział sierżant.

—  
—  
—  
—  
—  
Te barbarzyńcę z Eskadry nią rządzą?

—  
—  
—  
—  
—  
—  
*Nao*. Inna gromada niewierzących w Ducha, Brygada. Przyjaźni poganie, ano, a przynajmniej tak gadojom El–Tee. W każdym razie oni nie lubią za bardzo Eskadry. Odpocznimy tu i odnowimy zapasy, ano. Kupimy rzeczy. Może z tydzień. A potem płyniemy dalej i bierzemy się do walki.

—  
—  
—  
—  
—  
—  
Mówią, że te barbarzyńcę, Eskadrowcy, wszystkie wariują z żądzy krwi i *jedzą jaja* swoich więźniów – powiedział Carmenaz.

—  
—  
—  
—  
—  
—  
Pozostali się zaśmiali. – Nie pietrajcie się, wszystkie barbarzyńcę zginą, jak w nich strzelita z waszych pukawek – powiedział Billi, wsadzając palce pod skórę i oddzielając ją od warstwy tłuszczu. – Hej, sierżancie – myślisz, że tam bedom kurwy?

—  
—  
—  
—  
—  
—  
A co tobie do tego, Śnieżynko – zaczął sierżant; a potem nadeszło wołanie, jak świergotanie dactosauroida. To jeden z wartowników.

—  
—  
—  
—  
—  
—  
*Scramento* – powiedział sierżant, nurkując po swój karabin i hełm. Połowa oddziału ukryła się wzdłuż grani, tam, gdzie złapali świnie. Pozostali podążyli za M’kintockiem w dół zbocza. Ich psy przyszły do nogi i pokłusowały zdecydowanie za swoimi panami przez zarośla, a potem przez brzoskwiniowy sad, aż teren się wyrównał. Znajdował się tam stary kanał irygacyjny wyłożony kamieniem, całkiem nieźle utrzymany, z pluskającą chłodną wodą ze źródła leżącego kilometr na południe. Droga biegła na zachód od niego przez gaj pomarańczowy, ośmiometrowym zakrętem zrytego koleinami traktu pokrytego gdzieniegdzie żwirem.

—  
—  
—  
—  
—  
—  
Sierżancie – powiedział żołnierz siedzący na czubku jednego z drzew. – Zbliżają się jeźdźcy. Z pięćdziesięciu albo i cosik więcej, jadanie chowając się, ano.

—  
—  
—  
—  
—  
—  
Żołnierze ustawili się po obu stronach drogi, zajmując pozycje strzeleckie za głazami z tufu, rozsianymi na miękkiej wulkanicznej glebie, z psami przycupniętymi z tyłu. Sierżant M’kintock przewiesił karabin przez ramię i dobył szabli, czekając na środku drogi.

—  
—  
—  
—  
—  
—  
Jesteś chlubą hrabstwa – zawołał do obserwatora. – Smeeth, jedź zawołać El–Tee. To mają być dobre barbarzyńcę. Więc jak jakiś gnojek wystrzeli, zanim mu powiem, to mu tym wytnę nową dziurę w dupie. – Pomachał ze świstem ostrzem w przód i w tył.

—  
—  
—  
—  
—  
—  
A co, jeśli to nie są przyjazne barbarzyńcę? – spytał Carmanaz, nerwowo poruszając kurkiem karabinu i oblizując palec, żeby zmoczyć celownik.

M'kintock zamruczał i strzyknął śliną w bok. – Wtedy poznają cenę jaj chłopaków z Descott, co? Zamknij jadaczkę.

\* \* \*

– Jak ci się udaje utrzymywać posterunki w takiej czujności, majorze? – spytał regionalny dowódca Boyce. – Nie widziałem tych ukrytych, aż zatrzymał nas ten sierżant.

– Dyscyplina i ciągłe czuwanie – odparł Kaltin Gruder. Kiedy nie było prawdziwego niebezpieczeństwa, czujność na wypadek inspekcji. Nie trzeba było oczywiście wspominać o tym przywódcy Brygady.

Dalej w kolumnie jeźdźców jeden z wielmoży Brygady wymruczał coś w nameryjskim. Coś o *niehonorowym chowaniu się jak bandyci*. Prawdopodobnie nie spodziewał się, że oficer Rządu Cywilnego zrozumie jego język. Niewielu ludzi nie będących członkami Brygady rozumiało, a członkowie zwykle porozumiewali się ze swoimi cywilizowanymi podwładnymi w spanjolskim, który był wspólnym językiem prowincji opanowanych przez Rządy Wojskowe i wciąż stanowił drugi oficjalny język Rządu Cywilnego. Kaltin Gruder mówił po arabsku, spanjolsku nameryjsku, liznał też nieco starego nameryjskiego, neosawhil i afraantu. Był to drobny talent, jak zdolność do szybkiego nauczenia się żonglerki.

Obrócił się lekko w siodle. Jakies pięćdziesiąt jaskrawo ubranych postaci za nim miało tylko ceremonialną broń, wielu zabrało żony, a trzydzieści batalionów żołnierzy Rządu Cywilnego w Korpusie Ekspedycyjnym miało sporą przewagę ogniową nad czymkolwiek, czym Brygada dysponowała na wyspie Stern. Zakładali – i słusznie – że Rząd Cywilny *nie* chce jeszcze wojny z panami Starej Rezydencji. Albo to przypuszczenie było trafne i byli bezpieczni, albo też było nietrafne – a wówczas nie przyda się nic poza posiłkami z Koszar w Carson. A Koszary w Carson znajdowały się o ponad miesiąc drogi morzem.

Gruder omiół wzrokiem szereg gości, otoczonych po bokach dwoma podwójnymi kolumnami żołnierzy Siódmego. Poza językami istniały inne sposoby porozumiewania się... Oficer wiedział, że patrzyli na jego twarz. Nie, żeby blizny były bardzo drastyczne, rzucała się tylko w oczy siateczka białych kresek sięgających od wysokiego kołnierza mundurowej tuniki przez policzek aż do włosów. Jedna z linii wciniała się małą literką „V” w dolną wargę. Nic bardzo strasznego, choć przedtem był mężczyzną o kwadratowej szczęce, przystojnym na descotyjską modłę. Wciąż taki był, jak mu mówiono; a przynajmniej kobietom się podobał, choć zwykle kobietom innego pokroju niż przedtem. Jednak zawsze się rumienił, kiedy ludzie patrzyli na blizny, a to sprawiało, że były jeszcze bardziej widoczne pomimo jego naturalnej karnacji twarzy koloru oleistego drewna. Przypomniało mu to, jak jego brat się rozglądał, a potem salwa z pompoma rozwalila mu klatkę piersiową...

Znalazło to odbicie na jego twarzy, odbicie, jakie znał już teraz całkiem dobrze. Jego oczy napotkały spojrzenie jednego z oficerów Brygady i mężczyzna odwrócił wzrok. Nagle zdał sobie sprawę, że względy geopolityczne nie odnosiły się koniecznie do *niego* osobiście.

*Cóż, musiał być idiotą albo być całkowicie niedoświadczony, żeby powiedzieć coś takiego*, pomyślał Gruder, odwracając się z powrotem. Brygada nie doświadczyła tutaj w okolicy żadnych poważnych walk od ponad pokolenia, ale tak właściwie to przychodzili mu na myśl również

bezmózgowi arystokraci Rządu Cywilnego. Niektórzy z nich byli z Korpusem.

Dowódca Boyce zauważył tę krótką rozgrywkę na boku i przez chwilę zacisnął usta w cienką linię. Boyce był dyplomata. *Nie zazdroszczę temu gadule*, pomyślał z ironią Gruder. – Wkrótce powinniśmy zbliżyć się do naszej okolicy – powiedział na głos.

Eskorta wyjeżdżała ze wzgórz stanowiących kręgosłup zachodniego przylądka wyspy Stern. Tutaj, na północnym brzegu, znajdowali się bliżej wybrzeża. Zatoka Wager leżała dziesięć kilometrów stąd na południu, piękna, naturalna zatoka i największe miasto na szerokich, nadbrzeżnych równinach. Na północy zalesione wzgórza przechodziły w przypominające step serie płaskowyżów. Część z nich pokryta była mieszaniną jemioli i kolczastych zarośli, a część sadami uprawnymi.

Słońce południa było gorące i pot przemoczył mu pachy i spływał po plecach. Płynąc, Korpus Ekspedycyjny posuwał się na południe, w lato. Słońce wyprażało żywiczny zapach z parasolowatych sosen wzdłuż drogi, lawendę i zapach przypraw z rodzimej roślinności Bellevue. Różne formy życia nie przestraszone przez psy do jazdy ani przez ludzi trzepotały skrzydłami albo pogwizdywały, albo posykiwały...

W delegacji dało się słyszeć poruszenie, pomruki, gdy zjechali serpentyną w dół ostatniej skarpy i po raz pierwszy zobaczyli obóz.

– Mówisz, że jak długo tu już jesteście? – spytał Boyce, a potem sam sobie odpowiedział, machnięciem ręki pokazując, że pytanie było retoryczne. Mniej niż dwadzieścia godzin. – Nie próżnowaliście.

Gruder skinął głową. Celem nie było zrobienie wrażenia na tubylcach, ale było to pożytecznym produktem ubocznym. Prawie całe siły znajdowały się na brzegu, mniejsze transportowce zostały wyciągnięte na szeroką, łagodnie zakrzywioną plażę, pozostałe zakotwiczone w zatoce, a za nimi w szeregu znajdował się tuzin parowych okrętów wojennych. Na brzegu wznosiły się namioty, w surowo regularnych szeregach wzdłuż ulic obozu, zgrupowane kompaniami i batalionami, a w każdym mieściło się ośmiu ludzi. Szeregi psów rozciągały się w nieskończoność, równie schludne, szczekając gromko, gdy wynoszono wieczorne koryta z żarciem. Artyleria stała na wschodnim krańcu obozu – trzydzieści dział, jedno za drugim, z jarzmami dla zaprzęgów wyłożonymi w gotowości. Rów, wał ziemny i okop strzelniczy biegiły dookoła, a na ulicach i na szerokiej, stratowanej przestrzeni za główną bramą widać było grupy mężczyzn maszerujące albo jadące w formacjach.

Targowisko znajdowało się na zachodzie, za sznurowymi barierkami i nawet ono było nieźle zorganizowane pod czujnym okiem żołnierzy z opaskami *guardii*. Kaltin wiedział, że to robota Muzzafa. Komarianin potrafił dokładnie powiedzieć, jak bez zbytniego zamieszania przekonać kupców do zrobienia tego, co chcieli. Już napływały całe wozy świeżych produktów rolnych, kręciły się stada zwierząt rzeźnych, a z przybrzeżnego szkunera wyładowywano worki z mąką i warzywami.

Większość ludzi z Brygady wyglądała, jakby była pod *dużym* wrażeniem.

Dzięki niech będą awatarom Ducha, że nie widzieli pierwszych paru obozów, pomyślał, odchylając się w siodle, gdy psy pokonywały resztę zbocza. Gówniany chaos.

– Zbliżcie się i przedstawcie!

– Major Gruder i eskorta, z czcigodnym messerem dowódcą Boyce'em i jego grupą – odparł Kaltin. Oficer na warcie zasalutował szablą, a mężczyźni opuścili broń.

–  
Przejdź, przyjacielu.

–  
Co robią ci ludzie? – spytała żona Boyce'a, wskazując na szerokie ściernisko pola.

–  
Musztra, psze'pani – powiedział Gruder, uśmiechając się szeroko. Kobieta była zbudowana jak beczka z winem i ubrana w niesamowicie przezroczystą tkaninę, teraz nieco przykurzoną. Jechała na smukłym, małym afganie, oddychającym ze świstem od upału i ładunku.

–  
Myślę, że to kolonialny kontrmarsz. – Menyez nadzorował go na swoim długonogim wierzchowcu.

Paru bardziej wojowniczych członków Brygady przyglądało się nie tylko z czystej ciekawości. Dwa bataliony piechoty maszerowały szybkim krokiem w takt bębna poprzez pole do musztry z karabinami przyciśniętymi do piersi, poruszając się równolegle do drogi w prostokątach szerokich na czterech mężczyzn i długich na stu pięćdziesięciu. Dwieście stóp uderzało jednocześnie o ziemię, wydobywając dźwięk, który grzmiał na ziemi jak i w powietrzu. Sztandary na czele każdej jednostki schowane były w cylindrycznych skórzanych pokrowcach, ale Gruder rozpoznał 17 Piechoty z Kelden i 55 Karabinierów z Santanerr. Oficer uśmiechnął się do siebie. Jorg Menyez bezlitośnie ćwiczył piechurów – był to prawdziwy szok po latach sennych garnizonów, gdzie niewiele się po nich spodziewano. Co dziesiąty oficer uciekł ze służby i jeszcze drugie tyle zrezygnowało ze swoich przydziałów. Raj stwierdził, iż szkoda, że nie mógł zrobić tego samego z niektórymi z jednostek kawalerii – ale ich dowódcy mieli na to za dużo wpływów.

Zabrzmiały trąbki i zagrały bębny. Kolumny szły jedna za drugą, w regularnych odstępach. Teraz czoło każdej skręciło ostro ku drodze, tworząc „L” kurczące się u jednego ramienia i wydłużające z drugiego, aż cały batalion posuwał się pod kątem prostym do swego pierwotnego kierunku. Oczy Grudera zwężiły się. Siedemnasty robił to z precyzją maszyny, człowiek w środku maszerował w miejscu, gdy ten na zewnątrz wydłużał krok, ale Pięćdziesiąty miał problemy, nie trzymał odległości, odchyłał się w bok i gubił szyk. Więcej problemów ujawniło się, kiedy trąbki zabrzmiały znowu i kolumny rozdzieliły się, tworząc „T”, podwójne szeregi odrywały się pod kątem prostym od grupy flagowej. Miało to ustawić cały batalion w podwójnym szeregu ze sztandarem w środku... ale nie wówczas, gdy ludzie zapomnieli, w którą stronę mieli się odwrócić, co, o wstydzie, przytrafiło się kilku z Pięćdziesiątego Piątego.

–  
*Stać!* – Bębny ucichły.

–  
Na prawo – patrz!

Teraz dwa bataliony stały twarzami do drogi.

Menyez przejechał powoli wzdłuż szeregu, od prostego jak linijka Siedemnastego do



wybrzuszono i nierównego szeregu Pięćdziesiątego Piątego. Wreszcie przemówił.

–

Żołnierze... ludzie z 55 Karabinierów z Santanerr. Jestem wami rozczarowany. – Wskazał na lewo, na Siedemnasty. – *Tak* się to robi dobrze. – Jego ramię powędrowało z powrotem. – Tak się tego *nie* robi.

W szeregach podniosło się szemranie, które urosło niemalże do jęku, gdy Menyez dał znak i grupa flagowa Pięćdziesiątego Piątego wystąpiła do przodu i oddała oddziałowi dowódcy drzewce ze zwiniętym sztandarem. Menyez wyciągnął rękę i lekko dotknął drzewca.

–

Otrzymacie go z powrotem, kiedy na niego *zasłużycie*. Siedemnasty może powrócić do swoich kwater.

Grupa flagowa Siedemnastego postąpiła pięć kroków do przodu, odwróciła się zgrabnie w prawo i ruszyła, maszerując wzdłuż szeregu. Gdy dotarli do jego końca, odwrócili się, a za nimi podwójny szereg ludzi, zginając formację w literę „U”. Kiedy dotarli do przeciwległego końca szeregu, batalion ponownie stanowią formację czwórkową, wykonał dwa ostre skrety, wchodząc na drogę i pomaszerował z powrotem do obozu, Jorg Menyez pogonił zwierzę ku grupie Brygady, szczerząc się w uśmiechu pod pokrywą pyłu.

Za nim zadźwięczał donośny ryk z przeciągającym samogłoski akcentem hrabstwa Kelden. – NA CHOLERNE KRWAWIĄCE RANY UMĘCZONYCH AWATARÓW, CZY MATKI MUSZĄ WAS WCIAŻ TRZYMAĆ ZA FIUTY JAK SIKACIE? A TERAZ ZROBIMY TO ZNOWU, DZIEWCZYNKI, I TYM RAZEM...

– Kaltin – powiedział, uśmiechając się Menyez. Skinął głową w kierunku miejsca, gdzie nieszczęsny Pięćdziesiąty Piąty próbował znowu ustawić się w formację i obywał się bez obiadu, żeby to zrobić. – Pożyczyłem im mistrza sierżanta Tobola. Nie są szczęśliwi, ale posiada on magiczny wdzięk pozwalający mu lepić karabinierów z błota.

Kaltin dokonał prezentacji. Menyez skinął dosyć przyjacielsko, strzepując pył ze swojej tuniki.

– Idę się wykapać – rzekł wreszcie. – Do zobaczenia na przyjęciu u messera Raja.

Gruder zauważył lekkie zaskoczenie Boyce’a. Ciekawe, że złapał tę lingwistyczną subtelność. Był to sposób zwracania się, jakim mógł posłużyć się stary rodzinny służący, mówiąc

o młodym paniczku, a nie inny członek wyższych sfer. Teraz podchwyciło to już całe wojsko. *Messner Raj ci pokaże albo spróbuj podskoczyć messerowi Rajowi, a sprawi, że pożałujesz i na dupie nie usiądziesz.*

Uśmiechnął się. Raj oczywiście tego nie znoślił.

\* \* \*

Groch z kapustą, pomyślał z obrzydzeniem Raj. Co za strata czasu.

Szybko jednak przybrał obojętny wyraz twarzy. Boyce był *bardzo* bystry jak na barbarzyńcę. Właściwie to nie był wcale barbarzyńcą, pomimo ortodoksyjnej skórzanej kurtki z frędzlami, brody i ogromnego miecza. Oczywiście obecność Brygady na wyspie Stern była zawsze skromna. Ponad połowa wielkich szlach, które przywiózł ze sobą Boyce, należała do starej szlachty. Były to rodziny,

które rządziły, zanim Brygada przejęła Zachodnie Terytoria od Rządu Cywilnego. Także większość członków Brygady nie była tymi legendarnymi, ogromnymi blondynami; ale obecnie rzeczy miały się tak nawet w Koszarach Carson. Większość mieszkańców z zachodnich prowincji posługujących się spanjolskim była bardziej jasnoskóra niż ci mówiący po sponglijsku z obszarów Wschodniej Rezydencji. Członkowie Brygady zdawali się być tutaj tylko trochę wyżsi i jaśniejsi. Raj podejrzewał, że wielu z nich rozmawiało w domu po spanjolsku, a po nameryjsku tylko na oficjalnych zgromadzeniach.

Eskadra będzie bardziej podobna do surowych północnych początków.

—

Byłem pod wrażeniem twego obozu, generale – powiedział Boyce. – Niemal równie mocno jak sposobu, w jaki udało ci się nas tak wystawnie ugościć, podczas gdy miałeś tak mało czasu na przygotowania.

Wykonał gest z kieliszkiem wina w jednej ręce i kanapką w drugiej.

—

To głównie zasługa messy Whitehall – powiedział Raj, pociągając ze swojego własnego kieliszka.

Była to *slyowtz* z Hillchapel, śliwkowa brandy z posiadłości Whitehallów w hrabstwie Descott. Należało ją popijać, ale miejscowi obalali ją dość szybko. Rzucili się też na bufet, a ten i ów z Brygady powrócił do pierwotnego stanu i pochwycił pieczeń w dłonie, zaś cywilni wielmoże odsunęli się na bok z przerażeniem na twarzach. W zatoce znajdował się tylko jeden odpowiedni budynek, mały dworek należący do cywila, nie-Brygadzisty, właściciela ziemskiego. Czar Suzette, ogłoda Wschodniej Rezydencji i znaczny uścisk pełnej złota dłoni przekonały go do wynajęcia domu i odwiedzenia mieszkających gdzie indziej krewnych. Służba Suzette i służący z dworku rozłożyli jedzenie na patio, dekorując je draperiami, gobelinami i dywanikami z Al Kebir. Kute, żelazne kraty wrót obramowywały szeroki krąg plaży i dawały widok na morze, gdzie księżycy rzucały dwie błyszczące ścieżki po wodzie, gdy słońce zmierzało ku popołudniowi.

Oddział kawalerii przejechał plażą, wyruszając na patrol z kolbami karabinów spoczywającymi na udach. Raj się uśmiechnął, zobaczywszy, jak wzrok Boyce'a pada za jego wzrokiem.

– Tak – powiedział wódz, odwracając się. – Z pewnością postawiła w cieniu tutejsze damy.

Suzette zabawiała towarzystwo, a z pół tuzina wielmoży oraz wyglądający na zadowolonego z siebie administrator Berg walczyło o jej uwagę. Była w pełnym dworskim stroju, białej spódnicy z *torofibu* z białym wzorem, rozciętej z przodu i upiętej do tyłu, aby pokazać błyszczące metalicznie, wyszywane rajtuzy oraz platynowo–diamentowe siatki na sandałach. Pas wysadzany był srebrem, a kurtka bolero wykonana ze złotej materii z rubinowymi smokami, zaś pomiędzy piersiami zwisał starożytny symbol Gwiazdy wryty w kryształ. Długa dworska blond peruka spływała jej po plecach, migocząc, przykryta welonem z koronki z Novy Haifa i przewiązana na czole szafirem *padparascha*. Każdy gest i modulacja głosu były dziełem sztuki, a sztuka ta sprawiała, że nigdy nie wydawała się sztywna albo sztuczna.

Jednak coś więcej niż ubrania lub też prestiż wielkiej pani ze Wschodniej Rezydencji gromadziło tłum. Nawet z tego miejsca, nawet po tych wszystkich latach Raj czuł ten magnetyzm. Tak samo jak odczuwał go również ponury polityk w średnim wieku znajdujący się obok niego.

Raj pociągnął kolejny łyk śliwkowej brandy, tym razem nieco większy. Boyce się uśmiechnął, potrząsnął głową i odwrócił wzrok.

—

*Są takie chwile, kiedy cieszą się, że mam pięćdziesiątkę* – wymruczał do siebie w nameryjskim. A potem swoim biegłym sponglijskim, dialektem stolicy – Cieszę się, widząc, że dyplomatyczni wysłannicy Rządu Cywilnego zostali tutaj dobrze potraktowani... mimo iż jest ich aż tak wielu.

—

Tak – rzekł równie obojętnie Raj. – Ważne jest, abyśmy dotarli w okolice Miasta Lwa bez nieszczęśliwych wypadków. Trudno jest zadawać się z Oddanymi, niewiele w nich cywilizowanej powściągliwości.

Była to *oficjalna* przyczyna, dla której znajdował się tutaj Korpus Ekspedycyjny. Mieli „dyskutować” o statusie niektórych miast portowych w Zachodnich Terytoriach, znajdujących się pod panowaniem Oddanych po kilku dekadach wojny z Brygadą. Rząd Cywilny rościł sobie oczywiście do nich pretensje, ale nie panował nad nimi od ponad sześciuset lat. *Jeśli sprawię, że w to uwierzy, to uda mi się sprzedać wieprzowinę Kolonistom*, pomyślał Raj.

Boyce uśmiechnął się, błyskając zębami pośród obszernej, poproszonej siwizną brody. – Zaiste. Niedobrze, że mój rząd odniósł tak niewielkie powodzenie w dyplomatycznych stosunkach z Oddanymi.

*Prawie tak niewielkie jak w militarnych stosunkach*, zauważył Raj. Brygada miała bardziej zaawansowaną wojskową strukturę niż Oddani, ale trzeba też było brać pod uwagę kilkadziesiąt tysięcy wrzeszczących, wojowniczych szaleńców.

– Tak, sytuacja jest niespokojna. Rozumiem, że także w Południowych Terytoriach są kłopoty.

Boyce uniósł krzaczastą brew. – Cóż, dochodzą pogłoski o kłopotach na Wyspie Sadlera – powiedział. Wyspa znajdowała się tuż obok zachodniego wybrzeża głównego półwyspu stanowiącego większą część ziem Eskadry. – Ale nie, nie powiedziałbym, żeby było zbyt wiele kłopotów. A oprócz tego nic nie jestem w stanie powiedzieć. Mój rząd ma doskonałe stosunki z Eskadrą – w końcu jesteśmy krewniakami i współwyznawcami – i ani mi się śni, wtrącać się w ich sprawy w jakikolwiek sposób.

– Innymi słowy, nie posuniecie się dalej niż pozwolenie nam na wylądowanie tutaj.

—

Spotkanie cię to przyjemność, młodzieńcze – rzekł Boyce, potrząsając ręką Raja. Uścisk był niespodziewanie mocny. – Jestem pewien, że daleko zajdziesz.

– Tak jak i ty, messer Boyce – odparł Raj.

—

Och, ja zaszedłem już tak daleko, jak chciałem – powiedział Boyce. – Utrzymanie się tu jest problemem. – Skłonił się lekko Rajowi i oddalił, zmierzając do bufetu i druhów.

– Ach, Raj, kochanie – powiedziała Suzette. Był to jej dworski głos, gładki jak aksamit. – *Zobacz, kogo messer Berg dla mnie pochwycił.*

– Messer Hadolfo Reggiri, do usług – powiedział mężczyzna. Był dosyć zwyczajny – dobrze ubrany w konserwatywnym stylu południowych prowincji. Miał na sobie zwykły jedwabny krawat i ciemną kurtkę z jedynie odrobiną biżuterii. Szczuplejszy niż Berg, z odrobiną siwizny na czarnych włosach i wąsach, o steranej przez pogodę twarzy człowieka, który spędzał dużo czasu na morzu.

– Byliśmy razem z Hadolfem w akademii miasta Ciudad Gut – rzekł wylewnie Berg. Jego twarz była nieco zarumieniona od wina.

– Zawsze bardziej lubił ryzyko niż ja, niestety – od dwudziestu lat jest tutaj na wyspie Stern, handluje i dobrze się mu powodzi.

– Handluje... ? – spytała Suzette.

Reggiri spojrział na nią, mrugając. Raj pomyślał, że normalnie była to sprytna twarz, zapewne zamknięta i skryta. Takim musiało się być, pływając po wodach, gdzie niewiele było prawa. Teraz jednak wyglądał, jakby został uderzony pomiędzy oczy kolbą karabinu, i to całkiem mocno.

– Ach, messa – głównie saletra i skóry rosauroidów, poza tym wino, ziarno, suszone owoce, wełna, wyroby żelazne, niewolnicy – ale głównie saletra i skóry.

*Aha.* Raj nadstawił uszu. Na zachód od Kolonii istniały tylko dwa naprawdę dobre źródła saletry. Jedno było w osadach glebowych w hrabstwie Diva, stanowiących część Rządu Cywilnego... a drugie znajdowało się w jaskiniach na pustynnych krańcach Południowych Terytoriów. Zanim zajęła je Eskadra, stanowiły jedno z głównych źródeł wpływów podatkowych, monopol rządowy. Niewątpliwie teraz też były czymś w tym rodzaju. Saletrę z Południowych Terytoriów eksportowano do młynów prochowych w całym Morzu Śródziemnym, nawet do Wschodniej Rezydencji, jako że była tańsza od rodzimego produktu. Arosauroidy pochodziły ze środkowych, skalistych wzgórz na południe od Port Murchison. W ich skórkach występowało wysokie stężenie krzemionki i były mocno pożądane przez fabryki jako pasy transmisyjne wałów napędowych do silników parowych.

Każdy, kto handlował tak szeroko tymi produktami, musiał wiedzieć *mnóstwo* o Eskadrze. I mógł także opowiedzieć sporo o Eskadrze; i robi to, jeśli myśli rozsądnie. Administracja Rządu Cywilnego w Południowych Terytoriach znowu zmonopolizuje handel, było to pewne jak to, że Tzetzas kradnie.

– Hadolfo... messer Reggiri był tak uprzejmy, że zaprosił mnie i messera Berga na obiad do jego domu na wsi – powiedziała Suzette. Jej smukłe palce spoczęły na przedramieniu Raja. – Zgódź się, kochany. Oczywiście będziemy potrzebować eskorty, ale jest tam *całkiem* bezpiecznie i znajduje się to tylko kilka kilometrów stąd.

– Ależ oczywiście – wycedził Raj. – Obawiam się, że nie mogę pojechać, jestem zbyt zajęty, ale jak najbardziej... – Berg promieniał, pusząc się przed swoim starym przyjacielem. – Kaltin! – zawołał generał.

– Messer Raj? – spytał młodszy oficer.

*Chciałbym, żeby się tak do mnie nie zwracali,* pomyślał Raj, zaciskając zęby, żeby nie

wybuchnąć

– Wyświadczyć mi przysługę, dobrze? Weź... och, kompanię i M'lewisę i eskortujcie meszę Whitehall i administratora Berga do dworu tego dżentelmena. Zostaną na obiad – i jestem pewien, że ty również będziesz miło widziany.

Reggiri skinął głową, nie zdejmując oczu z Suzette.

– Z przyjemnością – skłamał zimno Gruder.

– A teraz, wybaczyć proszę – moja kochana, przeproszę za mnie naszych gości – mam wiele do zrobienia. – *Przynajmniej narzuciłem mu M'lewisę*, pomyślał mściwie Raj.

Wychylił całą *slyowtza*. M'lewis miał moralność dactosauroida i bezczelność szczura z doków...

Kiedy Raj skończył czytać ostatni raport personelu, obóz pogrążył się już w późnonocnej rutynie. *Niech to diabli, to jest jak bycie burmistrzem miasta*, pomyślał. Albo i gorzej. Większość stolic hrabstw w Rządzie Cywilnym miało mniej ludzi niż te dwadzieścia tysięcy zebranych tutaj. Pracował w swoim namiocie. Jeśli ludzie spali pod płótnem, to on także. *A kiedyś znałem nazwiska wszystkich ludzi, którymi dowodziłem*, kontynuował, nalewając sobie kolejną szklaneczkę *slyowtza* i zapalając papierosa. *A teraz mam cholernie szczęście, jeśli udaje mi się zapamiętać oficerów i jeszcze parę setek.*

Wziął szklaneczkę i oparł się o pal namiotu, spoglądając na główną aleję obozu. Ruch panował niewielki, było na tyle cicho, by usłyszeć plusk fali na plaży. Większość żołnierzy spała, jak to ludzie po dniu ciężkiej pracy, zadowoleni z gorącego posiłku i solidnej, suchej ziemi, na której można się wyciągnąć. W obozie już zagościł ten swojski zapach podróżującego wojska: potu, psiego gówna, natartego tłuszczem żelaza i dymu ognisk. Na niebie były oba księżycy i to w pełni, nisko nad horyzontem, osrebrzając morze i dając wystarczająco dużo światła, aby czytać nawet bez węglowo-naftowej lampki wiszącej na dachu za nim. Raj zaciągnął się mocno tytoniem, wstrzymując go, aż gryzł w płuca dziwnie przyjemnym bólem, a potem wydmuchnął go ku księżycom.

W *Kanonicznej Książeczce* było napisane, że Prawdziwa Ziemia miała tylko jeden księżyc, mniejszy od Miniluny i Maxiluny... istniały całe szkoły teologiczne debatujące, czy była to dosłowna, objawiona prawda, czy tylko alegoria, tak jak Komputer Osobisty, który miał czuwać nad każdą duszą albo wojny w niebie pomiędzy aniołami Jabłka Wiedzy a Ibemmeraphimami. Albo czy istniała kiedyś Prawdziwa Ziemia i miała tylko jeden księżyc, który później przy Upadku rozpadł się na dwa, choć było to niebezpiecznie zbliżone do herezji Ducha tej Ziemi.

– Wiem – wymruczał, pociągając kolejny łyk śliwkowej brandy. Paliła mu przełyk jak ogień i wypuścił oddech z mocnym chuchnięciem. – Widziałem Prawdziwą Ziemię i Pojedynczy Księżyc. Mam *osobistego* anioła, dostęp do wszelkiej mądrości umysłu Ducha.

–  
Panie? – Wartownik był postacią w cieniu.

–  
Nic, synu. Wracaj na miejsce.

»Bardziej uważaj. « Odezwało się chłodno Centrum w jego umyśle.

*Cicho*, odpowiedział. – Wszyscy mamy nasz kod operacyjny, spróbuj także to zredagować. – *Ty*

też, jak sądzę.

Usłyszał słabo wezwanie wartownika i odpowiedź z głównej bramy i pisk, gdy odsuwano wysadzone kolcami belki. Przytłumiony tętent łap zabrzmiał w wyludnionych uliczkach. Kolejne wezwanie nadeszło od lotnego patrolu wewnętrznego, na tyle blisko, że dało się rozróżnić słowa.

—  
Kto idzie?

—  
Powracająca eskorta 7 z Descott – usłyszał.

—  
Zbliźcie się i pokażcie... Przejdź, przyjacielu.

Ale było ich mało, o wiele mniej niż kompania, która wyjechała. Ośmiu mężczyzn, oddział, i dziewięty na wielkim, człapiącym chow–chow. Administrator Mihwel Berg zsiadł z naburmuszonym wyrazem twarzy i wszedł w plamę żółtego światła przed namiotem Raja.

— Messerze Berg – powiedział Raj. – Gdzie są pozostali?

Chuda twarz Berga wyglądała tak, jakby mężczyzna ugryzł cytrynę, a nabiegłe krwią oczy zamrugały za okularami.

—  
Tam. *Z moim przyjacielem* messerem Reggirim. Twoja żona zdecydowała, że jest za późno, żeby ktokolwiek wracał, ale *mnie* się udało. – Biurokrata spojrział na niego gniewnie, jak królik zwracający się przeciwko polującemu sauroidowi. – Co zamierzasz zrobić w tej sprawie?

—  
Zrobić? – spytał Raj. – Skończyć tę butelkę. Wejdz. Jak jesteś na poły pijany, to tylko połowa roboty.

\* \* \*

Pozostałych stu piętnastu ludzi z kompani eskortującej przybyło do obozu w godzinę po mszy o świcie. Większość żołnierzy była na musztrze albo innej robocie, ale w kwaterach Siódmego pozostało ich tylu, żeby jęczeć i gwizdać z zazdrości na widok eskorty. Mężczyźni jechali na swoich zwykłych psach, głównie wyhodowanych na farmach w Descott, ale każdy prowadził na arkanach dwa albo i trzy inne. Psy na przedzie były ridgebackami, rasą o krótkich pyskach i długich nogach, z łatwością rozpoznawalną po dziwacznych, wznoszących się włosach biegnących wzdłuż kręgosłupa, które dały tej rasie jej imię. Były to rasowe zwierzęta o wspaniałych kończynach – suki i wałachy, dwu i trzyletnie, przyuczone do siodła. Rasa ta słynęła z wytrzymałości w upale, a każde zwierzę warte było rocznej wypłaty kawalerzysty, a może i więcej. W ich jukach znajdowały się pęta kiełbasy, flakony z winem i pudełka papierosów, worki ziarenek zanijskiej kawy i peklowane szynki z terytoriów Oddanych.

Gruder, M'lewis, i dowódca kompanii, Tejan M'brust, też mieli dodatkowe psy. Każdemu z nich towarzyszyła kobieta na psie – palfreyu. Dziewczęta, żadna z nich nie wyglądała na więcej niż siedemnaście lat, nosiły obroże, jakich prawem Brygady wymagano od niewolników, ale ich były z delikatnego, cyzelowanego srebra. Dziewczyny trzymały lekkie parasolki, aby chronić cerę, co było

konieczne, bowiem dwie były blondynkami a jedna rudowłosa, zaś każda z nich przyniosłaby we Wschodniej Rezydencji pięćset złotych FedKredytów. Nie wspominając o ich ubraniach i biżuterii oraz podwójnych walizach, jakie każda miała na jucznym psie.

Oficerowie ściągnęli wodze przed namiotem dowódcy i zasalutowali. Wszyscy mieli kamienne twarze, a Gruder nie patrzył Rajowi w oczy.

– Panie! – warknął. – Wracamy, jak rozkazałeś. Pozwolenie na odmeldowanie się do mojego oddziału, panie?

–  
Nic do zameldowania, majorze? – spytał Raj.

–  
Nie, panie.

–  
Możesz odejść.

Gruder obrócił swego psa z niepotrzebną gwałtownością. Niewolnica pisnęła i złapała za kulę siodła, gdy jej wierzchowiec podążył za nim. Suzette zsiadła i wręczyła wodze Herbie'emu, chłopakowi stajennemu.

– *I co, żadnych prezentów dla mnie?* – rzekł cicho Raj z posępnym uśmiechem.

Miała na policzkach czerwone plamy, ale jej oczy spotkały się spokojnie z jego spojrzeniem, gdy podawała mu zwitek papieru. Raj wziął go i spojrzał na pierwszą stronę.

Zajęczał, jakby dostał cios w brzuch.

\* \* \*

– Bracia żołnierze – zaczął Raj.

Długi, powolny ryk narastał w tłumie, tworzącym ogromne półkole złożone z niebieskich kurtek nakrapianych zielenią i złotem Jednostki Własnej Poplanich, kołnierzy 17 Kirasjerów z doliny Hemmar i różnokolorowymi barwami barbarzyńskich najemników. Skraj wału ziemnego i prowadzące ku niemu łagodne zbocze dawały dość miejsca do siedzenia, żeby większość wojska mogła widzieć jego i towarzyszy siedzących na zaimprovizowanym podwyższeniu. Oficerowie znajdowali się na dole, z przodu, tam gdzie mogli go słyszeć. Wielu ludzi też mogło i zabrzmiał rozchodzący się pomruk, gdy jego słowa przekazywano do tylnych szeregów. Tylko oficerowie widzieli mapę na sztaludze za nim, ale nie stanowiło to dużej niedogodności.

Wiwaty zaczęły się od ludzi, którzy służyli pod nim na wschodzie, a potem rozszerzyły się na pozostałych. Da Cruz powiedział mu – z niewinną miną – że rozeszła się opowieść o sucharach.

*Niech Duch was pokara, zamknijcie się, pomyślał. Może prowadzę was wszystkich na śmierć, na Ducha.*

–  
Bracia żołnierze – ciągnął, kiedy przycichł hałas. – Wszyscy wiecie, iż wyruszyliśmy w niebezpieczną misję. Cóż, cieszę się, mogąc wam powiedzieć, że mam dla was dobre nowiny. Nadal jest ona niebezpieczna, ale już nie samobójcza. Eskadrowcy – a wiem to z najlepszego

źródła – Eskadrę wciąż trzyma głowę w dupie – nie wiedzą, że nadchodzimy!  
Tym razem wiwaty przeszły w ryk.

–  
Admirał Eskadry myśli, że wszystko, co o nas usłyszał to tylko mydlenie oczu, pogłoski takie, jakie rodzą się co parę lat od czasu, gdy ostatnia ekspedycja poniosła klęskę. – Raj pochylił się do przodu, szczerząc się w uśmiechu jak sauroid i stukając pięścią o otwartą dłoń. – Czyż nie będzie zaskoczony?

Żołnierze zawyli ze śmiechu. – Tak właściwie, to większość poborowych Eskadry, dziesięć tysięcy ludzi, popłynęło trzy tygodnie temu ku Wyspie Sadlera, żeby stłumić rewoltę. – Jego laska prześledziła drogę od Portu Murchison wzdłuż zachodniego wybrzeża wystającego w kierunku północnym półwyspu. – Pod komandorem Curtisem Auburnem, bratem admirała i jego najlepszym generałem. Z całą ich flotą, z każdą wojenną galerą, jaką mają do dyspozycji. Największym zagrożeniem dla naszych sił było przechwycenie na morzu – a teraz ono zniknęło. Duch przykrył nas swymi ochronnymi rękoma.

Rozłożył ręce, prosząc o ciszę. – Czekajcie! Wiwatujcie po zwycięstwie, a nie przedtem! – I bardziej posępnie – Oznacza to, że mamy większą szansę, a nie łatwe zwycięstwo. Będzie jeszcze twarda walka.

–  
A teraz, rozkazy generała. Popłyniemy najkrótszą trasą stąd – postukał w punkt oznaczający ich pozycję na wyspie Stern – tutaj. – Laska prześledziła linię prowadzącą prosto na południe, kończąc się na we wgłębieniu południowego wybrzeża, na wschód od Port Murchison.

–  
Wylądujemy, skoncentrujemy się w tej zatoce i założymy bazę.

–  
Nikomu – ciągnął, uderzając laską o otwartą dłoń – nie wolno opuszczać miejsca lądowania bez rozkazów. Nikt pod żadnym pozorem nie może wejść do przystani Port Murchison. Wylądujemy dostatecznie blisko, aby wzbudzić w nich panikę, a potem zmiażdżymy to, co przysłał. – Przerwał. – Jakies pytania?

Podniósł się Gharderini. – Mówisz, że nie przechwycą nas na morzu – rzekł gniewnie. – Skąd możesz być pewien? Czy admirał przysłał wiadomość, a może Duch Człowieka Gwiazd informuje cię osobiście?

Raj wstał i pozwolił swojej dłoni opaść na ramię Suzette.

t– Informacja – powiedział powoli – pochodzi ze źródła, któremu całkowicie ufam.

»Tak jak powinienes, Raju Whitehallu.« powiedziało Centrum. »Tak jak musisz.«

\* \* \*

– Usłysz nas, o Duchu Człowieka Gwiazd – zaintonował kapłan.

–  
*Usłysz nas* – odpowiedzieli zebrani żołnierze. Wszystko znajdowało się na pokładach, oprócz ludzi. Zbliżał się przypyływ, wiatr wiał ze wzgórz ku morzu.



Kapłan uniósł ręce ku ostatnim gwiazdom, znikającym, gdy pod włóczykami promieni słońca blakła noc.

—

Nie koduj naszych grzechów. Niech zostaną skasowane i nie przechowuj ich na twoich dyskach.

— *Wybacz nam, o Duchu Gwiazd!*

Gdy Raj przewodził odpowiedzi, inny głos przemówił do niego w myślach.

»Obserwuj.« powiedziało Centrum.

\* \* \*

— wysokie fale biły o skalistą plażę pod szarym niebem. Niezważając na to, łódki pełne żołnierzy i lekkie transportowce wpływały, a mężczyźni wskakiwali do sięgającej głowy wody i brodzili ku brzegowi z karabinami nad głową lub trzymając się siodła płynących psów. Pierwsi z nich właśnie ustawiali się w formację, kiedy żołnierze Eskadry podnieśli się z za wydm, pałac z bliskiej odległości z muszkietów o podwójnych lufach...

—... a Raj w wizji ucepiony był liny, na pokładzie statku zagubionego na morzu i w wodnym pyłe. Hałas sztormu był nie do pojęcia, potężny ryk na wszelkich częstotliwościach, jakie odbierało ludzkie ucho. Ściany wody wznosiły się wyżej niż maszty, jednak wiatr szarpał ich grzywami i ciskał nimi niczym poziomymi taflami wodnego pyłu, jak nisko leżąca chmura, aż nie można już było rozeznaczyć, gdzie kończyło się morze a zaczynało powietrze. Statek uniósł się, gdy wydeła się fala pod nim i przez chwilę widzieli skały przed sobą. A potem w nie uderzyli i kadłub rozpadł się na kawałki pod ich stopami...

— flota wślizgała się do zatoki, plaża była czarna od ludzi, a morze od łodzi i płynących psów. Wszystkie głowy się uniosły na pierwszy wystrzał armatni. Okręty wojenne Eskadry wypłynęły z przylądka strumieniem połączonych dziobów i cynobrowych wiosł, na pierwszym powiewał sztandar komandora Curtisa z mieczem i kometa. Jego działa dziobowe wypaliły, pociski skakały ponad niskimi falami i wbiły się w burtę pierwszego wojennego okrętu Rządu Cywilnego. Drewno nad kołem roztrzaskało się, a potem w deszczu drzazg i białym dymie rozpadł się pokład, gdy został przebity bojler. Za galerami nadpłynęły transportowce z takielunkiem obwieszonym gęsto przez elitarnych żołnierzy

Eskadry ryczącymi okrzyki wojenne...

\* \* \*

—

Duch Człowieka pochodzi z Gwiazd i całego uniwersum. Oto nasza wiara.

—

*Bądź nam jej świadkiem, o Duchu Gwiazd!*

—

*Jako że wierzymy i działamy w prawości, zostaniemy wyniesieni na orbitę spełnienia!*

—

*Wynieś nas, o Duchu Gwiazd!*

—

Ocal nas od katastrofy, od stopienia, od szkodliwego promieniowania. Ocal nas.

—  
*Ocal nas, o Duchu Gwiazd!*

—  
Ochoczo przyjmujemy dane wejściowe z twego świętego terminala, teraz i na wieki.

—  
*Na wieki, o Duchu Gwiazd!*

— Tako my wierzymy, że za dni naszych odbudowana zostanie Święta Federacja, o Duchu Człowieka Gwiazd. A jeśli ciężar grzechów pokoleń niewiernych jest zbyt wielki, niech nasze dusze przeniesione zostaną do sieci. Koniec pliku.

— *Koniec pliku!*

Raj spojrzął na morze obnażonych głów. — Dobra, chłopaki. Wpiszcie wasze grzechy do Terminalu i niech Duch będzie z wami w walce.

Kapłan opuścił ręce. — Niech Duch będzie z wami.

— *I w twej duszy.*

## Rozdział siódmy

Długa łódź przecinała ciemniejący fiolet fal, zmierzając ku brzegowi zatoki. Starszy porucznik Antin M'lewis przycupnął na dziobie, a jego oczy biegały niespokojnie. Za nim dały się słyszeć stłumione uderzenia wiosł. Nie można było stwierdzić, czy barbarzyńcy na nich czekali... pewnie nie. Na sekundę podniósł wzrok. Chmury szybowwały nisko, a mokra bryza wiała ze wschodu, od lądu. Pogoda koniokradów, jak nazywali ją w rodzinnych stronach w parafii Bufford, będącej domem dla jedynych prawdziwych mężczyzn w hrabstwie Descott, w każdym razie tak powiedział mu papa, gdy po raz pierwszy zabrał go ze sobą, żeby spróbował wykraść parę owiec dziedzica Rahmireza. To dziedzic Rahmirez wsadził go do wojska, po tej drobnej sprawie z tymi dwoma psami do jazdy, co mu je sprzedał. Cóż, na dobrego Ducha, czy mężczyzna myślał, że on je *kupił*, sprzedając za taką cenę? Jednak miło z jego strony, że opłacił zaciąg M'lewisa. – *Wojsko robi z ciebie mężczyznę, mój chłopcze* – powiedział.

Nigdy żeś nie powiedział prawdziwszych słów, dziedzicu, pomyślał M'lewis i zanucił pod nosem:

*A jak potraktujesz barbarzyńcę wyciorem*

*Na pewno pokaże ci wszystko, co ma,*

*A gdy powie, że ubogi, wylej wodę mu pod nogi,*

*Tam, gdzie but odpowie głucho I gdzie grunt zapada się*

*Tam są szpary, bagnet w nie...*

–

El Tee?

–

Jeno troszkę wojskowej muzyczki – powiedział M'lewis.

Kil zazgrzytał o piasek, bardzo cicho. Porucznik odwrócił się, aby spojrzeć na pozostałe łodzie, pół tuzina, z przywiązanymi psami płynącymi obok. Żaden z mężczyzn nie wydał dźwięku, wyskakując za burtę z karabinem nad głową i prowadząc zwierzęta za linię przypływu.

M'lewis klepnął się dłonią z niższym oficerem zajmującym się szczegółami – któremu przezornie wydał nie wypłacone jeszcze pieniądze – i przeskoczył przez dziób, biegnąc szybko przez płytką wodę, zanim zdołała za bardzo zamoczyć mu buty. Jego pies podążył za nim z wodzami w pysku, wyszkolony do zachowywania się cicho. Wszyscy inni również pobiegli, kuląc się, pod osłonę grani znajdującej się sześćset metrów w głąb lądu. Dobrze było poczuć znowu pod stopami twardy grunt. Ostatnia noc to nie był właściwie sztorm, ale wiatr był wystarczająco potężny.

– Dobra – wyszeptał, gdy pozostali stłoczyli się wokoło. Było ich dwudziestu dwóch, a nie czterdziestu, jak mówiła legenda batalionu. *Mom swoje standardy*, pomyślał z ironią. – *Znacie gnojki swoje zadonia* – powiedział. – Ostatnie słowo. Jesteście tutaj na zwiadach, a nie coby coś zwędzić.

Jak któryś się zatrzyma, co by podnieść błyskotkę albo spódniczkę, to lepiej spieprzajta szybko i daleko.

Jego ręce śmignęły i nagle mężczyzna naprzeciw niego z trudem wciągał powietrze, czepiając się rękoma zwoju drutu, który owinał mu się wokół szyi. A potem zamarł, przewracając oczami w dół, starając się gorączkowo dostrzec czubek noża kłujący go zaraz pod sprzączką u pasa. – Szybko i daleko, bo ja będę zara za wami z moim małym przyjacielem, co by pozbawić was oddechu. To się tyczy szczególnie ciebie, Dommorze Uliczniku. *Comprene?*

– *Grrk! Ci!*

M'lewis puścił uchwyt i odwinął drut, poklepując mężczyznę po policzku. – Dobra. Jak walka się skończy, będziecie wszyscy mieli więcej złota, niż możecie unieść albo utrzymać i cyncate księżniczki barbarzyńców z nogami rozwartymi szeroko i błagającymi o to. Do tego czasu wykonywać swoją pieprzoną robotę!

Milczące skinienie głów, a potem się rozeszli. Dwaj zaczęli ustawiać dużą lampę na trójnogu, mającą pokazywać kierunek flocie i wprowadzić ją bezpiecznie w środek zatoki. M'lewis uśmiechnął się do siebie. Dobrze ich wszystkich wybrał. Większość była starymi sąsiadami – niektórzy nawet z Kanionu Dziury, jego rodzinnego poddystryktu – i wszyscy mieli głęboko profesjonalny szacunek dla kogoś, kto działał z powodzeniem. Wyciągnął kieszonkowy kompas z pudełeczka przy pasie i odczytał go. Zaskakujące było to, jak niewielu ludzi zdawało sobie sprawę, jak cenne są takie sztuczki. Powiedzieliby, że to szlacheckie zabawki. A myślą, że jak szlachta dostała się na samą górę?

– Tędy – powiedział do znajdującej się z nim szóstki, dosiadając psa. – Jechać.

Wyłożone wojłokiem strzemiona nie wydały dźwięku, gdy wsunął w nie palce. *Cóż, jestem teraz szlachcicem.* Swego rodzaju. Jego synowie będą należeć do klasy messerów... *Skupiaj się na zadaniu, ty jolopie,* powiedział do siebie. Psy ruszyły w dziesięciometrowych odstępach, łapy niemalże bezgłośnie zagłębiały się w głębokim, miękkim pyłe drogi. *Na zadaniu messera Raja.* Jest z niego mężczyzna jak meteor, a jeśli doczepisz swój wóz do jego jarzma, to cię ze sobą pociągnie. Albo się razem z nim wywalisz.

M'lewis uśmiechnął się do ciepłej, letniej nocy. Zbliżali się do chaty, światło latarni prześwitywało przez wygięte okiennice.

–

Dicinsyn, Felodez – wyszeptał. – Od tyłu. Żadnego zabijania. – Czas poznać trochę lokalnych nowin, a potem do studni zaznaczonej na mapie.

\* \* \*

–

Twoja mapa jest dobra, ale cosik niekompletna, ponie – powiedział Antin M'lewis. – W każdym razie nigdzie w odległości trzech godzin jazdy nie ma skupiska barbarzyńców. Trudno zobaczyć zbrojnego człeka. Żadnych Eskadrowców.

–

Przynieś no tu latarnię! – zawołał przez ramię Raj. Lądowanie przebiegało zdumiewająco dobrze, biorąc pod uwagę, że była to noc i dość mocna bryza wiała ku brzegowi. Przynajmniej transportowce nie musiały zmieniać kursu.

Węglowo–naftowa lampa była półkolistego typu. Raj wziął ją i otworzył przesłonę, aby oświetlić mapę. M'lewis przykucnął. Miał twarz usmoloną spalonym korkiem i czarną opaskę na głowie. Mapa została przekopiowana z oryginałów mających ponad półtora wieku. Główne rysy terenu wciąż tam będą, ale najcenniejsze elementy dla biura kartograficznego, domy, granice pól i lasów, zmieniły się drastycznie.

–

To jest grzbiet – palec wskazał w głąb lądu, ku zachodowi – nie ma tam za granią domów, co są zaznaczone, ponie. Jeno parę chat. Mom w każdej po dwóch, trzech ludzi. Ziemia za granią jest podzielona na małe pólka, które dzierżawcy uprawiają dla barbarzyńców. Mom paru, gadają całkiem po dobroci. Nie lubią tych barbarzyńców, co to, to nie. A tutaj – dotknął miejsca oznaczonego symbolem gospody – tera jest wioska. Zwie się Mondain. Jakies dwieście domów,

murki z łupków sięgające ramion. Żaden problem. Trochę milicji. Jak tylko powiesz słowo, messer Raj, możemy to zająć i od razu użyć jako bazę.

Raj się zastanawiał. Odwrócił się znowu, aby spojrzeć na zatokę. Po zejściu obydwu księżyców noc była czarna jak smoła, a na plaży panował chaos. Światelka śmigły na wodzie w tę i z powrotem. Mężczyzna widział słaby, czerwony blask z komina parowca, ale światła okrętu były pogaszone na jego rozkaz. Znajdowali się o wiele za blisko Port Murchison, aby było bezpiecznie. Tylko dwadzieścia pięć kilometrów, dzień forsownego marszu, a jeszcze mniej dla statku. Gdy się przyglądał, kolejny transportowiec wpłynął jak widmo. Dudniący chrzęst kilu zagłębiającego się w piasek skończył się głośniejszym trzaskiem, gdy dziób uderzył o statek znajdujący się, już na brzegu. Zabrzmiały okrzyki wściekłości zakończone praśnięciem końca sznura na nagich plecach i jęklwym skamleniem przestraszonego psa.

–

Nie – powiedział. – Najpierw to, co najważniejsze. Uporządkujemy to. – Pochylił się do przodu i klepnął po ramieniu mężczyznę o twarzy łasicy. – Dobry z ciebie chłop. Ilu z twojej kompanii jest na brzegu?

Foley zatrzymał się w pół kroku. – Wszyscy, panie – powiedział. – Ludzie Gerrina są w następnej łodzi. Przywieźliśmy około połowy psów. Piekielnie trudno przeciągnąć je przez balustradę w tych ciemnościach.

–

Dobrze, weź dwa plutony na grani. W tych dwóch szopach na grani jest paru zwiadowców. Zluzuj ich, wież tam i wyznacz teren do obrony. Jak moi ludzie przybędą, podkarmię ich. A teraz, M'lewis: chcę, żebyś ze swoimi zwiadowcami złapał mi kilku rolników. I ich wozy. Zbierz je, powiedz im, że dostaną zapłatę – nie, *zapiać* im – za wszelkie przyniesione zapasy, jakie mają na zbyciu.

–

Już zrobione, messer Raju. Tak zem pomyślał, że nie można im pozwolić pobiec do barbarzyńców, jak nas widzieli.

– Dobrze. Odstaw na bok z tuzin wozów...

Przyszedł Menyez z dwoma dowódcami batalionów piechoty. – Panie – powiedział. – Wszystko idzie z godnie z planem, ale Dinnalsyn mówi, że do jutra możemy zapomnieć o działach albo do kiedy

ustawimy pływające molo, cokolwiek przyjdzie pierwsze.

–

W porządku. A ten transportowiec?

–

Skąła pod piaskiem złamała mu kil. Beznadziejne.

– We wszystkim jest coś dobrego. Niech parę grup wolnych żołnierzy rozłupie go na drewno opałowe. Ciepło czy nie, chcę, żeby moi ludzie się wysuszyli. Wykopcie jamy na żar, a nie wielkie ogniska.

– Panie! Raj odwrócił się z powrotem do M'lewis – ... i zapełnijcie je do połowy. – Najlepiej paszą,

sianem, i tym podobnym. – Rzucił ostatnie spojrzenie na mapę i wstał, zastanawiając się. Mężczyźni z proporcami ustawiali się na plaży, co kilkaset metrów, wołając...

– 3 z Chongwe! 3 z Chongwe!

– 88 z Seyval! 88 z Seyval! Znajdując się przez chwilę poza zasięgiem wzroku swoich ludzi, Raj potarł się po skroniach, a kostki jego dłoni stuknęły o hełm. Mieli kurewskie szczęście przy lądowaniu. Tysiąc kawalerzystów Eskadry – osobista straż jednego potężnego posiadacza ziemskiego – mogła

pociąć jego siły na krwawe strzępki na skraju plaży.

Jak nam idzie, Centrum? Pomyślał z goryczą Raj.

»Lepiej niż można się było spodziewać.« odparło Centrum.

Raj zeszywniał z zaskoczenia. Głos maszyny brzmiał niemal radośnie.

»Jeśli wróg dobrze zareaguje, zarówno przygotowując plan na podstawie statystycznie nie znaczących informacji, jak i go wykonując, to może z powodzeniem zaatakować nas tej nocy. W takim wypadku sam zacznę wierzyć w Boga.« przerwa, trwająca może uderzenie serca. »Ich.«

Ponad połowa Piątego zebrała się już kolo swojego sztandaru. Raj podszedł do niego w dobrym momencie, aby zobaczyć, jak Gerrin Staenbridge brodzi po wodzie, ociekając nią od stóp do głów i kichając.

– Dobry wieczór, Raj – rzucił radośnie. – Wyszedłem z łodzi prosto w cholerną dziurę odpływową.

Klepnęli się dłońmi. – Cieszę się, że cię widzę. Jak tylko następna fala ludzi i psów znajdzie się na brzegu, weź Piąty w głąb lądu, do grani. Foley się tam zasadza. Okop się i wyślij trochę patroli, ludzi, którzy nie wywalą się po ciemku. M'lewis sprowadzi wozy i zapasy. Chcę, by każdy, kto może, dostał gorący posiłek i przynajmniej parę godzin snu. Poślę na górę trochę piechoty, żeby was w końcu złuzować. Zebranie sztabu na godzinę przed świtem.

– Rozumiem – powiedział Staenbridge. A potem spojrzał ponad ramieniem Raja. – Ach, messa Suzette. Bardziej promieniejąca niż kiedykolwiek – powiedział.

Raj się obrócił. Suzette była w ubraniu do jazdy, w płótnie i skórze poplamionych przez sól.

– Pochlebiasz mi, Gerrin.

–

Ależ nie – stwierdził Staenbridge, uśmiechnął się ciepło i na krótką chwilę uniósł do ust jej wyciągniętą dłoń. – Nie będąc jak większość mężczyzn zaślepiony tym, co na zewnątrz, mogę lepiej widzieć to, co wewnątrz.

Część domowników pojawiła się za nią. Najpierw Fatima; niańka i jej syn znajdowali się na statku, aż plaża zostanie zabezpieczona. Kobieta miała w rękach izolowaną korkiem flaszkę i zaczęła napełniać filiżanki Suzette i towarzyszy.

–

Ach, nektar – powiedział Raj. Była to gorąca, czarna kawa, słodka z odrobiną brandy.

Południowe Terytoria były na tyle suche, że nawet wczesnym latem noc potrafiła być chłodna, a jeszcze wiała bryza od morza.

Fatima wręczyła filiżanki pozostałym. Podszedł Mekkle Thiddo, chlubiąc butami, i podał Rajowi swój notatnik.

–

Gerrin – powiedziała Fatima z udawanym nadąsaniem. – Jakże to, całujesz ją w rękę, a mnie nie?

– Bo, matko mojego syna, ty jesteś diabełkiem, a ona jest bardzo wielką damą, *Sadhu!* – zakończył, podnosząc filiżankę.

– *Na zdrowie!* – odpowiedzieli.

– A gdzież to jest nasz dobry administrator? – ciągnął Raj, przeglądając papiery, które wręczył mu Thiddo. – Wyśmienicie, Thiddo. Dobra, niech rozbiją biwak. Jedna kompania na grań. Gerrin wyznaczy sektory.

Przelotna surowość przemknęła przez twarz Suzette, gdy wzruszyła ramionami odpowiedziała swemu mężowi. – Wciąż wyrzyguje bebechy na okręcie flagowym, podczas gdy admirał Gharderini biega naokoło, spoglądając w niebo i wyrывая sobie włosy – powiedziała. A potem się uśmiechnęła i wciągnęła głęboki haust wilgotnego, chłodnego powietrza. – Tutaj jest

o wiele przyjemniej.

Raj odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. Gwiazdy były wyraźnie widoczne przez szczeliny w chmurach. Nagle poczuł się jasny, niemalże przezroczysty, w momencie bardziej droższym niż diamenty.

–

Nocne lądowanie przy mocnym wietrze, na wrogiej ziemi, aby jutro stoczyć bitwę. Nie wystarczająco dużo snu ani wywiadu... może całe zastępy Eskadry spadną na nas.

–

Małżeństwo z tobą to nauka, kochanie.

–

Doskonale, panie.

–

Nie można chcieć czegoś lepszego.

–  
Harem był taki *nudny* w porównaniu z tym.

–  
*Potrafisz* urządzić imprezę, Whitehall, to ci muszę przyznać. Spojrzeli po sobie, szczerząc zęby w uśmiechu i dotknęli się wzniesionymi pięściami.

–  
Cóż – ciągnęła Suzette – postraszymy z Fatimą tych kapłanów i umartwione, żeby otworzyć szpital. Będzie dosyć połamanych nóg i rozwalonych rąk po *tym* – powiedziała, wskazując głową tam, gdzie przy pomocy długich na jard kijów spuszczano sieci z zapasami ku mężczyznom stojącym po pas w wodzie.

\* \* \*

– Ludzie, amunicja, psy, jedzenie i wyposażenie medyczne, w *tej kolejności*, kapitanie – rzekł cierpliwie Raj. *Ty buraku, imbecyłu*, pomyślał. Cierpliwość była jak młyńskie koło, mogące wycisnąć rezultaty, jeśli tylko dało się jej czas. Młodzieniec wyglądał na znękanego, oszołomionego i dezorientowanego, stojąc tutaj pod rzeźbioną dziobnicą statku.

– Tak, panie. Rozumiem, panie.

*Mam nadzieję, że tak*, pomyślał Raj. – Dlatego też musimy wypchnąć ten statek, choć jest tylko częściowo załadowany. Pojazdy kołowe i namioty mogą się znaleźć na brzegu, kiedy będziemy lepiej zabezpieczeni. Dopilnuj tego...

Głos odezwał się z boku, bardziej natarczywie, gdy Raj zrobił uciszający gest. Odwrócił się. Światło latarki było słabe, ale...

–  
Admirał Gharderini – rzekł z rezygnacją.

–  
Generale, musimy to powstrzymać – natychmiast powstrzymać wyładowywanie!

Przez chwilę Raj się w niego wpatrywał, a potem podniósł wzrok i spojrzał na plażę w kształcie półksiężyca. Światło ogniska dawało teraz większą widoczność, ale operacja właśnie przechodziła na wyższe obroty. Żołnierze z opaskami *guardii* dość szybko zabierali większość zwykłych żołnierzy z plaży do ich miejsc biwakowania, choć często oznaczało to przepychanie się pomiędzy grupami noszącymi zapasy na stosy zaraz ponad linią przyływu. Zesztywniałe, rozzłoszczone psy zostały wyprowadzone z wody, trzymając wysoko łby. Pochodnia zasyczała, gdy jeden z nich zatrzymał się i otrząsnął, wyrzucając wodny pył jak słoń burzę. Psy trzeba będzie napoić i to szybko albo będą naprawdę nieszczęśliwe. A nieszczęśliwi, pięćsetkilowi mięsożercy to zawsze kłopot, szczególnie na zatłoczonej piaszczystej plaży w ciemnościach, z jakimiś pięciu tysiącami ludzi starającymi się odnaleźć punkt zbiorczy swojej jednostki. Zaraz za granią, w głębi lądu, znajdowało się źródło słodkiej wody.

–  
W stronę brzegu nadciąga sztorm, jestem tego *pewien* – powiedział Gharderini, wykonując dłonią zamaszty gest. – *Czuję* to. Nie możemy pozwolić, by flota dała się złapać z wybrzeżem po zawietrznej! Zaokrętu ludzi – możemy odbić od wybrzeża i wpłynąć prosto do zatoki Port



Murchison. Wróg nie będzie podejrzewać niczego w taką noc, a flota będzie bezpieczna za falochronami.

Przez chwilę Raj po prostu wpatrywał się w oficera marynarki. A kiedy wziął mniejszego mężczyznę za łokieć i odprowadził go kilka kroków w ciemność, zrobił to bardziej łagodnie, niż z początku zamierzał. Gharderini bał się o swoje statki, nie o siebie, a był kompetentnym żeglarzem. Nieźle się sprawił, doprowadzając wszystko tutaj. Problem stanowiło to, że był skupiony na swojej części zadania, nie widząc szerszego obrazu – za który Raj był z pewnością odpowiedzialny. Był odpowiedzialny za wyjaśnienie tego jasno Gharderiniemu, bez otwartej kłótni, co byłoby niedobre dla ludzi, niedobre dla morale.

–  
*Posłuchaj* mnie, messer admirale – powiedział Raj z twarzą zwróconą ku mężczyźnie. Jego dłoń spoczywała na ramieniu tego drugiego, jego dłoń do szabli, i odwołał się do siły woli, aby nie zacisnęła się jak mechaniczny zatrzask na trójkątnym mięśniu admirała. – To nie ma znaczenia. – Gharderini zajęczał. – Flota jest do zastąpienia, żołnierze nie. Jeśli dojdzie do najgorszego, zostaw statki na plaży i sprowadź załogi na brzeg. Możemy walczyć tak długo, jak mamy żołnierzy, ich psy i – karabiny. – *Choć Duch wie, że wolałbym mieć artylerię na brzegu.* Dinnalsyn prznosił góry, montując tymczasowe molo, ale była to zabójcza robota.

–  
*Utracić flotę?* – powiedział Gharderini tonem takim, jak człowiek, którego właśnie zapytano, czy chciałby zjeść swoje dzieci. – *Uziemić statki?* – Parowce były o wiele potężniej zbudowane niż transportowce, ale uziemienie ich taranów w wodzie oznaczałoby konieczność rozwalenia ich na kawałeczki bez zwłoki.  
– Jeśli będzie to konieczne – powiedział Raj. A potem przysunął twarz do twarzy dowódcy.

–  
Czy – mnie – rozumiesz?

Gharderini wyszarpnął się i odsunął chwiejnie.

*To będzie musiało wystarczyć. Niech to diabli, szkoda, że nie miałem czasu, aby go odpowiednio przekonać,* pomyślał Raj. Co ja takiego robiłem, zanim mi cholera przerwali? – Zapowiadała się długa noc i jeszcze dłuższy dzień.

t\* \* \*

– Kto idzie?

Kilku ludzi przy ognisku podniosło się. Dwóch wyszło z cienia, z karabinami wymierzonymi w odzianą w płaszcz postać. Raj odsunął kaptur, a mężczyźni zatrzymali się, gapiąc.

– Penie! – powiedział kapral, prostując się.

– Nie trzeba, nie dzisiaj, ludzie – powiedział Raj, wchodząc w światło ogniska. Żołnierze byli piechurami, poznał to po plecakach ze zwiniętymi kocami, które paru z nich wciąż miało przerzucone przez ramię. Odpowiedział na salut podoficera. – Mogę ogrzać się trochę przy waszym ognisku? – spytał.

Dało się słyszeć zawstydzone pomruki. Przykucnął i ogrzewał dłonie nad węglami żarzącymi się w jamie, jaką wykopali w piasku, podczas gdy oni zaszurali nogami i opadli z powrotem na ziemię. Rozejrzał się po małym obozowisku. Dwie sekcje, szesnastu mężczyzn. Rozłożyli swoje połówki

przenośnych namiocików na ziemi i ustawili karabiny zgodnie z przepisami, w trójnogach, z hełmami zwisającymi z nich jak groteskowe owoce. Na plaży trwał rozładunek, ale już bardziej powoli. Większość ludzi znajdowała się na brzegu i tylko niektóre psy i cięższe zapasy czekały na świt. Ustawiono moło z długich łodzi pokrytych deskami i wzmocnionych liną, a wysięgnik żurawia spuszczał działko polowe na wysunięty ku morzu kraniec. Moło zakołysało się i ugięło pod ciężarem, ale czekające załogi biegły do przodu, jak tylko koła dotknęły drewna, dźwięk niczym grom na luźno powiązanych deskach.

Nad ogniskiem bulgotał garnek zupy fasolowej, a na czymś kocu leżał stosik podpłomyków, koło hełmu pełnego małych, dojrzałych moreli.

t– Zatrzymałem się tylko, aby zobaczyć, czy macie, chłopaki, to, czego potrzebujecie – powiedział. – Z wodą w porządku?

Sądząc po braku rozmów, zanim wszedł w środek, to siedzieli i martwili się.

–

Tak, penie – powiedział kapral. – Momy kawałek kiełbasy i ździebko szynki do gara. Nic inszego.

Raj wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował nimi. Jeden z żołnierzy przełamał swojego na pół i zatknął drugą połowę za ucho, zanim zapalił.

–

Mam też nadzieję, że zapłaciliście za to wszystko – powiedział Raj. Żołnierze skinęli głowami, choć starszy mężczyzna, który przełamał swojego papierosa, skrzywił się lekko.

–

Ano, messer generale, penie. Wydoje się dużom stratom pieniędzy, oj tak. Nie widzim za dużo gotowizny.

–

Cóż, chłopaki, pomyślcie o tym w ten sposób. Większość z was była dzierżawcami, zanim podążyliście za bębniem dobosza, prawda? – Skinęli głowami, krąg wybałuszonych oczu, wciąż przepelnionych nabożnym podziwem widząc generała na wyciągnięcie ręki. – Ci rolnicy tutaj, oni nie są naszymi wrogami. Też są dzierżawcami, tylko u heretyków, którzy nie czczą Ducha Człowieka Gwiazd jak my – i jak tutejsi wieśniacy. Nie, muszą płacić dziesięcinę heretyckiemu kościołowi z narażeniem duszy i ukrywają swoich kapłanów jak króliki. I w tym wszystkim nie potrzeba im, żebyśmy przychodzili i kradli im świnię i kurczaki, prawda? Jesteśmy tutaj, aby ich oswobodzić, a nie krzywdzić.

Pozostali skinęli głową, choć stary wyga wyglądał na nieco sceptycznego. – Zatem jutro będziemy walczyć, penie?

–

Prawdopodobnie, żołnierzu. I następnego dnia. Ale nie dzisiejszej nocy. Będziecie mieć czas na posiłek i trochę snu. Martwiłem się tylko, myśląc, że barbarzyńcy zaatakują nas, kiedy schodziliśmy na brzeg, ale Duch nam sprzyjał. Dlatego też musimy działać sprawiedliwie, chłopaki. Duch nie będzie walczył u boku wojska, które tak nie postępuje. – Więcej przytaknięć, z okrągłymi z podziwu oczami i powagą.

–

Messer Raj, penie – odezwał się jeden z żołnierzy. – Mogę ja zadać pytanie, penie? – Na skinienie i uśmiech Raja, brnął dalej. – Moja mać, penie. Ociec nie żyją, a gdyby i mnie się

zmarło... trudno by jej było beze mnie robiącego na farmie. Strasznie martwi się ło mnie, oj tak.

Raj wyciągnął swój notatnik i sporządził krótką notę. – Nie martw się, chłopcze... szeregowy Dannał Huiterez, prawda? Niech Duch cię zachowa, ale jeśli polegiesz, dopilnujemy, żeby nagroda za kampanię i twój udział w łupach zostały wysłane do twojej rodziny. A przy okazji prześlę jej liścik, że ma dobrego syna, który myśli o swojej matce, o czym powinna wiedzieć.

A ja powinienem wiedzieć, dlaczego oficerowie 88 Piechoty z Seyval się tym nie zajęli, pomyślał. Westchnął i wstał, gasząc papierosa.

– Niech Duch Człowieka Gwiazd będzie z wami. Odpocznijcie.

– Niech Duch cię błogosławi, messer Raju! – odpowiedzieli chórem. Gdy odchodził, słuchać było gwar podnieconych głosów. *O wiele lepsze niż milczące zamartwianie się*, pomyślał.

Następne ognisko, przy którym się zatrzymał, znajdowało się w pewnej odległości. Grupa 5 z Descott. Niektórzy czyścili karabiny lub też ostrzyli szablę albo bagnet, albo po prostu opierali się o siodła, przyglądając się kurczakom obracającym się na zaimprovizowanym rożnie nad ogniem. Jeden mężczyzna brzdąkał na gitarze.

Słuchaj jak wołają – wołają z całych sił Przez cały letni wieczór i przez nocy pół... Donna...

Muzyka zamarła, gdy podszedł. Z ludźmi z hrabstwa trzeba się było inaczej obchodzić.

– Witajcie, psi bracia – przywitał ich. – Czy może przypadkiem w tej wodzie jest wino, co?

\* \* \*

Mondain budziło się wcześniej, jak każde rolnicze miasteczko. Miało może dwa tysiące dusz i prawie wszyscy pracowali na roli. Z małego kościółka Ducha Człowieka tej Ziemi rozlegał się dzwon gongu. Była to mniejszościowa kongregacja w wiosce, ale zgodnie z prawem jedyna, której wolno było używać dzwonu albo sygnału. Dym drzewny unosił się z kominów albo przez otwory dymne domów, które były zbyt ubogie, aby je mieć. Większość Mondain stanowiły wąskie uliczki pomiędzy glinianymi domami ze schodzącą białą farbą, częściowo wybrukowane, a częściowo stanowiące ubitą ziemię. Kilka domów koło znajdującej się w centrum studni było bogatszych, choć kościół Ducha Gwiazd był z zewnątrz celowo skromny. Ludzie wstawali, ziewając, aby zjeść poranny kleik przygotowany przez kobiety, które były już na nogach od ponad godziny. Zapach kawy dobiegał z kilku bardziej zamożnych domostw: kapłana, notariusza, wójta i mieszańca Able'a Handa, który był jedynym przedstawicielem Eskadry w miasteczku. Bardziej różnorodne zapachy dobywały się ze stert odpadków, kup kompostowych i wiader, w których nocą wywożono nieczystości przez bramę, aby przyjęły je pola rolników.

Przy bramie narzekający robotnicy rolni opierający się na łopacie, haku albo sierpaku czekali, aż milicjanci otworzą wrota z deseczek. Milicjanci byli wolnymi właścicielami ziemskimi albo rzemieślnikami, zaś robotnicy mieli jeszcze do przejścia spory kawałek, zanim zaczną się ich dzień pracy w pobliskich majątkach. Za bramą wąska, bita droga wiała się ku polom – pokrytych pyłem oliwkowych i figowych drzewek koło wioski, a dalej skoszonej pszenicy i jęczmienia. Kilkanaście wozów czekało, aby wjechać do wioski. Były jaskrawo pomalowane i z dużymi kołami, głównie załadowane paszą z lucerny dla niewielu miasteczkowych wołów. Był jasny poranek na początku lata, wciąż rześki z zapowiedzią upału, który zmieni popołudnie w rozpalony piec. Zniknęły nietypowe dla tej pory roku wiatr i chmury z poprzedniej nocy.

– Witoj, Danyelu – rzucił Aynton Mugirez, opierając się o środek bramy, by ją otworzyć dla pierwszego rolnika, który znalazł się na zewnątrz. – Niech Duch was błogosławi. – Był kapralem miasteczkowej milicji. Nie był to wielki zaszczyt, ale przynosiło mu to parę dodatkowych dni kowalskiej roboty, za którą płacono twardą monetą.

Rolnik zamruczał nerwowo. Z luźnego siana za nim wystawał karabin wbijający mu się mocno w plecy. Zacmokał na woły, a te poczłapały do przodu flegmatycznym, kołyszącym się krokiem swej rasy, zaś nie nasmarowane drewniane osie zaprotestowały. Mijali go tłoczący się robotnicy rolni, a pojazdy kołowe czekały niecierpliwie w środku ustawione po bokach. Milicjanci oparli się plecami o łupkowy mur miasteczka, czekając na drugi gong, który pośle ich do domu i do łóżka, wolnych przez kolejny miesiąc od tego nużącego obowiązku, który ledwo był wart ulg podatkowych. Wóz toczył się za wozem, aż połowa przejechała przez bramę i podążyła wijącym się traktem. Dopiero wówczas kapral milicji zrobił się podejrzliwy. Rolnicy powożący wozami zachowywali się *bardzo* cicho. Oczy Mugireza rozwarły się szeroko, gdy pomyślał o sztuczkach, jakie czasami stosowali bandyci.

Lordowie Eskadry mieli oczyszczać z bandytów wzgórze i dzikie lasy. Niektórzy się tym zajmowali, inni ignorowali wszystko, co nie zagrażało ich czynszom. Niektórzy aktywnie wspierali bandy banitów, jeśli tylko najeżdżały posiadłości sąsiada. W dodatku większość banitów była z krwi Eskadry, złamani ludzie albo tacy, którzy utracili swoją ziemię. *Bandyci*, pomyślał Mugirez. Gwałt, ogień, najlepsi młodzi ludzie powleczeni na zagraniczne targi niewolników, a ci, co przeżyli, umierający z głodu bez ziarna siewnego i zwierząt do pługa, a czynsze dla panów nie zmniejszą się ani o jedno *sentahvo*: Milicjant postąpił ku najbliższemu wozowi, unosząc muszkiet.

– Hej! – krzyknął. – Zatrzymać ich... Jakaś postać wyskoczyła z siana. Kapral milicji wymierzył muszkiet i pociągnął za spust. *Bang*, i karabin tego drugiego odrzucił go na bok. Pocisk uderzył w ubitą ziemię. Kowal ryknął i próbował użyć broni jak pałki, ale cios podbitą stałą kolbą, który potem nadszedł, wyrzucił go w głowę z siłą, która odrzuciła go do tyłu. Dopiero, kiedy zsuwał się wzdłuż muru, ściskając za krwawiącą głową, zauważył, że mężczyźni wyskakujący z wozów pełnych paszy byli ubrani w mundury – niebieskie kurtki i ciemnoczerwone spodnie.

\* \* \*

M’lewis trzymał na muszce milicjantów, zgrupowanych jak zastygły obraz, na poły uniesionych z miejsc spoczynku. *Pieprzyć to, bo żaden ze mnie ochotnik*, pomyślał z goryczą. *Musiąłem, kurna, mieć pomysły. Matka M’lewis nie wychowała żadnych ochotników...*

– Rzucić to, rzucić, *rzucić* to – krzyknął. Te słowa były wystarczająco zrozumiałe. Sponglijski i spanjolski były blisko spokrewnionymi językami, a wiele prostych słów było bardzo podobnych. Wymierzone karabiny mówiły o wiele bardziej przekonująco, tak jak i zaciśnięte w uśmiechu usta ciemnych mężczyzn o twardych obliczach za nimi. – Nikomu nie stanie się krzywda, jeśli je rzucita!

Muszkiety spadły z grzechotem na ziemię. Żołnierz skrzywił się na takie brutalne potraktowanie broni. Jeden kurek opadł. Kamień skrzesał iskrę o metal w zamku, ale muszkiet nie wypalił. Krzyki podniosły się w najbliższej okolicy i ucichły, gdy ci znajdujący się pod groźbą broni cofnęli się pod najbliższy mur, i zastygli w bezruchu. Przebiegł pomiędzy nimi pomruk: *Gubernia Civil*. Rząd Cywilny, osławieni panowie, jakich znali ich pradziadowie. Nabożny podziw pojawił się na ich twarzach, rosnąc, gdy człowiek stojący obok M’lewisa rozwinął niebiesko-srebrny sztandar Gwiazdy Świętej Federacji. Kilku uniosło ręce w modlitwie i dotknęło amuletów.

Inne grupki zwiadowców znajdowały się na murze wszędzie wokół miasteczka. M'lewis skinął na jednego ze swoich ludzi, a ten uniósł małą raketę na kiju i zapalił zapałkę.

\* \* \*

—  
...przybyliśmy, aby was oswobodzić – zakończył Raj, zatykając kciuki za pas. Stał na stopniach domu wójta, jedynej kamiennej budowli w wiosce, co dawało mu dobry punkt obserwacyjny.

Ludzie z Mondain stali w milczeniu na małym placyku miasteczka. Wszyscy, poza chorymi i dwudziestoma heretykami tej Ziemi znajdującymi się pod strażą w ich kaplicy. Nie różnili się oni zbyt od tłumu wyrobników ze środkowych prowincji w rodzinnych stronach. Odziani w nie wybielone bawełniane spodnie i koszule, z szacunkiem trzymając opadające, słomiane kapelusze przy piersi. Kobiety nosiły bluzki i spódnice z tego samego materiału. Obydwie płcie były głównie bosy i dość mocno woniały. Wyżsi i o jaśniejszej skórze niż większość na wschodzie, choć spędzali życie, pracując w słońcu, które mogło to ukryć. Bardzo stara legenda mówiła o migracjach z innych światów – albo też krajów, nie było to bowiem jasne. *Tekhanos, Sonoras* i *Pairhagway* w rodzinnych stronach; *Hargentin, Hespanya* i *Hile* tutaj.

—  
Żaden żołnierz nie będzie kradł ani zabijał – ciągnął Raj, przemawiając z prostotą. Spanjolskiego nauczył się z podręcznika i prawdopodobnie wieśniakom było trudno go zrozumieć. – Zapłacą za wszystko, czego będą potrzebować, porządnym srebrem. – To wywołało poruszenie i pełen niedowierzania pomruk. Myśl o uzbrojonych mężczyznach płacących za jedzenie była dziwna. – Jeśli jakiś wyrządzi krzywdę, powiedzcie oficerowi, a przestępca zostanie ukarany. Pomódlmy się do Ducha Człowieka Gwiazd.

Wykonał gest ręką i tutejszy kapłan gwiazdny postąpił do przodu z kapelanem 5 z Descott u boku. Unieśli swoje laski i zaczęli śpiewać hymn, jeden z najbardziej starodawnych w gwiazdnej wierze. Wieśniacy się przyłączyli, okazując więcej entuzjazmu niż podczas przemowy. Religia była czymś, co rozumieli w bardzo konkretny sposób, i wiedzieli, że nie odprawiono żadnego publicznego obrządku w ich wierze, odkąd przybyła Eskadra. Kilku starszych wieśniaków miało łzy w oczach, płacząc z radości, gdy żołnierze włączyli się w pieśń.

Mam nadzieję, że łzy radości są jedynymi łzami, jakie wam przynoszą – pomyślał Raj. Ale szczerze w to wątpię.

## Rozdział ósmy

Armia Rządu Cywilnego stanowiła poruszające się miasto, gdy maszerowała na północ drogą wzdłuż wybrzeża. Była niczym falujący wzór ludzkiej organizacji, zmieniający swoim przejściem krajobraz, niczym front pogody. Przed nią dochodziło do zamieszania – grupki uciekinierów Eskadry mających tyle szczęścia bądź tyle rozumu, aby pozostawić wszystko poza gotówką, pognały swoje psy ku Port Murchison. A nawet wielu spośród nich ginęło, napotkawszy wędrownie bandy Skinnerów na zachodniej flance w głębi lądu. Następni jechali wierzchem zwiadowcy, poruszający się miarowym wilczym tempem w podzielonych na pół oddziałach, zaglądając do parowów i lasów, myszkując na obrzeżach posiadłości i farm Eskadry. Informacje płynęły ku głównej grupie, a większość nieprzyjaciół dowiadywała się o armii po przybyciu jadącej kolumny kawalerii. Ciemne maczugi dymu znaczyły miejsca oporu, wspinając się ku gorącemu, bezchmurnemu niebu. To oraz inwentarz, wozy pełne gospodarskich dóbr i mieszkańcy powiązani za szyję, gdy powracali do głównej kolumny. Tych, którzy zgadzali się poddać i przysiąc lojalność Rządowi Cywilnemu, pozostawiano przy życiu i z własnością, poza bronią, psami do jazdy i wozami. Mieli stracić jedną trzecią swojej ziemi, ale to później, w czasie pokoju.

Główna grupa posuwała się niczym centralna oś tych szprych, szprych dostarczających do środka łupy i jedzenie przynoszone na sprzedaż przez tutejszych wieśniaków oraz wysyłających zwiadowców i dobrze opłacanych emisariuszy obiecujących dobre traktowanie tym, którzy się poddadzą. Nadbrzeżna droga biegła na północ przez falującą równinę poznaczoną tu i ówdzie parowami, ze ścierniskami głównie po pszenicy i jęczmieniu, a od czasu do czasu splechietkiem lasu, sadu albo winnicy. Większość rolników mieszkała za murami w ciasno pobudowanych wioskach. Obserwator czekający na drodze widziałby poprzez migoczące upałem powietrze późnego popołudnia szeregi poprzedzane kolumnami kurzu.

Te przeszły w kolumny kompanii kawalerii, rozstawione w regularnej odległości mniej więcej co pół kilometra na linii marszu. Niebieskie mundury, ciemnobrązowe psy, długie formacje kołyszące się nieco, gdy zwierzęta instynktownie równały, od czasu do czasu znaczone błyskiem–gwiazdą na szczycie drzewca, mosiężną rękojeścią szabli – w większości jednak wyblakłe do koloru ziemi, którą przecinały. Przy spacerowym tempie psie łapy wywoływały tylko przytłumiony, dudniący łomot. Głośniejszy był brzęk metalowych sprzączek uprząży, miarowe uderzenia pochw o żelazo strzemion, od czasu do czasu rzucony ochryple rozkaz. Mężczyźni jechali luźno, kołysząc się swobodnie, ale byli wystarczająco czujni. Kawaleria ruszyłaby, aby ochronić resztę kolumny, gdyby nadszedł atak. Jeszcze więcej jednostek jazdy otaczało drogę z boku, od narażonej na atak zachodniej strony. Wszyscy wiedzieli, że Skinnerzy *mieli* się tam gdzieś znajdować, ale nikt nie zamierzał postawić na to swego życia. Dalej podążały działka polowe ciągnięte przez zaprzęgi ośmiu psów, trzydziałowa bateria dla pięciu kompanii, gotowa do obrócenia się na kołach i uformowania linii ognia.

Za ludźmi na wierzchowcach szli piechurzy, maszerując batalionami, połykając kurz wzniesiony przez jadących z przodu. Byli zgrupowani po trzy bataliony obok siebie, jeden po każdej stronie rowu

i jeden na drodze. Dziesięć tysięcy ludzi rozciągałoby się w nieskończoność ustawionych jak paciorki na sznurku. Z karabinem na jednym ramieniu i zwiniętym kocem na drugim poruszali się dziarskim krokiem zrodzonym z krótkich marszów i dobrych racji. Przez sześć godzin dziennie dobosze zapadali we wspólny rytm, a dziesięć batalionów na czele kolumny śpiewało:

Młodzieniaszku, pełen zapału do boju bądź i napalony tak, że hej Wsłuchaj się w bębna rytm –  
odmierzaj krok I do panienek rączkę miej...

Za nimi podążała grupa dowodząca, w jeszcze gęstszej chmurze pyłu. Dalej wlokła się cała masa pojazdów na kołach i ciury obozowe. Kolejne działa, dyszące ze znużenia psy, ciężkie moździerze na ciągniętych przez woły lawetach, wozy z narzędziami, namiotami, amunicją i spyżą, stada bydła, owiec i pobekujących kóz, kilka małych, mocno strzeżonych powozów wiozących okute żelazem skrzynie z monetami i wartościowymi łupami... A także wojskowi cywile: kapłani–lekarze, medycy umartwionych siostr w swoich klinikach–karetkach, służba kawalerzystów idąca piechotą, służący oficerów, markietanki, paserzy łupów i handlarze niewolników, którzy podążali za wojenką jak sępy. Dziewczyny poderwane od czasu lądowania, żony zaciągniętych mężczyzn przeschmuglowane na pokład transportowców wbrew przepisom, dama jakiegoś oficera na palfreyu. Strażnicy na wierzchowcach, którzy ich popędzali, mieli rozkazy, by wykopywać z szeregu i zostawiać każdego, kto nie nadażał. Nie stanowiło to problemu z większością tych, którzy przedtem podążali za bębniem dobosza, ale zbyt wielu odłączało się, rozłaziło i trajkotało, chaotyczni jak inwentarz i trudniejsi do utrzymania w ryzach. A potem szła reszta piechoty – cztery tysiące ludzi – a za nimi osłona z kawalerii.

– Dobrze się sprawują – rzekł krytycznie Raj, opuszczając lornetkę.

A potem się rozejrzał. On i jego trębacze oraz chorąży i posłańcy znajdowali się na lekkim wzniesieniu pół kilometra na wschód od drogi. Mężczyźni w niebieskich spodniach artylerii z czerwonymi lampasami wyznaczali obóz przy pomocy kołków i sznura. Bok pięćset metrów, z bastionami w kształcie rombu w każdym rogu oraz regularną siecią ulic w środku zbiegających się na otwartym placu. Wyznaczono miejsca dla każdej jednostki, dla szeregu psów, dla szpitala i rozkładanych kapliczek mieszczących sztandary batalionów, dla ciur obozowych, wozów i latryn. W pobliżu znajdował się mały strumień, który wystarczy do czerpania wody oraz rosły liczne drzewa, ale nie na tyle blisko, aby dać schronienie nieprzyjacielowi.

– A to też niezła robota – ciągnął Raj. Otarł twarz opaską Piątego w pomarańczowo–czerwono–czarną kratę i otworzył manierkę. Każdy oficer Rządu Cywilnego powinien być w stanie dokonywać podstawowych pomiarów i wytyczać umocnienia polowe, ale nie było wątpliwości co do tego, że artyleria robiła to lepiej. – Wody?

– Dziękuję, panie – powiedział major artylerii, zapalając papierosa. – Wszyscy mamy za sobą cztery dni praktyki. A nie jest to też wyteżony marsz.

Raj się uśmiechnął na ten komentarz i spojrział na swój zegarek: 16.00. – Mam swoje powody – powiedział. Centrum wymalowało mu przed oczami mapę, odległości i czas. Sześć kilometrów dziennie odkąd wylądowali. Znajdowali się jedynie półtora dnia drogi od Port Murchison... – Przepis mówiący, że wojsko musi się okopać każdej nocy na nieprzyjacielskiej ziemi, jest doskonały.

Kiedyś mówiono, że barbarzyńców łatwiej zwyciężyć widokiem rozbijania obozu, niż walcząc z nimi. Zamierzam dopilnować, aby tego ściśle przestrzegano.

– Trębaczu – ciągnął. – Zagraj: *baczność*.

Wszyscy się tego spodziewali. W kolumnie zapadła cisza poza trajkoczącymi niczym kawki cywilami i jednym bijącym bębniem przypadającym na batalion. Lawina dźwięku tysięcy uderzających o siebie obcasów rozbrzmiała poprzez wyludnioną okolicę.

– Zagraj: *ogólne zatrzymanie*.

Bardziej skomplikowany rytm: ta-ra-ta-ra-ta-rarara-ta-ra, dwukrotnie powtórzony. By to przekazać, zabrzmiały trąbki jednostek i wykrzyczano rozkazy dla mniejszych grup. Zaczęto się zatrzymywać z tyłu kolumny, co było jedynym sposobem na zapobieżenie, by – udzie nie wpadali na znajdujących się z przodu. Popłynęło to falą po długim szeregu ludzi, psów i pojazdów jak kręgi rozchodzące się po stawie. Druga fala przeszła, gdy jednostki piechoty zawołały *pochylić broń i spocznij*. Dało się słyszeć rozliczny grzechot rąk uderzających o żelazo i drewno, a potem łupnięcie blach na kolbach uderzających o ziemię i żwir. Pośród wozów i ciur obozowych widoczny był formujący się w zwolnionym tempie korek, ale można się było tego spodziewać.

– I: *rozejść się do swoich kwater*, jeśli łaska.

To co nastąpiło później, było niemalże tak skomplikowane jak taniec rozciągnięty na prawie dwóch tysiącach metrów. Osłona kawaleryjska zebrała się w grupę batalionami, a potem ustawiła wokół obozu, zwrócona w trzech kierunkach, jako straż zewnętrzna. Bataliony piechoty zeszyły z drogi marszobiegami, z karabinami trzymanymi w jednej ręce równoległe z ziemią, wpadając do obozowiska przez symboliczne bramy w każdym z wyznaczonych sznurem murów. Chorążowie i oficerowie pokłusowali ulicami do swoich wyznaczonych sektorów. Ludzie się zatrzymali, rozeszli, aby rzucić większość ekwipunku na działkach swoich jednostek, a potem trzy-czwarte z nich ustawiło się w formacji, obnażonych do pasa, tylko z karabinem, bagnetem i bandoletem. Każda kompania pospieszyła tym samym szybkim marszem do wyznaczonego sektora wału. Kiedy tam przybyli, wozy już zrzuciły swój ładunek łopat, kilofów i koszy, Raj spojrział na swój zegarek: 16.20, a już poleciały pierwsze łopaty ziemi. Za następne dziesięć minut będzie pracowało dziewięć tysięcy ludzi. Na parę godzin przed zachodem słońca wokół całego obozu będzie dwumetrowy rów o dokładnie dwóch metrach szerokości. Wewnątrz znajdował się stromy nasyp wielkości wysokiego mężczyzny: grupy robocze złożone z ciur obozowych były odprowadzane do najbliższych skupisk drzew – po opał i po paliki, które zostaną wbite w szczyt nasypu i połączone razem zaroślami. Poniżej przejechały działa, zmierzając do bastionów. Umieszczone tam, będą mogły strzelać na zewnątrz albo ostrzeliwać każdy z boków kwadratu ogniem podłużnym. W całym obozie rozbrzmiały odgłosy wydawane przez ki wbijające namiotowe śledzie. Włączył się w to bardziej melodyjny dźwięk, gdy kawalerzyści zaczęli mocować metalowe pręty do przywiązywania psów na noc. Szereg psów przekłusował obok za pojedynczym trenerem i stanął w rzędzie, dobrze wyszkolony, podczas gdy on przypinał łańcuchy uzd do drucianej liny rozciągniętej pomiędzy stalowymi palikami.

Latryny, jamy z ogniem, kuchnie polowe, beczki z wodą ustawione w wyznaczonych odległościach...

– To mi coś przypomniało – powiedział Raj. – Da Cruz, żadnego picia wody ze strumienia ani beczek dopóki nie zostaną pobłogosławione. – Kapłani posłużyli się rytuałem z krótką modlitwą i



posypaniem chlorem.

Starszy podoficer skinął głową. – Jak rozkażesz, ponie – powiedział.

Raj obrócił się częściowo w siodle. – Mówisz, że nie zawsze byłem taki przesądny, Top? – Wzruszył ramionami. – Powiedzmy, że mały głosik powiedział mi, że może to być dobry pomysł. Nie mieliśmy wielu cierpiących na sraczkę, prawda?

Biegunka w wojsku to nie był temat do żartów, ona zabijała. Zabijała więcej ludzi niż kule, gdy przebywało się w rejonie z obcym jedzeniem i wodą niepewnego pochodzenia, nawet jeśli nie wadziła ona tubylcom.

– Nie, ponie. – Sierzant zaszalutował i obrócił się. Dinnalsyn odrzucił niedopałek papierosa i zaśmiał się.

– Nie nazwali cię też jakiś czas temu Królem Łopat, ale ja się nie sprzeciwiam – powiedział. – Pamiętam Sandoral. Jeśli istnieje coś gorszego niż siedzenie w dziurze pod ostrzałem, to jest to *nieposiadanie* dziury, kiedy ktoś cię ostrzeliwuje. Ach, nasi towarzysze broni.

Podjeżdżał batalion dowódców, paru z nich z kilkoma podwładnymi. Dalhouse wyglądał, jakby przyprowadził wszystkich dowódców kompanii i większość poruczników. Kirasjerzy mieli na swoich tunikach małe, wypucowane, ceremonialne napierśniki, pozostałość z czasów, kiedy nosili zbroję z napierśnikami i naplecznikami. Rajowi zawsze wydawało się to dziwnym zwyczajem w strefie wojennej, jak wywieszenie na piersi znaku „strzelaj do mnie” – ale Dalhouse był zagorzałym zwolennikiem tradycji. Znajdował się z nim jego druh Hingenio Buthelezi z 1 Zwiadowczego z Gaur.

Oficerowie ściągnęli wodze i zaszalutowali. Raj odpowiedział na salut i pochylił się do przodu z obydwoma rękami spoczywającymi na rękojeści szabli.

–

Doskonała robota, messerowie – powiedział. – Będziemy mieli nabożeństwo o 19.00, pobudkę o 6.00, a potem – jeśli wydam taki rozkaz, może nastąpić zmiana w planach, zależnie od najświeższych wiadomości wywiadu – zniszczymy obóz – nie było sensu zostawiać za sobą zdatnej do użytku fortecy – i wykonamy kolejny dzień marszu.

–

Panie. – Dalhouse uczynił z tego słowa częściową obelgę, ale w jego głosie zawsze pobrzmiwał ten ton zduszonej niecierpliwości, „ty głupcze” skierowane do całego świata. Koniuszki jego wąsów były wciąż nawoskowane i drżały, gdy wyrzucił ramię ku północy. – Czy zamierzasz się zatrzymać i rozłożyć obozem, kiedy pozostały jeszcze cztery godziny dnia?

Raj pozwolił swoim oczom spocząć na tysiącu ludzi okopujących armię, a potem przeniósł wzrok z powrotem na Dalhouse'a.

–

Tak, messer majorze, taki mniej więcej jest mój zamiar. – Ktoś zakaszlał, aby ukryć śmiech.

–

Panie, posuwamy się jak zbieranina starych kobiet, idąca z praniem! Każdy barbarzyńca w promieniu dwustu kilometrów będzie wiedział, że jesteśmy tutaj. Już ogoławają swoje posiadłości z inwentarza i dóbr, zanim się tam dostaniemy.

–

Cóż, majorze Dalhouse... – ciągnął Raj z lekkim uśmiechem, przerywając, aby zapalić

papierosa. *Pozbawiłbym cię twojego stanowiska i wykopał z powrotem do Wschodniej Rezydencji, gdybym mógł*, pomyślał, rozmarzając się. Pech chciał, że Dalhouse był na to zbyt wpływowy.

Zapałka trzasnęła mu pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. – ... wiecie, to nie jest najzdaranie ani wypad po niewolników. To jest kampania mająca na celu podbój.

–

Jak mamy ich cholera podbić, jeśli nie walczymy z tymi synami kurew? Spędzamy cały czas, kopiąc w ziemi jak wyrobnicy. Dajesz im – poprawił się. – Dajemy im czas na skupienie się.

Raj spojrział za Dalhouse'a na jego młodszych oficerów.

»Powiedz im.« odezwało się Centrum. »Tak jak ja ci powiedziałem. Niektórzy z nich będą słuchać i uczyć się.«

Tak jak ja słuchałem (wreszcie się nauczyłem, rzucił sucho w myślach Raj. Najpierw optowałem za szybkim atakiem na Port Murchison, bo bałem się powolnego posuwania i czekania, aż Eskadra uderzy z całą mocą:...

–

Ano właśnie, majorze – ciągnął na głos Raj. – Ano właśnie. Moje postępowanie jest dokładnie tak skalkulowane, aby *zmusić* ich do walki. W miejscu i czasie oraz w sposób, *jaki ja* wybiorę, a nie oni. Daję im dość czasu na zmobilizowanie części sił, ale nie tyle, aby zgromadzili wszystkie. Zmusimy ich do przyjścia, jakby to powiedzieć, w dających się połknąć kawałeczkach.

–

Widzicie – ciągnął, wykonując gest dłonią trzymającą papierosa, za którą ciągnęła się krzywizna niebieskawego dymu. – My z Rządu Cywilnego mamy najbardziej zdyscyplinowane wojsko na świecie; a poza Kolonią, jedyne zdyscyplinowane wojsko na Ziemi.

»Bellevue.« powiedziało Centrum.

–

Siłą tej dyscypliny jest to, że przygotowuje do całej serii stałych ewentualności bitewnych, ale żadna musztra nie zdoła objąć *wszystkich* możliwości. Zatem wypada nam unikać tych, do których nie jesteśmy przygotowani, prawda? Nasza armia to armia do bitew w polu. Cała jej broń i wyszkolenie są przeznaczone do formalnych bitew na otwartej przestrzeni, gdzie liczą się salwy i formacja. Jej poważną słabością jest zasadzka i nocny atak. Zauważyłeś, majorze, iż starannie unikam którejkolwiek z tych możliwości.

Wskazał na kolumnę dymu oznaczającą farmę Eskadry, znajdującą się w bliskiej odległości.

–

Zbliżając się powoli do ich stolicy i wypalając ziemię, osiągamy trzy rzeczy. Niektórzy z ich wodzów się poddadzą, aby ocalić swoje posiadłości. Inni będą się starać wywrzeć presję na admirała, aby zaatakował nas przedwcześnie, także po to, by ocalić swoje posiadłości – a on nie może sobie pozwolić na zantagonizowanie zbyt wielu. Jest to najbogatsza ziemia na Południowych Terytoriach, należy ona do najbardziej wpływowych wielmoży. A po trzecie, sprawiamy, że *admirał* będzie się obawiać powstań tubylców i oblężenia Port Murchison – choć nie zamierzam go oblegać. Fortyfikacje nie są nowoczesne, ale nie mamy machin oblężniczych i

jeśli zabierzemy się do oblężenia, odwiedzi nas chorąży Forbus – i jest to równie pewne jak łapówki przy ściąganiu rolnych podatków.

*Cholera morbus*; kilku z mężczyzn skrzywiło się, Gęsto upakowany obóz przy gorącej pogodzie stanowił dla niej zaproszenie.

»Obserwuj.« powiedziało Centrum.

\* \* \*

całe rzędy ludzi leżały na noszach przesiąkniętych odchodami. Drgali, a ich twarze były zapadnięte jak u ofiar głodu. Roilo się na nich od much. Raj zobaczył mężczyznę zbyt słabego, aby zamrużyć, któremu muchy spacerowały po gałkach ocznych, choć jego pierś unosiła się i opadała. Umartwione siostry w zabrudzonych białych kombinezonach i narzuconych na nie habitach szły wzdłuż szeregów, próbując namówić ofiary do picia. Woda wymieszana z cukrem i solą była jedyną rzeczą, która choć trochę pomagała ofiarom cholery. To i staranna opieka, której nie mogły dać tak wielu...

Raj przyglądał się z nasypu, jak armie zbliżały się z obu stron ufortyfikowanego obozu oblężniczego. Zastęp Eskadry od strony lądu – ogromna masa ludzi i metalu płynąca od horyzontu po horyzont w nieregularnych skupiskach, wszyscy poborowi nieprzyjaciela. Po drugiej stronie stały mury Port Murchison, starodawna osłona ogniowa i wieża. Były jednak od środka betonowe i olicowane ogromnymi, granitowymi blokami odpornymi na dziobanie jego działek polowych. Bramy się otworzyły i wylała się kolejna armia, większa niż jego – garnizon miasta i komandor Curtis Auburn, który powrócił z wyspy Stern z elitą barbarzyńskiej armii posuwającą się pod częściowo skoordynowanym dowództwem. Raj spojrzął w dół ze swojego punktu widzenia. Blanki były słabo obsadzone ludźmi, jednostki w połowie sił albo i mniej. Kiedy się przyglądał, jeden mężczyzna upadł, kolana miał zbyt słabe, aby utrzymały jego ciężar, nawet gdy opierał się o półkę strzelniczą. Nikt nie ruszył, aby mu pomóc...

\* \* \*

»Prawdopodobieństwo poważnej epidemii 80% plus minus 6.« powiedziało Centrum. »Prawdopodobieństwo poddania się miasta w wyniku oblężenia przed powrotem sił z wyspy Stern 6% plus minus 2. Prawdopodobieństwo zdecydowanych rezultatów z operacji oblężniczych zbyt niskie, aby miało znaczenie przy kalkulacjach.«

Raj zamrużnął, gdy wróciła mu świadomość, zaszokowany jak zawsze tym, jak niewiele czasu minęło. Dalhouse mówił – Skąd więc wiemy, że garnizon *wyjdzie*? Albo że admirał zaatakuje, zanim połączą się jego siły?

Dwa powody, poza tymi, które wymieniłem – powiedział Raj, unosząc pięść. Podniósł jeden palec. – Po pierwsze ponieważ Eskadrowcy są barbarzyńcami, którzy myślą jak dzieci – a właściwie jak trzynastoletni chłopcy. Honor wymaga, aby natychmiast zaatakowali. Chwała i sława dla tych, którzy znajdują się na czele, wieczna hańba dla pozostających w tyle. Oni obalą admirała, jeśli nie poprowadzi ich do bitwy i on o tym wie. A ostatnio nie mieli też żadnych

prawdziwych wojen, które utemperowałyby to rozsądkiem. I po drugie. – Podniósł kolejny palec.

–  
Jaką porę roku mamy, majorze?

Dalhouse zamrugał zaskoczony. Raj machnął ramieniem, aby wskazać na pola po żniwach.

–  
Pszenica, jęczmień i fasola, majorze, święta trójca jak u Christo. Wszystko ścięte, zwiezione do wiosek i złożone w stogi – i stąd łatwe do spalenia – ale nie wymłócone ani pochowane w worki, a z pewnością nie dowiezione do Port Murchison. Wątpię też, aby mieli pod ręką roczną rezerwę.

Oficerowie nieświadomie kiwali głowami. Nawet nieobecni właściciele ziemscy, którzy odwiedzali swoje posiadłości po to tylko, aby polować, zbierać czynsz i przelecieć jakąś wiejską dziewczynę, wiedzieli, że młócenie zboża było najdłuższym zadaniem w rolniczym kalendarzu; i nie wymuszonym przez czas jak zbiory. Dobrze przykryty słomą stóg zabezpieczy zboże na pół roku, z deszczem czy też nie, zatem młócisz po trochu, jak na to pozwalają inne rolnicze obowiązki. Kilka z najlepiej zarządzanych posiadłości koło Wschodniej Rezydencji miało proste młocarnie napędzane wołami – bardziej dla pozorów niż innych powodów, gdy siła robocza była tak tania – ale takie nie byłyby tu znane. Wszyscy widzieli w trakcie marszu oznaki zaniedbania, stare kanały irygacyjne, którym pozwolono ulec zamuleniu, pola pozostawione, aby zarosły rudawymi, rodzimymi zaroślami. A mimo to Południowe Terytoria nadal eksportowały zboże właściwie co roku, oprócz zdarzającego się od czasu do czasu okresu drożyzny lub głodu, jakie dotykały każdy rejon, zatem rezerwy musiały być niewielkie.

– A zatem – dokończył łagodnie Raj – łatwo jest utrzymywać *posuwającą się* armię – *istniał* powód do zaatakowania o tej porze roku, majorze – ale nawet przywódcy Eskadry nie wpakują pięćdziesięciu albo sześćdziesięciu tysięcy ludzi i trzydzieści tysięcy psów do miasta żyjącego z tego, co pozostało z zeszłorocznych zbiorów. Nie wówczas, gdy myślą, że ich potężni wojownicy mogą zmiażdżyć naszą małą grupę. W końcu ostatnim razem wygrali, prawda?

Dalhouse milczał przez chwilę. – Panie. A co, jeśli się mylisz?

–  
Wiesz, nie jest to bezpieczna profesja. Jeśli się mylę, wszyscy zginiemy. A teraz, messerowie, myślę, że powinniśmy zająć się ludźmi.

\* \* \*

–  
Na Ducha, Raj, mógłbyś wystrzelić lokomotywę, wsadzając cholernego messera Dalhouse'a do bojlera i pozwalając działać parze, jaką puszcza z uszu – powiedział Kaltin Gruder.

Głośny śmiech rozległ się dookoła stołu w namiocie dowódczym. Znajdowali się tam wszyscy Towarzysze i Ewardo Poplanich – Raj pomyślał zniechęcony, że on także może zaliczać się do tej kategorii. *Biedny gnojek*. Siedzieli w stylu Kolonistów, na poduszkach wokół wiklinowego stołu. Ozdobą stołu był sauroid, zastrzelony przez ludzi któregoś z nich, tutejszy dwunożny trawożerny mniej więcej wielkości człowieka, z głową jak u owcy i pierzastym kołnierzem wokół szyi. Zdobywcza została upieczona w prowizorycznym ziemnym piecu z plasterkami bekonu na grzbiecie, a chrupiąca

skórka pokrywała soczyste, rozplływające się białawe mięso brązowiejące na kończynach. Danie główne otaczały miski młodych ziemniaków pływających w maśle, stopy świeżych podpłomyków, oliwek i sałatek z zieleniny. Saurouid został zredukowany do pociachanych resztek i wszyscy rozłożyli się z owocami, serem i kolejną szklanicą lokalnego wina. Całe wojsko żyło sobie dobrze, ze złupionych składów albo z tego, co kupili od wieśniaków za złupione dobra. Głównym problemem w zaopatrzeniu było sprawienie, aby ludzie nie położyli łap na zbyt dużej ilości wody, którą *wypiliby*, gdyby mogli.

*Do tej pory to był cholerny wojskowy piknik*, pomyślał Raj. Oczywiście żaden z Towarzyszy nie oczekiwał, że będzie *to* trwać... ale nie było sensu zamartwiać się na zapas, kiedy wiedziałeś, że do tego dojdzie. Na tym spotkaniu messerów M'lewis wydawał się najbardziej przejęty swoimi manierami przy stole, raczej niepotrzebnie, jako że większość pozostałych trzymała buty na stole albo wybierała sztyletami kawałki z misek.

Gruder, M'lewis i Tejan M'brust przyprowadzili ze sobą dziewczyny, które podarował im Reggiri. Joni, Mitchi i Karli, schwytane młodo Oddane. Wszystkie mówiły po sponglijsku i miały towarzyską ogładę. Fatima także tam była. Z Bartonem strzelali do siebie potajemnie pestkami brzoskwini ponad leżącym z pobłażliwą miną Staenbridge'em. Przypomniało to Rajowi, że młody Foley nie skończył jeszcze osiemnastu lat. Przypomniało mu to także, iż Suzette tu nie było. Ucztowała z Bergiem i jego kamratami. Od czasu wydarzeń na wyspie Stern Bergowi wyglądziły się piórka. Berg mniej widywał Dalhouse'a, a Dalhouse i Berg razem wzięci mieli za duże wpływy na dworze... *A niech to pochłoną bezgwiezdne ciemności.*

Dalej, Mekkle – rzekł Raj do młodego Descotczyka. Mekkle Thiddo milczał, wpatrując się w otwarty medalion. Jego poślubiona przed rokiem żona znajdowała się w hrabstwie, ciężarna wedle ostatniego listu, co podejrzewano, gdy wyjeżdżał, ale co nie było pewne. – Jesteś młodym żonkosiem – zaśpiewaj nam *Drogą do Santanerr*. – Ehwardo wyglądał na nieco zaniepokojonego. Była to bardzo stara piosenka w wojsku Rządu Cywilnego i oficjalnie zakazana. A potem wrzucił ramionami.

– *Hole*, Mekkle, zacznij! – zakrzyknął, odchylając się do tyłu i poluźniając sobie kołnierz.

*Cóż, przynajmniej tutaj Ehwardo ma szansę się odprężyć bez zaglądania pod dywan w poszukiwaniu szpiegów Barholma* stwierdził Raj. Nawet jeśli spodziewana długość życia Towarzyszy nie była najlepsza.

– *Hadelande, dhude!* – zawołał. *Dalej, młodzieniaszku!* Rozłożył się jak sułtan na stosie poduszek z głową na ramieniu.

Thiddo wyszczerzył zęby w uśmiechu i pochylił się, unikając na poły zjedzonej moreli. – Niech spadnie na wasze głowy – i bębenki – powiedział i odrzucił głowę w tył, aby zaśpiewać silnym, młodym barytonem:

*Kiedy dla Loli opuszczałem dom...*

*Wojskową drogą do Santanerr*

*Prosiła, bym serce jej wziął,*

*Abym zabrał je wraz z mieczem do Santanerr*

*Aż nasze sztandary załopoczą nad Santanerr... Przemierzyłem pustynią – i Sandora! I brzegi*

*Divy, gdzie śnieg płatkami spadł Tak biały jak uśmiech Loli... Tak zimny jak serce Loli! Utraciłem pustynię, i Sandoral, Utraciłem dom i najcenniejsze com miał. Utraciłem Lolą!*

Ze swojego miejsca u szczytu stołu Raj widział zachodnią bramę obozu i nadbrzeżną drogę na północy. Tam, gdzie sięgał wzrok, na północy, zamrugła przysłonięta latarnia. Było to miejsce, gdzie główny posterunek kawalerii strzegł podejścia od północy; od Port Murchison, między innymi. *Grupa – eskorta – emisariusze – flaga zawieszenia broni* odczytał. Brama odpowiedziała: *przejdź*. Zabłyśły dwa światła, podskakując, gdy emisariusze jechali na południe, z oddziałem pilnującej ich kawalerii. Był to prawdopodobnie jakiś wielmoża Eskadry, próbujący ocalić skórę. Zdumiewające jak ci piraci łagodnieli, gdy zniszczenie pojawiała się w ich własnych progach. Stary admirał „Geysler” Ricks, zdobywca Południowych Terytoriów, musi się przewracać w swoim marmurowo-złotym mauzoleum.

*Wszyscy się przyłączyli: Kiedy mijasz Camina Bellica Jak masa ludzi, która tędy chodziła Wspomnij los żołnierza Co go rodzina już nie zobaczyła! Och, droga była ukochana, co go całowała I droga matka, która go powiła, Potem znaleźli jego miecz wśród wrzosu*

*Igo rodzina już nie zobaczyła!*

Pochodnie dotarły do bramy i się zatrzymały. Zabrzmiało hasło i odzew. Pospieszyły w dół długiego, niskiego zagłębienia i w górę głównej ulicy przecinającej obóz aż do otwartej przestrzeni przed namiotem dowódcy. Raj uniósł brew. Jechali co najmniej krótkim galopem. Coś musiało wyrzucić na nich wrażenie, a regularna kawaleria Rządu Cywilnego zwykle nie ustępowała łatwo barbarzyńcom. Żołnierze przechadzający się na warcie na zewnątrz otwartych drzwi namiotu zwalczali uśmiech. Oficjalnie piosenka, którą wyrykiwano w środku, była przestępstwem karanym chłostą – a kolejna linijka stanowiła tego powód. Nie podobała się żadnemu gubernatorowi, a zwłaszcza tym, którzy dostali się na Krzesło, strzelając poprzednikowi w plecy.

*Kiedy mijasz Camina Bellica*

*Z Miasta do Sandoral*

*Wspomnij los żołnierza*

*Który panem wszystkich się stał!*

*Nosił karabin i szablę*

*Pełnił wartę i z dumą jechał*

*Aż armia okrzykała go gubernatorem*

*I panem wszystkich się stał!*

Brzęk i błysk metalu na placu. Raj widział ciemne sylwetki regularnych obok klejnotów, złota i jasnego odzienia barbarzyńców. Oficer straży zanurkował do środka namiotu i pochylił się, aby porozmawiać z Muzzafem Kerpatikiem. Raj uniósł szklanicę w ironicznym toastie. Przydzielił Komarianinowi zadanie sporządzenia listy wielmożów Eskadry. Ten wykonał to z łatwością i sprawnie, wykorzystując swoje kontakty handlowe. Teraz wyglądało na to, że bardziej był zainteresowany patrzeniem z ukosa na Joni, nową konkubinę M’lewis. Ta opierała się na łokciu w sposób, który czynił interesujące rzeczy z przodem jej przezroczystej, płóciennej bluzki... *Obowiązek*

wzywa, pomyślał. Głosy wzniosły się w ryku;

*Dwadzieścia pięć dni marszu do Payso*

*Do Ayaire czterdzieści pięć*

*A końcem może być śmierć pośród wrzosu*

*Albo życie na Krzesle gubernatora możesz wieść*

*Ale czy wojsko nas posłucha*

*Czy jakiemuś sauroidowi pozwolim się zjeść*

*Wolę być kochankiem Loli*

*Niżli Krzesło gubernatora gnieść!*

Muzzaf wrócił do środka. Jego twarz była jak wiadro zimnej wody pośród wybuchów śmiechu. Pochylił się, aby poszeptać dowódcy do ucha i Raj podskoczył w górę, jak rozwijająca się sprężyna. Zaległa cisza.

—

Messerowie, myślę, że lepiej będzie, jak powiemy paniom dobranoc – powiedział.

\* \* \*

—

Ty jesteś Ludwig Bellamy? – spytał Raj w spanjolskim.

Wielmoża barbarzyńców postąpił do przodu. Był młody, nie miał więcej niż dwadzieścia lat, był wyższy o dłoń od mierzącego 190 centymetrów generała. Był szeroki w barkach, przystojny, jasnowłosy, z wąskim nosem. Jego włosy związane były z prawej w warkocze, tył głowy wygolony w starym stylu Eskadry i miał tylko zaczątki brody. Stojący za nim wojowie byli mężczyznami lat trzydziestu o pobliżnionych twarzach, wydający się być nagimi bez swoich karabinów skałkowych i długich mieczy. Puste pochwy i pasy młodszego mężczyzny wyglądały, jakby były warte tysiące merinosów, a skórzana kurtka z frędzlami naszywana była platynowymi cekinami.

— *Si, heneral—hefe Whitehall* – odezwał się w doskonałym dworskim sponglijskim: *Tak, najwyższy generale Whitehallu. – Ludwig Bellamy este, mi, elto spreyt d’Karl Bellamy, ho esten gran Capetain do sojadas marihenos en afilo d’Ahmiral Ricks, Ispirito Persona dondi fahor on el’* Jestem Ludwig Bellamy, najstarszy syn Karla Bellamy’go, który jest najwyższym kapitanem marynarki pochodzącym od admirała Ricksa, na którym niech spoczywa błogosławieństwo Ducha Człowieka.

Ludwig oblizwał wargi. Jego oczy nie śmigały do stojących w cieniu sylwetek żołnierzy Rządu Cywilnego. – Może, messer generale, to nie jest miejsce?

Raj uśmiechnął się posepnie, a jego lewa ręka spoczęła na rękojeści szabli. To miejsce będzie całkiem odpowiednie, z padającym zza niego światłem z namiotu rzucającym jego cień na twarz młodego Bellamy’ego. Raj będzie pozbawioną rysów sylwetką, mając za sobą całą tę uporządkowaną, śpiącą siłę obozu. *Karl Bellamy*, pomyślał. Piąty od góry w hierarchii Eskadry, fantastycznie bogaty, lord mający tysiące zbrojnych wasali i dziesiątki tysięcy tutejszych wyrobników, okręty wojenne, kupców, kopalnie, niewolników, stada... i ojciec tylko dwóch synów z

prawego łóża, zgodnie z raportem Muzzafy. Ten tutaj pasował do opisu w aktach, aż do skrzywionego lewego palca, który się źle zagoił po złamaniu w wypadku na polowaniu.

—

To miejsce nada się wystarczająco dobrze – powiedział. Ostrożnie powstrzymał się przed zaproponowaniem poczęstunku, co sprawiłoby, że wielmoża poczułby, iż ma na poły święty status gościa. – Rozumiem, iż twój ojciec – jeśli jesteś tym, za kogo się podajesz – pragnie złożyć hołd Rządowi Cywilnemu Świętej Federacji?

Ludwig zbladł. – To znaczy – wasza dostojność – dano nam do zrozumienia...

—

...iż tym, którzy poddadzą się bezwarunkowo, oszczędzone będzie życie i większość posiadłości – dokończył Raj. – Krótko mówiąc, tak. Jednakże lojalność musi zostać *udowodniona* i to udowodniona osobiście. Nie będę pertraktował z emisariuszem. Niech sam przybędzie.

Szlachcic Eskadry przymknął na sekundę oczy, zbierając siły. – Messer generale, musisz zrozumieć... te sprawy trwają...

—

Jeśli nie podda się do czasu, kiedy do niego dotrzemy, straci życie i ziemie – przerwał brutalnie Raj. – Mamy takie powiedzenie w Rządzie Cywilnym: *czas srać albo spadać z nocnika*.

Westchnienie i skinienie głowy. – Tak, oczywiście. Messer Whitehallu, mój ojciec – widzisz, jeśli ten uzurpator admirał będzie coś podejrzewał... Cóż, mój ojciec czeka w rezydencji niecałe trzy kilometry stąd. Ma ze sobą tylko kilkunastu najwierniejszych strażników. Przybądź z tyloma ludźmi, z iloma zechcesz, messer Whitehallu. Mamy do zaproponowania więcej niż poddanie się.

Jesteśmy w posiadaniu informacji o żywotnym znaczeniu, jak najbardziej żywotnym dla postępu twojej kampanii.

Raj stał przez chwilę, a jego oczy wpatrywały się w drugiego mężczyznę, podczas gdy umysł pracował na wysokich obrotach. *Znajdujemy się na ziemi Bellamy'ego...* i Bellamy będzie wiedział wiele o planach swego monarchy. Eskadra przeprowadzała mobilizację wojenną, wysyłając wezwania do głównych wielmoży, którzy z kolei zwoływali swoich ludzi.

—

Przynieście naszemu gościowi puchar wina! – zawołał Raj. Ramiona Bellamy'ego opadły nieco z podświadomej ulgi. Weterani znajdujący się za nim utrzymywali takie samo milczące napięcie przyciśniętego do muru carnosauroida. – Obawiam się, że nie możemy zaproponować więcej, jako że natychmiast będziemy wracać.

Odwrócił się na pięcie i podszedł do otwartej klapy namiotu.

—

M'lewis – rzucił Raj. – Spuść swoich psich złodziei. Mam dla ciebie trochę roboty zwiadowczej. Gerrin, niech Piąty znajdzie się za piętnaście minut przy zachodniej bramie w bojowej formacji, proszę. Reszta – Towarzysze, proponuję, żebyście się trochę przespali. Wrócę za kilka godzin. Spotkanie dowódców batalionów o 3.00. Zapowiada się, że jutro pełne będzie wydarzeń.



Obok niego zabrzmiał wilczy pomruk niosący się ku miejscu, gdzie czekali barbarzyńcy pod bronią Descotczyków.

\* \* \*

– Ponie.

Raj spojrział w dół, nieco zaskoczony. M'lewis pojawił się znikąd, u wejścia do ogrodów *kasgrane* Bellamy'ego. Twarz miał poczernioną, ale lśniły mu złote zęby. Pod wysokim, kamiennym łukiem było ciemno, ale...

– Wszystko zabezpieczone, ponie, moi ludzie sana miejscach. Nikogo nie ma, jeno kilku barbarzyńców, jako powiedzieli, nawet niewolników odesłali. Mogłem wyłapać i zwędzić im psy, łatwa robota.

– Dobry z ciebie chłop. Chodź.

M'lewis zagwizdał, wydobywając syczący dźwięk naśladowujący latającego nocą dactosauroida. Jego pies wyszedł z zarośli z wodzami w pysku i upuścił je u jego stóp. Mężczyzna wskoczył z łatwością na siodło i zapadł w nie, gdy popędzili susami. Spojrzenie do tyłu ukazało tylko błysk oczu w słabym świetle Miniluny, znajdującej się w połowie drogi do pełni oraz ciemną masę wznoszącą się i opadającą, gdy batalion posuwał się w dół długiego, zakręcającego podjazdu. Żwir zachrząścił pod łapami. Ciepła noc pełna była zapachów eukaliptusowych drzew, ciepłego psa, skalnego pyłu i więdnących wiosennych kwiatów.

tKarl Bellamy czekał na ganku swej rezydencji, pod latarnią oświetlającą jego i jego ludzi stojących bez broni, poza mieczami. Był to stary budynek pamiętający jeszcze czasy sprzed podboju Eskadry, zbudowany z miękkiego marmuru i kafli. Przed schodami stała wysoka fontanna, udekorowana marmurową dziewczicą sięgającą po kulę tańczącą jej na opuszkach palców. Postaci brakowało jednej stopy, a obok basenu wykopano w kamiennym chodniku studnię. Paliki wskazywały, że było to teraz koryto do pojenia psów gości. Raj zwalczył falę irracjonalnego gniewu i wyrzucił w górę rękę, *Wandale*, pomyślał.

Grupa dowódcy ściągnęła wodze psom i zwierzęta przysiadły na tylnych łapach, zatrzymując się w deszczu żwiru i pyłu unoszącego się ku pierwszym stopniom portyku. Za nimi Piąty rozdzielił się w obie strony, tworząc szereg głęboki na dwóch ludzi z karabinami, a światło latami odbijało się od psich kłów, gdy zwierzęta dyszały.

– Kapitanie Staenbridge, zabezpiecz teren – powiedział Raj, zsiadając. Za nim buty zadzwięczały o kamień, gdy znajdujące się po bokach kompanie zsiadały z psów. Chorążowie i trębacze pozostali na wierzchowcach, długie drzewca i ozdobione jedwabiem krańce materii kołysały się w górze.

Ludzie Eskadry zasalutowali na swój sposób. Prawa pięść do piersi, a potem wyprostowana. Raj wsadził hełm pod pachę i pochylił bardzo lekko głowę.

– Kapitan Karl Bellamy? – spytał.

–

Jam jest Bellamy – odezwał się przywódca Eskadry powolnym, głębokim głosem, zdającym się dudnić mu w piersi. Jego sponglijski był bardziej akcentowany niż u syna, ale dający się zrozumieć. Jego przetykana siwizną broda sięgała prawie do pasa. Wydatny brzuch tylko

dodawał mężczyźnie aury ogromnej siły.

– Brygadier generał Raj Ammenda Halgern da Luis Whitehall – powiedział Raj.

–  
To jest mój syn Benter. – Młodsza wersja jego brata Ludwiga wpatrywała się w ciemne, cudzoziemskie twarze z chłopcą radością wobec tej cudowności. – Witaj na mojej ziemi. Wypij wraz ze mną trunek gościnnie i zawrzyjmy święty pokój.

Bellamy podniósł dziedziczny puchar, bezcenny, starożytny plastik w nowoczesnej, srebrnej oprawie. Jego synowie napili się pierwsi, każdy porządny łyk, zanim napił się ojciec. Część wina rozlała mu się na brodę. Otarł usta ręką i podał dalej trunek gościnnie. Raj wypił swoją kolejkę, z umiarem – wciąż pozostało ćwierć litra doskonałego czerwonego wina – i wręczył resztę Gerrinowi. *Niech wszyscy moi oficerowie zawrą światy pokój i żaden nie będzie pijany*, pomyślał z ironią. Jednakże z tego, co było wiadomo, większość członków Eskadry naprawdę zwracała uwagę na te rzeczy. W przypadku, powiedzmy, Oddanego, wiedziałeś, że przysięga to moment, aby uważać na ukryty nóż. *Ich* ulubioną zabawą było bratobójstwo.

Bellamy zamrugnął pełnymi powagi, podkrążonymi oczami, smutnymi jak oczy psa, osadzonymi pomiędzy sięgającą policzków brodą a krzaczastymi brwiami.

–  
Musimy porozmawiać – powiedział. Żaden z jego ludzi nie zaprotestował, kiedy oddział wraz z Gerrinem Staenbridge'em towarzyszył obu przywódcom albo też kiedy kolejny oddział zablokował drzwi za nimi. Bellamy poprowadził gości przez zacienione korytarze pełne wyblakłej wspaniałości i krzykliwej okazałości do małego pokoju. Spojrzał na Staenbridge'a.

–  
Ten mężczyzna jest moim krewniakiem i prawą ręką – powiedział Raj. Była to właściwie prawda. *Byli* kuzynami czwartego stopnia czy coś takiego. Każda szlachecka rodzina w hrabstwie była w jakiś sposób spokrewniona, tak jak i każda miała pomiędzy sobą wendettę albo i dwie, jeśli sięgnęło się dostatecznie daleko w czasie.

Bellamy skinął powoli głową. – Nie będę przebierał w słowach – powiedział. – Admirał Auburn nie jest mi przyjacielem. Bellamowie byli krewnymi starego admirała Tonbridge'a. *On* nigdy nie odesłałby naszych najlepszych ludzi, kiedy groziła wojna!

Tak naprawdę, to był on jeszcze większym idiotą niż ten obecny, pomyślał Raj. Matka starego admirała była także bardzo mało znaczącą krewną rodziny poprzedniego gubernatora we Wschodniej Rezydencji, wysłana do *barbaricum* jako dziewica poświęcona na ołtarzu dyplomacji. Wielu wielmoży Eskadry uważało, iż za bardzo ulegał wpływom swej matki i podejrzewało – całkiem słusznie – że skłaniał się ku Duchowi Człowieka Gwiazd, Zmiana dynastii była jednym z tych oficjalnych *causi belli*. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie, ale ironiczne było to, iż przyszła ona ze strony tak samo uzurpatorskich Clerettów...

–  
Auburnowie są uzurpatorami – przytaknął Raj. – Duch nie będzie sprzyjał uzurpatorowi w wojnie.

–  
Obiecujesz – zaczął Bellamy, głaszcząc się po brodzie. – Obiecujesz, iż ci, którzy ci

przysięgną, zatrzymają swoje ziemie?

– Tak – oświadczył stanowczo Raj. – Minus jedna trzecia dla Rządu Cywilnego. – Bellamy się skrzywił, ale było to lepsze niż utrata wszystkiego i sprzedanie do kopalni. – Tak jak obiecuję konfiskatę wszystkiego tym, którzy będą stawiać opór. Rząd Cywilny wolałby mieć was za lojalnych poddanych – chociażby dlatego, że przydaliby się nam wasi wojownicy – ale jeśli będę musiał zgnieść was na psią papkę, aby spacyfikować te terytoria, to tak uczynię. Bellamy złożył dłonie. Pot pojawił się na jego zmarszczonym czole.

– Tak mówisz, messer generale. Jednakże nie będziesz tutaj królem. Czy następny wicegubernator dotrzyma danego przez ciebie słowa?

*Dobre pytanie.* Kiedy już Rząd Cywilny będzie sprawował mocną kontrolę, wszelki opór stanie się prawie niemożliwy.

– Prawdopodobnie. Jestem wtajemniczony w działalność Rady Wojennej gubernatora Barholma i tam, gdzie to możliwe, wyznaje się politykę zjednywania. Chcemy rządzić stabilnymi i produktywnymi ziemiami, a nie dławić co roku rebelie. A Południowe Terytoria są daleko od Wschodniej Rezydencji... Nie będę owijać w bawełnę. Uznacie nasze podatki za surowe – Duch wie, że większość z *nas* tak myśli – prawdopodobnie okaże się również. tże sporo waszych młodych mężczyzn będzie odbywało służbę wojskową gdzie indziej, na przykład na granicy z Kolonią. Ale to wszystko razem wzięte nie jest takie straszne. W wojsku nie zwracamy – zbytnio – uwagi na pochodzenie dżentelmena i twoi synowie, na przykład, mogliby zajść daleko jako oficerowie. Może wśród moich ludzi...

– Reszta zostanie rozbrojona, przynajmniej początkowo. W zamian za to otrzymacie stabilny rząd, pokój i dobrobyt.

Bellamy pochylił się do przodu. – To dobre słowa. Ale co z twoim Kościołem? Co z Czyścicielami Wirusów?

Raj skrzywił się lekko. – *Cóż, to jest pewien problem.* Zwłaszcza biorąc pod uwagę sposób, w jaki wy traktowaliście członków *naszej* wiary. Z pewnością trzeba będzie zwrócić kościelne dobra. Mogę tylko stwierdzić, że moją polityką będzie tolerancja, a cywilny administrator wyznaczony, aby mnie zastąpić, myśli podobnie. Dopóki nie będziecie próbować nawracać ani czczyć publicznie... I tak nawet nie więcej niż jeden na stu tutejszych ludzi jest wyznawcą tej Ziemi. Ci, którzy chcą awansować w wojsku albo na dworze, będą oczywiście musieli przyjąć ortodoksyjną wiarę.

Bellamy zgarbił się na swoim krześle, przykrywając oczy dłonią. Raj był zdumiony, widząc łzy spływające po krzaczastej brodzie.

– *Muszę zachować dziedzictwo dla moich synów* – wyszeptał chrapliwie w swoim własnym języku. – *Nie mogę zniszczyć rodu Bellamych z powodu lekkomyślności Auburna...*

Nagle jego twarz zamarła przed oczami Raja. Przesunęły się po niej linie i wzory. Początkowy obraz wisiał nałożony na żywego człowieka, a potem podskoczył ku generałowi w susach. Strzałki wyskoczyły wokół mężczyzny, wskazując na źrenice i rozkład zabarwienia.

»Analiza stresu wskazuje, że obiekt Bellamy jest szczery.« powiedziało Centrum.  
»Prawdopodobieństwo 96% plus minus 2.«

—

Mówisz ucziwie, jak honorowy człowiek. Złożę przysięgę – rzekł Bellamy. – Sprowadź moich synów! Oni także ci przysięgną!

Raj wstał i niezgrabnie ujął dłonie wielmoży w swoje, brnąc przez rytuał przysięgi wierności. *Nie* był to moment do wyjaśniania różnicy pomiędzy przysięganiem lojalności człowiekowi a państwu. Tym niemniej, szczęśliwie, iż nie ma tu nikogo innego poza Gerrinem. *Jeśli przedstawiono by to nieodpowiednio, mogło by to być źle odebrane we Wschodniej Rezydencji.* Po zakończeniu ceremonii Bellamy podszedł do biurka, którego lekkość konstrukcji i inkrustacje z kłów sauroida wyglądały absurdalnie przy jego potężnej postaci. Kiedy się odwrócił, w dłoniach miał plik papierów.

—

Admirał Auburn wezwał wojenne hufce – powiedział dowódca Eskadry, mówiąc teraz bezosobowym i stanowczym tonem. – Atakuje jutro, toteż...

\* \* \*

—

Zatem garnizon miejski pod dowództwem komandora Connera Auburna, najmłodszego brata admirała, dokona wypadu na południe, drogą nadbrzeżną. Dwanaście tysięcy ludzi, plus– minus tysiąc.

Raj podniósł wzrok na krąg oficerów zgrupowanych wokół stołu z mapą, pod kołyszącą się latarnią. Była 3.30, niektórzy mieli przekrwione oczy, inni przełękali kawe albo pogryzali podpłomyki. On też miał piasek pod powiekami, a sen był odległym wspomnieniem z dzieciństwa. Siedemdziesiąt tysięcy ludzi znajdowało się w ruchu, przypominając ogromne, ciężkie tryby maszynierii w wielkim parowym silniku. Jego umysł też tak się czuł, jak części maszyny z żelaza i mosiądzu, trybiki obracające się z naoliwioną precyzją. Wszystko było jasne i oczywiste.

—

Spodziewają się uderzyć na nas koło południa – co oznacza, że mniej więcej teraz opuszczają Port Murchison. Conner Auburn jest narwańcem nawet wedle standardów Eskadry, więc spodziewam się, że pierwsi przybędą ci na najlepszych psach, a reszta z opóźnieniem. Majorze Staenbridge, wysyłam cię im z Piątym i Siódmym na spotkanie – Piąty był większy liczebnie, co oznaczało tysiąc czterysta ludzi i to bardzo dobrych – i dwie baterie oraz sześć działek. – Dźgnął palcem w nadbrzeżną drogę mniej więcej w połowie odległości od Portu Murchison. – Tutaj. Przybądź tam wcześniej. Pozostałe szczegóły zostawiam tobie, ale nie trać kontaktu i nie pozwól im się otoczyć. Pokrwaw im nosy i wycofaj się do bazy tutaj, a jeśli cię przycisną – salwa i ruch.

—

Zrozumiano, panie. – Gerrin obrócił się, marszcząc brwi nad mapą i nieświadomie napinając swoje mocne mięśnie, jak oracz patrzący na pole i przygotowujący się do dnia roboty.

—

Kolejnym elementem planu nieprzyjaciela – ciągnął Raj – jest dywersyjny atak dwóch tysięcy doborowych kawalerzystów – będących osobistymi żołnierzami admirała Auburna – z zachodu. Planują oni uderzyć na nas około 10 i zmusić nas do zwrócenia się przodem ku

zachodowi, podczas gdy reszta sił zbliży się od północy i południa. Wysłałem grupę zwiadowczą z Piątego, aby poznać ich dokładną pozycję i mistrza sierżanta da Cruza, żeby Skinnerzy ruszyli się ich zablokować.

Palec Raja przesunął się na południe, aż znalazł się pod pierwotnym miejscem lądowania Korpusu Ekspedycyjnego, a potem przesunął się na północ równoległe do linii marszu, ale dalej od wybrzeża.

—  
Admirał Auburn nadciąga od Sefex – najbardziej na południe wysuniętego miasta na wschodnim wybrzeżu Terytoriów – wzywając rodzimych poborowych Eskadry oraz wszystkich, którym udało się uciec przed nami i zbiec na południowy-zachód. Ma resztę osobistej straży, czyli tysiąc pięciuset ludzi i to, co zdołał zebrać: przynajmniej trzydzieści tysięcy, może czterdzieści. – *A może i więcej. Najpewniej całym sercem odpowiedzą na wezwanie, kiedy my tu palimy i zabijamy.*

Pomruki ozwały się wokół stołu. Wyraz twarzy Raja mógł zostać nazwany uśmiechem przez kogoś, kto się zbytnio nie przyglądał.

—  
Będą mieli koordynację jednostek jak w czasie ulicznej burdy po wyścigach, ale nie zapominajcie, że walczą na progach swoich domów, za swoje rodziny, Kościół i groby ojców.

—  
Istnieją, tylko dwie prawdziwe drogi podejścia z południa dla sił takich rozmiarów – które nie mogły na przykład oddalić się za daleko od wody pitnej – tutaj i tutaj. Majorze Zahpata, weźmiesz swój batalion, 1 Zwiadowczy z Gaur i 3 Dragonów z Chongwe z jedną baterią i ruszysz tą drogą.

Haldolfo Zahpata z 18 Pograniczników z Komar skinął głową, gładząc się po czarnej, spiczastej bródce. Był zylastym zawodowcem w średnim wieku, doświadczonym, ale niezbyt ambitnym, ze średniej klasy szlachty w rodzinnych stronach. Buthelezi z 1 z Gaur był kamratem Dalhouse' a, ale nie będzie sprawiał kłopotów Zahpacie.

—  
Majorze Thiddo, weźmiesz Rzeźników, 21 Dragonów z Novy Haifa, 17 Kirasjerów z doliny Hemmar i także baterię. – Postawienie Dalhouse' a pod Thiddo było skalkulowanym ryzykiem. Mężczyzna był zwariowany na punkcie dumy z pochodzenia i na dodatek był starszy. Z drugiej strony, powierzenie dowództwa nad tą kolumną Poplanichowi było wykluczone. Nikt z odrobiną ambicji, a Dalhouse miał jej więcej niż inni, nie będzie się zadawał z Poplanichem. *Sam mogę towarzyszyć tej kompanii,* pomyślał Raj.

—  
Waszą misją jest unieruchomienie czoła kolumny admirała Auburna i zmuszenie go do ataku – co, jak znam Eskadrę, zajmie całkiem sporo czasu. Posuwajcie się szybko do przodu, ale nie pozwólcie się wciągnąć w wir walki. Pamiętajcie, zasięg waszej broni jest czterokrotnie większy niż ich, a szybkość ognia pięciokrotnie większa, wysuńcie jeden batalion do przodu i trzymajcie pozostałe dwa oraz działa czuwające z obronnego terenu za każdym razem, gdy posuniecie się do przodu. Kiedy dojdzie do kontaktu, niech przedni batalion zasypie ich ogniem dalekiego zasięgu. Gdy zaatakują, cofnijcie się do bazy ogniowej i poczęstujcie ich salwami ognia i szrapnelami, aż zaczną was ogarniać. Wówczas cofnijcie się i powtórzcie ten proces. Kolumna, która usłyszy, jak ta druga walczy, podjedzie ku dźwiękowi dział i powtórzy manewr. Przyciągnąć ich do obozu, ale tak powoli, jak to możliwe.

–  
Pułkownikowi Menyez, będziesz dowodził obozem i piechotą – ciągnął Raj. Menyez skinął głową, wycierając nos chusteczką w związku z ciągłym problemem z alergią. – Niech stoją w gotowości – lekki bojowy pakunek, suchary, woda i podwójna amunicja, ale postaw ludzi na murach i bądź gotowy albo wesprzeć kawalerię, jeśli zostanie zepchnięta, albo ruszyć do przodu.

–  
Tylko parę jednostek piechoty było na tyle zaprawionych w boju, by stawić czoła kawalerii na otwartej przestrzeni. – Majorze Poplanich, będziesz stanowić rezerwę centralnej kawalerii do dyspozycji mojej albo pułkownika Menyeza. – Można było liczyć, iż Ehwardo będzie współdziałał bez słowa skargi z oficerem piechoty. Czego nie można było założyć w przypadku wielu pozostałych.

–  
Major Staenbridge wyruszy natychmiast, kolumny kawalerii o świcie, kiedy obóz stanie w gotowości bojowej. I jeśli to już wszystko, messerowie, to sugeruję, aby ci z was, którzy mogą, odpoczęli nieco, a reszta zajęła się zadaniem. Zapowiada się długi dzień.

Spotkanie zakończyło się szybko, nikt nie był w nastroju do pogawędki. Raj stał przy zewnętrznym palu namiotu. Dwa bataliony Descotczyków znajdowały się na zewnątrz, wypełniając plac, gdy ludzie siedzieli obok przycupniętych psów.

–  
Zajmijcie ich, jak tylko możecie – Raj zwrócił się do Grudera i Staenbridge’a. – Daję wam wszystko, co mam, bo naprawdę wolę toczyć jedną bitwę naraz, jeśli tylko mogę.

Gerrin skinął głową, uderzając pięścią o otwartą dłoń, żeby dopasować rękawice. – Miejska milicja i żeglarze na psach – powiedział – oprócz Connera i jego domowników.

Kaltin się uśmiechnął. – Ano, może uda nam się zrobić cosik dla ciebie, ponie – odezwał się zaciągającym dialektem z hrabstwa.

Wszyscy uderzyli się pięściami, a Raj przyglądał się z zazdrością, jak wychodzą do swoich jednostek. Niech to diabli, chciałbym mieć tylko jedno zadanie rozsądnych rozmiarów.

– Wsiadać!

Żołnierze wskoczyli na siodła. Zamykający szeregi w każdej kompanii nieśli zapalone pochodnie ze zwiniętych, nasączonych oliwą patyków, tak, żeby formacje mogły utrzymywać pozycję przy szybkim nocnym marszu.

Gerrin Staenbridge stanął w strzemionach i powiedział gromkim głosem – Dobra, chłopaki, czas zasłużyć na żołąd i pokazać nieprzyjacielowi, z jakiej gliny ulepieni są ludzie z hrabstwa. Ci barbarzyńcy robią dużo hałasu i wyglądają nieźle, ale zawrócą szybciej, niż przyszli, jak się z nami spotkają. Tylko pamiętajcie, żeby słuchać rozkazów i celować nisko. – Jego prawa pięść wystrzeliła w niebo, a potem zleciała kosząco ku przodowi. – Piekło albo łup, psi bracia – wolnym krokiem marsz, *klusem*.

Suzette podeszła z tyłu do Raja, wsuwając mu rękę pod pachę. Oboje przyglądali się, jak potok ognia spływa ku bramie i skręca na północ na nadbrzeżną drogę. Obydwa księżycy zaszły i tylko zimne, mrugające światło gwiazd sprawiało, że ich sylwetki odcinały się od białego pyłu traktu. Jej

głos zamruczał mu za uchem.

– Powinieneś się przespać, mój kochany – powiedziała. – Przynajmniej przez chwilkę.

Objął ją ramieniem w pasie. – Nie mogę – westchnął. – Jestem za bardzo nabuzowany. Niech to diabli, za dużo kawe!

– Chodź. – Pociągnęła go łagodnie ku tyłowi namiotu. – Sprawię, że zaśniesz. Chodź ze mną, ukochany.

\* \* \*

– Raj. Raj, obudź się.

– *Huh.* – Raj usiadł prosto, wzdrygając się, wyrwany ze snów o lęku i ucieczce. Było wciąż bardzo ciemno. Obok znajdowała się ubrana w szlafrok Suzette, dotykając jego ramienia. Wsunął pistolet z powrotem pod poduszkę i postawił stopy na podłodze, trąc twarz rękoma, a potem ochlapując ją wodą z miski i przeczesując palcami włosy. Teraz umysł miał otumaniony jeszcze bardziej, niż gdyby wcale nie spał, ale za chwilę będzie się czuł lepiej po wypoczynku.

– To da Cruz – powiedziała cicho Suzette.

Szybko i zręcznie jeden ze służących wykladał świeży komplet przyborów: spodnie, buty, bieliznę, pas, sakiewki na amunicję, składaną linijkę, pudełko z mapami, lornetkę. I kolejny kubek kawe z filiżanką koziego mleka. *Na Ducha*, pomyślał, pociągając z nich na zmianę. *Jeśli Azanianie kiedykolwiek odetną nam zapasy ziaren kawe, dowództwo armii będzie zgubione.*

– Jest ranny – ciągnęła. – Nie poważnie. To Skinnerzy, a nie nieprzyjaciel.

*Scramento*, pomyślał pomrukując. – Oto przepadła zachodnia flanką. – A trzy bataliony oddanych na śmierć i życie osobistych strażników admirała gotowało się, by spaść na niego nie wiadomo skąd.

– Nie martw się – powiedział, kładąc na moment dłoń na jej policzku. – To tylko zwyczajna, rozpacзлиwa sytuacja krytyczna.

Da Cruz przeklinał, gdy Raj wysunął się przez kłapę do zewnętrznego pomieszczenia namiotu, zapinając kołnierz tuniki i zawiązując czerwono–czarną, kraciatą opaskę. Podoficer siedział na stołku, obnażony do pasa, podczas gdy umartwiona medyczka w kombinezonie i habicie pracowała nad długim, powierzchownym cięciem na jego przedramieniu. Węglowo–naftowa lampa ukazywała przysadzisty tors i postronki mięśni na ramionach pociętych bliznami. Nóż, miecz, pocisk i szrapnel pozostawiły ślady i wyglądało, jakby ktoś kiedyś próbował wypisać rozżarzonym żelazem swoje imię na brzuchu mistrza sierżanta, dochodząc do drugiej litery, zanim napis się urwał.

Teraz żołnierz miał nową ranę, długie, płytkie cięcie biegnące po zewnętrznej stronie ramienia od nadgarstka do łokcia. Zakonnica przetarła je jodyną, obmyła ramię pobłogosławioną wodą i zaczęła formować spory bandaż z płótna i gazy.

– Na święte pole statyczne Ducha, uważaj no, siostro! – powiedział.

– Uważaj na język – odcięła się. – Nie ma nadziei, żebyś jej nie przeciążał? – Zaczekała. – Chłopcy. Cóż, spróbuj utrzymać ją w czystości.

– Co się stało, Top? – spytał Raj.

Częściowo było to widoczne na rzuconej na podłogę tunice mundurowej da Cruza. Lewy rękaw

był przesiąknięty krwią i rozcięty – zrobienie tego wymagało *bardzo* ostrej klingi – a jedna poła została odcięta jako zaimprovizowany bandaż. *Patcha*, nóż Skinnerów, ocenił Raj, mający długość ramienia i służący jako narzędzie do cięcia. Pierwotnie zaprojektowano go, aby ścinać drzewo na opał i przerzynać masywne kości trawożernych sauroidów, ale Skinnerzy byli pomysłowi.

– To oni, Skinnerzy, messer Raju – powiedział da Cruz. Wziął dzbanek z wodą przyniesiony przez służącego i pił, aż mu podskakiwało jabłko Adama. Rany sprawiały, że człowiek robił się spragniony, a on wyglądał, jakby stracił trochę krwi. – O pięć punktów zeszedł z pozycji i cosik ostro popijali w *kasgrane* Eskadry. Powiedziałem im, coby się ruszyli – i to dostałom za moje starania, ponie. Szczęście com z życiem uszedł.

– Co za radość – powiedział Raj.

*Myśl. To twoje zadanie, myśl.* Plan bitewny Eskadry był potwornością, jeszcze zanim się skompromitował. Zasadzał się na tym, że sprawy pójdą dobrze i na precyzyjnej koordynacji uzbrojonego motłochu. Dwa tysiące znajdujące się na zachodzie były jedynymi nieprzyjacielskimi siłami, które były naprawdę mobilne, i jedynymi, które były w całości złożone z zawodowych wojowników – nie byli tak naprawdę żołnierzami, ale będą mieli *jakieś* pojęcie o tym, co robią.

–

Skinnerzy nie posłuchają nikogo innego, a są oni jedynymi siłami w pobliżu – powiedział głównie do siebie. Czterdziestu Złodziei wyznaczyło linię marszruty – ta gromada odrzutów z odwachów i morderców naprawdę *potrafiła* dokonywać rekonesansu, teraz, gdy M’lewis wpoił im strach przed Duchem – i tylko Skinnerzy mogą ich przechwycić.

Chyba że poświęciłby swój jedyny rezerwowany batalion regularnej kawalerii... ale katalog bitew wygranych przez człowieka, który rzucił do walki swoje rezerwy, sięgał daleko poza zapisaną historię. *To w tej chwili zaczynam przeklinać wysłanie obydwu, Kaltina i Gerrina, pomyślał. A potem: To była słuszna decyzja. Nie możemy dać się im złapać jak pinyata pomiędzy dwie pałeczki.*

–

Suzette? – zawołał. Kobieta przeszła przez zasłonę w kostiumie dojazdy, trzymając karabinek kolonialny i wsuwając ostatni ładunek do tubowego magazynka przez otwór ponad dźwignią zamka. – Przykro mi, kochanie. Tym razem zostajesz na tyłach. Oficerze straży!

–

Sprowadź mi pułkownika Menyeza. – Niech piekło pochłonie snobizm kawalerii; Menyez będzie musiał utrzymać fort i wysłać dwie kolumny na południe. Poplanich będzie jego przybocznym... i *jeśli kiedykolwiek będę miał pozycję, która mi na to pozwoli, to będziemy mieć regularną tabelę rang i ustanowimy stale brygady, postanowił.* Niech piekło pochłonie polityczne ryzyko. *Potrzeba nam formacji, które są przyzwyczajone do działania razem.*



# Rozdział dziewiąty

Czterech ludzi do tego wystarczy, pomyślał Raj.

A nie szwadron Poplanich, chrzęszczących i brzęczących po nocy, choć stawali się dobrymi żołnierzami na polu bitwy. Tylko on sam, da Cruz i dwaj z jego zwiadowców do cichej roboty w ciemnościach. Jeden, mały człowieczek o szczerzej twarzy, którego każdy nazywał Obciętym Nosem, bo większość jego nosa została usunięta czymś ostrym, był kuzynem M'lewis'a; drugi był milczącym, potężnym bydlakiem przezywanym *Gaduła*, pochodzącym z północno-wschodniego pogranicza Descott, na górskim krańcu hrabstwa Asuaria. Spisy batalionowe podawały jego poprzednie zajęcia jako *vakaro* i łowca sauroidów. Raj bez zastanowienia ocenił Obcięty Nos jako złodzieja owiec. *Gaduła* miał oczy kogoś, kto po prostu lubił zabijać – ludzi, jeśli tylko się dało, choć sauroidy od biedy wystarczały. Gdyby którykolwiek odwiedził go w rodzinnych stronach, to kazałby *vakaro* przegnać go batem albo powiesić dla spokoju hrabstwa. Obydwaj jechali pochyleni ze swobodą, z wiodzącymi zawiązanymi wokół kuli siodła, a ich oczy nigdy nie odpoczywały. Karabiny spoczywały im w ramionach, a bronie miały pokrowce z nie wyprawionej skóry założone z przodu łoża.

*I na Ducha, ale dobrze choć przez chwilę robić coś samemu*, pomyślał.

Na godzinę przed świtem było bardzo cicho i jakoś tak bardziej czarno niż głęboką nocą. Kropelki rosy pokrywały psią sierść aż do piersi, gdy zwierzęta przedzierały się przez pole szeleszczącej kukurydzy. Raj czuł chłód na przemoczonych nogawkach spodni. Ich droga prowadziła przez kraniec nadbrzeżnej równiny, a podnóża wzgórz przepięknie były owocowymi sadami, tam, gdzie u podnóża skarpy tryskały źródła. Woda pluskała w wyłożonych kamieniem rowach obok drogi.

Da Cruz ściągnął wodze, zatrzymując się obok generała. – Tędy, ponie – rzekł cicho, wskazując głową ku zrytemu koleinami traktowi dla wozów, prowadzącemu w górę ściany po wapiennym grzbiecie wznoszącym się pod kątem sześćdziesięciu stopni na zachodzie.

– Tędy będzie szybciej.

Holograficzna mapa wyświetlała mu się przed oczami przy każdym skręcie i dzięki niej wybierał szlak lepiej, niż gdyby kierował się wzrokiem. W jakiś sposób Centrum widziało w ciemności, mimo iż mogło się posługiwać tylko jego wzrokiem. Przypomniały mu się wizje, jakie mu pokazało, wizje unoszących się *satelitów*, które były jego oczami przed Upadkiem. *One* mogły spoglądać poprzez całkowitą ciemność albo najgęstszą chmurę... Nie po raz pierwszy zastanowił się, jak to się stało, iż anioł został skazany na bytowanie w ciemnościach rozpadającego się po Upadku świata.

Zbocza wzgórz wznosiły się stromo, pokryte luźno leżącymi kamieniami porośniętymi kolczastymi krzewami, a potem przechodziły w płaskowyż. Raz stadko dzikich trawożernych sauroidów uciekło, trąbiąc i sycząc w zamieszaniu, a chwilę później dzik stał im przez moment na drodze.

Jeden z żołnierzy zagwizdał cicho przez zęby wobec tej pewności dowódcy, a Raj uśmiechnął się do siebie. – Tędy – powiedział, wskazując na pola.

Bycie legendą ma swoje dobre strony, pomyślał.

\* \* \*

– *Tchórze!*

Raj pozwolił, aby jego głos niósł się rykiem przez patio, gdy psy posuwały się powoli przez potraskane szkło i gruz na podwórzu rezydencji Eskadry. Horace przekroczył delikatnie Skin–nera leżącego twarzą w dół w kałuży wymiocin i wszedł po schodach, nie spoglądając nawet w bok, gdy dwa psy Skinnerów zje–żyły się i zawarczały na niego. Ludzka noga zwisała z balustrady balkonu z kutego żelaza nad głównym wejściem na sznurze zawiązanym wokół kostki; sądząc po skrawkach i kawałkach rozsianych dookoła, powiesili go, kimkolwiek był, żywego, i potem posłużyli się nim jak tarczą do ćwiczeń, aż ciało się rozpadło.

–

Wy tchórze, ukrywacie się jak stare kobiety! – zakrzyknął znowu Raj. – Wasi przodkowie umierają znowu ze wstydu, widząc, jak uciekacie przed bitwą!

Odpowiedziały mu ryki i pochrząkiwania, gdy przypominające trolle postacie poruszyły się pośród drzwi i krzaków. Przysadzista sylwetka pojawiła się na balkonie i zeskoczyła w dół z długą strzelbą na ramieniu.

–

Eh, pen–mężczyzna! Poganiacz! – Przekomarzenie się było o wiele mniej przyjacielskie niż zwykle. – Czego chcesz, eh? *Tu peti lahpan hilai kouri ahvent nus coup*, ty mały króliku, zmykaj, zanim będziemy obłupiać ze skóry – może być, ciebie teraz obłupim, eh?

–

Chcę, żebyście *walczyli*, Juluk – powiedział Raj, nachylając się. – Czy też zabijanie rolników i picie to wszystko co potrafią Skinnerzy?

Wódz zamruczał. – Nie ma tu żadnych ludzi Eskadry, wszyscy uciekli – rzekł nieco defensywnie.

Raj uniósł rękę z kuli siodła, aby wskazać za siebie i w lewo–, na południowy zachód. – Tam są dwa tysiące żołnierzy Eskadry, posuwający się szybko ku wschodowi. Nie więcej niż trzy kilometry stąd. Pytam cię znowu, wodzu Juluku Peypanie: czy będziesz walczył, czy tylko siedział tutaj i pił, kiedy lepsi od ciebie staczają bitwę?

Wódz Skinnerów zamruczał znowu i oparł się na swoim długim karabinie, wykonując gest jedną ręką. Trzech jego ludzi wskoczyło na grzbiety psów i wypadło z podwórza. Pozostali kręcili się wokół, przygotowując rynsztunek i kopniakami budząc psy. A potem zebrali się wokół małej grupki Descotczyków, wpatrując się nieustraszonym wzrokiem, jakim wygłodniałe, wściekłe psy obdarzają psy stróżujące. Minęło zaledwie pół godziny, zanim powrócili zwiadowcy, wykrzykując po paytoizku. Radosny okrzyk podniósł się wśród zebranych wojowników i zawtórował mu ogłuszający chór wycia ich psów. Juluk stał z cierpliwością łowcy, z obiema rękoma na karabinie i jedną nogą zgiętą, opierającą się o drugie kolano. Teraz się wyprostował i odczepił od pasa manierkę.

– Dzisiaj cię nie obłupim, penie–mężczyzno – powiedział, wyciągając ją.

Raj pociągnął ceremonialny trunek, walcząc, żeby się nie rozkaszcć.

*Gah.* Juluk naprawdę go uhonorował. Nie było to zrabowane wino albo brandy, ale *arrak*, dzin z fig zaprawiony czerwoną papryką i prochem, który był ulubionym trunkiem Skinnerów.

– Obsikam twój grób tymi szczynami sauroida – odparł uprzejmie. – A teraz, czy możesz utrzymać żołnierzy Eskadry z dala od flanki moich ludzi, podczas gdy my toczymy naszą bitwę?

– *Hoya–hey!* – Zaśmiał się Skinner, a pozostali dołączyli do niego warkliwym chórem. –

Sześciuset prawdziwych mężczyzn przeciwko tylko dwudziestu setkom długowłosych? – zachichotał głośno, posługując się slangowym określeniem Skinnerów na zachodnich barbarzyńców z Wojskowych Rządów. – Przeżujemy ich kości! Zabijemy ich wszystkich, zabierzemy im psy, bydło i strzelby, zerzniemy ich kobiety, spalimy ich domy! *Hoya–hey*, to dobry dzień na śmierć!

Pociągnął za jeden z długich, opadających wąsów, łypiąc chytrze na dowódcę Rządu Cywilnego. – Idziesz z nami, zabijać długowłosych? – powiedział. – Masz takie jaja, coby walczyć jak prawdziwi mężczyźni, penie–chłopcze?

Raj podniósł wzrok na wschodni horyzont. Niebo blade lekko za odległymi górami. Z drugiej strony, mogą się pożegnać z wszelką szansą kontrolowania tych dzikich ludzi, jeśli tak nie zrobię, pomyślał.

– Czy potraficie, dziewczynki, walczyć tak jak ja? – spytał.

Juluk wskoczył na swojego psa.

–

*Fray hums!* – zakrzyknął, potrząsając strzelbą w powietrzu. – *Hoya–hey*, to dobry dzień na śmierć! Jedźmy walczyć!

Pokrzykując i wyjąc, wylali się za nim przez bramę. Raj i jego ludzie popędzili swoje psy do takiego samego biegu susami.

–

Kiedy dojdzie do kontaktu, odeślę cię z powrotem z wiadomościami – rzucił Raj do starszego podoficera. – Skręcili lekko, rozdzielając się, aby unikać korkowego dębu w środku pastwiska, a potem skierowali swoje wierzchowce na kolczasty żywopłot za nim, pochylając się do przodu w siodłach. Ich psy śmignęły nad nim, poszczekując trochę i wymachując ogonami, dorównując stadnemu podnieceniu psów Skinnerów.

–

Nie, ponie – rzekł da Cruz tym samym stanowczym tonem, gdy wylądowali i jechali dalej strzemię w strzemię.

Raj spojrział na niego zaskoczony. Da Cruz od dawna służył, brakowało mu tylko dwa lata do maksymalnych trzydziestu pięciu. Był żołnierzem zrównoważonym aż do przesady. Na ostatniej przepustce zakupił farmę Casanegri od dziedzica Dortona, gdzie zamierzał osiąść na emeryturze jako drobny właściciel ziemski. Zakupił ją wolną i pozbawioną długów i dobrze zaopatrzył dzięki pieniądзом z nagród i łupów z kampanii przeciwko Kolonii. Poślubił również rozsądną kobietę w średnim wieku, która zarządzała nią do jego powrotu. Było to jego osobiste marzenie. Być szanowanym właścicielem ziemskim z dobrą farmą.

– Nie sądziłem, że jesteś połykaczem ognia, Top – rzucił Raj ze zwodniczą łagodnością.

– Ponie – odparł da Cruz, a gładka powierzchnia rozległych blizn na jego twarzy odbijała światło gwiazd. – Ci barbarzyńcy mnie przegnoli. Prosem o wybaczenie, ale nie pozwolę im znowu oglądać, jak uciekam z podwiniętym ogonem. Ani też nie zostawię cię jeno z tymi dwoma przy sobie.

Wskazał kciukiem przez ramię na dwóch zwiadowców. Raj obejrzał się do tyłu. Dwaj żołnierze znajdowali się jakieś sześć metrów z tyłu. Obcięty Nos wyglądał na nerwowo czujnego, gdy jechali do bitwy, ale Gaduła... jego twarz zastygła niczym bazalt, ale w jego oczach widać było ślad

uśmiechu.

– Rozumiem cię – powiedział.

\* \* \*

– *Dorwać ich, dorwać!*

Okrzyk bojowy Eskadry zabrzmiał ponad suchą doliną. Gdyby nie wiedział, Rajowi trudno byłoby ocenić ich liczbę, Nadchodzili grupkami i gromadami, każda pod flagą jakiegoś ważnego wodza i jego głównych siepaczy. Zatrzymali się, wspiąwszy na niską grań i zobaczywszy Skinnerów posuwających się powoli ku nim przeciwnym zbieżnym i zgrupowanych w większe skupiska. A potem te skupiska ześliznęły się w dolinę, nabierając szybkości. Skinnerzy zawyli, potrząsając mieczami i muszkietami, pobłyskując w świejącym słońcu metalem i biżuterią. Raj dobył pistoletu i odwiódł kurek. Wyglądało na to, że będą się zbliżać, aż dojdzie do walki wręcz.

Pomiędzy jedną stroną doliny a drugą były trzy tysiące metrów. Otaczały ją pola zżętej pszenicy, ale zbocza były zbyt kamieniste pod uprawę. Nawet szare od pyłu drzewka oliwne, którymi była upstrzona, stały nieliczne i nieregularnie rozrzucone, choć pozostałości w postaci poprzewracanych kamiennych tarasów wskazywały, iż kiedyś uprawy były bardziej intensywne. Poranne słońce rzucało szerokie cienie z każdego drzewa, każdego niskiego rodzimego krzaka, zabarwione różowym rumieńcem będącym zapowiedzią nadchodzącej krwi. Było niemalże ulgą to, że mógł się martwić tylko o siebie samego na początku działań. Suchy skręt żołądka i ostra jasność wzroku były mniej straszne niż wiedza, że tysiące innych żywotów zależały od tego, czy podejmie słuszne decyzje.

Juluk Peypan wystukał tytoń z fajki i krzyknął. Ludzie, całe dziesiątki, zaczęli się zsuwać z siodła w długim, luźnym szeregu bojowej bandy Skinnerów. Ich psy położyły się, a wojownicy wbili żelazne końce podpórek do strzelania w ziemię. Reszta wciąż się posuwała szybkim tempem, trzymając broń na kolanach ze swobodą, która przeczyła ogromnemu ciężarowi żelaza, mosiądzu i drewna.

KRAK. Przemówił pierwszy piętnastomilimetrowy karabin z długim językiem płomienia i kłębem szarawo-białego dymu. Znajdujący się w odległości tysiąca pięciuset metrów oficer Eskadry upadł tuż obok głównego sztandaru. Raj wymierzył lornetkę w dobrym momencie, aby zobaczyć, jak pocisk zdejmuje czaszkę na wysokości oka i jak głowa mężczyzny rozbryzguje się na kawałki.

– DORWAĆ ICH, DORWAĆ!

Tym razem ryknęło wszystkie dwa tysiące gardeł i cały zastęp Eskadry runął do galopu. Wielcy mężczyźni na długonogich psach gnali przez świeżo wzburzoną chmurę pyłu. Przemówiło więcej ogromnych strzelb do zabijania sauroidów, a kiedy strzelali Skinnerzy, którzy zsiadli z wierzchowców, przy każdym wystrzale ginął człowiek. Więcej niż ginął – pociski wielkości kciuka odrywały kończyny, wybijały w ciałach ludzi dziury wielkości pięści i obryzgiwały ich towarzyszy krwią, kawałkami kości i strzępkami ciała. Martwi ludzie byli wyrzynani z siodła, a kiedy pociski uderzały w psy, wielkie ridgebacki i banzeni, te koziółkowały, jakby uderzone niewidocznymi młotami znajdującymi się w rękach olbrzymów. Skinnerzy wokół Raja pohukiwali i chichotali na ten widok, szczerząc się w uśmiechu i szturchając wzajemnie jak mali chłopcy na wycieczce.

Kiedy szarża Eskadry znalazła się w odległości sześciuset metrów, każdy ze Skinnerów otworzył ogień z siodła. Hałas był ogłuszający, donośny niczym artyleria i na chwilę front przykrył gęsty wał dymu.

*Na Ducha Człowieka*, przeklął w myślach Raj, gdy rzeński wiatr rozwiał dym.

Wydawało się, jakby cały wielki blok znajdujących się w pół kroku wojowników Eskadry przeszedł dreszcz. Było to jak przyglądanie się piaszczystemu brzegowi podmywanemu przez wodę bijącą pod wysokim ciśnieniem ze szlauchu. Tam, gdzie człowiek albo i trzech w przednim szeregu padało razem, ludzie z tyłu musieli skoczyć na psach ponad sięgającą głowy przeszkodą albo wpaść na nią i dołączyć do wijących się ton ludzkiego i psiego mięsa. Okrzyki wojenne i ryki psów atakujących utonęły nagle we wrzaskach ludzkiego i psiego cierpienia. Skinnerzy nie strzelali już tak celnie z grzbietu poruszających się psów, ale przy zmasowanym celu nawet pociski, które nie znajdowały swojego pierwotnego celu, często trafiały. Mimo to ludzie z Eskadry wciąż nacierali jeszcze przez całe sto metrów. Jeden olbrzym zsiadłszy z wierzchowca, posuwał się, biegnąc powolnie, wywijając nad głową młynka długim mieczem. Skinner wbił piętę w swojego psa i wyjechał mu na spotkanie. Pierwszy wystrzał wyrwał mu z rąk stal, wyrzucając ją koziołkującą w niebo zamazaną plamą. Wojownik Eskadry stał przez chwilę nieruchomo, patrząc z niedowierzaniem na swoje zdrętwiałe i dzwoniące od uderzenia ręce, a potem wymierzył ogromnego garłacza, którego miał przerzuconego przez ramię, gmerając przy zamkach. Śmiejąc się, Skinner opuścił się po drugiej stronie swego psa, trzymając się jedną nogą kuli od siodła. Ołowiane kule zabrzęczały tam, gdzie się przedtem znajdował, a on wskoczył z powrotem na siodło, jakby przyciągnięty gumowymi paskami. I znalazł się w odległości ramienia. Coś jasnego błysnęło, gdy przejeżdżał obok i Eskadrowiec przewrócił się jak powalone drzewo, a deszcz krwi wypłynął mu z gardła pod włochatymi, zaciśniętymi rękoma. Skinner wychylił się i wyprostował, wymachując sznurkiem srebrnych medalionów, które martwy wojownik Eskadry miał na szyi, i pokrzykując, pojechał z powrotem.

*Na Ducha, wycofajcie się, na Ducha*, pomyślał Raj. Ale wyglądało na to, że ludzie Eskadry mieli więcej odwagi niż rozsądku – a może po prostu nie mieli struktury dowodzenia, która nakazałaby im się wycofać. Zamiast tego zsiadali z wierzchowców i chowali się za martwymi psami, skałami albo drzewkami oliwnymi czy krzakami, starając się odpowiedzieć ogniem. Skinnerzy przemykali do przodu dwójkami i trójkami, czasami strzelając na oślep. Raj widział wielu wyskakujących i wychylających się z siodła z nożami w obu rękach, skrzeczących jak piła elektryczna przechodząca przez skałę. Ale z bliskiej odległości ołowiane kule z nie gwintowanych strzelb również się sprawdzały. Znajdującego się przed Rajem Skinnera taki pocisk trafił w twarz i dzikus spadł ze swego psa z głową stanowiącą masę czerwonego mięsa i poszarpanych, żółtych kości. Pozostali posuwali się powoli, radość w ich pokrzykiwaniu nie przygasła, a ich długie karabiny ryczały z regularnością a mechanicznego.

*Ci barbarzyńcy z Eskadry mogliby być dobrymi żołnierzami, gdyby mieli wyszkolenie i przyzwoitą broń*, pomyślał. Było to swego rodzaju zwycięstwo, ale obrażało to jego poczucie zawodowstwa, gdy widział, jak marnotrawi się pierwszorzędny materiał ludzki.

Natarcie trwało dalej zwawym tempem. Skinnerzy zsiadali, aby złupić setki trupów Eskadry i podcinać gardła. Kilku zbierało głowy albo skalpy, ignorując ludzi strzelających do nich z odległości mniejszej niż sto metrów. Z takiej odległości piętnastomilimetrowe pociski przebijały się przez pnie drzew, zabijając znajdujących się za nimi ludzi... Raj usłyszał z tyłu ostrzejszy trzask karabinów ze zbrojowni i obejrzał się przez ramię. Obcięty Nos i Gaduła strzelali z siodła. Przed nimi Eskadrowiec osunął się i zwiśł na niskiej gałęzi drzewka oliwnego. Kolejny wyskoczył zza niskiego, kamiennego murka tarasu i rzucił się do ucieczki. Gaduła wystrzelił znowu i wydawało się, jakby barbarzyńca skoczył do przodu z czerwoną plamą na skórze pomiędzy łopatkami.

Dym wisiał nad polem bitwy jak unoszący się całun, ciężki od zapachu płonącej siarki. Trzeci wojownik podniósł się zza skał i wymierzył z muszkietu. Znajdowali się teraz blisko, na tyle blisko, że Raj mógł zobaczyć ślady po ospie na twarzy mężczyzny, wypolerowane, brązowe łuski naszyte na jego skórzaną kurtkę... i obie okrągłe lufy, tunele do piekła. Do tej chwili bitwa była dziwnie oddalona, teraz jednak Raj poczuł, jak ze strachu ostro ścisnęło mu jądra. Oficer wymierzył z rewolweru i wypalił. Duża broń kopnęła go w dłoń i pozwolił, aby jej ciężar sprowadził lufę z powrotem na cel. Da Cruz strzelał u jego boku. Pociski dziurawiły kamień wokół klęczącego mężczyzny. Kurki jego karabinu skałkowego poleciały do przodu. Działo się to wolno jak we śnie, błysk iskier, gdy skałki w kurku uderzyły o metal, kłęb dymu z panewki, a potem niemożliwie długa chwila oczekiwania aż broń wypaliła, potem strumień ciemnoczerwonego płomienia i dymu.

TUUNNNggggggg. Potężne uderzenie odwróciło głowę Raja, odrzucając go do tyłu na łęk siodła, a pasek hełmu pękł. Potworny ból przeszył mu szyję, gdy kręgi otarły się o siebie. Krew trysnęła mu z nosa. *Whack*, i coś gorącego przemknęło mu przez przedramię. W sekundę później warknęły za nim dwa karabiny ze zbrojowni i Eskadrowiec przewrócił się do tyłu, a garłacz wypadł łukiem z jego rozrzuconych rak. Raj obrócił się w siodle i zmusił się do wyprostowania.

Jego hełm spadł i oficer złapał go instynktownie wolną ręką, prawie że upuszczając znowu, gdy metal wbił mu się w dłoń. Wyżłobienie jasnej stali i rozsmarowanego ołowiu widoczne było po jednej stronie czarnej emalii, tam, gdzie otarł się pocisk. Jego ramię było nietknięte, ale rękaw jego mundurowej tuniki łopotał otwarty niemal do łokcia, rozcięty tak zgrabnie, jakby nożycami.

—  
Hunnh.

To był da Cruz. Sierżant pochylał się nad kulą siodła, ściskając się za brzuch; a potem wyrzucił oczy ku górze i krew popłynęła mu z ust i nosa. Raj sięgnął ku jego ramieniu, ale żołnierz upadł ze zwiotczalą ostatecznością, która opowiadała swoją własną historię. Jego pies skręcił się w kółko, próbując podeprzeć ciało pyskiem, a potem zaczął obwąchiwać gorączkowo martwego mężczyznę. Następnie położył się na ziemi w odległości ramienia, skamłając.

—  
Och, kurwa mać – wyszeptał Raj. Da Cruz był człowiekiem hrabstwa ze starej szkoły i pierwszorzędnym zawodowcem... i *powinien był umrzeć w domu na swojej własnej ziemi, pośród swoich synów*. – Pocisk nie dba o to, czy jesteś gotowy – powtórzył sobie starodawne wojskowe motto.

Śmierć da Cruza zajęła tylko kilka sekund, ale kiedy Raj podniósł wzrok, bitwa dobiegła końca. *Takiego, jaki był*, pomyślał. Jedyni widoczni żywi ludzie Eskadry razami poganiali swoje psy do galopu albo słabo poruszali się na ziemi.

Juluk ściągnął wodze obok dowódcy Rządu Cywilnego i zaśmiał się gromko na widok wyżłobienia od kuli na hełmie, który trzymał Raj.

—  
Może być ty *wheetigo*, może ty jeden wielki diabeł! – rzucił. – Eh, chcesz jeńca, człowieka na sprzedaż, człowieka na okup?

—  
Nie – powiedział cicho Raj. – Zabić ich wszystkich. Żadnych jeńców. A kiedy skończycie,

ruszajcie na wschód. Tam będzie toczyła się walka.

Pochylił się w dół i przymknął oczy martwemu mężczyźnie. – Ty! – warknął. Obcięty Nos kosił Eskadrowców z karabinu, ale Gaduła okazywał więcej zainteresowania tymi, którzy wciąż żyli. Szyja przekręciła się z mokrym chrupnięciem, gdy wielki góral szarpnięciem obrócił głowę tak, że patrzyła pomiędzy łopatki.

–

Ponie! – powiedział Obcięty Nos, salutując jedną ręką, a drugą wsadzając sakiewkę pod poję tuniki.

–

Żołnierzu, pochowajcie tego człowieka. Postawcie kurhan. A potem dołącz do porucznika M'lewis; ma się ze mną spotkać w obozie albo na szlaku. – Pochwycił spojrzenie ohydnego, małego człowieczka. – *Zrozumiano?*

Obcięty Nos lekko poszarzał pod naturalnym brązem skóry. – Tak, ponie!

\* \* \*

– Ach, punie, dziki niech bedom Duchowi, żeś jest tutaj! – krzyknął sierżant. Posterunek kawalerii Siedemnastego z łupnięciem uniósł karabiny w salucie.

Raj podniósł rękę i czterdziestu Złodziei ściągnęło za nim wodze. Oficer stanął w strzemionach i na chwilę przymknął oczy. Tak, strzały na północy. Ciężkie strzały, salwy karabinów ze zbrojowni. Staenbridge i Gruder walczyli jakieś dwa albo trzy kilometry na drodze ku Port Murchison. Słońce znajdowało się teraz nad wschodnim horyzontem, była 9.30, ale kawaleria wciąż stała obok odpoczywających psów – sztandary dowódców znajdowały się obok głównej, zachodniej bramy, najbliższej drogi. Pomruk przebiegł przez bloki mężczyzn, gdy wraz ze zwiadowcami posuwał się ku bramie, mijając ich, a żwir strzelał spod łap ich psów. – Co, na bezgwiezdne piekła ciemności, się tutaj dzieje! – ryknął Raj, ściągając wodze Horace'a tak, że pies stanął dęba przed sztandarem Menyeza. – Rozkazałem wymarsz kolumn!

Większość dowódców batalionów była zgrupowana wokół stołu z mapami, a z ułożenia ich ramion poznał, że się przedtem kłócili. Teraz zbierali się w sobie. Większość z nich miała tyle przyzwoitości, by wyglądać na nieco zawstydzonych albo mieć starannie obojętny wyraz twarzy. Oblicze Dalhouse'a było wciąż ciemne od gniewu, a ręce Suzette – *co u diabła ona tutaj robi?* – ręce Suzette były zaciśnięte na kolbie jej karabinka Kolonistów, aż pod paznokciami pojawiły jej się białe obwódki. Gdy go zobaczyła, przymknęła oczy, a jej usta poruszyły się w modlitwie, dziękczynnej, jak przypuszczał. Nawet młody Ludwig Bellamy tam był, czając się na skraju zbiorowiska.

– Pułkowniku Menyezcie! – warknął Raj, zsiadając na ziemię. Pohamował się w pół kroku, gdy zobaczył oczy pozostałych spoczywające na nim, na krwi i kurzu, którymi miał wysmarowaną twarz, na rozerwany pociskiem rękaw i obryzgany ołowiem hełm.

– Panie – powiedział Menyez. – Panie, siła z flanki?

Raj wykonał gest lekceważenia. – Martwi. Wyrznięci co do jednego. – Ktoś podał mu manierkę, a on przepłukał sobie usta i splunął. Nowiny rozchodziły się szeptem z kręgu oficerów i przez chwilę od jednostek piechoty dobiegały wiwaty.

—  
Czekam, messorowie – ciągnął Raj niebezpiecznie cicho. Menyez spojrział mu prosto w oczy, z rękami założonymi na plecach. – Pojawiły się wątpliwości, co do najlepszego sposobu postępowania, kiedy byłeś poza zasięgiem komunikowania się. Major Dalhouse uważał, iż jako starszy oficer powinien poprowadzić kolumnę przypisaną majorowi Thiddo, a major Buthelezi się zgodził. Kilku oficerów wyrażało zdanie, iż siły powinny być utrzymywane nietknięte, aby mogły pospieszyć ci na ratunek. Messa Whitehall także stanowczo wyraziła tę opinię. Panie. Raj stał przez chwilę w milczeniu. Pod jego spojrzeniem Suzette zbieła usta.

—  
Moja pani Whitehall – rzekł miękko. – Proszę usunąć się na bok na chwilę. To nie jest miejsce dla ciebie. – Wykonał z tyłu sygnał jedną ręką, dwudziestu zwiadowców zsiadło z wierzchowców i stanęło za nim w formacji. Dwa szybkie kroki doprowadziły go przed Dalhouse'a i Raj chwycił jego nawoskowane wąsy pomiędzy kciuki i palce wskazujące obu rąk. Ten ruch był szybki i całkowicie niespodziewany. Dalhouse podniósł się na palce, gdy Raj szarpnął rękami w górę jego twarzy. A potem ich nosy prawie się zetknęły.

—  
Odmówiłeś wykonania rozkazu, aby zaatakować w obliczu wroga, Dalhouse – powiedział Raj. Jego głos był metaliczny. – Karą za to jest *śmierć*.

Puścił mniejszego mężczyznę. – I każę cię zastrzelić tutaj i teraz, jeśli znowu zakwestionujesz rozkaz.

Dalhouse zrobił krok do tyłu, a jego dłoń nie całkiem dotykała szabli. Oficer rzucał szybkie spojrzenia z boku na bok. Mekklem Thiddo uśmiechał się z ulgą, co nie było zaskakujące u druha Raja Whitehalla... ale uśmiechał się także Hadolfo Zahpata z 18 z Komar, który był zawodowcem wśród zawodowców. A Hingenio Buthelezi patrzył przed siebie ze starannie neutralnym wyrazem twarzy. Dalhouse spoglądał przez chwilę z tyłu za Raja i spotkał się spojrzeniem z potężnym zwiadowcą. Żołnierz zaczął się uśmiechać.

Dalhouse przełknął ślinę i zasalutował sztywno. – Wedle rozkazu, generale.

—  
Dokładnie tak – rzekł Raj. Obrócił się na pięcie o dziewięćdziesiąt stopni. – Pułkownik Menyez, wszyscy, nie jestem zadowolony. To ma być cywilizowane wojsko, zdyscyplinowane, a nie barbarzyńska banda.

Skinął krótko, na chwilę odsuwając tę sprawę. – A teraz. Majorze Poplanich, będziesz mi towarzyszył z Jednostką Własną Poplanich. Pułkownik Menyez, chcę, aby piechota była w najwyższym stopniu czujności. Majorzy Thiddo i Zahpata, macie swoje rozkazy, wyprowadźcie wasze kolumny. W przypadku, gdy zostaniecie zepchnięci do bazy, będziecie pod rozkazami pułkownika Menyzeza aż do mojego powrotu. I, panowie, spodziewam się sprawnej koordynacji.

—  
Rozejrzał się, zobaczył białe szaty kapłana. – Wielebny ojciec, trzymiutowa modlitwa bitewna, proszę. – Duchu Człowieka, Duchu Gwiazd, uczyn nas silnymi do walki w twym imieniu...



PAMM. PAMM. PAMM.

Dźwięk dobiegający z oddali był przytłumiony, gdy kolumna batalionu Jednostki Własnej Poplanich pomknęła przed siebie. Towarzyszyło temu echo grzechotu wystrzałów, głośnie i nieco zamazane wystrzały wypluwane jeden za drugim. Lekki zapaszek siarki unosił się z wiatrem; tak jak i stada skrzydlatych stworzeń przeskakujących z drzewa na drzewo i opadających ponownie, aby zniknąć w pszenicznym ściernisku falujących pól – były to głównie dactosauroidy o skórzastych skrzydłach i inne pierzaste, zębate rodzaje, które były niemal ptakami, ale potrafiły jedynie szybować, a za nimi prawdziwe ptaki wywodzące się z Ziemi.

–

Co to takiego, dostojny panie? – spytał nerwowo Ludwig Bellamy, wskazując głową kierunek, skąd dochodził dźwięk. Oficer jechał po lewej stronie Raja, po tej samej stronie co Suzette na swoim palfreyu z kolbą karabinka opartą na biodrze. Zdrajca Eskadry miał swój miecz, ale żadnej broni palnej.

–

Armata – rzucił z roztargnieniem Raj, ze zmarszczonym czołem przyglądając się trzymanej w dłoni mapie. Znajdowali się blisko miejsca, gdzie planował zasadzić się Staenbridge. Cokolwiek się stało, nie był to powolny odwrót, jakiego się spodziewali. – Działa polowe i salwy ognia. – W tle ostrego dźwięku karabinów ze zbrojowni dał się słyszeć bulgoczący chór głuchych wybuchów. *To* były nie gwintowane strzelby Eskadry, ale nie było potrzeby tego wskazywać.

Ehwardo Poplanich opuścił swoją lornetkę. – Powiedziałbym, że to ogień karabinowy czterech, pięciu kompanii – powiedział. – Nie spieszą się też za bardzo.

Z przodu dał się słyszeć gwizd i pojawił się zwiadowca gnający z powrotem pooraną koleinami i dziurami, żwirową drogą. Światło słoneczne przenikające pomiędzy rosnącymi przy drodze drzewami kładło się na nim smugami, gdy się zatrzymał.

– Barbarzyńcę zabite, ponie – powiedział, unosząc dłoń w rękawicy do skraju hełmu. – Wygląda, jakby była niezła zabawa.

Droga wspinała się lekko ku niemalże niezauważalnemu grzbietowi, z polami oznaczonymi niskimi murkami z polnych kamieni po obu stronach. Metal pobłyskiwał pośród ścierniska, oznaczając cienkie, mosiężne łuski pocisków z odcylkowej broni Rządu Cywilnego. Kolumna pokonała wzniesienie i Raj wyrzucił rękę w górę. Za nim trąbka zaśpiewała *wolnym krokiem marsz – zwolnić*, a potem *stop*. Przednimi rozpościerały się rzędy ciał. Ludzie i psy leżeli warstwami na drodze, rozciągając się po jej obu stronach. Raj naliczył jakiś dwudziestu ludzi i tyle samo psów. Zawsze wyglądało to na więcej, kiedy tak leżeli. Ludzie i zwierzęta mieli rozliczne rany, z dziurami wylotowymi wielkości pięści tam, gdzie przebiły się jedenastomilimetrowe pociski o wydrążonych czubkach. Popłynęło tyle krwi, iż pylista powierzchnia drogi zmieniła się w błoto. Jej piźmowy smród już narastał w ciepłym słońcu i roiło się od much. Droga przez dalsze pół tysiąca metrów i pola po obu stronach usiane były kolejnymi dziesiątkami trupów.

– Weszli prosto w to – rzucił obojętnie Poplanich.

–

Ano tak – zaczął Raj. Przerwał mu Bellamy, który podjechał bliżej do głównego skupiska ciał z chustką przyciśniętą do twarzy.

*Gawdammit!* – młody szlachcic zaklął w nameryjskim. – *Eh bi gawdammit!* – Zawrócił wierzchowca, wskazując na bogato odzianego trupa. Twarz zabitego mężczyzny była nieuszkodzona i Raj zobaczył mopsowate oblicze z obwisłymi policzkami i brązowymi rozszerzającymi się u dołu bokobrodami. Ludwig zająknął się, a potem zmusił się do przejścia z powrotem na sponglijski.

– To jest Conner. Conner Auburn, brat admirała, wielki kapitan Port Murchison. Jest *martwy*.

Usta Ehwardo ułożyły się w cichy gwizd. – Zdecydowanie – powiedział.

Raj postukał kostkami dłoni o kulę siodła. Suzette odpowiedziała mu spojrzeniem, unosząc brew.

– Może się to okazać korzystne – powiedział i zwrócił się do zwiadowcy. – Arnez – weź głowę i zapakuj ją w worek.

\* \* \*

– Uciekli – powiedział Ludwig Bellamy z czymś pomiędzy gniewem a wstydem w głosie. – Wszyscy uciekli.

Wyglądał na przybitego. Ciała żołnierzy Eskadry, którymi usiana była droga, wyglądały po prostu na martwe, jakby zostali złapani i zastygli w czasie w kilkunastu różnych pozach. Większość leżała twarzami do dołu, tam, gdzie dopadł ich pościg, gdy galopowali na swoich psach z powrotem ku Port Murchison, o wiele szybciej niż maszerowali na południe. Nieliczne z ciał były psy. Tutaj walczono na szable i zwłoki barbarzyńców leżały zwalone z wielkimi czarnymi rozbryzgami krwi tam, gdzie dosięgły ich ostrza. Najwięcej było cięć przez szyję. Częściowo odrąbane kończyny i rozliczne rany cięte na barkach i ramionach dowodziły, że Eskadrowcy próbowali obrócić się w siodle, aby się bronić.

– Nie wszyscy – powiedział Raj, unosząc się w strzemionach. Przejechali przez pas drzewek figowych, a po drugiej stronie znajdowały się szeregi ciał, jakieś sto metrów na otwartej przestrzeni – kilka setek ciał. Dactosauroidy i mewy zajęte były pełzaniem po trupach i walką o smakołyki, a stada małych, sięgających kolan carnosauroidów zagłębiały swoje łby z kłami w miękkie części ciał. Było tutaj mnóstwo psów, sądząc po tym, jak były poszarpane, musiały zostać trafione kartaczami i szrapnelami.

– Cóż, niech Duch wyje im oczy – powiedział Ehwardo. – Myślisz to, co ja? – Droga rozciągała się, wijąc przed nimi, z rzadka wysadzana drzewami, wznosząc się po wzgórzach i opadając w małe dolinki. Teraz dźwięk i dym były blisko.

– Nie mogę w to uwierzyć – wymruczał Raj. – Przyszli tą drogą, rozłaząc się na różne strony. Rzadko kiedy dwustu albo trzystu ludzi leży razem w jednej grupie. Conner znajdował się zaraz na czele jak człowiek–czujka. Gerrin właśnie się ustawił, wystrzelał ich na kawałki, a

atakując, utrzymywał ludzi w szeregu przecinającym oś drogi. Pognał tych, co przeżyli ku następnej grupie, a potem powtórzył ten proces. Powtarza go.

– Ponie!

Dwaj zwiadowcy dalej na drodze machali z odległości pięćdziesięciu metrów. Oficerowie popędzili tam i zobaczyli rannego Descotczyka opartego o przydrożne drzewo gumowe z pilnującym go zjeżonym psem. Mężczyzna miał patkę Piątego, karabin u boku i przesiąknięty krwią bandaż wokół uda. Był przysadzistym młodzieńcem średniego wzrostu, o spoconej, poszarzałej, brązowej twarzy, i szczerzył się w uśmiechu do zwiadowców.

– *Bwenya dai* wam, psi bracia – powiedział. – Macie cosik do picia? Moja je pusta. – Pociągnął z podanej manierki. – Ahh, dobre. – Jeden z nich potracił nieco jego nogę, sięgając po manierkę. – *Skurwysyn!* – Pies obnażył zęby i zawarczał. – Leżeć, Jaimy, leżeć.

–

Żołnierz Hesus M’Kallum, tak? – spytał Raj, podjeżdżając.

–

*Si, seyor* – powiedział żołnierz, salutując niedbale.

–

Melduj, żołnierzu.”.

Wydawało się, że mężczyźni kręciło się nieco w głowie z bólu i zaśmiał się, aż wstrząsanie poruszyło jego nogą.

–

*Scramento!* Przepraszam, messa. Ano, ponie, to było jak polowanie na sauroidy. Te barbarzyńcę nadjechali jak pan młody na wesele, zara o świcie, ano. Major właśnie odegrał *salwą pal* a potem zaczęliśmy ich połykać, ano, jak pies jedzący węża od głowy, przez całą drogę. Przegnaliśmy ich, aż się znowu zgrupowali, a potem z siodła, strzelanie plutonami i nadjężdżają działa polowe. Prawie żadnych ofiar wśród naszych, tylko ja nie uważałem i jeden mnie rąbnął. Major Staenbridge kazał powiedzieć ci, że spodziewa się, co bedom jechać aż do bram Port Murchison, ponie. Ponie, nie masz, ano, przypadkiem, jakiejś brandy?

Suzette dotknęła palcem u nogi przedniej łapy Herbie i pies przykucnął. Podeszła do rannego mężczyzny, niosąc sakwę z siodła i przyklękła u jego boku.

–

Brandy nie jest tym, czego potrzebujesz – powiedziała. Mężczyzna zeszywniał i przykucnął oczy, gdy przecięła polowy opatrunek małym, ostrym jak brzytwa nożem i ostrożnie zbadała porozrywane ciało, uciskając je przy pomocy kawałka gazy. – Czy użyłeś błogosławionego proszku?

–

Tek, m’pani – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Cosik bolało. – Jodyna rzeczywiście bolała.

–

Pewnie uratuje ci nogę – powiedziała, a mężczyzna osunął się lekko z ulgi. – Kość jest złamana, ale to czyste złamanie i ścięgno nie jest przecięte. Czuję kulę – blisko powierzchni, o tutaj. – Poklepała nowe pokrycie świeżego bandaża. – Wkrótce przyjedzie karetka, aby zabrać cię do sióstr i za sześć miesięcy będziesz zdolny do służby. Napij się trochę tego. Nie za dużo.

Nie chcemy, żebyś zemdłał.

– Jesteś aniołem, m'pani – rzekł gorączkowo mężczyzna. – Niech Duch ci błogosławi i messerowi Rajowi też!

Oficerowie spojrzeli po sobie. – Wydaje się, że nie mamy tu zbyt wiele do zrobienia – rzucił łagodnie Poplanich, a potem uśmiechnął się szeroko. Jego ręce odegnały trochę rojących się much. W tle słyhać było chrapliwe okrzyki padlinożerców, posykiwania i wrzaski.

Raj odpowiedział uśmiechem, po raz pierwszy od kiedy powrócił do obozu. – I najpewniej będziemy potrzebni na południu – powiedział. *Gerrin wykończył dwanaście tysięcy wroga. Teraz naciera na nas jeszcze pięćdziesiąt.*

## Rozdział dziesiąty

—  
Sześćdziesiąt tysięcy, majorze, niech Duch będzie z nami – odezwał się kapitan Rzeźników z monotonnym przygranicznym akcentem. – *Malash*. Duch wyznacza nasze wzloty i upadki.

—  
*I nigdy tego nie zobaczysz, jadąc drogą z targu w Blayberry* – powtórzył sobie Mekkle Thiddo w dialekcie hrabstwa. Instyktownie przykucnął nieco niżej na grani, przyciskając ciało do szorstkiej kory na pniu drzewka oliwnego.

—  
Cóż, to rozwiązuje problem tego, jaką drogę obrali. Używają ich wszystkich. Posłaniec do majora Zahpaty z drugą kolumną, kapitanie Belagez: nasze położenie i to, że walczymy.

Widok zastępu Eskadry był już wystarczająco oszołamiający. Szeregi wroga rozciągały się od morza na wschodzie, aż tam gdzie sięgał wzrok na zachodzie. Spore skupisko wlokło się drogą – ciągnięte przez woły wozy i tłum idący piechotą, który musiał być służbą i nieuzbrojonymi osobami towarzyszącymi. Jadący wierzchem lordowie Eskadry i ich świty rozciągały się na otwartej przestrzeni dwójkami i trójkami, dziesiątkami i setkami. Było ich tylu, że płynęli przez ścierniska i sady jak ciemna woda przypalanej żółci i zieleni. Ogromna mgła pyłu unosiła się nad nimi, skrywając nie kończące się, nadciągające fale oraz stada psów luzaków. Dźwięk był jak długi, powolny ryk morza.

Thiddo uniósł lornetkę. Twarze wyskoczyły przed nim z odległości kilometrów. Grupy wahały się od samotnego drobnego właściciela ziemskiego z zardzewiałym muszkietem na psie z posiwiąłym pyskiem do domowników magnatów połyskujących biżuterią i wysadzanych metalem siodłami.

– Nie ma się czym martwić, Peydro – powiedział. *Choć jest tego więcej niż trzeba, żebyś polał w spodnie*. Dotknął amuletu na szyi i medalionu z portretem żony. – Nie mają ze sobą ani jednej armaty, a większość tych barbarzyńców nigdy nie słyszała skierowanego w swoją stronę wystrzału z broni.

Zastęp mógł mieć parę ciągniętych przez woły mosiężnych działek, ale jeśli nawet, to znajdowały się one pośród taboru i były bezużyteczne. Przygraniczni baronowie, którzy walczyli z pustynnymi i górskimi szczepami, znajdowali się zbyt daleko, aby odpowiedzieć na wezwanie tak szybko, a najlepsi z poborowych Eskadry byli z Curtisem Auburnem. I jeszcze sześćdziesiąt tysięcy toczyło się na jego trzy bataliony. *Moje trzy bataliony*. Jedna trzecia uderzeniowej siły Korpusu Ekspedycyjnego, tysiąc pięćset żywotów, i wszyscy oni zależni byli od *niego*.

Na Ducha.

Odwrócił się i ześliznął w dół zbocza, gdzie czekali pozostali. – Dobra – powiedział spokojnym tonem, jakiego używał messer Raj. – Majorzy Dalhouse i Istban, trzymajcie swoje siły dobrze ukryte za tym grzbietem. Kiedy wrócimy – bo prędzej go piekło pochłonie, niż odda tę trudną część w ręce Dalhouse’a, nie wtedy, gdy dupa każdego zależała od tego, by wszystko poszło dobrze – kompaniami obrzućcie ich szybkimi salwami ognia, jak tylko będziemy bezpieczni. Poruczniku Muhadez, otworzysz ogień rozrywającymi się w powietrzu szrapnelami z zasięgu trzech tysięcy metrów.

Kanonier skinął głową, podnosząc wzrok znad swojego celownika. – Peenie – powiedział,

kiwając głową. Dowódca dragonów z Novy Haifa też przytaknął. Dalhouse mruknął bez słów.

Thiddo obejrzał się po raz ostatni w obie strony. Dwie wspierające jednostki rozciągnęły się w podwójnym szeregu wzdłuż grzbietu zaraz pod granią, a ich psy przycupnęły zaledwie kilka metrów za nimi. Tak samo działa, psy w zaprzęgach przysiadły w jarzmach, wciąż przywiązane do kesonów. Będą tylko musieli stoczyć broń z grani, zapiąć prowadnice na kesonach i oddalić się galopem.

Mc do zrobienia poza staniem w gotowości, a potem strzelaniem, pomyślał, zwracając się do swoich własnych dowódców.

Oficerowie kompanii stłoczyli się wokół niego. Ciemni jak Descotczycy, ale drobniejszej budowy, w większości brodaci, z czubkami bród spiczasto przyciętymi. Mieli materiał koloru khaki owinięty dokoła hełmów i karmazynowe szarfy pod pasami na miecze; byli radośniejsi niż ludzie z hrabstwa, ogólnie bardziej bystrzy, choć mniej zrównoważeni. Wojownicy dobrzy w wypadach i zasadzkach, od pokoleń walczący z beduińskimi najeźdźcami na granicy z Kolonią na Drangosh... i oczywiście najeżdżający samemu tereny wroga. Jak łasice w kurniku, chyba że się ich pilnowało. Teraz szczerzyli się do niego w uśmiechu, nie przejmując się tym, że postawiono nad nimi kogoś z zewnątrz, jeśli tylko był wyznaczony przez messer Raja, pobłogosławionego przez Ducha generała, który odesłał głowę Osadnika Kolonii do Wschodniej Rezydencji w beczulce *arraku*.

—

Dobra, ludzie – ciągnął. – Zrobimy teraz małą rzeźnię, co? – Więcej uśmiechów, przerywanych spluwaniem na ziemię i świętymi przysięgami. Każdy z mężczyzn brzęczał amuletami Gwiazdy, chipami z obwodów i modułami w gwałtownym pokazie pobożności południowej granicy.

—

Kolumna w otwartym szyku, aż znajdziemy się w odległości tysiąca metrów. A potem ustawimy się szeregiem kompaniami. Na dźwięk trąbki kompania naciera, daje ognia i cofa się, na zmianę. Niech Duch Człowieka będzie z nami.

—

Niech Kościół Świętej Federacji będzie z nami, bracia – odpowiedzieli. – *Hingada thes Ithorantes! Zabić niewiernych!*

Wskoczył na siodło, gdy reszta batalionu uniosła amulety i stanęła w szeregu za grupą flagową i sztandarem. A potem podniósł rękę i machnął nią w dół. Zabrzmiała trąbka i masa ludzi oraz psów zakołysała się, pędząc susami przez grań, pozostawiając dwa metry odległości pomiędzy każdym człowiekiem w czwórkowej kolumnie. Sztandar załopotał za nim, jedwab zafurkotał, gdy nabierali szybkości. Związał wodze i pozwolił im leżeć na kuli siodła, gdy kolumna wynurzyła się z grani. Wszędzie na równinie pełno było grup Eskadrowców, głównie prących do przodu, ale kilka posuwało się na południe. Żadna z nich nie utrzymywała geometrycznego porządku oddziałów Rządu Cywilnego. Thiddo zamachał dwukrotnie ramieniem i wskazał ku największemu skupisku nieprzyjacielskich żołnierzy. Jego ciało przyzwyczało się do nurkujących ruchów psa z łatwością wynikającą z życia spędzonego w siodle.

Dwa albo trzy tysiące tylko w tej jednej grupie. Niech awatarowie się zmiłują.

Dohloreyz powiedziała mu, żeby był ostrożny, zanim wrócił z ostatniej przepustki. W domu panował chaos, wciąż trwała budowa, najpierw obory i domki dla nowo zakupionego inwentarza i

pomocników. Tatko i młodszy bracia wciąż patrzyli na niego, jakby słońce wschodziło mu za głową, a matuś załamywała ręce – zawsze nie dowierzała szczęściu, choć za jej życia rodzina niewiele go doznała... Dohloreyz nie była jeszcze pewna, czy jest w ciąży, mimo iż mocno się starali od ślubu. Nagle wszyscy chcieli ich poznać, krewni, którzy od lat ich nie odwiedzali, nawet ten oślizgły lichwiarz Christo *niuchał* koło nich znowu i mieli tę satysfakcję, że przegnali go batem z nie zadłużonej teraz posiadłości.

– *Scramento* – wymruczał. Jednostka Eskadry znajdująca się z przodu zdecydowanie coś zobaczyła.

Ponad kilometr do przejechania. Formacja Rzeźników ześliznęła się w zagłębienie jak pełznący po ziemi wąż, a kiedy wyłonił się na przeciwległym zboczu, w nieprzyjacielskiej jednostce zawrzało jak w kopniętym mrowisku. Z kolumny wystrzelili posłańcy i pognali ku innym znajdującym się wokół jednostkom, a reszta skupiła się wokół znajdującego się w środku wysokiego sztandaru ze złotej materii. Thiddo dał znać trębaczowi, a ten uniósł do ust skrecony mosiądz. *Ta-m-ra-ta*. Grupa flagowa zwolniła, a czwórkowa kolumna za nią otworzyła się po obu stronach jak wachlarz. Trzy minuty i cały batalion kłusował w podwójnym szeregu, a każdy żołnierz znajdował się o dwa metry od sąsiada z podwójnymi przerwami między kompaniami.

*Niech to diabli, ale z nich dobrzy żołnierze*, pomyślał Thiddo z odczuciem dumy. Ponad dwa tysiące metrów do celu. Uniósł zaciśniętą pięść i uderzył nią dwukrotnie w powietrze. Trąbka zabrzmiała znowu ponad grzmiotem masy łap i narastającą wrzawą dochodzącą od nieprzyjaciela. Trzy kompanie rzuciły się z szeregu do przodu jak zęby pity. Smukłe, wyhodowane na pustyni psy wystrzeliły do przodu w wyciągniętym galopie, tylne łapy wpadały pomiędzy przednie i skakały znowu.

– *Despert Staahl!* – wrzasnęli mężczyźni. *Przebudźcie żelazo!* – okrzyk bojowy południowych granic. A potem: – *Aur! Aur!* – zawołali falsetowym chórem w nie kończącym się jazgocie. Stanęli w strzemionach, gdy szeregi pędziły do przodu, z karabinami wymierzonymi z lewego przedramienia. Wróg znajdujący się przed nimi wciąż się miotał. Kilku wyjechało do przodu na spotkanie atakujących. Niektórzy z pozostałych już strzelali do żołnierzy Rządu Cywilnego.

*Równie dobrze mogą próbować trafić w księżyc*, pomyślał Thiddo z pogardą. Znajdowali się poza zasięgiem karabinów ze zbrojowni, a co dopiero nie gwintowanych strzelb. *Tysiąc metrów. Osiemset. Sześćset*. Przy ponad dwustu byli bezpieczni od broni Eskadry, mniej więcej. *Czteryście metrów. Teraz, teraz!*

Jakby w odpowiedzi na jego myśli wypalił pierwszy szereg szarżujących Rzeźników. Nie była to całkowita salwa, bardziej trzask płynący wzdłuż szeregu: BAMbambambambam. Psy przysiadły na łapach i stanęły dęba, zawracając. Drugi szereg przegalopował przez pierwszy i wystrzelił dziesięć metrów dalej w stronę żołnierzy Eskadry, a potem też zawrócił. Minęła mniej niż minuta i trzy kompanie galopowały z powrotem po swoich śladach, prowadząc wierzchowce kolanami oraz głosem i przeładowując. Trąbka zabrzmiała i z kolei dwie kompanie z Thiddo runęły do galopu.

Z poruszającego się psa nikomu nie udawało się uzyskać skutecznego stopnia celności w stosunku do poszczególnych celów, nie z takiej odległości. Przy pewnej praktyce mogłeś się nauczyć trafiać w *duże* cele – kilka tysięcy ludzi stłoczonych ramieniem w ramię dobrze się do tego nadawało – a Rzeźnicy, jak większość jednostek rekrutujących się z kolonialnego pogranicza, doprowadzili ten manewr do doskonałości – nazywano go *fantasia*. Znajdująca się przed nim masa Eskadrowców usiana była

zabitymi ludźmi oraz psami martwymi albo rannymi, miotającymi się wkoło, co było jeszcze gorsze. Słyszał ich wycie i widział zamazane smugi wystrzałów z nie gwintowanych strzelb Eskadry, gdy psy były dobijane, zanim rzuciły się na najbliższego człowieka.

Sześćset metrów. Więcej grup wylewało się na równinę, kierując się ku jego ludziom albo ku złotemu sztandarowi ze statkiem kosmicznym i planetą... *Duchu, ocal mnie, musimy atakować admirała, nic dziwnego, że są wzburzeni.* Pięćset. Czteryście. Dobył szabli. Z takiego zasięgu pistolet był równie skuteczny co święcona woda. Błysnął szabłą ku górze, a potem w dół lśniącem łukiem. BAMbambambam, kolejny jękliwy huk, tym razem głośniejszy, gdy języki płomieni wystrzeliły po obu stronach. Obrócił swego psa. Wielkim zwierzęciem rzuciło w bok, gdy traciło szybkość, wyrzucając w powietrze grudki ziemi i pszenicznej słomy, a potem jadąc z powrotem z BAMbambambam z tyłu, gdy drugi szereg wystrzelił. Przed nim pierwsze trzy kompanie ściągnęły wodze i zawróciły, galopując z powrotem ku niemu.

*Aur! Aur!* Minęli go w przebłysku połączonej szybkości. Trąbka zagrała *zbiórkę*, gdy Thiddo ściągnął wodze i zawrócił.

– Ano, to ich nieźle zdenerwowało, bez wątpienia – powiedział do siebie.

Cała masa przydupasów wokół sztandaru admirała rzucała się do szaleńczej szarży przed siebie, z furkotem proporców wymachując mieczami i garłaczami. Dźwięk ich ryku był niemalże tak głęboki jak masowe, warkliwe ujadanie ich psów. Coraz więcej grup przyłączało się do galopującej masy, gdy pojedynczy wielmoże i ich żołnierze zbierali się przy admirałe. Ostatnią *fantasię* wykonano z odległości zaledwie stu metrów i całe sekcje Eskadrowców padły pod nią. Kilku Rzeźników zostało trafionych w odpowiedzi, jeszcze kilku pozbawiono wierzchowców i ci wskakiwali na psy za plecy swoich towarzyszy. Biegające luzem psy w większości podążyły za cofającymi się druhami. Dwa pozostały z obnażonymi zębami, aby walczyć i zginąć nad ciałami swoich martwych panów.

– Zagrać odwrót – rzucił Thiddo.

Rzeźnicy zawrócili psy i podążyli z powrotem ku grani. Kompanie zwały szeregi i ruszyły, jadąc jedna za drugą. Grań coraz bardziej się zbliżała, przerwa pomiędzy nimi a ścigającymi rosła. Kawaleria Rządu Cywilnego jechała na szybszych psach i wiedziała, dokąd zmierza. W tłumie tak wielkim jak ten, który za nimi podążał, musiało znajdować się sporo powolnych jeźdźców i niewielu chciało znajdować się z przodu. Zwłaszcza, gdy ostatnie szeregi ściganych odwracały się od czasu do czasu w siodle, aby strzelić do tyłu...

POUMM. Pulsowanie w powietrzu, równie silne jak hałas, i długi jęzor płomienia z polowego działa pośród drzewek oliwnych na niskim wzgórzu. POUMM. POUMM. Pociski zagwizdały nad głową z dźwiękiem rozdieranego płótna. Thiddo obejrzał się do tyłu. Dwa pociski wybuchły w powietrzu z paskudnym traskiem nad nacierającym zastępem. Brudne, czarniawe kłęby dymu na wysokości dziesięciu metrów i podłużne luki w dole w ciemnej, gęsto upakowanej masie galopujących ludzi i psów. Thiddo skrzywił się lekko. Korpusy pocisków wyładowane setkami ołowianych kul wyrzucały dokoła rozbryzgujący się ładunek. Lont trzeciego pocisku zadziałał z opóźnieniem i wybuchł przy kontakcie z ciemną, rozdrobnioną ziemią w kształcie topoli. Ten pocisk był mniej śmiertelny niż te wybuchające w powietrzu, ale pośród wyrzuconych ku niebu śmieci znajdowały się strzępki i kawałki ludzi oraz psów.

POUMM. POUMM. POUMM. Jeszcze trzy wystrzały, dziesięć sekund później. Przynajmniej



dziesięć tysięcy ludzi podążało teraz za nim, ogromny poruszający się dywan falujący i połyskujący w słońcu, błyszczący stalą, mosiądzem i wypolerowanym żelazem luf muszkietów. Więcej nadjeżdżało z całej falującej równiny. Eskadrowcy jednak nie byli przyzwyczajeni do artylerii. Przedni szereg zachwiał się i setki psów oszalały z paniki, zrzucając jeźdźców albo atakując znajdujących się obok – zawsze istniało takie ryzyko ze zwierzętami, które nie były razem szkolone – albo uciekając z pola bitwy w niekontrolowanym przestraszu, z

jeźdźcami piłującymi je wodzami. – Nazywali to spadającymi gwiazdami... Potężny ryk szarżujących zmienił tembr, pomieszany z oszalałym jazgotem rannych psów.

\* \* \*

Major Anhelino Dalhouse przeklął, gdy siedemdziesiątkipiątki wypuściły kolejną salwę, a jego wilczarz próbował dać szczupaka.

Trzecie działo baterii wystrzeliło KRAK! W sekundę po BUM BUM jego siostrzanych luf. Odrzut poprzednich wystrzałów cofnął działo na tyle daleko, że ten pocisk wystrzelił z samego szczytu wzgórza. Pozostałe dwa działa znajdowały się wciąż w dole zbocza, gdzie masa ziemi i skał tłumiła wystrzały z ich luf. Zmiana w ich tembrze sprawiła, że Dalhouse'owi ścisnęło kolana, co tylko spotęgowało nerwową reakcję psa. Znajdujący się za nim ludzie mrużeli do swoich przycupniętych psów rozrzuconych po rzadkim oliwkowym gaju. Zabrzmiał chór skomleń i warknięć.

–

Czerwononogie, brudne gównojady! – warknął Dalhouse, walcząc, aby opanować wierzchowca. Oczywiście *on* nie mógł zsiąść.

Artylerzyści posunęli swoje działo do przodu, zapierając się o wysokie żelazne okucia kół, żeby je popchnąć, gdy ponownie staczało się w dół zbocza. Salwy karabinowe dobiegły z większej odległości, przedzierając się przez dźwięk jak potężny huk morza, którego nie potrafił zidentyfikować. *Nic cholera stąd nie widzą*, pomyślał Dalhouse, poruszając ustami. Przez chwilę miał radosną wizję ciężkich pocisków koszących kanonierów i dzwoniących o lufy dział... wybuchające kesony, posyłające do piekła ten cały *cholerny* bałagan, tych ludzi mających tak niską pozycję społeczną jak pociągowe kundle, które ciągnęły ich działa.

–

Jak daleko są, panie? – spytał chorąży Meribor, adiutant Dalhouse'a – kuzyn ze strony bogatej rodziny żony. Jego leżący wierzchowiec próbował polizać pysk wilczarza Dalhouse'a, a ten najpierw kłapnął zębami, a potem warknął zawstydzony, że dał się przestraszyć.

Dalhouse walczył z wodzami. – Skąd, na cholerne bezgwiezdne ciemności, *miałbym wiedzieć?* – warknął. – I trzymaj swego psa z daleka! Myślisz, że kim jesteś, ty sklepikarzu na psim grzbiecie, cholernym *kanonierem?*

– Przepraszam, panie.

Bum. Bum. Bum.

Pocisk zawył wysoko nad głową. Prawdopodobnie rykoszet, z pewnością nikomu nie groził... ale był to paskudny dźwięk, przypominający o rzeczach, które *mogły* mieć miejsce niewidoczne po drugiej stronie grani.

Pewna myśl sprawiła, że Dalhouse podjął decyzję w tej sekundzie, w jakiej mu przemknęła. Jeśli ten niekompetentny, kochający pogan descottyjski dzikus Thiddo myślał, że zostawi Dalhouse'a na pastwę strzałów, kiedy fala Eskadrowców pojawi się na grani, to niech pomyśli jeszcze raz...

Dalhouse pognał swego wierzchowca do przodu ku grani, z której sam mógł przyjrzeć się polu bitwy. – Za mną! – rozkazał Meriborowi.

Dalhouse nosił ostrogi z długimi kolcami bardziej dla wyglądu i pobrzękiwania niż z potrzeby, ale napięcie sprawiło, że tym razem wbił pięty głębiej, niż zamierzał. Wilczarz zaskowyczał i wiedziony instynktem obrócił długie szczęki, zanim zdał sobie sprawę, że celem był but na nodze jego pana – a tym samym coś nietykalnego. Zwierzę skoczyło w przód, ze skowytom rodzącym się głęboko w gardle.

Bum.

– Panie, czy powinniśmy...

Bum.

– ...opuszczać nasze pozycje? – zawołał zza Dalhouse'a zdesperowany Meribor. Chłopak nie był urodzony do jazdy. Był miejskim chłopakiem, wychowanym we Wschodniej Rezydencji, w domu, który śmierdziałby handlem, gdyby zapach ten nie został zduszony przez tak *wiele* pieniędzy.

Bum.

Trzeba było być praktycznym, nawet w sprawach honoru.

Dalhouse obejrzał się przez ramię. Wierzchowiec Meribora nie popędzany podążył za Dalhouse'em, zaskakując chłopaka. Jego lewa dłoń była wplątana w skręconą sierść na karku wilczarza, zaciskając zbielełe kostki. Instynkt podpowiadał mu, że było to bezpieczniejsze niż wodze.

– Nie opuszczamy naszych pozycji! – warknął Dalhouse.

Za Meriborem światło słoneczne połyskiwało na hełmach i wypolerowanych naramiennikach 17 Kirasjerów z doliny Hemmar, obramowując i ukrywając twarze żołnierzy przyglądających się swemu oficerowi dowodzącemu. Wyglądali wspaniale obok raczej szarych, standardowych mundurów dragonów z Novy Haifa.

– Czy sądzisz, że zaufam półbrudasowi z hrabstwa Rogor, by decydował, kiedy *moi* żołnierze...

KRAK! reszta zdania – mają nacierać – została wyrzucona z głowy Dalhouse'a przez wybuch. Działo polowe i salwy karabinów ze zbrojowni nie były już blokowane przez wzgórze, które pokonał wilczarz. Dalhouse obrócił głowę, w momencie, gdy wypaliły razem pozostałe dwa działa. Armaty odskoczyły do tyłu w górę zbocza za czerwonym rozbłyskiem na chwilę przed tym, jak ich podwójne KRAKKRAK uderzyło w uszy Dalhouse'a.

Widok po drugiej stronie wzgórza był tak nagły jak szok wywołany przez nie stłumiony ogień dział. Dalhouse nigdy nie był dobry w liczeniu. – Pięćdziesiąt tysięcy Eskadrowców – powiedział wcześniej Whitehall, ale to nic nie znaczyło, nie było *realne*. Było to jak słuchanie zarządcy opowiadającego o dziesięcinach i zbiorach, kiedy dla Dalhouse'a miało tylko znaczenie to, aby było wystarczająco dużo pieniędzy do zaspokojenia każdej jego zachcianki.

Masa ludzi, broni i psów w jasnych czaprakach widoczna w dolinie rozciągającej się przed

Dalhouse'em była *realna*. Wystarczająco duża, aby zmieść cały znajdujący się przed nią świat i zgnieść w pył wszystko, co będzie próbowało ją zatrzymać. Dźwięk, który go zastanawiał, to były ich głosy i tętent łap ich psów. I były one jak ryk morza, jak naturalna siła, trzęsienie ziemi albo leśny pożar. Trzy działa i garstka Rzeźników z Rogor – nieregularnych, prawie nic nie znaczących mieszaińców, półbrudasów – zostanie połknięta w sposób niezauważalny przez natarcie Eskadrowców. Jeszcze gdy Dalhouse się przyglądał, połowa sił Thiddo zawróciła swoje psy i pogalopowała ku wątpliwemu bezpieczeństwu ofiarowanemu przez grań.

Okrągła kula muszkietowa, spłaszczona w miniaturowe frisbee, odbiła się rykoszetem od kamienia i zajęczała *burrburrburr*, śmigając Dalhouse'owi koło ucha.

Dym prochowy, biały i siarkowy, leżał niczym gazowy całun nad doliną. Wiatr gonił mgliste kłęby w górę zbocza. Dalhouse, oddychając przez rozdęte nozdrza, rozważał sytuację, *straszna*

sytuację, i zrobiło mu się niedobrze, gdy coś niczym ostrze piły połaskotało go w gardle. Jego pies zaskowytał i uderzył się łapą wnoś.

Dalhouse zawrócił swojego wilczarza. – Chorąży Meriborze! – rozkazał. – Jedź z powrotem do obozu! Powiedz komukolwiek, kto tam dowodzi, aby natychmiast nadciągnął i wsparł nas. Natychmiast! Albo będzie za późno!

Bez wątpienia było już za późno. Cóż, dżentelmen Rządu Cywilnego z ochotą zginie, kiedy wymaga tego honor...

Nie czekając, aż Meribor odpowie, Dalhouse popędził swego wierzchowca do zdecydowanego kłusu ku żołnierzowi niosącemu sztandar Siedemnastego. Został zdradzony. Thiddo i Whitehall wystawili go tutaj, by zginął. Wszyscy wiedzieli, jakie było hrabstwo Descott. Prawdziwym ojcem Whitehalla był bez wątpienia jakiś stajenny, który spodobał się jego matce, było to równie pewne jak to, że żona Whitehalla była dziwką!

Wierzchowiec Meribora wyminął Dalhouse'a szaleńczym galopem. Chorąży przyłgął do karku wielkiego wilczarza obiema rękami. Udało mu się wyjąć nogę ze strzemion, a jego naramiennik obracał się na łańcuchach, pogrękując o plecy. Żelazo strzemion wybijało w takt biegu tatuaż na żebrach wierzchowca.

Meribor krzyczał – może do psa, może do swojej matki. Przynajmniej pies wziął to sobie do serca.

– Pogoń go! – ryknął Dalhouse. Popędził swego własnego wierzchowca w pościg. Wilczarz Dalhouse już nerwowo od hałasu i dymu, pochylił swój długi łeb i skoczył za swym towarzyszem.

Dalhouse zdał sobie sprawę z popełnionego błędu niemalże natychmiast, jak go popełnił. Szarpnął wodze, ale półtonowy mięsożerca przejął panowanie nad swoją przyszłością i zignorował dźwignie uciskające mu pysk. Szyja w szyję, dwa psy i siedzący na nich oficerowie śmignęli wokół południowej flanki 17 Kirasjerów z doliny Hemmar, zmierzając ku odległym wzgórzom. Grupa flagowa i trębacz wyskoczyli, aby zająć pozycję przy dowódcy.

Jak prujący się sweter, podwójne, pobłyskujące szeregi batalionu zaczęły ciągnąć za Dalhouse'em i jego adiutantem.

POUMM. POUMM. POUMM.

Mekkle Thiddo stanął w strzemionach i wpatrzył się przed siebie na grań. Gdzie był posuwający się do przodu szereg strzelców? Usłyszał, jak brzmi trąbka, grając *gotować się, zająć pozycję i stać*. Gdy pokonał grań, ścisnęło go w dołku. Znajdowała się tam artyleria, kanonierzy wpychali świeże pociski w komorę i toczyli działa, popychając koła, na pozycję ogniową. A także kompania z Novy Haifa... oraz plecy pozostałych żołnierzy, gnających w pochyleniu z powrotem na północ ku obozowi.

Za nim ozwały się krzyki wściekłości i strachu, gdy ludzie z Rzeźników zdali sobie sprawę z tego, co się stało. Kiedy zagrała trąbka, zatrzymali się nierówno, ale się zatrzymali... Mekkle Thiddo poczuł, jak kołnierz mundurowej tuniki wrzyna mu się w ciało, a w gardle poczuł nagły przyływ kwaśnej żółci. *Kłęska. Wszyscyśmy, kurwa, martwi. Hańba... Dohloreyz...*

– Zawracać! – wrzasnął. – Batalion, ustawić linię ognia na grani – zabrać ze sobą psy – ruszać się, ruszać, *raz, raz, razi*

Trąbka zagrała to znowu i znowu. Ludzie ruszyli, na początku nieco powolnie, a potem z desperacką szybkością. Pięć kompanii obróciło się, ustawiając szeregiem zaraz za szczytem wzgórza, psy przysiadły płasko na ziemi, a ludzie pozostali w siodłach. Eskadra rozciągnięta była na trzy, cztery razy większej szerokości frontu niż oni i zaczynała znowu posuwać się do przodu, choć grupki miały się tam, gdzie wśród psów wciąż panowała panika po ostrzale artyleryjskim i wir zamieszania, gdy wpadały na nich posuwające się do przodu tylne szeregi. Wiedział, że została im nie więcej niż minuta przewagi. Nagle wszystko było tak jasne jak słońce. Wydawało się, że jego własne usta zwolniły, zbyt zdrętwiałe, aby wykrztusić słowa, które musiały z nich wypłynąć.

Podjechał major Istban z Novy Haifa, roniąc łzy wściekłości i wstydu. – Kirasjerzy podali tyły. To było jak pękająca tama. Dalhouse nie mógł ich utrzymać, a kiedy się nie zgrupowali, pognął za nimi. – Czerwień skapywała z ostrza oficera, ślad tego, w jaki sposób zawrócił przynajmniej paru swoich ludzi.

– Zamknij się – rzekł spokojnie Thiddo. – Weź tych, których masz, zbierz po drodze, co możesz, zasadź się tutaj – wskazał na kępę eukaliptusów cztery tysiące metrów na północ. – Poruczniku Muhadezie! – Nadbiegł oficer kanonierów. – Zaprzęgnij po następnym strzale, a potem cofnij się, cholera, tam, i wspieraj nas, gdy będziemy się wycofywać. Spowolnimy ich, a wy zróbcie im piekło, strzelając, gdy przejdą przez grań – raz za razem. Zrozumiano?

Muhadez skinął głową. – Idź! – Działa wypaliły raz jeszcze, ale tym razem załogi pochwyciły je, gdy skończyły odrzut i posłużyły się pędem do zaciągnięcia ich do kesonów. Zabrzęczało żelazo, gdy prowadnice opuszczono w pętle lin zaczepowych i zatrzaśnięto przytrzymujące sztaby. Potem ludzie wskoczyli na siodła i złapali za uchwyty, a ci, którzy wsiedli na przednią parę psiego zaprzęgu, krzykiem pognali wierzchowce do galopu. Pozostali dragoni z Novy Haifa podążyli za podskakującymi, trzęsącymi się działami.

A potem nie pozostało już nic poza jego oddziałem i dudniącym łoskotem zastępu Eskadry, rozpoczynającym wspinaczkę po długim, łagodnym zboczu wzgórza. Światło błysnęło na wzniesionych klingach mieczy. Front natarcia znajdował się w odległości tysiąca metrów, a szeregi były grube na czternastu chłopa.

– Czekać! – Krzyknął Thiddo stanowczym głosem. Jego pies znajdował się z tyłu, tak, że tylko jego łeb i barki wystawały ponad grzbiet wzgórza. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali ludzie, to

usłyszeć, jak wrzeszczy piskliwie. – Pięć wystrzałów i cofamy się do następnej pozycji.

Poszarzałe, spocone twarze pod hełmami po obu stronach. Tysiąc metrów do gromady odważnych ludzi na szybkich psach, których Eskadrowcy wyrzucili do przodu. Dziewięćset. Będą strzelać w dół długiego zbocza w masę wroga. Za sztandarem admirała na całej równinie aż roilo się od grupek Eskadrowców, zbierających się i zmierzających ku odgłosom walki. Słyszał, jak oficerowie i podoficerowie wydawali szeregom ostatnie polecenia.

– Spokojnie, bracia, celować im w nogi, celować nisko.

– *Malash, Malash*, niech Duch będzie z nami. Jestem za tobą, Assed.

– Salwą pal plutonami i szeregami. Przygotować się na szybki ogień.

Osiemset metrów. Skierował psa do przodu, ku grzbietowi, a za nim chorąży ze sztandarem i trębacz, i dobył szabli. Ludzie stali w podwójnym szeregu, rozsunięci tak, że ludzie z tyłu mieli otwarte pole do strzału przez luki w przednim szeregu. Dał się słyszeć wrzask a przez formację Eskadry przemknęła fala, gdy ze skraju oliwnych drzewek uniosły się postacie, jakby przy pomocy magii. Awangarda nieprzyjaciela obróciła się ku tym z tyłu...

– Cel. – Przedni szereg uniósł długie karabiny ze zbrojowni do ramion jednym zgrabnym szarpnięciem. Widać było ledwo dostrzegalne falowanie, gdy każdy wybierał swój cel.

– Pal! – Szabla powędrowała w dół.

BAM–BAM–BAM–BAM–BAM. Pięć wystrzałów jak rozmazane smugi, bardzo głośne, posuwające się w dół szeregu od lewej. Trzysta piętnaście strzelających karabinów, fala przechodząca przy salwie przez pół kompani składającej się z sześćdziesięciu mężczyzn. Bardzo energiczny dźwięk wytworzony dzięki długiej praktyce. Na całej długości ludzie i psy z pierwszego szeregu Eskadry padali w miotającej się płataninie. Chmura dymu podniosła się nad szeregiem, unosząc ku migoczącym aksamitno–srebrnym liściom drzewek oliwnych. Wyfrunęło z nich kilka ostatnich dactosauroidów.

– Cel! – Karabiny tylnego szeregu powędrowały jednocześnie w górę. Przedni odwodził kurki swojej broni i sięgał do bandoletów po świeże ładunki do wepchnięcia w komorę. Brzęk i trzask pośród krzyków i echa. Sześćset metrów.

– Pal!

BAM–BAM–BAM–BAM–BAM. Poziomy grzebień czerwonych języków sięgający ku wrogowi. Cała formacja się zachwiała. Skręcała się w literę „C” z otwartą stroną zwróconą w stronę grani, gdy potężna salwa ognia walnęła w jej środek niczym pięść. Martwi ludzie i psy piętrzyli się przed szeregiem Rzeźników, ale Eskadrowców było zbyt wielu, zbyt wielu wymijało tę barierę z ciał.

– Pal!

BAM–BAM–BAM–BAM–BAM. W każdym razie nic nie można było zarzucić ich odwadze. Musiały być setki zabitych i jeszcze więcej rannych, ale ci, co zsiadli z wierzchowców, nacierali, w biegu mierząc ze swoich karabinów skałkowych, a jeszcze więcej napierało po obu stronach, zaś

nowe grupy galopowały pochyłone, by się do nich przyłączyć.

—

Pal!

—

Pal!

BAM–BAM–BAM–BAM–BAM.

—

Wycofać się!

BAM–BAM–BAM–BAM–BAM. Lekkie potknięcie w szeregu. Jeśli dojdzie do walki wręcz, to Eskadrowcy potną jego oddział na psie żarcie w mniej niż minutę. Czterysta metrów...

Zabrzmiała trąbka, a psy znały to wezwanie równie dobrze jak ludzie. Wyprostowały się pod swoimi jeźdźcami i obróciły. W przeciągu kilku sekund cała formacja kłusowała do tyłu. Zza nich dobiegł potężny ryk tryumfu, gdy siły Eskadry popłynęły do przodu. Thiddo rozejrzał się po bokach. Formacja była zwarta, a ludzie dobrze panowali na swoimi psami, gdy zbladł nieco szok wywołany zdradą. Większość ludzi jechała z karabinami w prawych rękach, z otwartym zamkiem, aby pozwolić lufie i komorze ostygnąć. Wyrzutniki łusek stanowiły ogromną słabość karabinu ze zbrojowni, kruche mosiężne ładunki rozrywały się zmiękczone przez upał albo odpadały od żelaznej bazy. Kilku ludzi waliło w zamki rękojeściami noży albo próbowało wyciągnąć czubkami skrawki stygnącego metalu z otworu.

Przed nimi ustawiły się armaty. Huknęły, gdy Rzeźnicy znaleźli się na płaskim terenie w dole wzgórza. Ludzie pochylili się, gdy pociski przeleciały im nad głowami. Był to ekstremalny zasięg i jeśli ktoś podkreśliłby nieumiejętnie lont albo gdyby proch palił się trochę za szybko...

Thiddo obejrzał się do tyłu. Na grzbiecie wzgórza znajdowała się masa ludzi, wielu zatrzymało się z krzykiem, słysząc znowu pociski. Trzy rozbryzgi poznały plamkami powietrze przed nimi. Sześćsetmetrowa luka, która urośnie do trzy razy takich rozmiarów, gdy dotrą do dział i obrócą je, aby znowu użądlić wroga. Przed nimi Istbanowi udało się zebrać prawie dwie kompanie swoich dragonów po jednej stronie linii odwrotu Rzeźników, tak, że mógł ostrzeliwać Eskadrowców ogniem podłużnym i otworzyć ogień, kiedy batalion będzie pokonywał ostatnie tysiąc metrów.

– Peydro! – krzyknął. Starszy porucznik Peydro Belagez skierował swego galopującego psa, aby znaleźć się obok dowódcy batalionu. – Posłańców do Zahpaty i messera Raja, ustne meldunki.

Kolejna salwa pocisków przeleciała nad głowami i rozerwała się z trzaskiem, wyrzucając ładunek syczącego metalu. Eskadra mogła gonić jego i Rzeźników, ale zapłaci za ten przywilej.

Eskadrowcy najpierw *zapłacą*.

# Rozdział jedenasty

– Kto wydał rozkaz odwrotu? – spytał chłodno Raj.

Kapitan kirasjerów zaczerwienił się i stanął na baczność, patrząc przed siebie. – Panie. Odwrót był spontaniczny. Próbowiałem zebrać ludzi...

– Dlatego też skończyłeś przed większością z nich? – spytał Raj niebezpiecznie łagodnie. – Zamknij się.

Spojrzał do przodu. Tuż przed nim znajdowało się kilka setek ludzi...

»Dwustu siedemdziesięciu czterech.« powiedziało Centrum.

–  
...i jeszcze więcej rozrzuconych po polach. Baza znajdowała się pół kilometra za nim. Słyszał miarowe bicie bębnow, gdy nawoływano do boju. Regiment Piechoty z Kelden pod Menyezem wychodził przez bramę, formując się w kwadrat i maszerując zgrabnie w takt bębna, aby chronić wejście na wypadek, gdyby cofające się kolumny kawalerii nadjechały szybko z Eskadrą depczącą im po piętach. Południowe słońce świeciło jasno, wypalając pola do żółtkłej białości i sprawiając, że kępy drzew wyglądały przez kontrast niemal czarno. Kolumna kurzu ponad większością południowego horyzontu powoli się zbliżała. W powietrzu już czuć było jej suchość, mimo iż wiatr wiał z północy.

–  
Kapitan... Hermano Suharto, prawda? Kapitanie Suharto, jestem teraz niemalże przekonany, że powinienem kazać rozstrzelać każdego oficera 17 Kirasjerów i zdziesiątkować zawodowych żołnierzy z jednostki za tchórzostwo w obliczu wroga. *Lepiej* zbierz ich od razu i sprawnie sprowadź. Przekonaj mnie, abym zmienił zdanie, kapitanie. Mocno się postaraj.

Suharto wykonał salut, który pozostał bez odpowiedzi i odjechał do swoich ludzi. Ci zareagowali szybko, tracąc trochę z zagubionego wyrazu twarzy, gdy usłyszeli rozkazy. Sierżanci zaczęli ustawiać ich w szeregi, a żołnierze powracali do swoich plutonów i kompanii.

–  
Ehwardo – powiedział Raj – wygląda to na całkowity bałagan i to my musimy go posprzątać. Ustawić szeregi do natarcia kompaniami – oznaczało to kolumnę szeroką na stu dwudziestu mężczyzn i głęboką na sześciu – w gotowości do rozciągnięcia się, karabiny wysunięte i gotowe do strzału.

–  
Jorg – zwrócił się do Menyeza. – Jeśli tylko mi się uda, nie zamierzam pozwolić, by nas okrążyli. – Wszyscy skinęli głowami. Ta pozycja była nie do zdobycia, ale źle zaopatrzona. Przy mocnym osaczeniu, armia Rządu Cywilnego zostałaby pochłonięta, gdyby próbowała wyjść i doprowadzona do śmierci głodowej, gdyby pozostała. – Tutaj wyznaczmy linię walki. – Przed nimi rozciągały się dwa kilometry mniej więcej czystego terenu, tylko parę lasków i tu i ówdzie zagłębienie terenu mogące dostarczyć osłony. – Rozstaw piechotę płytkim półksiężycem. Kiedy nadjedzie kawaleria, zsiądą z wierzchowców i dwa bataliony ulokują się na każdej z flank, a jeden zatrzymamy w rezerwie.

Wskazał ręką. – Zakotwicz prawą flankę o to – powiedział, pokazując na głęboki parów na zachodzie. – Ale uważaj, posłuż się swoimi najlepszymi – nie podoba mi się teren za nim –

poszarpany i pokryty w większości oliwkami i korkowym dębami.

–

Lewa flanka w przeciwległym parowie. – Ten otwierał się na wschód, ale zachodnie zbocze było wyższe, stroma ściana gliny. – Grammeck, działa w trzech bastionach – na lewo, na prawo i pośrodku. Szybko, messerowie, jeśli łaska.

–

Ponie – powiedział chorąży, pochylając się ku niemu. Przez otwarty teren nadjeżdżało trzech jeźdźców, przybywając z zachodu.

Jeźdźcy zatrzymali się i zasalutowali. Sierżant i dwóch żołnierzy z emblematem 18 z Komar na ramieniu, piaskową wydumą i palmą z wypisanym mottem: *Dehfenzo Lighon*. Broń wiary.

– Penie – powiedział sierżant. – Wiadomość od majora Zahpaty. – Wręczył ją.

Raj rozwinął papier. *W wirze walki moja flanką odsłonięta przez odwrót pierwszej kolumny, pisał. Prośba o pozwolenie na szybsze wycofanie, bo moja lewa jest zagrożona otoczeniem.*

– Sierzancie, odpowiedź ustna. Poinformuj majora Zahpatę, że zachodnie i północne siły Eskadry zostały całkowicie zniesione. Prowadzę Jednostkę Własną Poplanich, żeby zebrała pierwszą kolumnę. Ma wycofywać się tak wolno, jak się da, i przytrzeć im nosa. Zrozumiano?

–

Penie! – Zawrócili, pochylając się nad karkami galopujących psów.

–

Wyruszamy, Ehwardo – powiedział Raj.

–

Wolnym tempem marsz... kłusem.

Suzette znalazła się obok niego, gdy ruszyli susami ku najwyższej i najbliższej chmurze pyłu. – Czy bardzo źle idzie? – spytała. Harbie zarżała, wyczuwając niepokój pani.

– Nie – odparł lekko zaskoczony, mruganiem odsuwając jedną z map Centrum. – Tylko nie idzie zgodnie z planem.

\* \* \*

– ...i biorę na siebie pełną odpowiedzialność, panie – dokończył Mekkle Thiddo.

Raj spojrział na niego, a potem na działania przed nim. Rzeźnicy i Jednostka Własna Poplanich uformowali szeregi po obu stronach. Miarowy trzask ich salw dopełniał głośniejsze warczenie polowych dział. Ogromna masa Eskadrowców zatrzymała się gwałtownie i wycofywała przed zniemacka rozwiniętym frontem. Na obu flankach grupki nieprzyjaciela posuwały się powoli do przodu. Oficerowie biegali z tyłu za linią ognia, wskazując cele wyciągniętymi szablami.

Raj spojrział na prawo. Około czterystu pozostałych kirasjerów stało w zwartym szyku i wyglądało na to, że Suharto wystarczająco nad nimi panuje. Dalhouse i reszta nie zatrzymają się najpewniej, dopóki ich psy nie padną.

– Goniec. Kompania C ma się zwrócić na prawo i dać wsparcie ogniowe – powiedział Raj. Mężczyzna pognał, a najbardziej na zewnątrz wysunięte kompanie Poplanich zatrzymały się. Potem



przesunęły się do tyłu i obróciły niczym drzwi otwierające się na spotkanie otaczających ich jednostek Eskadry. – Goniec do seniora kapitana Suharto. Przygotować się do przegnania grupy barbarzyńców.

BAM. BAM. BAM. Kompania C otworzyła ogień, karabiny wędrowały w górę i opadały niczym ruchy czółenka w krosnach.

Pośród otaczającej ich grupy Eskadry znajdowały się cztery sztandary szlachty i około ośmiu setek ludzi. Dwie z mieniących się flag opadły pod gradem jedenastomilimetrowych pocisków. Poprzez rosnącą mgłę dymu i pyłu Raj widział ludzi spadających z siodeł i całą grupę pochyloną i skręconą nieco z dala od ognia. Sztandar kirasjerów skłonił się ku niemu, pokazując swą gotowość. Raj zamachał dwukrotnie ramieniem wokół głowy i wykonał koszący gest ku prawej. Zagrała trąbka i Kirasjerzy przeszli z pozycji stojącej do powolnego tempa, a z powolnego tempa do kłusa. Z jednoczesnym świstem dobyto szabel, które chwilę potem spoczęły na ramionach, a potem wysunęły się do przodu, gdy rzucili się do galopu i rozsunęli szeroko do szarży. Salwy ognia wspomagały ich aż do momentu zwarcia. Chaotyczne szeregi Eskadrowców rozpięzchły się pod naporem ścisłej szarży. Tylko kilku z nich udało się wypalić ze swoich karabinów skałkowych. A potem żołnierze Rządu Cywilnego obrócili się i pogalopowali z powrotem, zostawiając jeszcze więcej pustych siodeł.

Kawalerzyści przygnali na miejsce krótkim galopem, z zakrwawionymi szablami w dłoniach i znowu ustawili się w szeregu. Raj skinął głową, senior kapitan Suharto wziął sobie jego słowa do serca.

–

Goniec do majora Zahpaty – powiedział generał, wyciągając notatnik. *Majorze, spodziewam się, że w Eskadrze na krótki czas zapanuje chaos. Jeśli możesz łatwo przerwać walkę, to wycofaj się na lewą flankę głównej pozycji.*

–

Nie, Mekkle – ciągnął – nie zwalniam cię ze służby. Całkiem przeciwnie. Nie straciłeś głowy, kiedy wszyscy wokół ciebie ją tracili i zmieniłeś coś, co mogło stać się bezpardonową klęską w klęskę dającą się strawić. Chociaż jak znajdę majora Dalhouse’a... – Thiddo wyglądał na oszołomionego. Do tej chwili odczuwał częściową ulgę, że ktoś zdejmie z jego bark odpowiedzialność, i strach przed tym, co powie dowódca.

Raj pochylił się do przodu i klepnął go w ramię. – Gdybyś stracił te działa i wpadł do obozu z barbarzyńcami depczącymi ci po piętach... ale tego nie zrobiłeś. Mój przyjacielu, to nie jest robota, w której eleganckie plany przynoszą plony. Zdolność uratowania co się da, kiedy ktoś inny skrewi, jest o wiele ważniejsza.

– A teraz – powiedział, przyglądając się polu.

Będą musieli niedługo się wycofać. Ktoś po drugiej stronie wreszcie uświadomił sobie, że prowadzono walkę zaczepną. Zastęp Eskadry skupiał się w cztery główne grupy – a w każdym razie ta część, którą widział – z taborem daleko z tyłu formującym się w klasyczny krąg –fortecę z wozów w stylu Rządu Militarnego. A Eskadrowcy, którzy zsiadli z psów, posuwali się ku wschodowi przez skrawek nierównego terenu chroniący lewą flankę Raja. Już wkrótce przez niego przebrną – a on nie mógł sobie pozwolić na to, by go przyszpilili. Raj pomasaował sobie kark pod skórzaną-

koleczugowym ochraniaczem. Tego dnia – spojrzął w górę, 11.00, a raczej ranka – naprawdę utrzymywali się na powierzchni. *W garnizonie narzekaliśmy na nudę, ale kiedy pomyślisz o alternatywie...*

– Panie? – spytał Thiddo. – Ach, spodziewałem się...

–

Nie możesz – ciągnął Raj – pozwolić sobie na to, by za bardzo skupić się na planie, Mekkle. Właściwie to sprawy układają się dobrze. Straciliśmy, och, dwie setki ludzi – na chwilę stanęła mu przed oczami twarz da Cruza, ale ją od siebie odsunął – łącznie z tymi, którzy po prostu zwiali, a jak sądzisz, ilu straciła Eskadra? Dwa tysiące? Cztery? Sześć?

Obydwaj spojrzeli ku frontowi. Poprzez unoszącą się masę prochowego dymu trudno to było zobaczyć, ale na ziemi przed szeregami Rządu Cywilnego znajdował się cały dywan nieruchomych postaci. Uderzyła kolejna seria salw, na chwilę zakrywając przód Eskadry. Od strony nieprzyjaciela buchnął dym, ale zbyt daleko, aby wyrządzić prawdziwe szkody.

–

A co ważniejsze, wciąż nacierają tak, jak my tego chcemy. Zauważyłeś u nich coś, Mekkle?

–

Ummm – mają tendencję do reagowania jak byk ukłuty przez *pikadora*, panie. Potwierdza się to, co nam powiedziano.

–

Uderz ich w nos i możesz ich za niego poprowadzić – skinął głową Raj. Pojawił się żołnierz z drzewcem flagi, której proporzec był nieskazitelnie biały. – Mam coś, co zabierzesz dla admirała – ciągnął Raj, sięgając do worka przywiązanego do siodła. To jeszcze bardziej skupi jego myśli. Tak, sprawy układają się całkiem dobrze. Trębacz, odegraj *zawieszenie broni*.

\* \* \*

– Hnnng.

Żołnierz wygiął kręgosłup w łuk, gdy umartwiona odcięła resztę jego buta. Lepka krew zebrała się wewnątrz cholewki i wysliznęła się na zewnątrz galaretowatą masą. Jedna z asystentek osłabła i zaczęła się osuwać. Fatima cor Staenbridge sięgnęła i potrząsnęła nią ostro.

– Szoruj – rzuciła zakonnica. Nogawka spodni została rozcięta o wiele bardziej. – *No dalej*, muszę widzieć, co tu robisz.

Żołnierz – chłopak – miał oczy szkliste od opium, ale przy szoku niebezpiecznie było dawać za dużo. Fatima chwyciła go mocniej za nadgarstek i rękę, pochylając się nad nim z uśmiechem. Wydawało się, że łatwiej było im to znosić, gdy ktoś na nich patrzył. *Przynajmniej nie ma ich wielu*. Zaraz na początku żołnierz z Descott z rozwalonym od strzału udem, a od tego czasu jeszcze paru. Mieli nawet czas zająć się niektórymi rannymi nieprzyjaciółmi. Nie jak pod Sandoralem. Pamiętała koryta amputowanych nóg i ramion pod stołami operacyjnymi. Jak do tej pory ranni napływali jedynie cienką strużką. Wieść niosła, że północne siły prawie dotarły do miasta. Wkrótce tam będą, pod murami i armatami. Gerrin i Barton tam będą.

Chłopak z poharataną stopą miał na ramieniu emblemat w kształcie tarczy – patkę ze skrzyżowanymi szablami na czarnym numerze „5” i motto *Heli o Zpalata* – „Pień albo łup”. 5 Gwardyjski z Descott.

– Jak się nazywasz, żołnierzu? – spytała.

Jego oczy przeskoczyły na nią, a zęby ukazały się w czymś na kształt uśmiechu. Były żółto– białe w zabłoconej, pocętkowanej szokiem brązowej twarzy.

–

Hyllo Carasyn – wydyszał.

–

Jesteś z Piątego, prawda? – spytała.

– Tek, peni – powiedział. Sonda zadzwięczała o stół, a jego dłoń uchwyciła jej rękę, aż zatrzeszczały kości. Była to jego dłoń do szabli, a on był silnym, młodym mężczyzną. – Jesteś paniom majora, eh?

Skinęła głową. – Co się tam stało? – spytała. *Allahu – Duchu Człowieka* – modliła się w milczeniu, przypominając sobie Foleya na stole, jego zniszczoną rękę... *Proszę, niech zginą wszyscy, tylko nie oni.*

Żołnierz dyszał, a wzrok mu się rozmył. – Barbarzyńcy – wymruczał. – Strzelcy, szermierze. Barbarzyńcy, tysiące, wypaliłem do’ego a on – *nnnnnnnn!*

– Ach, *mam* ją – powiedziała umartwiona o surowym obliczu. Jej ramiona lśniły czerwienią aż po łokcie. Sonda trzymała zniekształcony kawałek ołowiu nieco większy niż groch. – Zaciśnij tu, ruszaj się, ostro!

U drzwi namiotu podniósł się rwetes. – *Mediko, mediko!* Jest ich więcej!

Młody Hyllo Carasyn zemdlął. Fatima położyła dłoń na zimnym od potu czole. *Wiesz nie więcej niż ja o tym, co się dzieje, biedny dzieciaku,* pomyślała.

Lekarka podniosła wzrok. – Przynieś mi ten cholerny ketgut – powiedziała, marszcząc brwi. Asystentka wręczyła jej zakrzywioną igłę. – Czas go zszyć.

\* \* \*

– Sporo im to zajęło – wymruczał Raj, unosząc lornetkę. Wysforował się trochę przed grupę posłańców i adiutantów znajdujących się wokół sztandaru.

Strzały wreszcie ustały, a przynajmniej wzdłuż linii frontu. Wiatr rozwiał dym. Niestety tym samym ukazał znowu prawdziwe rozmiary bojowego zastępu Eskadry, który wyglądał jeszcze bardziej przerażająco, bowiem zebrał się do kupy. Teraz Eskadrowcy zobaczą, jak niewielu mieli wrogów w tej właśnie utarczce – co mogło być albo dobre, albo złe, zależnie od tego jak są bystrzy. Raj się odwrócił i spojrzał ku szeregom. Ludzie odpoczywali, z twarzami i rękoma uczernionymi prochem. Kilku pociągało ze swoich manierek i ostrożnie pluło delikatną mgiełką w otwarte otwory karabinów, a potem wycierało je połamami płaszczy. Karabiny były piekielnie trudne w utrzymaniu, ale robięś, co trzeba, kiedy chodziło o twój własny tyłek.

– Czy naprawdę musieliśmy posyłać Mekkle’a? – spytała Suzette.

–

To przysługa – rzucił z roztargnieniem Raj. – Pokazuję, że wciąż mu ufam. Co – dodał cicho, na chwilę opuszczając szkła – mogło nie być konieczne, gdyby tego ranka ktoś nie zakłócił

hierarchii dowodzenia.

Suzette odwróciła wzrok. – To był błąd – powiedziała.

–

Był. Moje serce – ciągnął bardziej miękko – jesteśmy partnerami, wiem o tym. Martwiłaś się... aleja nie podejmuję zbędnego ryzyka. Nie próbuj myśleć za mnie w mojej specjalności albo to ty *sprawisz, że zginę*.

Skinęła sztywno głową, a on ponownie uniósł szkła. – A wysłanie na pertraktacje z admirałem człowieka bez rangi byłoby obrazą – ciągnął.

Grupa wokół admirała zbliżyła się nieco, wychodząc naprzeciw grupce żołnierzy Rządu Cywilnego pod białą flagą. Admirał Auburn był wysokim, postawnym mężczyzną z szaro– brązową brodą pokrywającą połowę piersi oraz małymi szafirami i diamentami na koniuszkach skórzanych rzemyków okalających jego kurtkę. Błyszczał, gdy się poruszał, pochylając się do przodu z ręką zwiniętą w trąbkę przy uchu. Było to jak przyglądanie się przedstawieniu kukielkowemu. Wielki barbarzyńca obrócił się do tyłu w strzemionach, potrząsając głową. *Pewnie nie może uwierzyć, że jego brat Conner został pokonany i zabity*, ocenił Raj.

Mekkle przekazał płócienny worek. Auburn otworzył go i przez chwilę siedział, łapiąc oddech, podczas gdy mężczyźni wokół niego odwracali się ze wstrętem, a jego martwy brat wpatrywał się w niego w wiecznym zaskoczeniu. A potem upuścił głowę, a gdy próbował ją pochwycić, odbiła się od siodła i potoczyła, spadając na ziemię. Admirał zanurzył ręce w brodzie i zaczął krzyczeć, prawie upadając, gdy zsuwał się z grzbietu swego psa ku przedmiotowi, który ten ciekawie obwąchiwał. Krzycząc i jęcząc, kołysał się w przód i w tył nad tą głową, a w jednej dłoni miał kępę włosów. Wokół sztandaru panował chaos, gdy mężczyźni zwracali się do siebie, krzycząc sobie w twarz, wymachując bronią. Część szeregów Eskadry posunęła się do przodu. Nowina rozchodziła się jak kręgi od kamienia wrzuconego do stawu.

*Dobry człowiek*, pomyślał Raj, gdy Mekkle i żołnierz niosący flagę rozejmu zawrócili i zaczęli galopować ku szeregom Rządu Cywilnego. A potem zeszytniał, gdy dziesiątki broni wycelowały w emisariusza.

– Skurwysyn – *skurwysyn!* – zakrzyknął, gdy wystrzelili kłębam dymu z czerwonymi włóczniami ognia.

Flaga rozejmu poleciała do przodu, gdy żołnierz i pies upadli. Mekkle osunął się na kark swojego psa. Zwierzę położyło po sobie uszy i pobiegło, wyjąc. Jego jedna łapa drgała za każdym razem, gdy uderzała o ziemię. Raj i grupa flagowa pogalopowali do przodu. Spotkali się z rannym mężczyzną sto metrów przed szeregami Rządu Cywilnego. Ranny pies przysiadł, a Horace opadł na ziemię obok niego, obwąchując i liżąc obrażenia. Raj wziął Thiddo pod pachy, ułatwiając mu zejście na ziemię. Suzette podbiegła z apteczką, a potem się zatrzymała z rozszerzonymi oczami. Wybuchy pocisków Eskadry zdarty mięśnie z pleców młodego oficera i widać było żółte kości kręgosłupa i żeber wraz z pętlami jelit. Wypływ krwi ustawał, gdy patrzyli.

Raj pochylił się nad umierającym mężczyzną. Usta Thiddo poruszyły się, ale nic się z nich nie dożyło poza deszczem krwi, która poplamiała twarz generała. Kurz z nie trafiających kul tryskał wokół nich obydwóch, gdy Raj położył głowę martwego mężczyzny na ziemi i powstał. Kilku pozostałych drgnęło lekko, gdy odwrócił się ku nieprzyjacielowi.

– Zapiszcie te proporce – powiedział, wskazując na sztandary wielmożów zgrupowanych wokół admirała. Wydawało się, jakby cała siła Eskadry została na chwilę sparaliżowana. – Zapiszcie każdy z nich, bowiem potem chcę ich zidentyfikować.

Admirał wciąż klęczał przy głowie brata, zawodząc i bijąc pięściami o ziemię. Wielu mężczyzn wokół niego zachowywało się tak samo albo cięli się po twarzach nożami na znak żałoby. Ich wycie było niemal równie głośne jak ich psów i równie nieludzkie.

*Dzieciaki, pomyślał Raj. Wściekłe, dorosłe dzieciaki i tylko wojsko może je powstrzymać przed wytrzebieniem wszystkich dorosłych na świecie.*

»We wszechświecie.« powiedziało Centrum. »Wszechświecie pełnym wściekłych dzieciaków, których mamy wyszkolić i zrobimy to w odpowiednim czasie.«

– A teraz – ciągnął Raj – major Thiddo kupił nam trochę cennego czasu. Proponuję, abyśmy go wykorzystali.

## Rozdział dwunasty

Słońce znajdowało się prawie nad głową i trochę na zachód. Raj zmrużył oczy, wpatrując się w nie, gdy wraz z grupą dowódczą zjeżdżał ku pozycji Korpusu Ekspedycyjnego. Jego własny proporzec zniżał się za każdym razem, gdy mijał sztandar batalionu, a on salutował. Ludzie podnieśli płynący falą radosny okrzyk, który wzbierał i pulsował po jego przejeździe. Raj zatrzymywał się na chwilę przy każdym sztandarze.

– Teraz wszystko jest bardzo proste, chłopaki – powiedział po raz dziesiąty. – Oni biegną ku nam, a my ich kosimy. Słuchać rozkazów, trzymać lufy ku dołowi i wszystko pójdzie dobrze. Niech Duch Człowieka będzie z wami!

Okrzyk wezbrał, a potem ucichł znowu, gdy Raj pogalopował z powrotem na swoją pozycję na zachodnim rogu formacji, obok Jednostki Własnej Poplanich. Palisada obozu rozłożonego na noc była widoczna z tyłu, a bliżej widać było światła z dwukołowych karet. Wczesnym popołudniem było intensywnie gorąco. Owady furkotały skrzydłami, a z tyłu, z miejsca, gdzie leżały i dyszały psy, dobiegały ryki. Mężczyźni przypadli na jedno kolano w uporządkowanych szeregach z karabinami w prawej ręce. Niebieskie tuniki ściemniały od potu. W powietrzu pachniało potem i kurzem, a morze znajdujące się na granicy wzroku na wschodzie dodawało ostry zapach soli.

– Oto nadchodzą – powiedział Ewardo Poplanich.

– Nie spieszyli się – odparł Raj, patrząc na zegarek: 13.00. – Zabrało to im więcej niż godzinę.

Spojrzał w lewo na wschód, wzdłuż pozycji Rządu Cywilnego. Ta rozciągała się pomiędzy dwoma parowami jak ogromne, płytkie „C”. Znajdująca się w środku piechota miała czas na wykopanie tymczasowych umocnień ziemnych, usypując wysoki na metr wał. Pierwszy szereg leżał, a drugi klęczał, co da im wspaniałą osłonę, gdyby wróg zbliżył się na tyle, aby móc uderzyć. Działa były chronione bardziej misternie. Każde miało przed sobą wał wysoki na człowieka z wyciętym w kształcie „V” otworem na lufę i zbocze usypane z ziemi za nim tak, by działo popychane odrzutem podjeżdżało na wał i wpadało z powrotem w baterię. Trzy bataliony kawalerii, która zsiadła z wierzchowców, pod Hadolfo Zahpatą, trzymało flankę wysuniętą ku morzu. Pozostałe cztery zakotwiczyły na prawym skrzydle pod okiem samego Raję, choć znajdowali się wśród nich wciąż wstrząśnięci kirasjerzy i Novy Haifa. Było też dość czasu, by sprowadzić wozy z wodą, napoić ludzi i psy, wydać chleb, a dodatkową amunicję ustawić blisko pod ręką, ale chronioną przez worki z piaskiem. Czas na to, by kapłani przeszli się wzdłuż frontu, kropiąc każdy proporzec świętą wodą i okadzając go wonnym dymem.

Horyzont na południu poczerniał, gdy Eskadra natarła czernią broni i flag. Zabrzmiało dudnienie, które zdawało się wstrząsać ziemią. W ziemię waliły łapy ponad czterdziestu tysięcy psów. Pył bił w niebo ponad zastępem barbarzyńców. Zbliżając się, zwolnili, mniej przez ostrożność a bardziej dlatego, że teren ścisnął ich niczym klinem. Na przedzie znajdowali się wielmoże o reputacji odważnych lub też pragnący taką zdobyć. Byli tam ze swojej własnej woli. Admirał mógł kierować ich natarciem, ale nie mógł go powstrzymać. Szeregi Rządu Cywilnego wyglądały przez kontrast na kruche i nieruchome, delikatne, o strukturze śniegowego płatka.

Raj spojrział przez lornetkę. Teren przed jego pozycją był nagi, poza słupami oznaczonymi kolorowymi szmatami wyznaczającymi odległość.

–  
Majorze Dinnalsyn – powiedział. – Na mój sygnał zaczynajcie strzelać na pokaz z czterech tysięcy metrów. Nie silcie się na pomysłowość. Ostry ogień w najbardziej na przód wysunięty skraj ich formacji. – Dowódca artylerii skinął głową.

– Poruczniku Menyez?

–  
Wszystko w porządku, generale – powiedział dowódca piechoty. – Wszystkie celowniki zostały sprawdzone i ustawione początkowo na dziewięćset metrów. Ludzie zostali przeszkoleni w nastawianiu, a punkty celownicze ustalone. Szkoda, że nie mieli więcej ćwiczeń w strzelaniu na odległość – urzędnicy skarbowi od lat wydzielali pieniądze na szkolenie z amunicją – ale się nadadzą.

– Zatem, do roboty – powiedział Raj.

Cała trójka uderzyła się pięściami, a Ehwardo Poplanich przyłączył się nieco niezgrabnie. A potem pozostali rozeszli się do swoich jednostek. Adiutant wręczył Rajowi kanapkę z pieczoną wołowiną i musztardą. Horace spojrział do tyłu na swego pana i zaskamlał prosząco.

–  
Zamknij się, ty sukinsynu, nakarmili cię tego ranka – powiedział Raj, a potem się zmiłował i rzucił mu ochłap. Był to tylko kąsek dla ogromnych szczęk, które się nad nim zamknęły, ale psy lubiły, by się z nimi dzielić i utrzymywać kontakt wzrokowy podczas jedzenia. Wszystkie wierzchowce kawalerii były obecnie dość ożywione, dostając mnóstwo kości i ochłapów wraz z mieszanką ugotowanej kaszy i fasoli.

Odezwał się młody Ludwig Bellamy. Patrzył z rękoma o zbielejących kostkach zaciśniętymi na wodzach, jak zbliża się zastęp Eskadry, ale głos miał spokojny.

–  
Twoi wojownicy muszą być ludźmi z żelaza, patrząc na to i nie lękając się – powiedział, rzucając spojrzenie w bok na milczące szeregi batalionów Rządu Cywilnego. Nic się nie poruszało oprócz jasnych jedwabnych flag trzepoczących na wietrze od morza, a psy przestępowały niecierpliwie z nogi na nogę pod siedzącymi na nich oficerami. Raj mruknął, zduszając gorzki śmiech i przełknął ślinę.

–  
Jedyni wojownicy tutaj – powiedział, machając kanapką do tyłu – są *tam* – wskazał na odpowiednik batalionu składający się z Oddanych i Halvardi trzymany w rezerwie na mało prawdopodobny wypadek walki wręcz – i *tam* – zatoczył ręką nad południowym horyzontem. Eskadrowcy zaczęli śpiewać w rytmie bębnow i rogowych trąb – *Ha-ba-da, ha-ba-da, ha-ba-da*.

–  
Moi ludzie nie są wojownikami, są żołnierzami, messer Bellamy – i zaraz zademonstrują tę różnicę. – Dokończył kanapkę i otarł usta. – Podczas gdy Eskadra robi dokładnie to, do czego starałem się ich nakłonić przez tydzień, odkąd wylądowaliśmy.

– A cóż innego *możliwy* zrobić? – spytał młodzieniec.

Centrum wyświetliło mapy pokazujące alternatywy, ale Raj już je znał. Centrum zawsze pokazywało swemu ludzkiemu narzędziu całą prawdę, powody, dla których plan mógł się nie udać – nieuchronnie było ich więcej niż tych, dla których mógł się powieść.

Pozostawić dosyć ludzi, aby mnie przygwoździć i obejść naokoło – powiedział Raj. – Nie mam dosyć żołnierzy, aby podzielić moje siły. Musiałbym się cofnąć, a potem oni zrobiliby to znowu i znowu, aż przycisnęliby mnie do murów Port Murchison. Korpus Ekspedycyjny jest na tyle duży, by stoczyć bitwę z Eskadrą, ale *nie jest* na tyle duży, by okupować jakikolwiek znaczniejszy obszar ziemi. Dopóki admirał utrzymuje spore siły i kręci się naokoło, jestem udupiony. Z pewnością nie możemy poszarżować na nich z bagnetami. Desperacko *potrzebuję* bitwy. Admirał może równie dobrze pokonać mnie i zmusić do wycofania się, zręcznie mi jej odmawiając. To, że nawet tego nie próbuje, pokazuje, iż Auburn i jego główni doradcy są wszyscy niekompetentni.

Ale... – szlachcic Eskadry pociągnął za swoje warkocze – zabiłeś Connera Auburna. Honor wymaga, aby admirał cię zaatakował! Poborowi nie pójdą za dowódcą bez honoru. A szlachta nie może uciekać przed mniejszymi siłami. Ich ludzie by się z nich śmiali.

– Ano właśnie – odparł Raj z uśmiechem jak u carnosauroida.

*Mam nadzieję.* Kanapka leżała mu w żołądku jak kawałek roztopionego ołowiu. Jego głowa wiedziała, że to, co powiedział, jest prawdą, ale jego żołądek słyszał pięćdziesiąt tysięcy głosów żądnych jego krwi. Śpiew przycichł nieco i rogi zagrały równocześnie. Siły Eskadry zostały podzielone – mniej więcej – na trzy kolejne grupy, „bitwy”, jak je nazywali. Wyglądało na to, że pierwsza zbierała się jakiś kilometr stąd. Dało się słyszeć potężne dźwięczenie metalu, gdy uderzali lufami muszkietów o miecze i okrzyk mogący ogłuszyć ucho nieba. Natarli masą pierwszej „bitwy”, rozciągając się po ziemi jak ciepłe toffi.

– DORWAĆ ICH! DORWAĆ!

Gdy się przyglądał, Centrum wyświetlało mu przed oczami słupki liczb. Uniósł rękę. Eskadrowcy rzucili się do pełnego galopu – masa kłów, twarzy i błyskających mieczy wyłaniająca się z białego kurzu – rycząc potężniej niż grom. Jarzące się zielenią liczby przewijające się mu przed oczami doszły do 4100, a on wykonał koszący gest ręką. Adiutant dotknął swoim papierosem zapalnika rakiety sygnałowej, a ta poleciała łukiem w pustą przestrzeń w środek „C”. Tam wybuchła zielonym *pop*. Dwadzieścia siedem dział polowych wypaliło w odstępach co pół sekundy. Potężny hałas POUUMMMMPH uderzył z zewnątrz w płuca, odbijając się lekkim echem pomiędzy trzema redutami artylerii.

Z ohydłą perfekcją pociski rozerwały się w powietrzu bezpośrednio nad szeregiem Eskadry. W ułamek sekundy zginęło tysiąc ludzi i psów, gdy szrapnele spadły gradem w ciasno upakowane szeregi. Ludzie z tyłu nie mieli szansy uniknąć nagłej krwawej jatki przed nimi. Wszędzie wykwitły masywne stosy psów i ludzi, głębokie na sześciu mężów, a kolizje zabijały niemalże tylu żołnierzy, co wybuchy. Cała galopująca masa Eskadrowców zachwiała się, jakby była jednym zwierzęciem, które mocno się potknęło.

Raj spojrzał w prawo, na pozycję artylerii. Działa wjechały na ziemne rampy usypane za nimi



przez kanonierów. Teraz zawisły przez sekundę i potoczyły się znowu do przodu, zatrzymując się z szarpnięciem na drewnianych zaporach. Podskoczyły załogi kanonierów, poruszając się z precyzją metronomu. Zamkowi szarpnięciem otworzyli dźwignię, która odsuwała na bok osłonę, czyściciel szorował wyciorem komorę, ładowacz wsuwał kolejny pocisk. Jeszcze gdy zamkowy przekręcał z powrotem korbę, dokręcając mimośrodową śrubę trzonu zamkowego, kapitan działa przykucał nad nim, celując. Jego ręce się poruszyły i pozostali przekręcili podnoszącą śrubę pod lufą. Ta się opuściła, a kapitan działa odskoczył w bok i szarpnął za sznur.

Tym razem dźwięk był o wiele dłuższy, co pokazywały lekkie różnice w szybkości ładowania przez załogi. Plujące POUM–POUM–POUM trwało jakieś sześć sekund. Połowa pocisków rozrywała się w powietrzu, a połowa wybuchała przy zetknięciu z przeciwnikiem, wyrzucając w górę wysokie świece ziemi i ciało z przedniego szeregu Eskadry. Chmury dymu unosiły się także od stanowisk artyleryjskich, skręcając naprawo, gdy zwiewała je bryza od morza. Załogi wpadły w miarowy, niezakłócony rytm trzech pocisków na minutę. Rytm, który chronił lufy i łamał armie. Raj znowu uniósł lornetkę.

– Taaak...

Ci wyrośnięci młodzieniaszkowie w opadających kapeluszach byli równie mężni jak każdy, kto kiedykolwiek zadźgał widłami psa i niemożliwością było tak naprawdę *zabicie* pięćdziesięciu tysięcy ludzi, nawet przy pomocy zmasowanej artylerii. Psy to była inna sprawa. Już były nerwowe i zestresowane, będąc zmuszone do bliskiego kontaktu z obcymi, a przyzwyczajenie wielkich zwierząt do dźwięków artylerii wymagało długiego i starannego szkolenia. Zobaczył jednego obracającego się w kółko, gdy nacisk policzkowych dźwigni uzdy walczył z jego determinacją, by zawrócić i uciec. A potem pies pochwycił udo jeźdźca w swoją półmetrową paszczę i zdarł go wrzeszczącego z siodła, potrząsając nim, aż ten uderzył o ziemię. Mężczyzna za nim przycisnął psu gardłacz do piersi i pociągnął za oba kurki, ale jego własny oszalały wierzchowiec opadł i przetoczył się po nim, zanim podniósł się, by umknąć z powiewającymi wodzami i mokrą czerwienią na siodle.

Formacja Eskadry rozsypała się, gdy ludzie na tyłach, znajdujący się wciąż poza zasięgiem dział, pozwolili swoim psom zawrócić. Mieli niewielką alternatywę przy tysiącu warczących, wymykających się spod kontroli zwierząt, które walczyły przeciwko wszystkiemu, co próbowało powstrzymać je przed ucieczką w bezpieczne miejsce. Rogi zagrały i zamachano flagami w grupie na tyłach, wokół admirała, gdy grzmiące działa zamieniły odwrót w rozsypkę. Tylko nieruchoma masa drugiej „bitwy” powstrzymywała pierwszą formację przed całkowitą ucieczką z pola walki. Wśród żołnierzy Rządu Cywilnego podniosły się radosne okrzyki i fala przeszła przez szeregi, gdy potrząsano karabinami w powietrzu.

Dźwięk ten jednak szybko ucichł.

– Niech diabli wezmą waszą niecierpliwość! – Ewardo Poplanich krzyknął, gdy dźwięk dotarł do jego batalionu. – Cisza w szeregach! – A potem rzucił kolejne spojrzenie do przodu. – Słodkie, miłosierne awatary i konstelacja świętych – powiedział, kiedy opuścił szkła.

Od miejsca, gdzie zaczęła się szarża Eskadry, tysiąc metrów ziemi pokrytych było dywanem ciał. Wiele z nich wciąż się poruszało. Kupka ich rozsunała się, gdy jakiś pies wykopał się spod nich i podskakując na trzech łapach, skierował się z powrotem ku południowi. Skamlenia i jęki były na tyle potężne, by dotrzeć do szeregów Rządu Cywilnego, tak samo jak Miedziano–słony smród krwi i odchodów.

Raj rozejrzał się dookoła. *Ach. Nigdy przedtem nie widział bitwy na wielką skalę*, pomyślał. – Sandoral był gorszy – powiedział. – Więcej dział, po obu stronach.

Przyjrzał się nieprzyjacielowi. Trudno było dostrzec szczegóły przez dym i pył, ale wiatr był odświeżający. Pokrzykiwanie, wymachiwanie mieczami, więcej grających rogów. Raj zobaczył, jak jeden z mężczyzn zsiada z wierzchowca i strzela do swojego własnego psa, gdy ten kulił się ze strachu, skamlał i próbował polizać go po twarzy. Pozostali grupowali się ponownie, pieszo, wokół proporców swoich wodzów, flag z czaszkami psów, carnosauroidów albo ludzi, wyrastających z pyłu. Wojownik za wojownikiem uderzał pochwą miecza o kolano i coraz więcej zsiadało z wierzchowców, gdy dotarli do drugiej „bitwy”, a służący odprowadzali sznury psów na flanki i tyły.

– Następnym razem nie zawrócą tak łatwo – rzekł cicho. – Zostali okryci wstydem.

Ehwardo zapalił dwa cygara. Raj wziął drugie z wdzięcznością i wciągnął dym głęboko do płuc. Przygotowanie się zajęło nieprzyjacielowi dobre pół godziny. Samo tylko usunięcie z drogi pozbawionych jeźdźców psów było wystarczająco trudne.

– Goniec, wiadomość do porucznika Dinnalsyna – powiedział z namysłem Raj. – Niech ma pod ręką kartacze.

–

Nadchodzą – wymruczał ktoś.

–

DORWAĆ ICH! DORWAĆ!

Tym razem nieprzyjaciel natarł w swego rodzaju formacji, nieregularnym, tępym klinem. Raj skupił wzrok i zobaczył, jak wrogowie maszerują niewzruszenie z głowami trzymanymi sztywno w górze i rękami zaciśniętymi na mieczach i muszkietach. *Maszerowanie w tych butach musi być niewygodne*, pomyślał – model buta Eskadry sięgał do uda i miał spiczastą piętę zaprojektowaną specjalnie do siodła. Ryczeli i powoli nabierali tempa, próbując wprawić się w słynny barbarzyński szal Militarynych Rządów. Kilku w przednich szeregach już miało szkliste spojrzenie i pianę na ustach, trzymając broń w zębach i zrzucając ubrania, aby pobiec do przodu nago.

*Musi ich być przynajmniej trzydzieści tysięcy w tej fali*, pomyślał Raj.

»Trzydzieści osiem tysięcy czterysta plus minus trzysta.« powiedziało Centrum.

– DORWAĆ ICH DORWAĆ ICH DORWAĆ ICH DORWAĆ ICH DORWAĆ ICH...

»4100 metrów.«

Ręka generała wykonała koszący gest i rakietę wystrzeliła. Przemówiły działa i Eskadrowcy przykucnęli wiedzeni bezużytecznym lecz ludzkim odruchem. Rozrywające się w powietrzu ładunki wybijały kręgi na skraju formacji, a w jej środek waliły wybuchające pociski. Proporce padały, łapali je inni ludzie i biegli naprzód. Cała masa ludzi biegła naprzód, więcej ludzi w jednym bloku niż w średniej wielkości miasteczku, na tysiąc ludzi szerokim i na trzydzieści głębokim.

»3000 metrów.«

– Uciekajcie, wy biedne, odważne, głupie gnojki, uciekajcie! – wyszeptał Raj, powoli dobywając szabli. – Idźcie do domu!

Długa fala przetoczyła się przez szeregi wroga, gdy ten wdrapywał się na ostatnie ciała pozostałe z pierwszego ataku i pognał dalej po otwartym terenie. Działa strzelały szybciej, jak gdyby załogi zaraziły się tym szaleństwem. Raj wrzucił lornetkę do pokrowca u pasa i zamknął go, mocując się z nim jedną ręką. Istniały rzeczy, których lepiej było nie oglądać z bliska, jeśli nie było to konieczne.

»2000 metrów.«

Ogromny klin był bardziej poszarpany. Przez ostatnich parę minut padły kolejne dwa lub trzy tysiące. Nieprzyjaciele znajdowali się teraz na tyle blisko, aby widziane gołym okiem postacie urosły od wielkości mrówek do rozmiaru lalek, na tyle blisko, by widzieć wykrzywione usta, a ich ryki niemalże zagłuszały ogień artyleryjski. Dreszcz przebiegł przez długi, cienki, niebieski szereg żołnierzy Rządu Cywilnego. Przemówiły tylko działa. Szeregi Eskadry zwierały się coraz mocniej, gdy ludzie na skraju ścieśnili się, odsuwając od artyleryjskich redut na obu skrzydłach.

»1500 metrów.«

– Gotowi – powiedział Raj, unosząc klingę. Adiutant podmuchał na swoje przycięte po obu stronach cygaro i przypadł na jedno kolano.

»1000 metrów.«

– Niech Duch nam wybaczy – wyszeptał Raj.

»900 metrów.«

– *Teraz* – powiedział czystym, donośnym głosem.

Szabla powędrowała w dół lśniącem łukiem, a Horace zatańczył, robiąc pół kroku w bok. Rakieta pomknęła ku niebu i wybuchła srebrzystym deszczem.

Siedem tysięcy ludzi przypadło na jedno kolano i wypaliło. Dźwięk był na tyle głośny, że kłuł w uszy.

To, co stało się z nieprzyjacielem, było przez chwilę skryte przez chmurę przetykanego płomieniem dymu, który wytrysnął z jego szeregów. Kiedy się rozwiął, Raj zobaczył, że zniknął cały przód zastępu nieprzyjaciela. Ciężkie, jedenastomilimetrowe kule o wydrążonych końcach przebijały się przez ciała i wbijały w ludzi z tyłu. Wydawało się, że czas stanął, posuwając się w bursztynowym miodzie tak wolno, że Raj mógł zauważyć, jak wyraz twarzy nacierających zmienił się z wściekłości lub też strachu w niepojęty szok.

A potem drugi szereg jego ludzi powstał i wypalił ponad głowami pierwszego. Przed nimi błysnęły z luf odpowiedzi z przedniego szeregu Eskadry – z tego, co nagle stało się przednim szeregiem – gdy ludzie odruchowo próbowali odpowiedzieć uderzeniem. Niektórzy z tych w środku formacji także strzelali, w powietrze albo w plecy ludzi przed sobą, gdy kosiła ich bezlitosna śmierć. Wszystko to znaczyło, że gdy znajdą się w odległości stu metrów od szeregów Rządu Cywilnego, będą bezbronni, jako że nikt nie będzie się zatrzymywał w celu nużącego przeładowywania karabinów skałkowych w środku czegoś *takiego*.

– Wciąż nacierają – rzekł z niedowierzaniem Ehwardo. – Same jaja, żadnego mózgu.

Raj stanął w siodle. Bezpośrednio nad nim oficer Jednostki Własnej Poplanich wykrzyknął –

*Półkompaniami salwą pał!* – Inni powtarzali to wzdłuż szeregu i nieprzerwana kolumna dymu uniosła się nad strzelcami, jak długi, cienki komin przecinający pole bitwy z ciągłym, jękającym się grzechotem BAMBAMBAM–BAMBAM w tle. Podoficerowie biegali wzdłuż szeregów jednostek piechoty, spychając karabiny w dół i sprawdzając, czy ludzie nastavili celowniki. Większość z nich strzelała na oślep w kierunku hałasu w całun dymu z przodu.

– Och, okrutny, okrutny sukinsyn – wyszeptał Raj. Spośród czekających z tyłu jednostek Eskadry coraz więcej ludzi zsiadało i biegło do przodu w dym, ku artylerii i zmasowanemu karabinowemu ogniovi. Admirał Auburn posyłał ostatnią „bitwę”. Ogromna masa żołnierzy Eskadry zwalniała. Co było właśnie złym posunięciem, lecz nie do uniknięcia, gdy przerwania walczyło z odwagą. Ogień karabinowy wciąż prażył pod miarowym rykiem dział. Coraz więcej nieprzyjaciół padało na ziemię i próbowało czołgać się do przodu albo kryło się za ciałami.

»400 metrów.«

Nowy dźwięk doszedł od artylerii, długi huk PAAAMMM, gdy przrzucili się na kartacze. Nie był to wybuchający ładunek, tylko ogromny pocisk jak ze strzelby, z setkami ołowianych kul wagi pół uncji wsadzonych przed proch... Pociski świstały w powietrzu ze złowieszczym bzyčeniem jak olbrzymie osy, a tam, gdzie uderzyły, rzeźbiły przez ścieśnionych wojowników Eskadry ścieżki, tak czysto jak kliny wycięte olbrzymim, niewidocznym nożem. Raj poprowadził Horace’a do przodu pomiędzy dwie kompanie Jednostki Własnej Poplanich, pokasłując od prochowego dymu i wpatrując się przed siebie. Atak Eskadry ustał... a właściwie Eskadrowcy zachowywali się jak gałka masła wkładana powoli na gorącą patelnię, topiąc się od przodu mimo nacisku popychającego ją z tyłu.

Ostatnia gromada ludzi wybiegła z dymu, skupiona wokół proporca. Kapitan po lewej od Raja rzucił rozkaz – pewnie niesłyszalny w tej wrzawie – i zamachał klingą. Lufy przesunęły się w bok. Kolejna salwa skosiła z nóg połowę ludzi wokół flagi. Reszta nadal nacierała. Kolejni padali, aż pozostał tylko jeden, który podniósł proporzec z ziemi i posuwał się dalej, gdy wokół niego kule wyrzucały grudki ziemi. W końcu się zachwiał, gdy czerwone plamy wykwitły mu na piersi. Ruszył jednak dalej, po czym opadł na kolana, wbił żelazny, zaostrozony czubek drzewca w ziemię i osunął się po nim, a z ust poląła mu się krew. Raj siedział, przypatrując się, jak pociski poszatkowały drzewce a fałdy materiału opadły na ostatniego człowieka, który trzymał flagę.

Stal jego szabli zastukała o żelazo strzemięcia Horace’a. *Trzysta metrów*, pomyślał. *Wątpię, by którykolwiek z nich dostał się bliżej.*

Przez prześwity w dymie widział, jak rozpadają się siły Eskadry. Przez chwilę uderzający zostali zatrzymani przez ostatnie szeregi, lecz ogień artyleryjski wybił dziury w tej ścianie. Teraz umykała także ostatnia „bitwa”, niektórzy wciąż wierzchem. Pojedynczy ludzie i całe bloki rozbiegali się na wszystkie strony. Panika rozprzestrzeniała się szybciej niż kręgi na wodzie i w przeciagu paru chwil zaledwie setka Eskadrowców stała twarzą w twarz z szeregami Rządu Cywilnego. Setki ginęły, gdy kule i szrapnele trafiały ich w plecy, podczas gdy biegły po ciałach zabitych, szlochając z wyczerpania i strachu.

– *Zagrać karabiny wstrzymać ogień!* – zawołał Raj.

Okrzyk ten rozszedł się wzdłuż szeregu szybciej, niż morska bryza rozwiała brudną, kłębiastą zasłonę dymu. Działa trzaskały dalej, wałąc w uciekającego wroga.

– *Zagrać przygotować się do ogólnego pościgu* – powiedział. Ten rozkaz także został przekazany

dalej przez skomplikowany układ bębnow i trąbek.

Dalej w szeregu piechoty rzucono rozkazy. Ludzie wstali i widać było odbijający się blask, gdy długie bagnety wskoczyły w prowadnice i uchwyty na wyciory pod lufami. Proporce pochyliły się ku przodowi a bębny zagrały. Długi, przedni szereg piechoty falujący niczym morze ruszył powolnym tempem. Grzechoczące *staccato* pojedynczego, wymierzonego ognia zabrzmiało przed nim. Strzelcy wyborowi i podoficerowie krzyczeli i przeładowywali, nacierając. Szereg kawalerii wokół Raja rozsypał się, gdy ludzie pognali do tyłu po swoje psy i wsunęli karabiny do pochew przed prawym strzemiem. Ponad smrodem siarki unosił się zapach przypalonej skóry, gdy rozgrzany metal przypalał wyściółkę. A potem dało się słyszeć potężne dzwonienie, gdy dwadzieścia pięć setek jeźdźców uformowało się za Rajem w bataliony. Generał pognął Horace'a do przodu, gdy proporzec Jednostki Własnej Poplanich przesunął się na bok.

– Zagrać szarżę!

Na obu końcach szeregu Rządu Cywilnego wysunęło się tysiąc szabel – oślepiająca, połyskująca jasność.

Szabla Raja powędrowała w górę a potem w dół, wskazując na rozpraszającą się masę nieprzyjaciela.

– Do ataku!

\* \* \*

– Tchórze! Mięczaki! Uciekliście, uciekliście! – wrzeszczały kobiety na pokonanych wojowników Eskadry.

Wielu z poborowych Eskadry zabrało ze sobą domowników aby dzielić z nimi zwycięstwo i pozostawiając ich w taborach kilka kilometrów za linią frontu. Teraz kobiety stały na ławkach wozów w powiewających czarnych szalach, bijąc niezdarnie uciekinierów, którym udało się dotrzeć aż ta daleko: swoich mężów braci i synów. Kobiety miały w rękach miecze, trzymane jak pałki muszkiety albo baty.

– Tchórze! Tchórze!

Niektóre wozy płonęły i kobiety rzucały się w płomienie. Inne podrzynały gardła swoim dzieciom, zanim dźgnęły się same, albo wieszały się na wysokich pałakach wozów razem z dziećmi. Raj minął tak powieszoną rodzinę. Za nimi, wewnątrz wielkiego kręgu wozów, mężczyźni, którzy odrzucili swoją broń, rzucali się pod nogi oszalałych wołów, by umrzeć. Ryki zwierząt zagłuszały krzyki ludzi i stanowiły tło dla huczących płomieni i trzasku przypadkowych wystrzałów. Obok przejechało, podskakując, działa, zmierzając ku jakiemuś ognisku oporu.

WHUMP. Jakiś tysiąc metrów po drugiej stronie fortu wyleciał w powietrze wóz z prochem i kula pomarańczowego ognia odbijała się przez kilka sekund na siatkówkach, co stanowiło kontrpunkt dla dzwonienia w uszach ogłuszonych wybuchem.

–

Wprowadźmy tu jakiś porządek, niech to Duch pochłonie! – zakrzyknął ochryple Raj, wymachując rewolwerem w kierunku skupiska kawalerii. – Zapanujcie nad tymi ludźmi! Żołnierze podjechali galopem i zaczęli rozdzielać dwa szczipione wozy, tnąc skórzane więzy

szablami. Jeden z żołnierzy podniósł wzrok, gdy stopy trupa musnęły mu głowę. Wojak zaklął i ciął dwukrotnie, aby przerwać sznur. Jego towarzysze wykrzykiwali przekleństwa, gdy pchali wozy, a ciała spadały im na głowy. Piechota już pracowała w środku obozowiska, spędzając niedobitki, ogłuszając ich i pętając. Kiedy wozy zostały rozczepione, kolumna więźniów przeszła pomiędzy nimi, potykając się w biegu. Jeńcy byli kopani, dżgani bagnetami i bici kolbami karabinów. Jasnowłosa dziewczyna upadła prawie u stóp Raja. Byłaby piękna, gdyby nie fioletowy, spuchnięty siniak z boku jej twarzy. Splunęła mu pod nogi i trzymając rozdartą na piersiach bluzkę, oddaliła się chwiejnie wraz z resztą, gdy popchnęło ją jakieś ramię.

—  
Ty, kapitanie! – krzyknął Raj. Oficer zasalutował. – Każ odciągnąć więcej wozów albo stracimy je wszystkie w ogniu. Wyprowadź woły, ale trzymaj je w kupie. I, na miłosiernych świętych, trzymajcie ludzi w ryzach!

Ludwig Bellamy wyglądał blado, nawet w czerwonym świetle ognia i spowitym pyłem popołudniowym słońcu.

—  
Twój ojciec podjął właściwą decyzję – powiedział Raj, zataczając łuk pistoletem nad tą sceną. Jego głos był nieco donośniejszy, niż to było potrzebne, nawet przy tym poziomie hałasu w tle. – Wiedział, że Eskadra przegra. To oznacza klęskę, messor Bellamy. Unikaj jej.

Raj popchnął Horace'a do galopu a grupa dowódcza i zwiadowcy podążyli za nim, mijając podzielone sznurami kwadraty, gdzie z rękami podniesionymi nad głowami siedzieli pod strażą więźniowie z Eskadry. Ognie przygasły, gdy żołnierze odciągali wozy. Inni ludzie rozkładali na ziemi plandeki i piętrzyli łupy, sortując je pobieżnie na stosy z materiałami, bronią i co tam nie było. Wielu z ludzi M'lewisza rzucało tęskne spojrzenia na wozy – plądrowanie było jedną z nielicznych przyjemności w życiu żołnierza – ale znajdował się tam ich porucznik... a messor Raj miał reputację człowieka trzymającego krótko swoich ludzi.

Raj zatrzymał się, gdy podjechał Muzzafer Kerpatik wraz z plutonem Rzeźników. Ludzie pozostali z tyłu, zatrzymawszy swoje zwierzęta jedno za drugim, a Raj pochylił się do przodu, aby posłuchać. Mały południowiec nie był formalnie żołnierzem, ale twarz pod czapką i ciało pod osłoną na kark miał poczerniałe od dymu prochowego, a zatknięty za szarfę pistolet wykonany w Komarze był dzisiaj używany.

—  
Mam wozy admirała pod ścisłą strażą – powiedział. Pochylając się bliżej, odezwał się szeptem – Oceniam wartość tego, co znaleźliśmy na dwieście dwadzieścia tysięcy FedKredytów, messor Raj, a admirał uciekł z większą częścią. Pozostawił także wiele osobistych dokumentów.

Nawet Raj zagwizdał bezgłośnie. To było dosyć, żeby wyposażyć i posadzić na wierzchowcach cały Korpus Ekspedycyjny i płacić mu przez rok. To sprawiało, że wojna sama się opłacała, i to jeszcze jak! I tyle, jeśli chodzi o Tzetasa, pomyślał. Gubernator będzie naprawdę bardzo zadowolony.

—  
Mam też tych ludzi – powiedział Kerpatik. Raj spojrzął na kolumnę powiązanych za szyje więźniów. Z wyglądu byli zwyczajnymi wojownikami Eskadry. Paru miało bogate wyposażenie mającej szlachty. A potem podjechał kapitan Rzeźników. Był to Pehdro Belagez, ich nowy

dowódca. Wiózł na ramieniu proporzec Eskadry, który pochylił, by Raj mógł go zobaczyć.

–

To te psie *ihorantes* zabiły naszego dowódcę pod flagą rozejmu, *mi heneral* – powiedział łagodnym głosem z niemalże kocim tonem. – Messer Kerpatik przyprowadził nas do nich, gdy próbowali uciec ze swoimi maciorami i nasieniem i za to Duch Człowieka Gwiazd będzie mu świecił. Jaka jest twoja wola w ich sprawie, mój generale?

– Rodziny? Targ niewolników.

–

A mężczyźni? – spytał Belagez. Żołnierze pochylili się do przodu w siodłach. Mekkle Thiddo był popularnym dowódcą.

Raj spojrział na wielkie, krzepkie postacie stojące w więzach, ze spuszczonej oczami.

– Ukrzyżować ich.

# Rozdział trzynasty

– Dziękuję, ale nie – rzekł stanowczo Raj.

Delegacja pod wysoką, łukowatą bramą wyglądała na przygnębioną i zdumioną. Robiła ona spore wrażenie jak na coś zwołanego w krótkim czasie: przywódcy cechów kupieckich w długich szatach, których krój był modny we Wschodniej Rezydencji pięćdziesiąt lat temu; grupka starych arystokratycznych rodów, które utrzymały się pod panowaniem Eskadry; arcysysep Port Murchison z podziemia, rozradowany, co było zrozumiałe, mogąc być znowu przedstawicielem Kościoła państwowego; oraz chórek dziewcząt w girlandach i białych sukienkach śpiewający hymny, i stadko kapłanów...

– Messerowie, messy – ciągnął w starannym spanjolskim – moi żołnierze właśnie wygrali dużą bitwę i krew się w nich gotuje. Wojna się jeszcze nie skończyła i nie pomogłoby dyscyplinie pozwolenie na rozejście się nocą po bogatym mieście – ani też, mówiąc prosto z mostu, nie byłoby to wcale korzystne dla waszego miasta. Wejdziemy do miasta jutro i wtedy zwołam was razem, żeby załatwić zakwaterowanie i inne sprawy organizacyjne.

– Ale... ale za murami wciąż są Eskadrowcy, tysiące ich! – powiedział przywódca delegacji. Nawet teraz widać było, iż obawiał się swoich panów. Tym lepiej, w przeciwnym razie tłuszcza rozerwałaby ich wszystkich na kawałki.

*Dawnych panów*, pomyślał Raj. – Czy są uzbrojeni?

– Nie. Większość wojowników wymaszerowała z Connerem Auburnem. – I zginęła, wielu pod murami, gdy zatrzaśnięto przed nimi bramy. – Skupiają się w świątyniach Ducha Ziemi, a nawet w naszych kościołach Gwiazdy, szukając schronienia.

– Zatem dajcie im je. Postawcie strażę. Jutro, jeśli łaska, messerowie.

Raj przeciągnął sień westchnął, spoglądając w górę. Gwiazdy były bardzo jasne, bowiem tylko trzy czwarte Miniluny rozjaśniało nieboskłon. Było przyjemnie ciepło, gdy odjeżdżali od oświetlonego pochodniami ogromu murów Port Murchison. Były one starodawnego typu, wysokie na dwadzieścia metrów i grube na dziesięć, z rdzeniem z łupkowatego kamienia w nienajlepszym stanie, ale wyglądały na ogromne w ciemności. Ogniska do gotowania Korpusu Ekspedycyjnego stanowiły jarzącą się konstelację pośród gajów i ogrodów poza miastem. Była to bogata kraina, dobrze zadbana, z wiejskimi siedzibami wielmoży. Wozy i ręczne wózki wyjeżdżały skrzypiąc z miasta z jedzeniem i ugotowanymi przysmakami, choć strażnicy mieli zawracać wszystko, co zbyt śmiało zalatywało wódką albo kurwami. Jednak mężczyźni byli w większości zbyt zmęczeni, aby zachowywać się niespokojnie i zbyt podnieceni, aby kłaść się spać.

– Jesteś pewien, że wojna się nie skończyła? – spytał Gerrin Staenbridge, gdy wraz z Foleyem znaleźli się koło swego dowódcy. – To co wydarzyło się tutaj... było tak decydujące, jak nic co widziałem ani o czym kiedykolwiek słyszałem.

Foley skinął głową. – Musieliśmy zabić, och, jakieś osiem albo i dziesięć tysięcy – powiedział z lekkim dreszczem. – Pod koniec nie mogli walczyć i nie chcieli się poddać... – Gerrin sięgnął i



ścisnął go za ramię.

Raj skinął głową z roztargnieniem. – Stanowiło to nie większy problem niż zarżnięcie świń w zagrodzie, i niech Duch mnie oślepi w imię Christo, jeśli kłamię – powiedział. *Poza biednym Thiddo i jakąś setką pozostałych.* – Wątpię, czy uciekło pięć tysięcy ich głównych sił. Pojmaliśmy dwadzieścia tysięcy wojowników i dwa razy tyle cywilów. Musiało zginąć prawie trzydzieści tysięcy – ponad czterdzieści tysięcy wliczając w to tych tutaj i dwa tysiące zarżniętych przez Skinnerów. Będziemy mieć zarazę, jeśli w taką pogodę nie zakopimy ich szybko.

Oznaczało to, że połowa wszystkich mężczyzn Eskadry w wieku zdolnym do walki została zabita lub schwytana, jeśli liczby Ministerstwa ds. Barbarzyńców się nie myliły. Eskadra oczywiście mogła zmobilizować każdego nie będącego kaleką, ale nie mieli oni tak ogromnych mas wieśniaków jak Rząd Cywilny.

–

Pech chciał, że admirałowi udało się jednak uciec i ten zły, stetryczały, stary łajdak zapewne postara się, aby zabito wszystkich jego ludzi. Wciąż może zebrać kolejne czterdzieści albo pięćdziesiąt tysięcy ludzi z zachodnich hrabstw, jeśli odpowiedzą na wezwanie, a te dziesięć tysięcy, jakie Curtis Auburn ma na Wyspie Sadlera i tak są ich najlepszymi.

–

Gah – powiedział Gerrin. – Nie wstąpiłem do wojska, by pracować w rzeźni.

–

Cóż, nie możemy liczyć na to, że będą równie łaskawi następnym razem – podkreślił Raj.

–

Do zobaczenia rano – powiedział, gdy podjechali do willi, gdzie znajdowała się jego kwatera. Wprowadził Horace'a na podwórzec, a potem zatrzymał go lekkim dotknięciem wodzy. Suzette siedziała na werandzie w kręgu światła latarni, grając na swojej *gittar* o długim gryfie, a czterdziestu mężczyzn przycupnęło nieruchomo na kamiennych płytach u stóp schodów.

Zwiadowcy–prostaczki równie cisi jak oficerowie i Ludwig Bellamy, który spoglądał na nią z wyrazem twarzy człowieka, który właśnie został uderzony mocno w głowę.

*Wszyscyśmy pielgrzymami i zdążamy w jednym kierunku, Pielgrzymami na tym samym szlaku Biegającym przez dolinę złotą Gdzie rzeki radości i nadziei płyną głęboko.*

Była to jej ulubiona pieśń, której nauczyła się jako dziecko od niańki Oddanych.

*Wiatr musi dąć i deszcz spaść z chmur... Zagubieni ludzie giną w śniegach gór Dusze kruszą skrzydła o nieba mury Noc musi przyjść, przyjść do każdego z nas...*

Podniosła się i odłożyła instrument na bok, gdy podszedł ku niej, a światło lampy lśniło na jej kruczoczarnych włosach i złociło jej oczy. Przykląkł i pocałował ją w dłoń, a potem, powstając, z łatwością wziął ją w ramiona i zaniósł do środka. Towarzyszyły mu dobrotliwe okrzyki, gdy kopniakiem zamknął za sobą drzwi.

## Rozdział czternasty

Ryczący chór żołnierskich głosów odbijał się echem od domów Port Murchison, głośniejszy niż oszalałe okrzyki radości tłumów.

*Poganin w swojej ciemnocie ziemi i kamieniom pokłon składa,*

*Nie słucha rozkazów, chyba że sam je wypowiada,*

*Broń ma w strasznym stanie i wkoło rozrzucają,*

*A oto nadchodzą regułami i pogan wysiudają!*

Korpus Ekspedycyjny wmaszerowywał do miasta Świętą Drogą masą szeroką na dwa bataliony, składających się z kolumn po czterech ludzi. Najpierw Raj i jego domownicy, potem 5 z Descott i Jednostka Własna Poplanich – z przodu, na honorowej pozycji – a potem arcysysup diecezji z orszakami kapłanów i zakonnic, dalej kawaleria, działa, piechota, długie kolumny idących chwiejnie więźniów powiązanych za szyje, wozy wypełnione zdobycznymi sztandarami i bronią... Obywatele zebrali się na chodnikach, za barierami z piechoty trzymającej karabiny przy piersi, na balkonach i dachach, i rzucali ku żołnierzom deszcz kwiatów, a gnój, zgniłe warzywa i psie łajno na dawnych panów. Kapłani Ducha Gwiazd stali na każdym rogu, by pobłogosławić powrót prawdziwej wiary.

– Niech Duch pochłonie taką stratę czasu – wymruczał cicho Raj, patrząc prosto przed siebie.

– Każdy ma swój własny ciężar do dźwigania – powiedział Staenbridge za nim. Ewardo parsknął śmiechem po drugiej stronie, strzepując płatki kwiatów z tuniki. Suzette uśmiechała się po królewsku, kiwając głową i machając do tłumy.

*Cóż, po tym z pewnością nie mogą sobie pozwolić na powrót admirała,* pomyślał Raj. Z tego też powodu Ludwig Bellamy wraz z ojcem jechali w parady nieco z tyłu, wyraźnie dobrze traktowani i uzbrojeni.

Gerrin zdusił wybuch śmiechu, spoglądając przez ramię. Raj sam rzucił ukradkowe spojrzenie do tyłu, udając, że pochyła się przed sysupem kropiącym święconą wodą z podestu. Kaltin Gruder wycofał się do zewnętrznego szeregu 7 Zwiadowców z Descott, zdejmując hełm i pochylając się w siodle, gdy jego pies obrócił się i zatańczył. Uderzająco piękna młoda kobieta w mantyli i szalu matrony machała z kutego w żelazie balkonu zamożnie wyglądającej kamienicy. Zakryła twarz wachlarzem i rzuciła różę. Gruder pochwycił ją w powietrzu i ponownie się skłonił z łodyżką między zębami, zanim pogalopował z powrotem na swoją pozycję na czele batalionu.

– Piekielnie szybka robota, nawet jak na Kaltina – zaśmiał się Staenbridge.

– Piekielnie zły przykład – rzucił, utyskując Raj. Choć reputacja Grudera z pewnością nie szkodziła mu w oczach żołnierzy.

Port Murchison przypominał mocno miasto Rządu Cywilnego, raczej starodawnego typu. Wzdłuż ulic stały trzypiętrowe budynki z pobielonej cegły i kamienia, z łukowatymi arkadami na parterze i osłoniętymi balkonami na górze. Żadnych lamp gazowych i niewielka dzielnica fabryczna. Fontanny

nie działały i choć domy i sklepy były nieźle utrzymane, to powierzchnia drogi już nie. Była popękana, nierówna, a w niektórych miejscach nawet błotnista.

– Mam tylko nadzieję, że będą kochać Rząd Cywilny równie mocno, gdy dotrą tu dzierżawcy podatkowi Tzetza – rzucił z ironią Raj.

Ehwardo prychnął. – Nawet Tzetza kocha Tzetza tylko wówczas, gdy mu płaci – powiedział.

Wyjechali na plac, duży, brukowany, w kształcie litery „U”, otoczony przez budynki użyteczności publicznej i kamienice bogatych wielmożów. W środku znajdowała się sucha fontanna, a z przodu marmurowa bryła pałacu wicegubernatorów – a od trzech pokoleń admirałów. Starożytna Świątynia Gwiazdy, z wysoką, złotą kopułą i kolumnowym portykiem stała po prawej, lecz na jej szczycie nie było wieloramiennej Gwiazdy. Usta Raja zacisnęły się w prawdziwym gniewie. Był tutaj wcześniej, dokonując przeglądu trasy przejazdu i widział dosyć zniszczeń, jakie Eskadra wyrządziła w kościołach, nawet w tych, które zmieniła w miejsca ich własnego kultu. Święte posągi zbryzgane ołowiem pocisków – wyglądało na to, że Eskadrowcy mieli szczególne upodobanie do odstrzeliwania nosów – rozłupane mozaiki, spalone ikony...

– Wandale – wymruczał. – Nic tylko banda pieprzonych *wandali*.

»Wszechświat wściekłych dzieci, Raju Whitehallu« powiedziało Centrum »i my.«

Stajenni podbiegli, aby zabrać ich wierzchowce, gdy zatrzymali się przed schodami pałacu. Raj wsadził ceremonialną buławę pod pachę i odwrócił się, by pomóc Suzette zsiąść z Herbie. Kobieta kroczyła niczym królowa u jego boku. Koniuszki jej palców spoczywały na jego ramieniu, a pióra na jej nakryciu głowy kołysały się. Oficerowie i cywilni dygnitarze podążyli za nim, gdy wchodził na górę, zasiadając, kiedy on odwrócił się przy marmurowym występie rozdzielającym schody i służącym za podium. Wyniosło go ono prawie o piętro wyżej w stosunku do chodnika, dając doskonały widok na plac. Raj stanął swobodnie, z lewą ręką na rękojeści szabli, pozwalając, by bryza targała swymi palcami jego ciemne kędziory i przyglądał się, jak reszta sił Korpusu Ekspedycyjnego ustawia się w swobodnej pozycji „spocznij”. Oczywiście poza jednostkami, które już były zajęte.

I Skinnerzy. Nawet Duch Człowieka z gromem w dłoni nie potrafiłby kontrolować Skinnerów w mieście. Raj kazał im rozbić obóz kilometr od murów, dostarczając nieprzerwanym strumieniem wysokiej jakości trunków i wysoko opłacanej rozrywki, a pilnował ich batalion kawalerii. Robota Muzzafa; nieoceniony człowiek...

Wreszcie ostatnia jednostka zatrzymała się i przyjęła pozycję „spocznij”. Więźniowie znajdowali się gdzie indziej, zapędzani rzędami na areny służące do walk byków, które chwilowo wykorzystano do zamknięcia jeńców Eskadry i ich rodzin. Pozostała połowa placu była czarna od cywilów, łącznie z ważnymi osobistościami znajdującymi się pod schodami.

– Obywatele Port Murchison – zaczął po spanjolsku. Akustyka była doskonała, tak jak wtedy, gdy dawni inżynierowie planowali budynki. – Zostaliście ponownie zjednoczeni z Rządem Cywilnym Świętej Federacji i z Kościołem Świętej Federacji. – Zabrzmiały ogłuszające wiwaty tłumu, podczas gdy żołnierze stali cierpliwie w pozycji „spocznij”.

Wkrótce zaczniemy pracę odbudowy tej prowincji i zabezpieczenia jej na zawsze. Bądźcie spokojni, bowiem armia Rządu Cywilnego jest tutaj jako wyzwoliciel, a nie zdobywca. Wszyscy obywatele będą chronieni, zarówno osoby jak i własność – *jeśli tylko nie zbliżą się do Skinnerów* – i o każdym przestępstwie popełnionym przez wojskowego należy natychmiast donosić. Tym samym wszelka nielojalność, wszelka zdrada, wszelki brak współpracy z nowymi i prawowitymi władzami będą zduszone bez litości.

Wszyscy widzieli ciała pozostałe po pościgu Gerrina, spiętrzone rzędami przed bramami, a wybrani ludzie zostali doprowadzeni, aby mogli zobaczyć pole bitwy i pomogli w masowych pogrzebach. Większość mieszkańców zapewne zrozumie, co się święci.

Rozejdźcie się, proszę, i pamiętajcie, że to miasto i dystrykt pozostaje chwilowo w stanie wojennym. Zajmujcie się swoimi zwykłymi sprawami, a kolejne polecenia zostaną wydane, gdy zajdzie taka potrzeba. Reszta tego dnia niech będzie ogólnym świętem, a magazyny mają zostać otwarte, by wydawać obywatelom wino za darmo.

To wywołało serdeczne wiwaty i tłum zaczął odpywać dosyć gwałtownie, wspomagany przez żołnierzy z opaskami *guardii*. Kiedy Raj odezwał się ponownie, mówił w ojczystym sponglijskim wojska.

Bracia żołnierze – zaczął, a potem musiał przerwać, gdy uderzył w niego ryk wiwatów. Zamrugał lekko zaskoczony, a potem uniósł ręce, prosząc o ciszę.

Bracia żołnierze, nie jestem politykiem, więc będę mówił krótko. Wiele razem przeszliśmy i dokonaliśmy wielkich czynów. Z naszych wyliczeń wynika, że każdy z was wykończył przynajmniej trzech barbarzyńców – masowy śmiech – co jest dobrym początkiem. Pamiętajcie, robota jeszcze się nie skończyła! Barbarzyński admirał jest wciąż na wolności, wciąż zbiera więcej żołnierzy, a Curtis Aubura także jeszcze nie wrócił. Będzie więcej walki, więc nie traćcie czujności.

Pamiętajcie też, że to jest miasto naszego własnego ludu, a nie pokonanego wroga. Jesteście gośćmi w miejscach waszego zakwaterowania – więc zachowujcie się jak goście. W tym mieście jest wystarczająco dużo przyzwoitego napitku i chętnych kobiet bez zachowywania się po bandycku. W ciągu następnego tygodnia każdy dostanie rotacyjnie przepustkę; a po to, byście mogli wypić zdrowie gubernatora, nakazuję obdarzenie każdego sześciomiesięczną wypłatą... Tym razem wiwaty były takie, że aż wibrował kamień pod jego stopami, i trwały przez kilka minut.

...tytułem zaliczki. Wszyscy się dobrze sprawiliście i jestem dumny z tego, że wami dowodzę. Rozejść się do swoich kwater!

Zagrały trąbki, ale zamiast się rozejść, ludzie zaczęli wykrzykiwać – RAJ! RAJ!

Zamachał wesoło, ale skandowanie nie ustało. Ludzie popłynęli do przodu, otaczając schody, wymachując hełmami zasadzonymi na lufach karabinów.

*Duchu, zaraz jakiś idiota zacznie obwoływać mnie kandydatem na Krzesło*, pomyślał z prawdziwym przerażeniem. Żaden gubernator nie wybaczał *takiej* demonstracji, spontanicznej czy też

nie. Raj uśmiechnął się, zasalutował i odwrócił się, a oficerowie i dygnitarze poszli za nim.

Ogromna sala audiencyjna była także prawie w całości wypełniona tłumem, którego suknie i biżuteria lśniły pod umieszczonymi wysoko w górze świetlikami. Żołnierze z wypolerowanymi bagnietami stali sztywno na baczność, wyznaczając ścieżkę, po której biegł dywan z miękkiego aksamitu. Powitał go arcysysep diecezji Port Murchison i Raj przykląkł, aby otrzymać namaszczenie mocy, maźnięcie na obu skroniach i dotknięcie słuchawkami z kablami symbolizujące kontakt z Siecią Ducha. Kryła się w tym dla niego pewna ironia... A potem poszedł ku Krzesłu, znajdującemu się wysoko na podwyższeniu na końcu pomieszczenia, oślepiająco jasnemu w pawiej oprawie szafirów, szmaragdów i srebra. Błyszczące mozaiki pokrywały każdą ścianę. Nawet Eskadrowcy nie tknęli ogromnej, abstrakcyjnej Gwiazdy zajmującej potężną część sufitu, połyskującej przyćmioną platyną.

Jedynymi zgrzebnymi rzeczami w komnacie były mundury jego żołnierzy, ponure i znoszone. W tym też był pewien symbolizm. Jego buty postukiwały ostrym metalem o kamień podwyższenia. Dał się również słyszeć brzęk okucia od pochwy jego szabli, gdy odwrócił się, trzymając w górze buławę swego stanowiska. Głowy skłoniły się, jak kwiaty kołyszące się na wietrze i pozostały pochylone w niskim ukłonie, aż zasiadł i złożył buławę na szerokim oparciu Krzesła wicegubernatora. Suzette zajęła krzesło małżonki, niżej na schodach.

– Panowie – powiedział generał – mamy przed sobą harmonogram zadań. Proponuję, abyśmy zaczęli.

Przez drzwi i gruby kamień słyszał słabo, jak żołnierze skandują jego imię.

\* \* \*

– Niech was Duch pochłonie, weźcie stąd te nóżki! Nie kapiecie na to tłuszczem! – powiedział znowu Raj, kładąc palce na mapie.

W wielkim pomieszczeniu roiło się od oficerów, administratorów z kontyngentu Berga i członków administracji miejskiej Port Murchison. Niewielu z tych ostatnich było Eskadrowcami, a większość zdawała się podchodzić entuzjastycznie do nowego porządku. Plansze z korka ustawiono wokół ścian, zakrywając freski, przypięto do nich mapy i listy. Jeszcze więcej rozłożone było na długim, lśniącym stole. Suzette zorganizowała gospodarstwo w rekordowym czasie, a służący admirała Auburna kręcili się wokoło z tacami, wydając roboczy lunch. Niektórzy z oficerów mieli tendencje do obgryzania pałeczek sauroida z miodem i czosnkiem, pochylając się nad ważnymi dokumentami...

–

Musimy czujnie patrolować – ciągnął Raj, zakreślając palcem okrąg wokół Port Murchison – ale nie małymi grupkami. Ludzie Auburna będą próbować pochwycić grupy furazowe. Gerrin, dopilnuj tego. A to mi przypomina – Muzza, jakie wieści w sprawie zapasów zboża?

– Obecnie nie więcej niż na dwa tygodnie, wliczając dodatkowe gęby do wyżywienia – powiedział Komarianin, odwracając wzrok od gromadki urzędników u szczytu stołu.

–

Dobrze. Wysuń ofertę na, hmmm, dziesięć procent ponad obecną cenę rynkową na czyste, wymłócone ziarno, fasolę, mięso, owoce, paszę z lucerny – płatne w twardej gotówce. Wróg będzie oczywiście próbował nam przeszkodzić, więc koordynujcie się z Gerrinem. Możemy wyznaczyć punkty zbiorcze i wykorzystać przejęte wozy.

–  
Messer.

–  
Grammeck?

Artylerzysta zamachał notatnikiem. – Messer Raj, mury są w strasznym stanie, kruszą się po zewnętrznej stronie, w niektórych miejscach aż do samego łupkowatego jądra. To chlew, wygląda na to, że niczego nie naprawiano od wieku. *Widziałeś*, jak wyglądała główna aleja – rury dostarczające wodę z akweduktu zostały zapchane lata temu, a te leworękie świny nigdy ich porządnie nie naprawiły. System kanalizacyjny. – Wzdrygnął się. – Nie pytaj.

– Zrób, co możesz. Zorganizuj wozy do usuwania nocą nieczystości, jeśli będziesz musiał. Martwię się arenami do walk byków – gdzie wsadzono pięćdziesiąt tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci Eskadry. Zaraza nie przejmowała się narodowością.

Spojrzał na *halcalde*, burmistrza, cywila imieniem Carlo Arrias. – Messer Arrias, czy masz kogoś, kto zna te systemy?

–  
Oczywiście, messer generale – odpowiedział mężczyzna, zacierając ręce i uśmiechając się. *Ktoś przynajmniej jest zadowolony*. – Eskadrowcy nigdy nie przyznawali funduszy. Według nich jeśli tylko w mieście otwarte były burdele i bary, to miasto funkcjonowało dobrze; *prawdziwi wojownicy żyją na wsi*. – Był w tym ślad goryczy. – Możemy zająć się koniecznymi naprawami. To ulga móc wreszcie coś *zrobić* na tym stanowisku.

–  
Grammeck, dopilnuj tego. Możesz wziąć do pracy jednostki będące na służbie i więźniów, kiedy już ich zorganizujemy. Maksymalny priorytet: obronność. – Wiedziony pierwszym odruchem pomyślał o bunkrach i umocnieniach ziemnych, ale przeciwko barbarzyńcom wystarczy porządny, wysoki, kamienny mur, jeśli będzie stał. – A potem drogi, tutaj i wokół miasta.

*Dzięki niech będą Duchowi, że nie musimy walczyć w porze deszczowej*, pomyślał, pociągając zupę z filiżanki. Nawet główne arterie w pobliżu miasta były w szokującym stanie.

–  
Zrobione, panie.

–  
A teraz w sprawie zakwaterowania – powiedział Raj. Arrias się skrzywił.

– Messer generale, czy nie można by więcej żołnierzy zakwaterować w posiadłościach Eskadry?

Raj się uśmiechnął. – Nie, dopóki nie zostaną odpowiednio zinwentaryzowane i ogołoczone – powiedział. – Mogę ich powstrzymać przed kradnięciem zbyt wiele od żyjących, oddychających współobywateli, ale nie od nieobecnych barbarzyńskich heretyków. A przy okazji, Jorg. Chcę, by trzy pełne bataliony piechoty nieprzerwanie patrolowały jako *guardia*. Pozwalam ci przejąć wszelkie organizacje policyjne, jakie miało to miasto...

Spojrzał na Arriasa. Mężczyzna rozłożył ręce. – Admirał nie lubił, żeby cywile mieli jakieś zbrojne organizacje – rzekł przeprasząco. – Mieliśmy ochotniczą straż, ale byli to głównie co biedniejsi członkowie Eskadry.

– Cóż, wypracujemy później coś bardziej stałego – ciągnął Raj. – Jorg, chcę ścisłej kontroli. Spadnij jak tona cementu na każdego, kto chociażby poskąpi karczmarzowi albo dziwce.

Menyez odciągnął trzech ze swoich majorów piechoty i wszyscy skupili się przy bocznym stole nad mapą ulic miasta.

– Kaltin – ciągnął Raj.

Gruder podniósł wzrok i uśmiechnął się. Był schludnie ubrany, świeżo ogolony, a w jednym uchu miał rubinowy kolczyk. Pogłoska mówiła, że ważna młoda wdowa już go zaprosiła, aby wykorzystał jej kamienicę jako swoją kwaterę główną.

–

Kaltin – ciągnął Raj – wciąż martwię się o Curtisa Auburna i te cholerne dziesięć tysięcy jego ludzi. Stąd do Wyspy Adlera jest tylko tydzień żeglugi, więc *kiedyś* wreszcie usłyszysz o tym, co się dzieje. Jeśli wyląduje na zewnątrz i przyłączy się do swego brata admirała, to świetnie i cudownie – ale *może* nas po prostu tutaj zaatakować. Przyjrzyj się obronie od strony zatoki – osobiście – i przejrzyj wszystkie dokumenty, jakie tylko uda ci się wykopać. Niech Grammeck da ci paru swoich ludzi. Chcę planu awaryjnego do symultanicznej obrony przed natarciem na mury i zewnętrzną zatokę.

Port Murchison miało dwie połączone laguny. Zewnętrzną zapełniły kupieckie doki, a mniejsza, okrągła, położona głębiej w stronę lądu, należała do wojska. Laguny były połączone kanałem, ale tylko zatoka kupiecka była bezpośrednio dostępna od strony morza.

–

A to mi przypomina – ciągnął. – Bezpieczeństwo. Nie chcemy, aby jakieś opowieści dotarły do krewkiego Curtisa.

– Ehem – powiedział Arrias. Raj uniósł brew. – Messer generale Whitehallu, mam tutaj – wyciągnął zwitek papieru – małą listę sporządzoną z pomocą wielebnego arcysysupa, hmmm, osób nie z Eskadry o wątpliwej reputacji. Rozumiesz, jako że barbarzyńcy rządzą tutaj tak długo... i mówiąc prawdę, są tacy, którzy nie spieszą się do zobaczenia naszego miasta z powrotem pod rządami Wschodniej Rezydencji.

*I mają po temu słuszne powody*, przyznał Raj. Admirałowie byli niedbałymi, nieefektywnymi, leniwymi, skorumpowanymi i od czasu do czasu uciskającymi władcami. Rząd Cywilny był niemalże równie skorumpowany, ale o wiele bardziej wyrafinowany i energiczny. Południowe Terytoria będą teraz lepiej zorganizowane i bardziej produktywne, ale to niekoniecznie lokalna klasa rządząca wyciągnie z tego korzyści. Raj wydał z siebie pytający dźwięk.

– Poczynając od mistrza cechu Ferteryo Saylazara – powiedział burmistrz. – To on odegrał ważną rolę w internowaniu zamieszkałych tu kupców Rządu Cywilnego, kiedy dotarły po raz pierwszy nowiny o inwaz... – o wyzwoleniu. I...

Podkute żelazem buty uderzyły, stając na baczność za drzwiami, a ręce grzmotnęły o żelazo, gdy

uniesiono karabiny, salutując.

—

Czcigodny messer starszy administrator Berg – odezwał się rażno głosem, gdy otworzyły się drzwi.

—

Ach, messer administrator Berg – ciągnął Raj. Mężczyzna wszedł przez drzwi i wręczył służącemu płaszcz dojazdy, przyjmując szklanekę lemoniady i otrzepując się z pyłu.

Raj uniósł brew. – Nie przybyłeś z flotą? – spytał. Rozkazy by sprowadzić flotę i wejść dzisiaj do zatoki, przesłano admirałowi Gharderiniemu zaraz po bitwie, podczas gdy flota współdziałała na północy z armią. Nie kontaktowano się, ale zgodnie z ostatnimi meldunkami – jego oczy przemknęły po mapie – flota odpoczywała w zatoczce jakieś trzy kilometry na południe.

—

Nie – rzekł zakłopotany Berg. – Admirał Gharderini odpłynął natychmiast po otrzymaniu nowin o zwycięstwie, zaraz po tym jak przybył major Dalhouse ze swoim oddziałem. Ale ja najpierw musiałem uporządkować pewne sprawy...

– Poczekaj no chwilę – cisza, proszą! – Gwar rozmów ucichł. – Kiedy Gharderini odpłynął?

*Z kim?*

—

Wczoraj. Przybył twój kurier, a potem major Dalhouse wraz z jakimiś stoma ludźmi.

Zaokrętowali się i zaraz potem odpłynęli, cóż, jakoś tak koło północy... A co?

Raj uniósł rękę, aby go powstrzymać i zwrócił się do *halcalde*. – Messer Arrias?

—

Ach – więc te cztery okręty wojenne nie miały znajdować się w dokach? – spytał nerwowo burmistrz. Rozejrzał się, dotykając palcem krawata. Pytanie – Jak mogę nie dać się wciągnąć do wojskowej polityki, o której nic nie wiem? – było wystarczająco wyraźnie wypisane na jego twarzy. – Od zeszłej nocy załadowywały zapasy.

—

Zapasy? – spytał bezbarwnym tonem Raj.

—

Z magazynów admirała. Liczne eksportowe dobra były własnością admirała... – Jego głos się urwał. Raj obrócił się na pięcie jak zamykająca się komora zamka.

– Kto ma sektor zatoki? – warknął.

—

17 Kirasjerów – powiedział Jorg Menyez. Wszyscy nagle zdali sobie sprawę z nieobecności kapitana Hermano Suharto.

—

Majorze Gruder – powiedział Raj. – Weź 7 z Descott i dopadnij ich tam. Zobacz, co się kurna dzieje. Dopilnuj, by wszelki personel marynarki powrócił na swoje statki. A jeśli znajdziesz Dalhouse'a, aresztuj go i sprowadź natychmiast tutaj.

—



Panie! – powiedział Gruder. Nagle starannie wyczyszczona tunika wyglądała jak błyszcząca skóra polującego carnosauroida. – A jeśli będzie stawiał opór?

– Zabij go.

\* \* \*

Kapitan Hermano Suharto potrzebował dwóch żołnierzy z każdej strony, by go podtrzymywali. Z bandaży na jego twarzy i boku wciąż sączyła się czerwień. Próbował zaszutować, gdy Raj wstał.

– Przynieście temu człowiekowi krzesło, na Ducha – rzucił. – Kaltin?

– Ano Gharderini – powiedział poznaczony bliznami młody Descotczyk. – I Dalhouse razem ze swoimi rzezimieszkami oraz Hingenio Buthelezi i jakieś pół tuzina innych – głównie oficerowie z Siedemnastego i Pierwszego z Gaur. Ten wybierający się na morze sprzedawczyk i jego czarne kurty – piechota morska – mieli ładunek wartości dobrego pół miliona, kiedy tam dotarliśmy. Kapitan Suharto miał tam trochę swoich własnych ludzi. Kłócił się z Dalhouse'em, a potem ten *hijdaput* natarł na Suharto i ciał go. Doszłoby wtedy do wymiany ognia, gdybyśmy nie nadjechali. Okręty wojenne strzelały ślepakami ponad naszymi głowami, podczas gdy te łajdaki weszły z powrotem na pokład, a potem puściły parę. Ostatnio jak ich widzieliśmy, zmierzali prosto w morze.

Raj opadł na krzesło, ręce zacisnęły się zbielałe na poręczach.

»Obserwuj.« powiedziało Centrum.

\* \* \*

–  
Dalhouse skłonił się przed Krzesłem. Była to prywatna audiencja w pałacu, w pokojach Negrin. Gubernator, pani Anna i Tzetzas siedzieli, Dalhouse, Buthelezi i Gharderini stali jak po proście. Chłodne światło wieczora wpadało przez wysokie okna, podkreślając starożytne freski wodnego ptactwa i trzciny.

–  
Suwerenie, potężny panie – rzekł Dalhouse, podnosząc się z klęczek. – Z ciężkim sercem przynoszę Waszej Wysokości nowiny o zdradzie twego sługi.

–  
Wyjaśnij – rzucił sucho Barholm. Pani Anna zmarszczyła brwi, a kanclerz złożył w piramidkę swoje smukłe palce i uniósł brew.

–  
Arogancja Whitehalla jest nie do wiary, Wasza Wysokość! – twarz Dalhouse'a wykrzywiła się gniewem. – Obdarza stanowiskami znanych zdrajców, takich jak Poplanich i nisko urodzone śmiecie, wieśniaków i piechurów, aby dowodzili lojalnymi ludźmi dobrego urodzenia. Dlaczego? Oczywiście dlatego, że wszystko mu zawdzięczają! Zamiast wysłać łup twoim urzędnikom skarbowym, jak ma wyraźny obowiązek – jak uczyniliśmy to my, ludzie lojalni... Tzetzas pochylił się do przodu i wręczył gubernatorowi zwitek papieru. Tym razem brwi Barholma uniosły się na tę liczbę.

–  
...wydaje to na podarki, by kupić lojalność swoich żołnierzy. Boję się, bardzo się boję, Wasza Wysokość, że Whitehall planuje uczynić się niezależnym władcą Południowych

Terytoriów, posługując się Korpusem Ekspedycyjnym i lordami Eskadry, których przekabacił przy pomocy łapówek i obdarzania łaską ich heretyckiego kultu. Już zakazał plądrowania świątyń ohydneho kultu Ziemi, podczas gdy ociekają one kradzionymi przez wiek bogactwami z kościołów Ducha Gwiazd.

Barholm skinął głową. – Możecie odejść – powiedział i trzech oficerowie się oddalili. – I co?

–

spytał.

–

Generał Whitehall jest bardzo zdolnym człowiekiem – wymruczał Tzetzas, przekładając stos papierów. – Nawet meldunek Ghardeniego potwierdza miażdżące zwycięstwo nad armią Eskadry. Bardzo zdolnym... – Rozłożył ręce. Niebezpieczeństwa związane z niesłuchaniem zdolnymi dowódcami nigdy nie schodziły z myśli gubernatora.

–

Cóż, z pewnością nie możemy panikować wobec raportu małego, złośliwego judasza, takiego jak Dalhouse – powiedziała pani Anna.

Spojrzała gniewnie na Tzetasa. Nienawiść pomiędzy nimi była stara i gorzka, sięgająca aż do jej dzieciństwa, gdy była tancerką w burdelu. Tzetzas był wówczas jej klientem. W czasach zanim spotkała i oczarowała wschodzącą gwiazdę, Barholma Cleretta. Większość mężczyzn wzdrygnęłaby się pod tym spojrzeniem, kanclerz jednak tylko uśmiechnął się przez zaciśnięte usta i pochylił głowę z szacunkiem, gdy kontynuowała.

–

Albo Raj Whitehall jest lojalny, albo nie jest. Pani Whitehall z pewnością jest, i udowodniła to. Nie możemy nic zrobić, dopóki nie otrzymamy bezstronnych raportów.

– Ta sprawa wymaga większego przemyślenia – rzekł Barholm, przygryzając wargę. – Zrobimy...

\* \* \*

– I mała strata – rzekł Raj, otrząsając się z wizji. – Majorze Gruder, apróbuję twoje postępowanie. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy teraz, jest walka między nami. W świetle mało prawdopodobnej ewentualności, że zobaczymy znowu te świnię...Kapitanie Foley – przyjaciel Gerrina był najbardziej wykształcony z nich – spis formalny akt oskarżenia o bunt, złodziejstwo i próbę zabójstwa nas wszystkich. Prześlemy to do kwatery głównej.

– A teraz – ciągnął – z powrotem do roboty.

# Rozdział piętnasty

— Nie, nie idę na przyjęcie do tego łajdaka gryzpiórka – stwierdził Kaltin Gruder, podnosząc się na łokciu. Służący sprzątnęli resztki piknikowego lunchu, wszystko poza kamiennymi dzbanami lemoniady i wina w trzech czwartych rozrzedzonego wodą. Gruder popijał ponuro ze swojego pucharu. – Widzisz, Raj także nie idzie.

— Naprawdę nie rozumiem, co masz przeciwko Bergowi – powiedział Gerrin Staenbridge, opierając się o pień dębu i podkładając ręce pod głowę.

Był to przyjemnie ciepły dzień, z bryzą od morza. Park, który wybrali, był najwyżej położonym terenem wewnątrz murów, kiedyś służył przyjemnościom wielmoży, obecnie był miejscem biwaku kwatery głównej Piątego. Po dwóch tygodniach w Port Murchison dobrze się zadomowili, na tyle, że oficerowie mogli poświęcić godzinę albo i dwie na lunch. Powietrze pachniało morzem i ciepłą trawą, a on czuł się przyjemnie senny, rozbawiony gorzką pasją w głosie drugiego mężczyzny.

Reszta piknikowej grupy znajdowała się dalej, w dole wzgórza. Raj Whitehall biegał na czworakach z gulgoczącym z zachwytu małym Bartonem Staenbridge'em na plecach, a Hadolfo Zahpata przykucnął przed nim i bulgotał, doskonale udając arborosauroida. Barton Foley i Ewardo Poplanich leżeli na dywanikach rozrzuconych pod *jacarandą*, śpiewając w takt *gittary* Suzette, podczas gdy Muzzaaf wybijał rytm łyżką o kolano. Pehdro Belagez i Hermano Suharto dawali w wolnym tempie popis szermierki na drewniane szable przed szalenie rozentuzjasmowaną publicznością złożoną z Fatimy i jej nowych przyjaciółek: Joni, Mitchi i Karli. Trzy dziewczyny z wyspy Stern okazały się siostrami i wszystkie uznały Fatimę za swoją mentorkę.

— Berg powinien trzymać łapy z dala od żon innych mężczyzn – wypluł z siebie Kaltin.

Gerrin porzucił abstrakcyjną przyjemność przyglądania się czterem podskakującym, piszczącym i klaszczącym młodym kobietom – przypominało mu to kołyszące się kwiaty, zwłaszcza biorąc pod uwagę różne kolory ich włosów – i zwrócił szeroko rozwarte oczy ku młodszemu oficerowi kawalerii.

— Proszę – powiedział zduszonym głosem. – Powiedzcie mi, że nie słyszałem właśnie jak kogut Wschodniej Rezydencji, ogier hrabstwa Descott, mężczyzna, który w zeszłym roku stoczył trzy pojedynki o zamężne kobiety, powiedział... – jego pokasływanie przeszło w nie dający się powstrzymać napad śmiechu.

Kaltin walczył ze sobą, ale uśmiechnął się kwaśno, wzruszając ramionami. – Cóż, to inna sprawa – powiedział, odwracając spojrzenie ku szermierzom. Rudowłosa Karli przesłała mu całusa. Uśmiechnął się na moment, a potem ciągnął dalej, marszcząc brwi – Trzeba myśleć o honorze Raja.

Gerrin potrząsnął głową, wyciągając chusteczkę z rękawa kurtki munduru leżącej obok niego i ocierając załzawione oczy.

— Wy typy *mehmacho* – powiedział – nie docenicie kobiet.

Tym razem to Kaltin wpatrywał się okrągłymi oczami. – Poza tą częścią pomiędzy pępkiem a kolanami – dodał Staenbridge. – I dobrze, żebyś pamiętał, że zeznanie Berga może być tym, co ocali

nas przed usmażeniem przy Słupie, kiedy wrócimy. – Westchnął. – Nie wspominając o wsadzeniu Dalhouse’a tam, gdzie jego miejsce.

– Koniec pliku – powiedział Gerrin, a jego ręka gładziła rękojeść szabli. – Choć wolałbym, by dostał to, co ten zdrajca Saylazar.

Staenbridge się skrzywił. Dowody były całkowicie przekonujące, ale i tak był zaskoczony, że Raj rozkazał wbicie kupca na pal. Obejrzał się do tyłu. Generał udawał byka z rękami Bartona Staenbridge’a wplątanymi we włosy i piętami uderzającymi go po żebrach. W jego czarnych, gęstych kędziorach było kilka srebrzystych nitek... a Ferteryo Saylazar wciąż żył tego ranka na stopniach pałacu, wbity na zaostzony pal wsadzony przez odbyt. Silny człowiek mógł przeżyć trzy, może cztery dni na krótkim palu.

– Wolałbym raczej strzelić Dalhouse’owi w plecy i skończyć z tym – powiedział Gerrin. – A rozmawiając o ukradkowych zabójcach, czy słyszałeś o tym, czego dowiedział się M’lewis?

– Ah–ha. – Kaltin otrząsnął się z drobniejszych spraw. – Admirala?

– Być może. W takim razie...

– Wkracza batalion – rzucił radośnie Gruder. – Witaj wielki przywódco!

Raj wstał, trzymając wijącego się dzieciaka pod pachą, podczas gdy drugą ręką otrzepywał się. Fatima zabrała syna spośród gruchającego tłumu trzech opiekunów. Szermierze także nadeszli, obejmując się ramionami. Belagez bardzo przedtem lubił Mekkle’a Thiddo i każdy, kto próbował aresztować człowieka, który zdradził tamtego, był jego bratem krwi, nawet jeśli przewodził teraz 17 Kirasjerów.

– Kto pierwszy wytarga za brodę admirala? – spytał Gruder.

– Cóż – zaczął Raj i zamarł. Pozostali odwrócili się na ten wyraz twarzy i zobaczyli, jak heliograf na najwyższej wieży pałacu wicegubernatora pobłyskuje jasnymi od słońca klapami.

– Proszę potwierdzić – odczytał Gerrin. Jak jeden mąż wszyscy obrócili się, by przyjrzeć się wschodniemu horyzontowi. Wzgórze było prawie tak wysokie jak wieża i wszyscy widzieli odpowiedź z okrętu wojennego ustawionego na krańcach widoczności.

*Liczne – żagle – stop – ocena +40 – stop – zbliżają się – północny–wschód – stop – Eskadra – galery – i – transportowce – stop – przybycie minimum dwie godziny maksimum cztery. Koniec.*

W parę sekund później kobiety i dzieci znalazły się same na wzgórzu, popatrując za żołnierzami. Barton Staenbridge zaczął płakać.

– Kurwa mać, *kurwa* mać! – powiedział Raj, wpatrując się w ulicę przy dokach.

Port Murchison wznosił się na nisko położonym, falującym terenie zaczynającym się nad wodą,

którą otaczał z trzech stron. Jak większość miast pierwotnie wytyczonych przez Rząd Cywilny, został zbudowany częściowo na planie siatki. Większość nabrzeża była odcięta trzy lub czteropiętrowymi magazynami, w niektórych częściach były płataniny uliczek, ale główne ulice biegły mniej więcej prosto od wody.

A na jednej z nich widać było barykadę z wozów. – Goniec! – zawołał Raj. – Wiadomość do tego, kto tam dowodzi. *Wprowadź te wozy w boczną uliczkę i trzymaj je, aż dostaniesz rozkaz.*

– Ty – ciągnął dalej, dźgając palcem w szefa zatoki, gdy goniec wbił pięty w swojego psa. – Holowniki gotowe?

– *Say, messenger* – odparł tamten w nerwowym spanjolskim: Tak, dostojny panie.

Były to beczkowate, małe jednostki z dziesięcioma dwuosobowymi wiosłami z każdej strony i podniesionymi trapami. Maleńka *lazaretto* stała pod kołem sterowym. Dwie podobne holowały ostami parowy taran Rządu Cywilnego do wewnętrznej, wojskowej zatoki. Bosmani tańczyli, schodząc w dół po trapie i wymachując końcami sznurów, a wiosła pluskały w pośpiechu. Nisko płożący się dym ukazał się ponad kamiennymi fortami, gdy pozostałe sześć okrętów wojennych wypuszczało tam parę. Nic się na to nie da poradzić... Raj zwrócił się do kapitana Piątego stojącego z boku.

– Ludzie zostali dobrze poinstruowani? – spytał.

Tejan M'brust pogładził swoje długie, czarne włosy. – Tak, panie – rzekł radośnie. – Żadnego hałasu, chyba że barbarzyńcy się połapią. A potem ciskają granat do otworu wiosłarskiego i zmykają do wody.

Ryzykowne zadanie... ale był to najlepszy sposób, by wiosłarze zachowali się uczciwie, a *im* także przekazano rozkazy. M'brust sam wsiądzie na jedną z nich.

–

Zabieraj się za to, synu – powiedział Raj.

\* \* \*

–

Ruszać się, ruszać, *ruszać* – wykrzykiwał Menyez.

Bęben zagrał długim, toczącym się werblem: *do broni, do broni*. Ludzie wylali się z domów na wąską ulicę. Niektórzy podskakiwali, wbijając stopy w buty, inni zapinali tuniki rozpięte po *sjeście*. Podkute ćwiekami buty zadźwięczały, gdy ustawili się plutonami, a potem pomknęli z karabinami trzymanymi równoległe do ziemi. Na skrzyżowaniu, kierujący ruchem w opaskach *guardii*, chwyтали zamykających szereg i popychali ich w kierunku, w jakim powinni się udać, a potem zatrzymali wszystkich chórem gwizdków, gdy przejeżdżała bateria dział, a żelazne obręcze dudniły na bruku.

–

Patrzcie – ciągnął Menyez, zwracając się do zebranej grupy dowódców. Nie z jego 17 Piechoty – im nie była potrzebna zagrzewająca mowa, choć przebywał z nimi, kiedy to się zaczęło – to był 10 z Melagi, zwykła jednostka liniowa.

–

Pokazaliście tym psiarzom, co umiecie, w „Rzeźni” – tak nazwano pierwszą walkę z

admirałem – a teraz zrobicie to znowu. To wszystko jest całkiem proste. Stoicie w rezerwie na

wyznaczonych pozycjach, żeby was nie widziano z zatoki. Żadnych hałasów, żadnego ruchu – im dłużej im zajmie zdanie sobie sprawy, że tu jesteśmy, tym lepiej. A potem, kiedy przyjdzie sygnał, przetoczcie to przez ulicę, połóżcie się za tym i strzelajcie. Gdyby, co jest mało prawdopodobnie, dostali się aż do waszych pozycji, potraktujcie ich bagnetem. Zrozumiano, panowie?

–

Panie, tak, panie!

\* \* \*

Oceniam na trzydzieści–zero–jeden metra – zaśpiewał strażnik z dachu w górze.

– Utrzymaj go na pozycji i bądź gotowy na wezwanie – powiedział dowódca baterii moździerzy, zanim odwrócił się z powrotem do Grammecka Dinnalsyna.

– Powinien być gotowy do natarcia za mniej niż dwadzieścia minut, panie – powiedział.

Moździerze były masywną bronią. Większość ciężaru stanowiła duża, okrągła podstawa z zespawanego kutego żelaza i lanej stali. Parę minut temu brzęknęły one o bruk i potem odciągnięto koła na wałach kolankowych. Teraz załogi wbijały w ziemię długie, żelazne śledzie przez otwory w podstawie i łopatami nagarniały ziemię z ogrodu na małym placu w szczelinę biegnącą wokół jego krawędzi. Lufa była grubą i szeroką tubą z lanej stali o średnicy stu milimetrów, osadzoną na przegubie z łożyska kulkowego znajdującym się w środku. Gdy Dinnalsyn się przyglądał, ludzie zakończyli przymocowywanie nad nim rozkładanego trójnoga do podnoszenia i przeciągnęli kabel przez uszko sztaby przy lufie. Rama celownicza czekała, aby założyć ją na lufę, pełna drążków i przekładni – Inni żołnierze wyładowywali skrzynie pocisków z wozu.

–

Dobra – powiedział Dinnalsyn. – Pamiętajcie, chcę, by te pociski zostały zrzucone prosto na pokłady na moje wezwanie.

–

Zrobi się, majorze – powiedział porucznik. – Cieszę się, że dowodzi ktoś, kto wie, że do działa nie podchodzi się z tej samej strony, co do psa – ciągnął dalej.

– Przekonasz się, że messer Raj jest w pełni tego świadom – odparł specjalista ds. artylerii.

–

Tak, on, oczywiście, panie! – Ton żołnierza mocno sugerował, iż messer używał statków tylko dlatego, że chodzenie po wodzie było męczące.

–

Pracujcie dalej. – Dinnalsyn wsiadł na wierzchowca i pognął swego psa galopem, aż znalazł się koło kapitana znajdującego się na czele sznura podwójnych baterii dział polowych.

–

Macie swoją pozycję? – spytał. Mężczyzna podniósł wzrok znad mapy, którą trzymał na kuli siodła, chroniąc ją przed wiatrem.

–

Sprawdziłem ją wczoraj, panie – odparł. – Droga przechodzi tutaj nad brzegiem i aż do zatoki nie ma linii strzału. Możemy się ustawić, a potem po prostu przepchniemy działa do

przodu i zgrabnie obejmiemy ujście zewnętrznej zatoki. I drogę do doków.

Forty przy zewnętrznym wejściu były do tego zadania bezużyteczne. Miały one utrzymywać statki z *dala* od portu, a i tak były ruiną.

–

Pojadę dopilnować, żebyście dostali to wsparcie kompanii piechoty – powiedział Dinnalsyn.

Łoskot okutych żelazem kół dział odbijał się echem od domów o zamkniętych okiennicach pośród skamlenia i dyszenia psich zaprzęgów. Nie widać było żadnych cywili. Wojna zawitała do Port Murchison w całym tego słowa znaczeniu... i większość z mieszkańców znajdowała się w środku, wyobrażając sobie żadne zemsty siły Eskadry wypuszczone na miasto, które zdradziło ich admirała.

\* \* \*

– Nie wytlukiwać okien, głupcy! – warknął Barton Foley. Żołnierz zamarł z wymierzoną kolbą karabinu. – Otwierajcie je.

– Tak, panie – powiedział żołnierz, czerwieniąc się.

*Jak dzieci*, pomyślał Foley. Po prostu uwielbiają psuć rzeczy. Wydawało się to być nieusuwalną cechą zawodowego żołnierza, jak piromania... *Ale to dobrzy ludzie. Zrównoważeni.* Żaden z nich nie okazywał zdenerwowania po tym, jak wyciągnięto ich z wygodnych kwater, by niespodziewanie stoczyli bitwę.

Rozkładało się tutaj tuzin ludzi z kompanii A, z 1 plutonu z 5 z Descott. Drużyna ogniowa z kompletem pudeł z 500 pociskami amunicji lokowała się z tyłu przy drzwiach. Jeszcze kilka chwil temu ten pokój był salonem jakiegoś kupca, zanim nie włamali się Descotczycy i nie wyrzucili protestującej rodziny, kierując ją ku centrum miasta, przeciwnie do potężnego ruchu wojska. Foley podszedł do wysokich, wąskich okien i wyjrzał przez balkon. Spadzista droga w dole zakręcała tutaj, dając czyste pole do strzału aż do głównego doku. Wokół drogi, na dachach, zasadzało się coraz więcej żołnierzy. Widać było tylko ich oczy. Oficer zobaczył też ruch w oknach. Na dole słychać było łomot stóp i dudnienie bębnow, gdy kolumny kompanii przemaszerowywały szybkim tempem.

–

Gdzie jest porucznik Ahlvayrez?

–

Na dachu, kap'tanie.

– Dobrze, ludzie – powiedział Foley. Przez chwilę dotkliwie zdawał sobie sprawę ze swojego młodego wieku. Wykonał zamaszty gest swoim hakiem. – Pamiętajcie, nie pozwólcie, by was zobaczyli – zupełnie jak na polowaniu na sauroidy. To jest zasadzka na szlaku zwierzyny... zapamiętajcie pozycje strzelnicze i teren, a potem cofnijcie się i czekajcie na znak kaprała. Zrozumiano?

Skinienia głowy i uśmiechy, nawet w tym nieznanym, miejskim terenie. Żaden z żołnierzy nie był urodzony w mieście, ani też żaden z nich nie walczył w zabudowanym obszarze. Było to na tyle rzadkością, że nawet podręczniki nie bardzo się tym zajmowały.

– Kontynuujcie.

Gerrin, lekko zziąjany po wędrówce po schodach, wszedł do pokoju. Mieli czas na szybki uścisk.

– Wszystko na miejscu? – spytał starszy mężczyzna.

–

Mniej więcej. Ustawią się za około piętnaście, dwadzieścia minut. – Obydwaj spojrzeli na swoje zegarki. Półtorej godziny od wiadomości z heliografu. – To o tych ciapowatych piechurów się martwię. Przeżucie nowego zadania zajmuje im tydzień.

–

Raj o tym pomyślał – powiedział Gerrin, biorąc głęboki oddech. Ścisnął ramię młodszego mężczyzny. – Jadę do stanowiska dowodzenia. Uważaj, mój kochany.

Foley wyszczerzył się w uśmiechu i zamachał hakiem znajdującym się tam, gdzie wcześniej była jego lewa ręka. – Zawsze.

\* \* \*

– Cholernie dziwny sposób na ruszanie do walki – powiedział Raj, osuwając się na leżaku i unosząc lornetkę.

Główne stanowisko dowodzenia zostało wyznaczone na patio na dachu z dobrym widokiem na zatokę i blanki murów. Miały one stanowić ozdobę, ale kamień był gruby i otwory dla strzelców były całkiem funkcjonalne. Na dachu ustawiono stół z mapami, obok czekał szereg gońców. Dalej stał przenośny heliograf, a operator trzymał ręce na dźwigniach. Żołnierze wydawali się być nie na miejscu wśród krzewów róż w donicach... W mieście zapanowała cisza, może nawet zbyt duża, i można by nabrać podejrzeń, ale niewiele mógł na to poradzić.

*Niewiele mogą poradzić na cokolwiek, pomyślał, przetykając zółć.*

»Czy sprawia ci przykrość to, że musisz wydawać rozkazy i zaufać innym, że je wypełnią?« skomentowało sucho Centrum.

Raj się zaśmiał, przyciągając zdziwione spojrzenia niektórych żołnierzy. *Tobie to łatwo, pomyślał.*

»Naprawdę?«

Raj zamrugał zaskoczony, a potem zwrócił się do Suzette. – Jak ma się nasz wspólny przyjaciel Berg? – spytał, unosząc znowu szkła.

Pierwszy transportowiec był przecholowywany pomiędzy końcami falochronu. Raj widział długie, błękitne fale, burzące się pianą na nierównej linii ząbwiącego się kamienia, który strzegł zatoki. Statek był potężnym trzymasztowcem o szerokim dziobie. Żeglarze stali swobodnie na nagich słupach masztów – z dala od awanturnicznych wojowników Eskadry tłoczących się przy balustradzie. *Przygotowują się do rzucenia się na sklepy, jeśli są ze wsi, albo do ruszenia do domu, do żonki i dzieci, jeśli nie są, pomyślał.*

–

Zdenerwowany – rzekła cicho Suzette. – W końcu on nie jest... wojownikiem.

–

Cóż, mam nadzieję, że nie zwieje na nabrzeże. Gdzieś tam jest admirał – powiedział Raj.



Jeszcze dwa statki wpływały do ujścia zatoki. Całe kilometry spokojnego oceanu były nimi usiane. Unosząc się i opadając na długich falach, z dziobami zwróconymi do wiatru i z postawionymi trójkątnymi żaglami, jednostki czekały na holowniki. Widać było czterdzieści albo i więcej żagli, a za nimi długie, węzowate kształty wojennych galer. Ich dzioby błyskały, gdy załogi zanurzały wiosła po to tylko, by utrzymać je przodem do fal i na pozycji. Był to imponujący widok, znajomy z wizji, jakie zsyłało mu Centrum. Z tego, co mu mówiono, z wiatrem dawało się ich wyczuć na kilometr albo i lepiej. Marynarka Eskadry posługiwała się przykutymi łańcuchami niewolnikami i skazańcami jako wiosłarzami, po dziesięciu ludzi na wiosło przy pojedynczej ławie wiosłarskiej. Baraki dla niewolników położone ponad wojskową zatoką dostarczały tysiące szalenie entuzjastycznych robotników–ochotników dla sił Rządu Cywilnego, mimo iż były one w trzech czwartych puste w związku ze schyłkiem morskiej potęgi Eskadry.

–  
Czujesz, jak drży ziemia? – spytał Raj.

–  
Co? – odparła Suzette.

Raj zaśmiał się chrapliwie. – To stary „Geysler” Ricks próbuje wykopać się z powrotem z bezgwiezdneho piekła i zadusić swoich potomków za niedołęstwo – powiedział.

Suzette siedziała obok niego i wzięła go za rękę. Ścisnął ją z wdzięcznością, czując, że opuszcza go trochę napięcia. – Co się stanie? – spytała cicho.

– Nie wiem – odparł szczerze. – Z tego, co mogę powiedzieć, to wszystko zabezpieczyłem... ale to nie jest jak normalna bitwa, w której można siedzieć na wzgórzu i *widzieć* wszystko. – Większość pól bitewnych znajdowała się mniej niż kilometr z boku, na otwartym terenie. – Nawet rezerwa jest zdecentralizowana – a ja muszę trzymać ludzi na murach, na wszelki wypadek. Powiedziałem ludziom na przedniej linii, by zdali się na własną inicjatywę.

Pierwszy transportowiec znajdował się już prawie w dokach, a z tuzin więcej wpływało powoli do środka, gdy załogi holowników pochylały się nad wiosłami. Najpierw ludzie, dalej psy, a potem okręty wojenne wpływające do wewnętrznej zatoki. Tradycja Eskadry. Dogodna dla niego...

– Duch wie, co się stanie, kiedy *to* zrobią.

\* \* \*

Dziedziczny komandor sektora Henrik Martyn zeskoczył z trapu i padł twarzą w dół, by ucałować brudny beton doków.

– Dom! – zawył pomiędzy pocałunkami. – Żarcie! Wóda! Cipki! Żadnych więcej sucharów, żadnych więcej włochatych twardzieli!

Mężczyźni znajdujący się z tyłu na statku zakrzyknęli radośnie i wylali się za nim, zarzucając broń na ramiona. Służący i niewolnicy podążą za nimi z bagażami.

– Cholerna stracona kampania – rzucił jeden z nich.

Martyn skinął głową, podnosząc się i otrzepując. Był wysokim, młodym człowiekiem, z brodą i barkami jak u niedźwiedzia. – Dobrze powiedziane, Willi – rzekł. – Płynąć na Wyspę Sadlera, siedzieć przed murami miejskimi, drapać się po tyłkach, wracać, bo ktoś zobaczył cywilniaka za

drzewkiem brzoskwiniowym.

–

Może za dużo brzoskwiniowej brandy – zaśmiał się jeden z jego przyjaciół. – Hej, przyjdziecie do mnie na obiad? Spróbujcie swoich kłamstewek na Marylou.

–

Pewno, i tak nie możecie ruszyć do domu aż do jutra, a potem skopiecie dupę jakiemuś wieśniakowi. Leniwe sukinsyny prawdopodobnie pozwoliły pszenicy zgnić na polach.

Poprawili przerzucone przez ramię karabiny skałkowe i oddalili się od doków, rozglądając się wokół w poszukiwaniu przyjaciół i rodziny, którzy powinni tu być, by ich powitać. Szeroki, wybrukowany teren wzdłuż przystani był wyludniony, poza jakimś tysiącem ludzi ze statków, które dopiero co weszły do doków – Nie było tragarzy tylko paru ludzi zajmujących się cumami, a ci wykonywali swoją robotę z pochylonymi głowami i zamkniętymi ustami. Żadnej krzątanimy wokół zakotwiczonych kupców, żadnych sznurów wozów i niewolników z magazynów. Nawet *pachniało* spokojem, jak w gorący, pełen pyłu dzień na wsi albo w jakimś małym *puheblo*, co było nietypowe dla Port Murchison. Trzeba było wziąć pod uwagę, że była to pora *sjesty*, ale i tak było to śmieszne.

–

Gdzie się, kurwa, wszyscy podziali? – spytał, gdy wraz z pół tuzinem innych wspinali się jedną z wybrukowanych dróg ku centralnemu placowi. – Czy dzisiaj jest walka byków albo gra w baseball? – Zaniepokojony poprawił sobie pas z mieczem.

–

Niee. Nic nie było wyznaczone. Jest Święty Tydzień, pamiętasz? Nie ma w pobliżu nawet tubylców. Duchu Ziemi. Nie sądzisz, że jest coś w tych plotkach z latryn o inwazji cywilniaków, co?

– Te łajdaki o zajętych sercach? Musisz żartować... – *witam, tak* już lepiej.

Wyglądało na to, że jedna z tawern w dokach była otwarta, sądząc po dźwięku pianina

dochodzącym przez zamykającą wejście kotarę ze szklanych paciorków. W drzwiach stała dziewczyna. Martyn skręcił w jej kierunku, aby się lepiej przyjrzeć. *No, no!* Pomyślał. Młoda dziewczyna o dużym biuście, z długimi, lśniąco blond włosami i pasującą do tego cerą. Dziewczyna wydeła ku niemu usteczka, gdy się zbliżał, unosząc szklanice z winem do wydatnych ust i wysunęła biodro. Sprawilo to, że jej rozcięta spódnica się rozchyliła, ukazując aż do biodra długą, gładką nogę. Gdy podszedł bliżej, odwróciła się i znikła w drzwiach z hałasem.

– Heeej, kochanie, zaczekaj na mnie! – zawołał. – Dalej, chłopaki, napitek przed obiadem!

– dodał, rzucając przez ramię.

Zanurkował pod kotarę z paciorków w drzwiach, mrugając w słabym świetle. A potem jego oczy skupiły się na dziewczynie.

Ta opierała pośladki o poręcz baru, unosząc spódnice obiema rękami. *Naturalna* blondynka. Martyn ryknął radośnie i sięgnął ku klamrze swojego pasa, postępując do przodu.

Nastała ciemność i podłoga popędziła mu na spotkanie.

\* \* \*

–  
Czy on nie żyje, Antin? – spytała zaniepokojona Joni, opuszczając spódnicę i spiesząc do przodu. Antin M’lewis zaśmiał się, chwytając w dłoń zamszowy woreczek ołowianych pocisków, a potem pochylił się, by ze znanstwem odciąć portfel od pasa wojownika Eskadry. Był on przyjemnie ciężki. Rzucił woreczek dziewczynie.

–  
Joni – powiedział, a potem przerwał na chwilę. Na zewnątrz zabrzmiał pojedynczy wystrzał, kilka mokrych uderzeń, gdy stalowe obicia kolb grzmotnęły o ciało oraz wyraźny odgłos, gdy bagnet wbijał się w brzuch. Zwiadowcy wwlekli spętane, martwe albo słabo drgające ciała przez drzwi.

–  
Nie był to pierwszy mężczyzna przywiedziony do ruiny przez swego fiuta – em, pięćdziesiąty pierwszy, Joni – ciągnął. – Postaw swoją śliczną dupkę z powrotem przy drzwiach. Zarabiaj, no dalej, na, to tam, wyzwolenie i posag, ściągaj muchy do lepu. Niech to, a może i na własny sklep.

Pokryta odciskami ręka klepnęła japo pupie. Ona wyduła niepewnie wargi i ponownie przyjęła swoją pozę u drzwi, gdy z drugiego piętra zabrzmiał cichy głos.

– Więcej nadchodzi!

–  
Grupa wierzchem, kap’kanie – powiedział mężczyzna z lusterkiem na patyku wystającym przez okno. – Około dwudziestu. Barbarzyńcy wyglądający na ważniaków, ani chybi. Ładne pieski.

–  
Czekać, wszyscy – powiedział Barton Foley. – Aż miną zakręt. – Swędziało go kikut. Zawsze tak się działo tuż przed. Swędziało, a on zobaczył rękę – to co zostało z ręki – zaraz po tym, jak coś ją pochwyciło, gdy on popędził swoich ludzi, by ruszali na Kolonistów, a jej *nie było...* Jeszcze raz sprawdził swoją broń – oberżniętą strzelbę o podwójnej lufie w olstrach na plecach – oraz pistolet i szablę – i *hak*. Pod pewnymi względami lepszy niż ręka.

Psie łapy zadudniły na ulicy na zewnątrz i nagle poczuł się dobrze. Dobrze, wyraziście i jasno myślał. To także zawsze się zdarzało. Było to prawie równie dobre jak czytanie starej poezji albo uprawnianie miłości, tylko że było to poczucie *większej* kontroli, a nie jej utraty...

– Teraz.

Odwrócił się i powstał, gdy ludzie klękali i wysunęli karabiny z okna na parterze, a więcej na górze i po drugiej stronie ulicy. Pistolet znalazł się w jego dłoni, gdy wyszedł w światło słońca. Rzeczywiście, dwudziestu Eskadrowców wierzchem. Jeden z proporcem pokrytym szwami i jasnymi skrawkami: kometa i planeta rodu admirała. Krzykliwe bogactwo na lśniących, pięknie zadbanych psach – a *to* wymagało sporo pracy na pokładzie statku. Klejnoty na ubraniach, pasach i broni. Mężczyźni ryknęli z zaskoczenia, chwytając za broń. Większość z nich była po trzydziestce, wyglądali na twardzieli nawet wedle standardów Eskadry.

Jeden uniósł karabin skałkowy. *Krak*, i czubek jego głowy roztrzaskał się od kuli. Podwójny szereg ludzi wyskoczył zza Foley’a i ustawił się z wymierzonymi bagnetami. Głowy Eskadrowców

odwróciły się, ich twarze zastygły w szoku. Kolejne karabiny celowały w nich z dachu i okna. Doświadczeni ludzie nie mogli też wątpić w drżącą intensywność ducha w oczach młodego, jednorękiego oficera z rewolwerem, wykonującym lekkie, popędzające ruchy. Psy zaszczekały zaniepokojone, wyczuwając lęk swoich panów. Dwa wysunęły nosy ku krwi i mózgowi wypływającym na zniszczone kamienie bruku, a zwierzę martwego mężczyzny zaskamlało nieszczęśliwe.

– Rzucić broń i zsiadać z siodła na trzy albo wszyscy jesteście martwi – krzyknął Foley. – Raz! Dwa! – Podniósł się hak.

Wielmoża Eskadry znajdujący się obok sztandaru zsiadł na ziemię i odpiął pas z mieczem. Pozostali podążyli za jego przykładem, poruszając się jak ludzie odurzeni albo świeżo obudzeni. Żołnierze w niebieskich kurtkach i okrągłych hełmach z kolczymi ochraniaczami na kark podskoczyli do przodu, by odprowadzić psy i odciągnąć trupa.

Wojownik Eskadry zamrugął z niedowierzaniem. – Duchu Ziemi! To są *cunnarte gisuh sharums* – wykrztusił w nameryjskim. Można było to przetłumaczyć na sponglijski jako *małe czarnuchy o kurzych sercach*.

Mężczyzna wrzasnął i upadł na kolana, gdy Descotczyk grzmotnął go w nerki kolbą karabinu. Foley ujął go pod brodę swoim hakiem, bardzo delikatnie.

– Czasy – powiedział do człowieka o rozwartych szeroko oczach – *się zmieniły*.

Starszy wojownik Eskadry otrząsnął się ze swojego niedowierzania, gdy żołnierze chwycili go za łokcie i zaczęli wiązać mu ręce na plecach.

– Ręce precz ode mnie, wy wieśniacze psy! – ryknął. – *Jestem Curtis Auburn!*

–

*Oh-ho!* – powiedział Foley. Auburn popatrzył na jego uśmiech i zamilkł. Po kilku sekundach zaczął się trząść.

\* \* \*

–

Schwytali *kogo?* – spytał z niedowierzaniem Raj. Goniec uśmiechnął się w odpowiedzi i zasalutował z trzaskiem. Generał potrząsnął głową. – Sprowadźcie go tutaj, jak się tylko da – natychmiast. I moje gratulacje dla kapitana Foleya. Ze wszech miar, gratulacje.

Wciąż potrząsał głową, gdy odwrócił się z powrotem ku zatoce. Stał blisko parapetu i skorzystał z teleskopu na trójnożu. Przystań zaczerniła się teraz od ludzi. Wszystkie transportowce zadokowały. Galery wojenne posuwały się z wolna ku wewnętrznej zatoce, a jakiś tuzin wciąż czekał na zewnątrz. Kolejne wystrzały rozbrzmiały nad miastem. Z pół tuzina tu i tam, a potem nie dający się z niczym pomylić grzmot salwy plutonu. Skupił się na dokach. Ludzie kręcili się w kółko, obracając głowy, by spojrzeć na miasto, wykrzykując pytania do siebie nawzajem. Zamachali bronią nad głowami. Sztandar powędrował w górę a róg wydał z siebie zatrważające warknięcie. Za nim ustawili się wojownicy, przeciskając się przez tłum ku głównej drodze z zatoki.

–

Nadszedł czas – powiedział, podnosząc wzrok na człowieka przy heliografie. – *Teraz*.

\* \* \*

—

Teraz! – powiedział dowódca baterii mózdzierzy, machając szablą w dół.

Dwóch mężczyzn wpuściło ciężki, cylindryczny pocisk do lufy mózdzierza. SZUUMP, jęzor ognia i gęsty dym wystrzeliły w powietrze. Bomba była prawie widoczna, zamazanym łukiem lecąc ponad dachem w dół ku zatoce.

– Przeleciało o siedemdziesiąt pięć – zakrzyknął obserwator leżący na dachówkach dachu.

– Do góry o trzy – rzucił oficer. Ludzie obracali główną przekładnią ślimakową pod wylotem lufy i gruba lufa powędrowała odrobinę wyżej. – Ognia!

SZUUMP.

Ulica zaczynała być zamglona od dymu unoszącego się powoli ku zachodowi. Załoga ładująca obnażyła się do pasa. Tylko ich amulety z Gwiazdą kołysały się na bezwłosych, brązowych klatkach piersiowych, gdy czekali z rękoma w gotowości nad następnym pociskiem.

—

Na cel, prosto w ich środek! – zakrzyknął rozradowany obserwator.

—

Ognia dla efektu – wszystkie lufy – pięć pocisków.

\* \* \*

—

Teraz! – warknął oficer piechoty.

Jego ludzie przyłożyli barki do boków wozów i pchnęli. Okute żelazem koła turkotały, gdy wytaczali pojazdy z uliczki i przez szerszą aleję. Za nimi zadudniły buty żołnierzy i popchnęli razem, żeby przewrócić czterokołowe farmerskie wozy. Dziesiątki silnych rąk ciągnęły razem, a piechurzy tłoczyli się za nimi, gdy ich sierżanci przeklinali i popychali, zaprowadzając porządek.

– Cel!

Bagnety zamigotały, gdy wymierzono długie karabiny, szereg głęboki na trzech. Czteryście jardów dalej na drodze czarna masa wojowników Eskadry powstrzymała swoje ostrożne zbliżanie się. Mieli tylko czas, by wydać z siebie wrzask wściekłości i rzucić się do przodu.

—

Plutonami – salwą pal!

\* \* \*

Teraz, chłopaki! – powiedział Gerrin Staenbridge.

Czteryście karabinów przemówiło z plującym trzaskiem. Zza barykady mebli i pudeł po drugiej stronie drogi i z dachów oraz okien. Czoło szarżującej kolumny zniknęło. Dwukółka, którą popychali przed sobą, roztrzaskała się w deszczu drzazg i przewróciła na bok. Odpadło od niej koło i potoczyło się do tyłu ku zatoce, przeganiając niektórych z uciekających mężczyzn, którzy biegli albo utykali lub też próbowali wlec rannych towarzyszy ze sobą.

– Ponie! – zawołał mężczyzna z tyłu pokoju.

Staenbridge odwrócił się w dobrym momencie, by usłyszeć strzał i zobaczyć, jak mężczyzna zatacza się do tyłu z twarzą zmiażdżoną pociskiem.

– Obrócić się! – zawołał rzeczowym tonem oficer, celując pistoletem w okno.

Z tyłu pokoju znajdował się rząd okien wychodzących na podwórzec domu. Wojownik Eskadry zasłonił jedno z nich przez chwilę, a potem rewolwer Staenbridge'a wypalił, a odrzut był takim zaskoczeniem jak zawsze, gdy się dobrze wycelowało. Ciało osunęło się i legło na parapecie okiennym. Ludzie odwrócili się od okien ulicznych i wystrzelili z biodra. Rykoszety były równie niebezpieczne jak ogień nieprzyjaciela. Jeden skubnął go w rękaw kurtki, gdy przeleciał obok z bzykiem osy. A potem wróg wlał się do środka. Staenbridge wystrzelił cztery razy, zanim upuścił pustą broń i dobył szabli. Wokół niego zabrzęczała stal, ostrze szabli uderzyło

o bagnet. Barbarzyńca natarł na niego z długą klingą uniesioną nad głową i właściwie wbiegł na wyciągnięty czubek broni Staenbridge'a.

– Fe – powiedział oficer, kopniakiem spychając mężczyznę z szabli. Potem zablokował kolejne cięcie, krzyżując nadgarstki. Wojownik Eskadry padł, gdy żołnierz wraził mu w plecy bagnet, z ostrzem wymierzonym starannie poziomo w stosunku do ziemi, by uniknąć zaklinowania się klingi o żebra. W pokoju zapadła cisza.

– Poruczniku – powiedział Gerrin wyraźnym, stanowczym głosem. – Weź swój pluton i sprawdź podwórzec i dachy, jeśli łaska.

\* \* \*

– Messer Raj! – odezwał się zaskoczony dowódca kompanii.

– Niech mnie diabli, jeśli przesiedzę całą bitwę na kanapie, kapitanie – powiedział Raj, zsiadając z siodła.

Rezerwowa kompania Piątego stała w gotowości przed podjazdem z kolumnami przed kościołem Gwiazdy, nie licząc plutonu, który już został odwołany. Ludzie byli cicho, wyteżając uwagę na strzały bliżej doków. Ozwały się jednak wiwaty, gdy porporzec Raja powędrował w górę. Dyszący goniec wypadł zza rogu i wbiegł po stopniach.

– Ponie – powiedział, stając przed Rajem. – Major Staenbridge donosi, że dywersanci próbują wykorzystać podwórza i zaułki, co by wyminąć jego blokujące siły. Myśli, że to jakiś wódz Eskadry wpadł sobie na ten świetny pomysł. Prosi o posiłki, co by ich zablokować, mamy dość do roboty tam, gdzie jesteśmy.

– Panie, to musi być – zaczął kapitan.

– Wiem, kapitanie Saynchez – powiedział Raj. Centrum malowało mu przed oczami mapę, a najbardziej efektywna trasa wyświetliła się czerwoną linią. – Ustawić się w szereg i za mną.

Pomruk podziwu, gdy tak zrobili, i szybki, trzyminutowy bieg do wylotu uliczki wychodzącej na zamknięte bramą wewnętrzne patio należące do czterech domów. Tam, gdzie patio zbiegało ku zatoce, oddzielał je od uliczki dla służby niski murek.

– Zajmijcie pozycje pod tym murkiem – powiedział. – Całkowita cisza.

Przykucnęli, a jedynym dźwiękiem było ich sapanie. Te boczne uliczki wypełnione były zapachem zatęchłych śmieci i jeszcze mniej przyjemnych rzeczy. Raj nic nie słyszał i niewiele widział, ale Centrum zaświeciło mu przed oczami czerwonym światłem. A potem po drugiej stronie muru zamruczały głosy, coraz więcej głosów, próbujące zachować ciszę. Buty wojowników Eskadry o wąskich obcasach zazgrzytały na kamiennych płytach, zadźwięczał miecz ocierający się o ścianę. Światło przed oczyma Raja zmieniło się na zielone. Oficer wysunął pięść, świadomy spoczywających na nim oczu i wystawił jeden palec. Dwa. Trzy.

– Cel! – wrzasnął kapitan, gdy ludzie się wyprostowali i wymierzili karabiny ponad murem.

Eskadrowcy skupieni byli niecałe dziesięć metrów dalej. Było ich przynajmniej dwustu w nieregularnym przestworze za murem i jeszcze więcej w pięciometrowej uliczce pomiędzy domami. Cała ich uwaga skupiona była na dachach i na zachodzie, tam, gdzie mieli nadzieję przeniknąć pomiędzy budynkami i ruszyć, by zaatakować blokadę drogową Piątego od tyłu. Większość z nich miała tylko tyle czasu, by rozejrzeć się, gdy zostały w nich wymierzone karabiny.

BAM. Przez sekundę dym skrył nieprzyjaciela, a potem ukazało się to, co się stało, gdy siedemdziesiąt pięć karabinów wystrzeliło w zamkniętej przestrzeni. Większość pocisków trafiło w dwa lub trzy cele, a te, które nie trafiły, odbijały się pomiędzy kamiennymi ścianami wzdłuż wąskiej uliczki.

BAM. Eskadrowcy wrzasnęli z całkowitego przerażenia, gdy karabiny przemówiły znowu. Kilku udało się wypalić w odpowiedzi. Młody kapitan znajdujący się obok Raja upadł, próbując słabo dosięgnąć rany na plecach. Jego nogi nie poruszyły się oprócz kilku drgawek, jak u żaby z przeciętym rdzeniem, gdy zniszczone nerwy kręgosłupa przesłały ostatnie impulsy.

BAM. Próba natarcia załamała się w krwawym chaosie. Raj wycelował starannie ze swojego rewolweru i obdarzył miłosierdziem mężczyznę czołgającego się ku działom Descotczyków z krwawą maską na twarzy.

– *Marcy, migot* – Zawołało najpierw kilka głosów – litości, przyjacielu. A potem więcej, o wiele więcej – *Marcy, varsh!* – Litości, bracie. Niektórzy znajdujący się na końcu uliczki próbowali z niej wybiec i przywitało ich więcej ognia z broni palnej. Teraz wszyscy Eskadrowcy rzucali broń, ci, którzy mogli, padali na kolana i prosili o miłosierdzie.

– Wstrzymać ogień! – krzyknął Raj. Poleciało jeszcze kilka pocisków i mężczyzna przed nim przewrócił się do tyłu, wciąż klęcząc, a jego długie, brązowe włosy wpadły w kałużę krwi z potężnej rany wylotowej na plecach. – Wstrzymać ogień, powiedziałem!

Karabiny zamilkły, a ludzie przeskoczyli przez mur, by spędzić oszołomionych mężczyzn, którzy przeżyli. Nagle Raj poczuł ukłucie bólu i przyłożył rękę do siedzenia swoich spodni; wróciła czerwona.

Ranny żeś, ponie! – powiedział jeden z żołnierzy, opierając karabin i wyciągając zza pasa pakiet błogosławionego proszku i wyjąłowanej gazy.

–  
To tylko zadrapanie – powiedział Raj. W jego tonie pobrzmiwał głuchy smutek, gdy przyglądał się, jak więźniowie Eskadry przechodzą chwiejnie obok z niedowierzaniem wypisanym na poplamionych krwią twarzach. I *tylko* w tyłek. *A te biedne lajdaki nie mogły znaleźć swoich własnych.*

\* \* \*

–  
Wstrzymać ogień – powiedział Dinnalsyn, podnosząc głowę znad teleskopu. – Dajcie znak moździerzom, by przerwały ogień.

Wszędzie wokół niego w małym parku ludzie osuwali się na ziemię. Powietrze drżało nad rozgrzаныmi do gorąca lufami dział polowych i mosiężnymi łuskami pocisków, którymi usiana była ziemia za nimi.

Statki płonęły i tonęły wszędzie w zewnętrznej zatoce. I wewnętrznej też, sądząc po dymie. Jeden palił się tuż przy przerwie w falochronach, osiadłszy na molo. Drobne figurki wypadały przez balustradę, brodząc po częściowo zanurzonych skałach. Kształty z pożądlivymi mackami śmigwały tuż pod falami, ruszając ku zapachowi krwi. Za nimi, na oceanie, ostatnie pół tuzina galer znajdowało się poza zasięgiem, nie mogący nic uczynić widzowie rzezi. Długi, czarny kształt wypłynął z wewnętrznej zatoki, burząc wodę, i skierował się ku zewnętrznej. Jego nisko zawieszony taran rozgarniał podwójne fale, a kominy dymiły. Jeszcze pięć płynęło za nim rzędem. Ich koła ubijały wodę w zatoce na pianę, poruszając się ze stanowczym poczuciem celu.

– Słodkie, litościwe awatary i wszyscy święci – wymruczał. Woda była naprawdę zabarwiona krwią – bardziej różowa niż czerwona, ale...

Zwrócił lornetkę ku najbliższej ulicy. Gdy się przyglądał, wystrzeliły trzy działa polowe, a pęd Eskadrowców się rozmył, kiedy kartacze wypełniły ulicę i odbiły się od murów. Dziwnym trafem mężczyzna, który im przewodził, przez chwilę jeszcze stał. Wcześniej upuścił sztandar, bo zdjęło mu oba ramiona z barków i stał tak, wrzeszcząc pośród kawałków swoich ludzi. Kawaleria, która zsiadła z koni pod działami, posłała mu salwę z litości. Dalej na ulicy ostatnie niedobitki Eskadry próbowały odpowiedzieć ogniem, leżąc za ciałami, ale za każdym razem, gdy któryś podniósł się na łokciu, żeby nabić swoją ładowaną przez lufę broń, strzelał strzelec wyborowy Descotczyków. Z dachów większych budynków grzmiała cięższa broń. Ogromne karabiny błyszcząły w rękach przysadzistych postaci w legginsach i opaskach lędźwiowych, które tańczyły szydząco pomiędzy strzałami.

–  
Już niedługo – wyszeptał Dinnalsyn.

\* \* \*

Podjąłeś słuszną decyzję, wzywając do poddania się – powiedział Raj.

Ja, ach, ja – wyjąkał Curtis Auburn.

Psy wyły, posuwając się pośród gorących łusek pocisków. Kanonierzy wrzucali je z powrotem



do okrągłych otworów ładowniczych kesonów, posługując się szczypcami. Za pozycjami dział pochyła powierzchnia drogi była czarna od prochu, a dalej usiana, prawie pokryta, zużytymi ładunkami karabinowymi. Jednak wzrok Auburna spoczywał dalej, na rzędach ciał. Psy zawyły głośniejsz, gdy jeźdźcy ścisnęli je mocniej kolanami i zmusili do wejścia na mokrą i śliską powierzchnię. Więźniowie byli zajęci, pracując pod strażą. Wrzucali ciała i części ciał na ręczne wózki. W dół, ku zatoce odtaczano ładunek za ładunkiem.

Mniej więcej środkiem biegła oczyszczona ścieżka, ale była czerwono-brązowa od lepkich kałuż i śmieci. Wokół roilo się więcej much, niż Raj kiedykolwiek widział w jednym miejscu, sprawiając, że wierzchowce rzucały łbami. Słońce późnego popołudnia było gorące i wyziewy już unosiły się z ulicy.

– Słyszałem to powiedzenie – wymruczał do siebie Raj, gdy posuwali się powolnym spacerowym tempem. Wydawało się, że nie było końca dywanowi ciał, wózki nie mogły zmniejszyć ich liczby. – Ale po raz pierwszy naprawdę zobaczyłem, jak ulica spływa krwią.

Administrator Berg jechał za nimi z chustką przyciśniętą do twarzy. Teraz zsiadł chwiejnie z siodła i zszedł na bok drogi, pochylając się i wymiotując z oczami zamkniętymi mocno, żeby nie widzieć tego, co rozbryzgiwał swoimi wymiocinami. Raj zwrócił palce stóp do wewnątrz, by dotknąć żeber Horace'a. Pies się zatrzymał i zaczął siadać, a potem wyprostował się szarpnięty za uzdę. Raj rozejrzał się, czując, jakby pomiędzy nim a światem znajdowała się cienka szyba. *Tylko dwie godziny*, pomyślał. *Tylko dwie godziny*. Krew rozbryznęła się i przylgnęła wysoko na ścianach pomalowanych na biało budynków; krew i kawałki ciała.

– Będziemy musieli zalać ulice i wyszorować wszystko – powiedział.

Wjeżdżali w bardziej otwarte przestrzenie wokół magazynów. Ciała były tu porzucane rzadziej, choć krew z wyżej położonych miejsc spłynęła i zakrzepła wokół trupów. Wiele z nich było pokłutych w plecy bagnetami lub szablami. Inne wyglądały na okaleczone przez piętnastomilimetrowe pociski Skinnerów. W samych dokach tysiące siedziało w kucki z rękami nad głowami, albo pomagało gasić ogień tłący się na wrakach statków. Morska bryza niosła świeży zapach – pod powierzchnią zatoki błyskały lśniące kształty. Miały szerokie, gładkie garby, gdy niemal wynurzały się na powierzchnię, ogon, dziób albo wijące się ramię, wystające, gdy nurkowały. Strzały nauczyły je, by trzymać się z dala od doku – widać było inteligencję w ukazujących się od czasu do czasu ogromnych, nie mrugających oczach – ale w wodzie się zakotłowało, gdy wózek z trupami zbliżył się do krawędzi.

I mam nadzieję, że potrafisz przekonać swojego brata, żeby zrobił to samo – ciągnął Raj tym samym bezbarwnym głosem.

Curtis Auburn otrząsnął się. Przy trzeciej próbie jego głos zadziałał jako tako.

–

Ach, jestem pewien, że uznanie panowania Rządu Cywilnego – zaczął. Nagle Raj sięgnął ręką i pochwycił przywódcę Eskadry za splecione warkocze z boku głowy.

–

*Patrz*, Auburn! – krzyknął, a jego głos był szokującym rykiem. Z łatwością zmusił mężczyznę do obrócenia głowy, mimo oporu, jaki stawiała jego bycza szyja. Wózek ze spiętrzonymi wysoko ciałami przechylił się, kolejne czterdzieści trupów ześliznęło się w czekające, zębate

dzioby. – Spójrz na to!

Wielki kapitan Eskadry wyszarpnął swoją głowę i schował ją w ramionach. Raj czekał, zapalając papierosa i odwracając wzrok.

– Nie próbuj się ze mną targować, Auburn – ciągnął, kiedy mężczyzna się uspokoił. W jego własnym głosie zabrzmiała znowu metaliczna stanowczość. – Pobiłem Connera, pobiłem twoje go admirała Charlesa, a teraz pobiłem *ciebie*. Straciliśmy mniej niż batalion, a wybiliśmy połowę

mężczyzn zdolnych do walki w całym waszym narodzie. Raz to mógł być szczęśliwy traf, drugi to błąd – trzy razy to głos niebios, człowieku!

Raj zaproponował papierosa i ognia. Admirałowi trzęsły się ręce. *To nie strach, nie, zupełnie*, zdecydował. *Szok*. Cały świat Curtisa Auburna zniknął w ciągu popołudnia. Tego ranka był władcą istniejącego od wieku królestwa, prowadzącym do domu potężną armię. Trzy godziny później ta armia stała się żarciem dla wciągaczy – a on był pozbawionym praw więźniem.

– Co zamierzasz uczynić z moimi ludźmi? Czy będą twoimi więźniami? – spytał cicho.

– Cóż, zgodnie z prawami i zwyczajami wojennymi są moi i mogę nimi rozporządzać wedle własnej woli – rzekł posępnie Raj. Było to zupełną prawdą. Mógł ich zgładzić, zniewolić albo zażądać za nich okupu – i za ich rodziny – zgodnie ze swoją wola i poleceniami swego władcy. Auburn przypominał sobie właśnie, co jego przodkowie zrobili jeńcom z Rządu Cywilnego z ostatniej ekspedycji – oślepił i wykastrował. Raj pozwolił milczeniu trwać przez chwilę.

– Ale gubernator Barholm zadekretował tyle miłosierdzia, ile to możliwe – ciągnął. – Tylko ci, którzy odmówią poddania się, gdy zostaną wezwani do marszu na północ, zostaną zniewoleni.

– Kilka tysięcy i zyskowna lekcja. – I oczywiście każdy spośród jeńców, który odmówi złożenia przysięgi wierności. Z tych, którzy ją złożą, zostaną utworzone jednostki wojskowe pod komendą oficerów Rządu Cywilnego, które zostaną wysłane do Wschodniej Rezydencji na przeszkolenie i służbę na wschodniej granicy. Cała ich własność tutaj oczywiście przepadnie – tylko ci, którzy zgłosili się z własnej woli, zatrzymają swoje ziemie – ale będą mieli swoje rodziny, i za dobrą i lojalną służbę mogą spodziewać się awansu w hierarchii prawdziwego rządu Ziemi.

Raj pochylił się do przodu i spotkał się wzrokiem z Curtisem. – Jeśli twój brat podda się bezwarunkowo, to ty i on będziecie mogli zabrać ze sobą swoich domowników. Otrzymacie posiadłości koło Wschodniej Rezydencji – starannie pilnowane, oczywiście – a ludzie Charlesa otrzymają warunki przynajmniej równie dobre jak twoje. Jeśli nie podda się natychmiast, powiedz mu, że może uciekać, ale się nie ukryje. Poślą każdego żyjącego mężczyznę, kobietę i dziecko Eskadry do piekła albo na targ niewolników i *wyślę głowę Charlesa Auburna do gubernatora*. Na żywego Ducha Człowieka, przysięgam.

– Czy jesteś człowiekiem czy demonem? – spytał chrapliwie Curtis.

—  
*Jestem mieczem Ducha Człowieka* – powiedział Raj z przekonaniem. – A teraz wynocha, i powiedz swojemu admirałowi, co widziałeś. Opowiedz mu wszystko.

\* \* \*

—  
Cóż, wielkie zwycięstwo, tak – rzekł administrator Berg. Trzymał wzrok starannie odwrócony jadąc z powrotem do pałacu. Wydawało się, że próbował uniknąć patrzenia na mężczyznę obok albo też na świat dookoła. Raj podał mu czystą chustkę, a on przyjął ją z wdzięcznością. – Mieliśmy... wielkie szczęście, tak, Duch nam sprzyjał.

—  
Och, tak, ale to nie był szczęśliwy traf – rzekł spokojnie Raj. Berg podskoczył lekko na normalność jego tonu. – Wróg popełnił każdy błąd, jaki mógł... – Raj przerwał, by odpowiedzieć na salut oddziału maszerującego z powrotem do kwater. – A ja, mając takich ludzi i tak bym wygrał, nawet gdyby nieprzyjaciele nie skrewili.

## Rozdział szesnasty

– To on – powiedział Muzzaf, kłaniając się przed Krzesłem wicegubernatora. – Wszyscy najważniejsi lordowie są z nim, messer Raju, ale...

Raj siedział spokojnie z rękoma na buławie. Sala audiencyjna pałacu nie była aż tak zatłoczona, jak miało to miejsce przy przejściu władzy i pozostawało mnóstwo miejsca dla szlachty Eskadry – mającej wkrótce być eks-szlachtą – która zostanie doprowadzona, by wraz ze swoim przywódcą złożyć poddańczą przysięgę. Część pomieszczenia była zavalona zdobycznymi, bojowymi sztandarami Eskadry, i nawet mocny zapach z kadzielnicy kapłana nie mógł w całości ukryć zapachu krwi, którym przesiąknięte było wiele z nich. Admirał i jego orszak zostali przeprowadzeni obok masowych grobów... a żołnierze i ich broń obsadzający całą drogę od bram aż do Krzesła również stanowili lekcję.

Nie było sensu postępować subtelnie z barbarzyńcami, jeśli chciałeś, by cię dobrze zrozumiano. Raj czasami sądził, że odnosiło się to także do większości cywilizowanych ludzi.

– Tak? – wymruczał do Komarianina.

–

Ach... admirał, jakby tu powiedzieć, jest nie całkiem zdrow. Funkcjonuje, ale nie jest zdrow.

Raj skinął głową. Istniały pogłoski o dziedzicznym niezrównoważeniu w rodzinie Auburna – Duch wiedział, że ten człowiek doznał ostatnio wystarczająco wielkiego szoku. Towarzysze popatrzyli po sobie z pewnym niepokojem, a fala komentarzy przeszła pośród cywilnych dygnitarzy pod podwyższeniem wobec tej wymiany zdań, którą widzieli, ale której nie słyszeli.

–

Nie martwcie się, moi przyjaciele – powiedział cicho Raj, uśmiechając się. Minęły trzy dni od bitwy i wszyscy odetchnęli mocno z ulgą, że nie będzie następnej. – Charles Auburn może być szaleńcem przez resztę swojego życia, jeśli tylko zaśpiewa dzisiaj wyraźnie i donośnie. Jak idzie załadunek, Gerrin?

– Zgodnie z harmonogramem – powiedział starszy mężczyzna tym samym szeptem. – Powinno nam się udać przewieźć dziesięć tysięcy Eskadrowców do Wschodniej Rezydencji w pierwszej fali, bez zbytecznego tłoku. Z potrzebną im kadrą regularnych mogą rozpocząć szkolenie, jak tylko zostaną zaprzysiężeni, i kontynuować je, maszerując na wschód.

Dochodziły pogłoski, że Ali umocnił swoją pozycję i szukał zemsty za śmierć i klęskę swego ojca, Jamala. Zwycięstwo skupiłoby wokół niego jego *emirów*.

– Ali może napotkać niespodziankę – rzekł Raj, kiwając głową.

Hałas dobiegający zza wielkich, otwartych drzwi z brązu zmienił się we wzbierający ryk. Żołnierze stojący przy drzwiach w pozycji „spocznij” stanęli na baczność, a ruch ten poniósł się falą po milczących szeregach wzdłuż wyłożonego czerwonym dywanem korytarza ze zgrabną regularnością upadającego domina. W połowie korytarza znajdowała się struktura z powiązanych ze sobą włóczni, tworząca łuk mniej więcej na wysokości piersi. Charles Auburn zatrzymał się nieco, gdy to zobaczył i przystanął ponownie z grymasem nienawiści, gdy zobaczył Karla i Ludwiga Bellamych stojących na honorowych miejscach u stóp podwyższenia. A potem ruszył dalej wraz z

pokonanymi lordami. Wszyscy pochylili swe pokryte workami ramiona, przechodząc pod włóczniami.

A później Auburn uśmiechnął się, gdy pierwszy dotarł do schodów. Stopa Raja spoczywała na drzewcu ostatniego sztandaru Eskadry, starożytnej fladze admirała Ricksa, zabranej z wielkiej świątyni, którą po stu dwudziestu latach przywrócono Kościołowi Świętej Federacji. Spłowiwały złoty jedwab spływał niemalże do stóp ostatniego admirała, a on pochylił się, by go dotknąć.

—

Próżność! – zagdakał, podnosząc wzrok. Raj poczuł lekki chłód, było w tym coś nieludzkiego. – To wszystko próżność...pysniłem się flagami, a teraz ty się pysznisz. Próżność, próżność, wszystko to próżność!

Curtis Auburn dał swemu bratu ostrego szturchańca i jego oczy utraciły szklistość. Ten opadł niezgrabnie na kolana, tak jak i pozostali za nim. Charles dobył miecza i wyciągnął nie naładowany pistolet i położył je na podłodze. Oficerowie przynieśli je ku Krzesłu i złożyli u stóp Raja, a stojący z tyłu trębacz odegrał fanfarę. Wszyscy widzowie wiwatowali, gdy odprowadzano Auburnów i ich ludzi.

—

Messer generale – odezwał się głos przy uchu Raja. Ten rozejrzał się wokół i poczuł, jak przeszedł go zimny dreszcz, gdy zobaczył wyraz twarzy Bartona Foleya.

—

Tak.

—

Przybył kurier ze Wschodniej Rezydencji, panie. Z pałacu. To pułkownik Osterville.

Jeden ze strażników Barholma, tak jak i technicznie rzecz biorąc, był nim Raj. Człowiek do wszystkiego, specjalizujący się w dyskretnej robocie tam, gdzie potrzeba było silnej ręki.

– Panie, domaga się natychmiastowej audiencji... a jego ludzie mają ze sobą pieczęć.

\* \* \*

Głosy regimentu piechoty maszerującego ku dkom, by się zaokrętować, dobiegały wyraźnie przez okna. Był to jedyny dźwięk przerywający nerwowe milczenie, gdy Raj i jego oficerowie czekali w górnej sali audiencyjnej.

*Gdzieżeś ostatnimi czasy bywał*

*Peydro, Peydro?*

*Wraz z innymi na pikniku żem odpoczywał.*

*Peydro, mój Peydro, ach!*

*Z koszar wezwali nas*

*Z rezydencji, Duch sam wie dokąd ruszać czas.*

*I nie możesz odmówić, gdyś dostał rozkaz*

*A gubernator wyprawił bal!*

Osterville był w nieskazitelnym mundurze w bieli i złocie. Zatrzymał się na chwilę, zbliżając się

pod gniewnymi spojrzeniami Towarzyszy. Jednak jego twarzą, gładką, twarz niczego nie zdradzała. Na swój sposób Barholm Clerett umiał oceniać ludzi. Osterville podszedł żwawo do szczytu schodów, zsalutował i wyciągnął grubą, pergaminową kopertę ze złoto–purpurową pieczęcią.

– Panie – powiedział – przynoszę rozkaz gubernatora.

Raj wziął kopertę i obrócił ją w rękach. – Niech Duch obsypie go błogosławieństwami. Potwierdzam otrzymanie, pułkowniku. Czy masz ustną wiadomość?

Osterville rozejrzał się dokoła, patrząc na twarde spojrzenia.

– Nie mam tajemnic przed moimi oficerami... chyba że rozkazy są poufne.

–

Nie. – Strażnik odchrząknął. – Nakazuje ci się przekazać mi dowództwo i powrócić natychmiast do Wschodniej Rezydencji, aby odpowiedzieć za swoje czyny przed Krzesłem. Dalej przy stole ozwał się chór przekleństw. Kaltin Gruder skoczył na równe nogi i walnął pięścią o drzewo tekowe.

–

Czyny! Odpowiedzieć za swoje czyny, jak przestępca? On, kurwa, zniszczył Eskadrę w trakcie trzytygodniowej kampanii – po tym jak od wieku wszyscy ponosili żalną klęskę – a Rząd Cywilny jest bogatszy o prowincję, o dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy i milion złotych FedKredytów! *Takie* są jego cholerne czyny, ty pałacowa papugo, ty piesku pokojowy...

–

*Majorze Gruder!* – warknął Raj. Kaltin osunął się z powrotem na swoje siedzenie, ale jego lewa dłoń pozostała zaciśnięta na rękojeści szabli. – Jeśli nie możesz się powstrzymać, to możesz odejść!

Palce Raja przełamały pieczęć i oficer przytknął swój amulet do ust, a potem przeczytał cynobrowy atrament.

– Wiernie oddane, pułkowniku. Zapisana wersja jest nieco bardziej formalna, ale wierna.

Raj przymknął oczy, a jego palce bawiły się grubym papierem. Barholm był podejrzliwy aż do przesady, a od powrotu Dalhouse'a *minęło* sporo czasu. Generałowie w glorii powodzenia byli zawsze w niełasce. Powodzenie było nierozzerwalnie związane z sukcesem, a on odniósł sukces, jakiego już dawno nikt nie odniósł.

»Obserwuj.« powiedziało Centrum.

\* \* \*

–

A Raj raz jeszcze siedział na krześle wicegubernatora. Tym razem punkt widzenia znajdował się daleko z tyłu. Widział swoją własną twarz, sztywną, jakby wyrzeźbioną w kamieniu, gdy arcysysup opuszczał na niego regalia – świętą klawiaturę i słuchawki, jakie mógł nosić tylko gubernator. Poniżej widownia składająca się z żołnierzy Korpusu Ekspedycyjnego i szlachty Eskadry wiwatowała, szalejąc z uwielbienia. Wokół brzmiało *Zwyciężaj! Zwyciężaj!*, tradycyjne zawołanie przy osadzeniu na Krześle, a miasto płonęło. Sandorał, pomyślał. Wielki, wschodni bastion, jaki utrzymał przeciwko armiom Osadnika. Teraz płonęło jak stos pogrzebowy

niczym pulsująca, czerwona piramida odbijająca się szkarłatem na wodach wielkiej rzeki Drangosh. Z tyłu niezliczone mniejsze pożary znaczyły farmy i wioski rozciągające się na żyznych, zirygowanych ziemiach biegnących aż do podnóży Oxheadów. Żołnierze maszerowali drogą – mężczyźni w spiczastych hełmach i szkarłatnych jellabach kolonijnych regularnych. Nad nimi powiewały flagi, zielone z islamskim półksiężycem, paw Osadników, pieczęć Salomona Tewfika...

a niewiarygodnie postarzały Raj leżał w łóżku, które rozpoznał, w kwaterze admirała w tym właśnie pałacu. Każdy urywany oddech był męką. Ciało odpadło od silnych kości Descotczyka. Kapłani się modlili, a kilku starszych oficerów szlochało. Z zewnątrz dobiegały odgłosy broni palnej i brzęk stali, gdy ludzie walczyli o spuściznę po starym królu...

\* \* \*

*Lepiej byłoby dla Rządu Cywilnego, gdybym nigdy nie żył, jeśli uczynią siebie władcą tutaj, pomyślał. Oczywiście. Ci ludzie są najlepszymi żołnierzami, jakich mamy.*

»Dokładnie tak.« stwierdziło nieprzejednane Centrum. »Choć to zbytnie uproszczenie.«

Nic, co bym tu zbudował, nie przetrwa.

»97% plus minus 6 wskazuje na wojnę domową i dalsze właśnie po twojej śmierci.« powiedziało Centrum. »Proces odśrodkowy na Bellevue będzie trwał nieprzerwanie, aż zostanie osiągnięta maksymalna entropia. Do kolejnego wahnięcia dojdzie za co najmniej osiem tysięcy lat.«

Raj przypomniał sobie wizję krzeszących ogień kanibali kucających w ruinach Wschodniej Rezydencji i wzdrygnął się. Piosenka żołnierzy dochodząca przez okna stała się głośniejsza, gdy batalion przechodził pod pałacowymi oknami.

*Co żeś dostał do przeżycia*

*Peydro, Peydro?*

*Gęstą niczym inkaust, stęchlą wodę do wypicia,*

*Peydro, mój Peydro, ach!*

*Kęs trzymanej trzy lata wołowiny,*

*Kęs twardej jak deska baraniny,*

*Szablą sierżanta zabitej lokalnej zwierzyny*

*Kiedy gubernator wyprawił bal!*

Raj otworzył oczy i uśmiechnął się krzywo. – Próżność, próżność – wymruczał. A potem na głos – Będzie trzeba dopełnić kilku formalności, ale na razie – uniósł buławę swego stanowiska i wstał, podając ją Osterville'owi. Wśród pozostałych dał się słyszeć głośno wciągnięty oddech i westchnienie, gdy strażnik wziął ją w dłonie. – Jeśli wybaczysz mi i tym oficerom, pułkowniku – ciągnął miękko Raj – mamy do przygotowania parę spraw administracyjnych.

Osterville się rozejrzał. Zgodnie z dokładnymi poleceniami jedyne, co brygadier generał Raj Whitehall powinien teraz zrobić, to udać się do doków, ale były takie chwile, które wymagały

własnej inicjatywy.

– Ależ oczywiście, panie – rzekł. Paplanina urwała się w chwili, gdy zamknęły się drzwi. Raj spojrział na twarze obecnych,

spięte gniewem i troską, i uśmiechnął się łagodnie. Poczekał aż hałas ucichnie.

–

Dziękuję wam – rzekł szczerze. – Moi przyjaciele, jestem wam wdzięczny bardziej, niż można to wyrazić słowami. Zanim jednak któryś z was rzuci słowo, które może zostać uznane za zdradę – mówię nie. Nie ma powodu.

–

Ale Raj, on cię zabije – powiedział Barton Foley. Łza zadrżała mu w kąciuku oka. – Niech to Duch, to nie w porządku.

–

Cóż, możliwe, że tak się stanie – powiedział Raj, wyciągając papierosa z pudełka na stole. Przez sekundę wpatrywał się w swoje dłonie.

–

Co być może jest zrozumiałe. Generałowie już przedtem strzelając, dostawali się na Krzesło – włączając w to wuja Barholma, Yerniera Cleretta – co zawsze się fatalnie kończyło.

Ale niech to diabli – uśmiechnął się – w końcu nie jest to rozkaz aresztowania. Jak zauważył Kaltin, wykonałem wyznaczoną mi misję, i spokojny powrót, jak mi rozkazano, będzie najlepszym tego dowodem. Mam też oczywiście wasze zeznania.

Chór przytaknięć. Administrator Berg postawił z łupnięciem swoją szklankę z wodą.

– Na Ducha, i moje też! – wykrztusił. Oczy żołnierzy zwróciły się ku niemu. – W końcu to jest jedynie sprawiedliwe – powiedział. – Poza tym – dodał chytrze – kiedy gubernator zobaczy liczby, jakie mu przynoszę, to nawet kanclerz Tzetzas będzie musiał wyśpiewywać pochwały dla Raja. Dochody z trzech lat! Nie *licząc* wartości trzech czwartych ziem w terytoriach straconych teraz na rzecz skarbu.

W pokoju zapadła pełna namysłu cisza, a zza okna dobiegł werbel bębnow.

*Co było ci widelcem i nożem Peydro, Peydro? Nosimje ze sobą gdziekolwiek pójdziem Peydro, mój Peydro, ach! Kogoś pocięto w plasterki, kogoś rozpołowiono, Kogoś porąbano, kogoś pokrojono, Kogoś wypatroszono, kogoś zagłodzono Kiedy gubernator wyprawił bal!*

– A nawet, jeśli zdarzy się najgorsze, to nie ma usprawiedliwienia dla rebelii – powiedział Raj. – Mówcie, co chcecie o Barholmie Cleretcie, ale jest on silnym gubernatorem – najsilniejszym, jakiego mieliśmy od pokoleń. Panowie – pochylił się do przodu, nieświadomie próbując wbić im to do głów – ci barbarzyńcy, z którymi właśnie walczyliśmy, *oni* także zaczęli jako żołnierze Świętej Federacji. Zobaczcie, co po latach przyniosła *im* rebelia. Poza tym przysięgałem Barholmowi, a cały honor żołnierza na tym się opiera. W końcu on jest wiceregentem Ducha Człowieka Gwiazd na Ziemi.

Powstał i wyciągnął ramię, a Suzette je przyjęła. – Gerrin, mógłbyś wypisać rozkazy wymarszu dla Skinnerów? Obiecałem im, że zostaną odesłani do domu, a Osterville może nie uważać się za związanego słowem. – Krzywy uśmieszek. – Do zobaczenia na pokładzie statku, panowie.



– Oto odszedł – wyszeptał Gerrin Staenbridge, gdy zamknęły się za nimi drzwi – prawdziwy bohater. Biedny, nieszczęsny sukinsyn. – Towarzysze siedzieli w milczeniu, słuchając oddalających się kroków i cichnącej piosenki.

*Jaki był koniec przedstawienia całego Peydro, Peydro? Pytajcie messer Raja, ja nie wiem tego Peydro, mój Peydro, ach! Złamaliśmy króla i zbudowaliśmy drogę... A kościół Gwiazdy stoi tam, gdzie postawiliśmy nogę. Zatoka jest czysta tam, gdzie krew barwiła wodę Kiedy gubernator wyprawił bal!*

## Rozdział siedemnasty

– Raj – ciągnęła Suzette, podnosząc wzrok znad stołu – przynajmniej się nie spiesz z powrotem prosto do Wschodniej Rezydencji!

Jej delikatne rysy ze skośnymi oczami były ściągnięte zmartwieniem. Mosiężna latarnia rzucała ruchome cienie na kabinę kapitana transportowca, przeznaczoną dla generała i jego pani. Przez okna rufowe wciąż jeszcze wpadało światło zachodzącego słońca. Otaczało ich zwielokrotnione skrzypienie i jęk drewna oraz desek, dźwięk niemalże żywej istoty, jaki wydawał drewniany statek pod pełnymi żaglami. Potężny zapach soli wypełniał kabinę wraz z wonią rozgrzanego mosiądzu latarni i czystej wełny łózka. Raj odwrócił się od długich, białych grzywaczy pozostawianych przez statek i dactosauroidów o długich skrzydłach unoszących się nad nimi, gdy jego żona ciągnęła dalej – Kochanie, zatrzymaj się w Hayapalco. Możesz powiedzieć, że trzeba dać ludziom odpocząć, to długa podróż... a potem ja wrócę do Wschodniej Rezydencji i porozmawiam z panią Anną. Możesz być pewien, że *ona* nie słucha tej paplaniny Dalhouse'a, który już od lat kręcił się dokoła Tzetzasa.

*Negocjować.* Raj wiedział, co miała na myśli. Gdy pani Anna zaświadczy o jego lojalności i gdy będzie miał za sobą tysiące żołnierzy. Negocjować warunki z niewypowiedzianą groźbą powstania w tle.

»Obserwuj.« powiedziało Centrum.

\* \* \*

Barholm siedział na Krześle. Łukowe lampy płonęły na szatach ze złotych tkanin i pawich klejnotach Krzesła, gdy podnosiło się ono na bezgłośnym hydraulicznym cylindrze. Gubernator wpatrywał się beznamiętnie w klęczącą postać Raja Whitehalla. Tylko ktoś, kto dobrze go znał, mógł dostrzec zimny gniew w bezdusznych, czarnych oczach.

Nasz ukochany sługa generał Whitehall powrócił zwycięski – powiedział. – Niech wszelki honor...

\* \* \*

Tak, to mogłoby zadziałać – rzekł cicho Raj. – Tymczasowo. Może przez rok. Może nawet przez cztery albo i pięć, Barholm jest ostrożnym człowiekiem. A potem mnie zabije... albo to ja będę musiał zabić Barholma, aby go powstrzymać. – Przerwał na chwilę, a w jego tonie zabrzmiały ostrzejsze tony. – *Czyż nie?*

Suzette skinęła głową z niechęcią, nerwowo zapalając papierosa i wpychając go w kościaną fifkę z niepotrzebną siłą.

»Prawdopodobieństwo późniejszego pohańbienia/egzekucji 60% plus minus 25, biorąc pod uwagę scenariusz Hayapalco zarysowany przez panią Whitehall. Duży czynnik zróżnicowania zależny od zaistniałych zmiennych.« powiedziało Centrum.

Zatem nie polepszyłbym znacznie swoich szans. Jeśli muszę umrzeć, to chcę, by to miało sens – a układanie się z Barholmem pod groźbą broni uczyniłoby to bezsensownym.

–  
Popłynięcie prosto do Wschodniej Rezydencji i śmierć na Słupie ma jakiś sens? – spytała Suzette.

–  
Tak. – Wzrok Raja skupił się na czymś ponad belkami sufitu. – Dlaczego w ogóle znalazłem się w tym bagnie? Bo Barholm jest paranoicznym niewdzięcznikiem? – Wzruszył ramionami. – Jest politykiem, a to mniej więcej to samo. Gubernatorowie mają jednak powód, by obawiać się generałów odnoszących sukces, a to jest powód, dla którego nigdy nie udało się nam podbić barbarzyńców. Rząd Cywilny ma więcej niż trzeba siły, by zjednoczyć planetę. Nie ma tylko woli, dopóki ten, kto zajmuje Krzesło, bardziej obawia się swojej własnej armii niż cudzoziemców.

Suzette zamrugła, a oczy rozszerzyły jej się z niedowierzania. – Zamierzasz poświęcić swoje życie – nasze życie – by wspierać Barholma? Albo jakiegoś przyszłego gubernatora?

Raj się uśmiechnął, przebiegając dłońmi po swoich kędziorach. – Nie. By wspierać przyszłych władców i nauczyć przyszłych żołnierzy, że rebelia jest niehonorowa. Nie zamierzam przyczynić się do klimatu lęku, który trawi nas od środka. – Jego uśmieszek przeszedł w szeroki uśmiech. – I na bezgwiezdne ciemności, nie spodziewam się, by Barholm oddał mnie katu. To byłoby szalone, a on nie jest jeszcze tak szalony. Jeszcze nie.

»Prawdopodobieństwo ostatecznej paranoi klinicznej Barholma Cleretta jest niemal pewne, gdy obiekt osiągnie wiek 60 standardowych lat.« stwierdziło Centrum.

– By coś udowodnić? Rzykujesz wszystko tylko po to, by coś udowodnić!

– Musi być w tym jakiś sens – powiedział Raj, uderzając pięścią o otwartą dłoń. – W przeciwnym razie po co to wszystko? Ja – my – zabiliśmy tam *sześćdziesiąt* tysięcy ludzi, Suzette. – Otarł usta ręką. – Wciąż to widzę... To nie była bitwa, zginął tam cały naród. Po co? Żeby zdobył reputację? Albo żeby dać Tzetzasowi nową prowincję do złupienia – na chwilę, na kilka pokoleń, aż jakaś nowa grupa barbarzyńców znowu jej nie zajmie? Nie.

Potrząsnął głową, odwracając się z rękoma założonymi na plecach, by na nią spojrzeć. – Nie toczę wojen, bo jest to najbardziej efektywny sposób na piętrzenie trupów. Nie marnuję na to życia moich ludzi. To musi mieć jakiś sens albo równie dobrze mogę wyświadczyć światu przysługę i palnąć sobie w łeb. – I bardziej łagodnie – Nie rozumiesz?

Suzette straciła panowanie nad sobą i rzuciła się ku Rajowi. On ją przytulił, głaszcząc lśniące, czarne włosy, które czasami zahaczały o popękane odciski od szabli na jego dłoni.

– Na Ducha, boję się, Raj! – powiedziała. – On szaleje z zazdrości... tak się boję.

– Ja też się boję, kochanie – rzekł łagodnie. – Tak będzie najlepiej. Uwierz mi, tak będzie najlepiej.

\* \* \*

Był wieczór, chłodny i łagodny. Raj siedział samotnie na dziobie. Jego stopy zwisały nad siatką łączącą bukszpryt z pokładem, prawie w zasięgu pyłu wodnego, gdy statek zapadał w fale ze

wszystkimi żaglami postawionymi na lekkim wietrze. W dole woda była ciemnofioletowa, przechodząc niemalże w czerń i marszczyła się białą pianą na granicy wzroku. Sześćskrzydłe, latające stworzenia przemykały ławicami ponad falami, a potem nurkowały. Wschodziły gwiazdy, tworząc mroźny pomost na niebie, ciągnący się z północy na południe. Zarówno Miniluna jak i Maxiluna były w pełni na wschodnim horyzoncie, rzucając przed nim świetliste ścieżki srebra na drodze ku domowi.

– I obraz rozpalonego do czerwoności żelaza zbliżającego się żarem ku jego oczom zblakł.

»Prawdopodobieństwo oślepienia 22%« zakończyło Centrum »plus minus 4.«

Cóż, przynajmniej jest to mniej prawdopodobne niż natychmiastowa egzekucja. Wolałbym ją, pomyślał.

Przeciągając się, wstał i zaciągnął się ostatni raz papierosem, pozwalając bryzie zwichrzyć mu włosy jak smukłe palce kobiety. Z lewej dym z eskortującego okrętu wojennego miał rdzawe zabarwienie od ognia z pieca, widoczne tylko w godzinach ciemności. Raj wyrzucił niedopałek i stał się on małym meteorem lecącym ku wodzie, która uderzała o kadłub niczym tysiąc rąk.

I cokolwiek się stanie, nie ma to tak naprawdę znaczenia. Jestem posłuszny Duchowi, który stworzył wszystko. – Gestem objął noc i horyzont.

»Nie jestem bogiem.« powiedziało Centrum. Wydawać by się mogło, że w jego monotonnym, wewnętrznym głosie zabrzmiał zmartwiony ton. «Nie mogę gwarantować pożądanego skutku. Mogę tylko wskazywać działania, których rezultaty będą najbardziej prawdopodobnie korzystne dla ludzkiego społeczeństwa. Optymalizacja dla ciebie jako osoby byłaby całkowicie odmienną kalkulacją.«

– Jestem mieczem Ducha – wyszeptał Raj, wznosząc ramiona ku łukowi gwiazd. Kiedyś ludzie ku nim podróżowali. – I będę posłuszny temu Duchowi, nieważne jakim kosztem.

*Koniec Księgi Drugiej*

# Dodatek

## KORPUS EKSPEDYCYJNY NA POŁUDNIOWE TERYTORIA PORZĄDEK BITWY MAI 1, 1106 PO UPADKU

### REGULARNA KAWALERIA

5 Gwardyjski z Descott – 800 Major Gerrin Staenbridge (Towarzysz) Kapitan Barton Foley (Towarzysz) Kapitan Tejan M’brust (zostaje Towarzyszem w trakcie *Młota*) Starszy porucznik Antin M’lewis (Towarzysz)

Obszar rekrutacji: hrabstwo Descott

Insygnia: czarna „5” na tle skrzyżowanych szabel Motto: „Heli o Zpalata” („Piekło albo łup”) u góry emblematu

\* \* \*

7 Zwiadowczy z Descott – 600 Major Kaltin Gruder (Towarzysz)

Obszar rekrutacji: hrabstwo Descott

Insygnia: czarna „7” na tle biegnącego psa Motto: Fwego Erst („Najpierw strzelaj”) u góry emblematu

\* \* \*

1 Rzeźników z Rogor – 590 Major Mekkle Thiddo (Towarzysz) Starszy porucznik Peydro Belagez (zostaje Towarzyszem w trakcie *Młota*)

Obszar rekrutacji: dolina Górnej Drangosh, na północy i wschodzie od Sandoralu, południowo–wschodnie podnóża gór Oxhead Insygnia: czarna „1” na promienistej gwiazdzie Motto: „Hingada thes Ihorantes” („Śmierć niewiernym”)

\* \* \*

### *Jednostka Własna Poplanich – 620*

Major Ehwardo Poplanich (zostaje Towarzyszem w trakcie *Młota*)

Regiment domu, rekrutujący się głównie z posiadłości rodowych Poplanich (w prowincjach leżących wzdłuż Łańcucha Wybrzeża od strony morza, na południe i wschód od Wschodniej Rezydencji). Oficerowie ze szlacheckich rodów spokrewnionych bądź będących klientelą Poplanich.

Insygnia: chryzantema (pieczęć Poplanich) na niebieskim tle Motto: „Eweyz Widya” („Zawsze wierni”)

\* \* \*

21 Dragonów z Novy Haifa – 610 Major Hemilo Istban Obszar rekrutacji: północno–wschodnie

pogranicze, koło gór Singre Insygnia: czarne „21” na srebrnym tle otoczone przez karabiny

Motto: „Singre Guzzlah” („Pijący krew”)

\* \* \*

17 Kirasjerów z doliny Hemmar – 608 Major Anhelino Dalhouse Kapitan Hermano Suharto

Obszar rekrutacji: prowincje środkowe, głównie dolina Hemmar koło Wschodniej Rezydencji Insygnia: czarna „17” na jasnozielonym tle Motto: „Waymanos” („Naprzód!”)

(Po kampanii na Południowych Terytoriach często wybuchały burdy w gospodach, kiedy członkowie innych jednostek mówili „Podaj tyły!” tak, by usłyszeli to członkowie 17 Kirasjerów.)

\* \* \*

3 Dragonów z Chongwe – 610 Major Hesus Anderson Obszar rekrutacji: wyspa Chongwe, spora wyspa na środku Morza Śródziemnego, najbardziej

na zachód wysunięta prowincja Rządu Cywilnego Insygnia: czarna „3” na ciemno niebieskim tle, nad stylizowaną falą Motto: „Rahpeedo” („Zwawo”)

\* \* \*

1 Zwiadowczy z Gaur – 628 Major Hingenio Buthelezi Obszar rekrutacji: środkowe prowincje; górna dolina Hemmar, koło północnej rubieży gór

Oxhead Insygnia: czarna „1” na fioletowym tle ze skrzyżowanymi karabinami z bagnietami Motto: „Sehuro Comphadres” („Wierni towarzysze”)

\* \* \*

18 Pograniczników z Komar – 559 Major Hadolfo Zahpata (zostaje Towarzyszem w trakcie *Młota* Obszar rekrutacji: środkowe południowe pogranicze, na granicy z Kolonią i południowych

rubieżach gór Oxhead Insygnia: czarna „18” na wystylizowanej, piaskowej wydmie z palmą Motto: „Dehfenzo Lighon” („Broń wiary”) na górze emblematu

**Całkowita liczba regularnej kawalerii = 5.625 (9 batalionów)**

## NIEREGULARNA KAWALERIA

**Skinnerzy – 600 Wódz**

**Juluk Paypan Wódz**

**Pai-har Tradaw**

\* \* \*

**Halvardi – 500 Wódz**

**Francor Genhuvaa**

\* \* \*

**Oddani – 581 Przywódca**

**Hwilli Morgan**

**Całkowita liczba nieregularnej kawalerii = 1.681**

## PIECHOTA

17 Piechoty z hrabstwa Kelden Pułkownik Jorg Menyez

24 Piechoty z Yalentii Major Ferdihando Felasquez

55 Karabinierów z Santanderr Major Fitoriano Huaréz

1 Piechoty z Kendrun Major Pernardho Reyez

88 Piechoty z Seyval Major Franhesco Alleyman

10 Piechoty z Melagi

Major Alfaro Orzoco

23 Piechoty z doliny Hemmar Major Lazaro Trahn

71 Piechoty z Górnej Hemmar Major Sule Mihn

1 Górali Asauriańskich Major Andreu Trzy Niedźwiedzie

3 Lekka Piechota z Górnej Drangosh Major Algrood Naxim

42 Piechoty Morskiej z Jernelle Major Dohminko Falcones

9 Harcowników z Irrish

Major Tentito Cortinez

21 Gwardyjski z Ceres Major Omar Sherf

101 Leśnych Zwiadowców

Major Nortestino Negrotete

2 Górali z Gurnyca Starszy kapitan Luis Ordhaz

1 Piechoty z Malgi Major Heanar Fillipsyn

3 Piechoty z Denson

Major Jenkynz Ordonto

32 Karabinierów z Cieśnin

Starszy kapitan Daniel Villegaz

9 Ochotników z Hayapalco

Major Nikros Arayfet

**Całkowita liczba regularnej piechoty = 10.721**

## ARTYLERIA

## Pułkownik Grammeck Dinnalsyn, dowódca.

Na tę ekspedycję nie zabrano żadnych dział obłężniczych. Załadowano na statki trzydzieści standardowych dział polowych. Były to siedemdziesięciopięciomilimetrowe (trzycałowe), gwintowane, ładowane od tyłu działa z lanej stali, z okutymi żelazem drewnianymi kołami i żelaznymi lawetami, ciągnięte przez cztery pary psów – zwykle krzyżówki alzackich z nowofunlandami.

Szybkość wylotu pocisku z lufy to 650 metrów na sekundę, zasięg ok. 4500 metrów przy pocisku i 4000 przy szrapnelu. Karpacze (ołowiane kule bez wybuchającego ładunku) skuteczne do 500 metrów.

Szybkość strzału 3 pociski na minutę. (Uwaga: jako że działa nie miały systemu odrzutu, po każdym wystrzale odskakiwały do tyłu i trzeba je było ręcznie wpychać z powrotem do baterii).

Zabrano także pięć moździerzy. Była to nie gwintowana, stumilimetrowa broń, strzelająca pod kątem od 45 do 90 stopni. Moździerze były osadzone na zmodyfikowanych lawetach od dział, z podstawą z lanej stali pod lufą.

Działa wymagały załogi składającej się z ośmiu ludzi i zorganizowane były w baterie po trzy działa. Czterech z każdej załogi miało swoje własne psy do jazdy, a pozostali jechali na dziale, kesonie i dwóch psach na przedzie zaprzęgu.

Każdą baterią dowodził porucznik. Bateria zaopatrzona była także w ośmioosobowy oddział dodatkowego personelu do wykonywania działań pomocniczych i zastępowania poległych.

Kanonierzy nosili karabiny i szable jako broń osobistą. Oficerowie i podoficerowie mieli także pięciostrzałowe rewolwery.



# ORGANIZACJA

Wszystkie regularne siły Rządu Cywilnego zorganizowane były w *bataliony* (po sponglijsku: *bandata*), składające się od 500 do 800 ludzi (średnio ok. 600).

Batalion składał się z kompanii (po sponglijsku: *tabora*) i plutonów (po sponglijsku: *campadra*), a w każdym było odpowiednio ok. 120 i 32 ludzi.

Batalionem normalnie dowodził starszy kapitan lub major, kompaniami kapitan lub starszy porucznik, a plutonem porucznik.

Plutony składały się z ośmioosobowych *oddziałów*, dowodzonych przez kaprała lub sierżanta. Zawodowi byli *szeregowcami* (piechota) lub kawalerzystami (kawaleria). Na te rangi składało się kilka szczebli opartych na specjalnościach (np. strzelec wyborowy), starszeństwie i innych umiejętnościach (np. obserwator, otwarta dla żołnierzy umiejących czytać i pisać).

Każdy oddział spał i jadał razem, dzielił namiot, a w kawalerii każdy oddział miał jednego służącego do pomocy w zajęciach po służbie. (Ten przywilej był często nadużywany).

Jednostki większe niż batalion były organizowane *ad hoc*, jak wymagała tego sytuacja. Mimo iż istniała tabela rang ponad majorem – pułkownik, brygadier, brygadier generał i generał wraz z tytułami administracyjnymi (np. dowódca Wschodnich Sił), to nie było stałej organizacji jednostek ponad batalionem.

Kompanie i bataliony miały również starszych podoficerów – mistrzów sierżantów – a większe formacje mogły mieć jednego z nich wyznaczonego przez głównodowodzącego.

# REKRUTACJA, ŻOŁD IRACJE ŻYWNOSCIOWE

Armia Rządu Cywilnego wciąż nosiła ślady okresu, gdy jednostki były tworzone z własnej inicjatywy przez szlachtę z danej prowincji. Bataliony miały zwykle numer (pokazujący to, kiedy zostały powołane do życia) oraz oznaczenie hrabstwa lub dystryktu, wskazujące miejsce poboru. (Osobiste bataliony były nazywane imieniem osoby, która je powołała do życia). Rekrutacja miała miejsce głównie, ale nie wyłącznie (zwłaszcza w przypadku piechoty), na tym samym obszarze. Zawodowi żołnierze i oficerowie poniżej rangi majora prawie zawsze pozostawali w tym samym batalionie przez całą swoją karierę.

Wszyscy obywatele Rządu Cywilnego płci męskiej byli teoretycznie zobowiązani do służby wojskowej. W praktyce już dawno zamieniono to na kompensacyjny podatek ziemski (ściągany z farm, a nie od ich właścicieli, którzy zwykle oddawali je w dzierżawę) w większości środkowych prowincji. Na wielu pogranicznych lub górskich terenach tradycja służby wojskowej nadal pozostała żywa. Od rodzin wymagano posłania do wojska jednego syna na pokolenie oraz opłacania jego wyposażenia jako kawalerzysty. Służba zawodowa trwała dziesięć lat. W zamian za to rodowe posiadłości były zwolnione z podatku. Ci, którzy nie mieli odpowiednich rekrutów, mogli znaleźć kogoś w zastępstwie, ochotników z tego samego obszaru – ze znaczną premią za wstąpienie na służbę, co także było często praktykowane.

Dystrykty kawalerii zwykle znajdowały się na pograniczu lub też na odległych, dzikich terenach. Samo tylko hrabstwo Descott, liczące 6% ludności Rządu Cywilnego, dostarczało ponad 20% jego kawalerzystów. Żołnierze kawalerii pochodzili z tego, co można by określić jako najbliższy odpowiednik wiejskiej klasy średniej: wolni właściciele ziemscy lub też, jak ich nazywano w Descott, drobni dzierżawcy, ludzie dzierżawiący znaczne obszary i mogący pozwolić sobie na psy do jazdy. W innych hrabstwach rekrutowali się spośród dzierżawców, nadzorców i zarządców majątków.

Oficerowie kawalerii zwykle pochodzili ze średnio lub bardzo zamożnych, ziemskich (klasa messerów) rodów z tradycją służenia Krzesłu.

Piechota pochodziła głównie z poboru lub też byli to „ochotnicy” znajdujący się o krok od sądu lub też synowie żołnierzy nie znający innego fachu. Zwykle byli to ludzie, których gospodarze chętnie się pozbywali. Większość z nich (z wyjątkiem asauriańskich jednostek składających się z na pół ucywilizowanych górali tego hrabstwa) pochodziło z rolniczego serca Rządu Cywilnego na przykład, w Centralnych Terytoriach i dolinie rzeki Hemmar. Zgodnie ze swoim społecznym statusem byli wyrobnikami – związanymi długami wieśniakami, opłacającymi się połową plonów. Odgrywali oni główną rolę w garnizonach i jako żołnierze pilnujący bezpieczeństwa wewnętrznego.

Żołnierzom piechoty wydawano ekwipunek, ale nie otrzymywali oni zapłaty w gotówce, chyba że zostali zmobilizowani do służby polowej. W okresie pokoju utrzymywali się z farm średniej wielkości (30 hektarów albo i więcej, jeśli region był żyzny) na państwowej ziemi. Ziemia ta była obrabiana przez państwowych wyrobników, ale zarządzana przez żołnierza (który w konsekwencji często spędzał tyle samo czasu, pomagając na farmie, co ćwicząc musztrę). Gdy jednostka piechoty została przeniesiona, przyznawano nowe farmy.

Dowódcy batalionu wypłacano znaczną sumę, zależnie od liczby mężczyzn zdolnych do służby. Dowódca piechoty w garnizonie otrzymywał wypłatę gotówką dla swoich oficerów i starszych podoficerów, jak również znacznie większe darowizny ziemskie. Organizowano okresowe przeglądy (inspekcje prowadzone przez mistrzów musztry przysyłanych przez mistrza żołnierzy) w celu sprawdzenia gotowości bojowej.

Żołnierzom kawalerii i artylerii płacono w gotówce, dwa razy w roku. W czasie postojów uzupełniano wyposażenie i racje żywnościowe.

Żołnierze piechoty pobierali żywność głównie ze swoich ziem i sprzedawali nadwyżkę, by gotówką opłacić mundury i ekwipunek. Większość żołnierzy kawalerii kupowała swoje racje żywnościowe (także dla swoich psów) ze swego żołdu. Wiele jednostek organizowało składkę i kupowało hurtem. Tam, gdzie nie było kupców specjalizujących się w handlu wojskowym, żywność wydawano, odciągając należność z żołnierskiego żołdu. Liczne bataliony kawalerii miały fundusze oszczędnościowe, kluby obopólnej korzyści, które przechowywały pieniądze członków, opłacały wydatki związane z pogrzebem i wypłacały małe emerytury z procentów. Niektórzy dowódcy wypłacali także renty dla okaleczonych i rodzin ofiar.

Żołd dla żołnierzy kawalerii wynosił 55 FedKredytów rocznie. Był to mniej więcej odpowiednik rocznych zarobków zdolnego rzemieślnika takiego jak kowal. Postoje pochłaniały zwykle ok. 10 FedKredytów, ale były premie za starszeństwo i zagraniczną służbę. Mistrz sierżant zarabiał dwa razy tyle, porucznik 150 FedKredytów, kapitan 250, a dowódca batalionu 500 (plus, w niektórych przypadkach, żołd ludzi widniejących w spisach po zwolnieniu ze służby lub po śmierci – częste nadużycie).

Wielu oficerów miało także niezależne dochody, zwykle z własności ziemskiej.

Tabele wypłat dla piechoty stanowiły połowę tego, co dla kawalerii, gdy znajdowali się w warunkach polowych. Szeregowiec piechoty zarabiał mniej więcej tyle samo co robotnik w dokach albo murarz.

**Płądrowanie i premie.** Zgodnie z prawem osoby i tereny poza Rządem Cywilnym, które odmówiły poddania się lub też te wewnątrz, które były w stanie rebelii, przepadały. Ze względów politycznych było to prawo rzadko przestrzegane z całkowitym rygorem. W czasie kampanii łupy (teoretycznie) były zbierane batalionami po zakończeniu działań, a potem rozdzielane zgodnie z rangą, długością służby i osiągnięciami (np. za szczególną odwagę, itp.). Żołnierzom pozwalano „pomyszkować” na terenie już przeczesanym. W pewnych warunkach – np. przy odmowie poddania się na wezwanie – miasta oddawano żołnierzom do plądrowania. Generałowie, którzy odnieśli sukces, często przeznaczali dochody z grabieży na dużą skalę (np. ze sprzedaży skonfiskowanych ziem albo jeńców na targu niewolników) na darowizny pieniężne i rzeczowe dla żołnierzy pod ich dowództwem. Cieszyło się to ogromną popularnością wśród żołnierzy, ale nie podobało się władzy – a zwłaszcza gubernatorom nerwowo podchodzącym do zbyt popularnych generałów.

# MUNDUR

Większość kawalerii i cała piechota w regularnych siłach Rządu Cywilnego nosiła sięgające łydki buty, zapinane po bokach dwoma paskami, raczej workowate spodnie koloru bordowego, niebieską kurtkę z frakowym tyłem i wysokim kołnierzem (poły kończyły się tuż przed kolanami) oraz żelazny hełm w kształcie misy. Zawodowi żołnierze nosili płócienne pasy zarzucone przez ramię z bandoletem na 125 pocisków, bagnetem, manierką i menażką. (Piechota nosiła bagnety na lewym biodrze, kawaleria nosiła szable na lewym biodrze, a bagnet pod bandoletem). Pozostały ekwipunek był niesiony przez psa albo w zwiniętym kocu przerzuconym przez prawe ramię u piechura. Hełmy kawalerii miały zwykle skórzany ochraniacz na szyję, pokryty kolczugą; szeregowi piechurzy obywali się bez niej. Oficerowie i wielu kawalerzystów nosiło skórzane pasy podobnego kroju, zachodzące na ramię. Oficerowie nosili szable na lewym biodrze, pistolety na prawym i nie mieli bandoletów. W skład ich standardowego ekwipunku wchodziła lornetka, pudełko z mapami i składana linijka. Materiał na mundury był zwykle kupowany albo przez żołnierza, albo hurtowo przez dowódców jednostek i obrabiany przez lokalnych krawców wedle wzorów rządu centralnego. Mundury kawalerii były zwykle z o wiele lepszego materiału.

Bataliony, które pierwotnie były czyjąś własnością, mogły nosić odznaczające się mundury. Zwykle były one innego koloru i z lepszego materiału niż standardowe, mogły mieć również dodatkowe elementy, np. pióra na hełmie.

Oznaką rangi podoficera były pagony na ramieniu, z czerwonego i srebrnego materiału. Oficerowie z patentem oznaczeni byli insygniami Gwiazdy na epoletach i z przodu hełmu, jak następuje:

*Porucznik*, jedna mała, srebrna, siedmioramienna gwiazdka na każdym ramieniu; taka sama na hełmie.

*Starszy porucznik*: jedna mała, srebrna, siedmioramienna gwiazdka na każdym ramieniu, otoczona cienkim, złotym kręgiem; taka sama na hełmie.

*Kapitan*: tak jak u porucznika, ale dwie gwiazdki na każdym ramieniu i na hełmie.

*Starszy kapitan*: jak u starszego porucznika, ale z dwiema gwiazdkami na każdym ramieniu i na hełmie.

*Major*: trzy złote gwiazdki w srebrnym kole; jedna z nich na każdym ramieniu i jedna na hełmie.

*Brygadier*: jedna duża, srebrno-złota osiemnastoramienna gwiazda na niebieskiej tarczy, na każdym ramieniu i na hełmie.

*Brygadier general*: jedna duża, srebrno-złota, osiemnastoramienna gwiazda na niebieskiej tarczy, wokół której „krążyły” małe, srebrne gwiazdki; na każdym ramieniu i na hełmie.

*General*: jedna duża, srebrno-złota, osiemnastoramienna gwiazda na niebieskiej tarczy, wokół

której „krążyły” małe, srebrne gwiazdki otoczone złotym kołem wysadzonym co 10 milimetrów gwiazdami; na każdym ramieniu i na hełmie.

Mundur galowy miał bogatsze insygnia oznaczające rangę z emblematami Gwiazdy na kołnierzu, z plecionymi wężykami na epoletach i mankietach, itd. Żołnierze zgodnie z tradycją nosili insygnia swoich batalionów na patkach – oznakach z materiału w kształcie tarczy przyszytych na barku prawego ramienia.

# BRÓŃ

Wszyscy regularni w Korpusie Ekspedycyjnym byli wyposażeni w karabiny ze *zbrojowni*.

Były to ładowane od tyłu, jednostrzałowe, obsługiwane kurkiem, jedenastomilimetrowe karabiny (mniej więcej kalibru 45).

Aby nim się posłużyć, należy nacisnąć kciukiem dźwignię na kabłąku osłony spustu (zaraz z tyłu języka spustu) i przycisnąć do dołu, aż dźwignia języka spustu znajdzie się pod kątem prostym w stosunku do łoża. Zamek się cofnie, wyrzucając zużyty ładunek do tyłu i opadnie w dół. Wydrążona, górna część zamka będzie służyła wprowadzeniu następnego pocisku, wepchniętego przy pomocy kciuka. Po odciągnięciu dźwigni do pierwotnej pozycji zamek powędruje w górę i do przodu, uruchamiając dwa zatrzaszkujące zamek uchwyty i kurek zostaje odwiedziony. Broń jest gotowa do strzału.

Celownik składa się z muszki z przodu i ustawianej z tyłu szczerbinki. Z broni da się wycelować, optymistycznie rzecz biorąc, do 1000 metrów.

Z przodu łoża, pod lufą broni, znajduje się żelazny wycior do czyszczenia.

Zasięg wynosi ok. 1000 metrów w stosunku do zmasowanych celów i 600 celując w poszczególne osoby.

Amunicję stanowią mosiężne ładunki z żelazną podstawą i spłonką uderzeniową. Kula spoczywa na przybitce z tektury na czubku ładunku. Łuska jest dość krucha i trzeba uważać, zwłaszcza, kiedy broń jest gorąca od szybkiego strzelania, żeby nie szarpać dźwignią za mocno, ponieważ może to oderwać podstawę naboju i zablokować działanie broni. Kula jest z ołowianego stopu (ołowiu z antymonem) z wydrążonym czubkiem, wypychana przez pięćdziesięciogramowy kawałek sprasowanego czarnego prochu. W zasięgu bitewnym miało to doskonałą siłę powstrzymywania.

Dwustudwudziestomilimetrowy (dziesięciocalowe ostrze) *bagnet* jest przymocowany systemem pierścieni i okuć. Bagnet stanowi proste, pojedyncze ostrze, z drugą krawędzią zaostrzoną na długości 50 milimetrów od czubka. Rękojeść jest drewniana z mosiężną osłoną.

Kawaleria miała również szable o pojedynczym ostrzu jako broń boczną. Oficerowie z różnych rodzajów służb i artylerzyści także nosili szable. Miały one zwykle około metra długości, były lekko zakrzywione i odpowiednie zarówno do pchnięcia jak i do cięcia. Klinga była naostrzona z tyłu na długości 75 milimetrów od czubka. Pochwy wykonywano z drewna pokrytego skórą z metalowymi okuciami. Noszono je zwisające ze sprzączki przymocowanej z lewej strony pasa.

Oficerowie i podoficerowie kawalerii i artylerii oraz oficerowie piechoty nosili także *rewolwery*. Była to jedenastomilimetrowa broń z otwieranymi, pięciostrzałowymi bębenkami i całkiem długimi lufami, strzelająca krótszą, lżejszą wersją pocisku karabinowego. Rewolwery miały całkiem potężny odrzut.

# MARYNARKA

Admirał Tiburcyo Gharderini, dowodzący dziesięcioma parowymi okrętami wojennymi. Te jednostki mają wyporność pomiędzy 1000 a 2000 ton, z drewnianymi lub drewniano–żelaznymi szkieletami i drewnianymi kadłubami. Mają równe pokłady, 65 metrów długości i 11 metrów maksymalnej szerokości, z jednopiętrową pokładówką i mostkiem na śródokręciu przebitym podwójnymi kominami.

Każdy statek napędzany jest dwoma dwucylindrowymi, rozprężnymi silnikami parowymi o mocy 275 koni mechanicznych. Każdy silnik napędza jedno koło łopatkowe na śródokręciu. Silniki z cylindrycznymi trójprzewodowymi, nitowanymi, żelaznymi bojlerami, opalane są węglem. Wytwarzają parę pod ciśnieniem 50 atmosfer. Można wykorzystywać słoną wodę, ale wymaga to częstych przestojów, by wyczyścić rury i bojler.

Maksymalna szybkość przy pełnej parze wynosi 11 węzłów. Okręty wojenne mają po dwa maszty o takielunku szkunerów. Mogą płynąć pod żaglami przy korzystnym wietrze z szybkością do 8 węzłów.

Uzbrojenie stanowi sześć siedemdziesięciopięciomilimetrowych dział z każdej burty na górnym pokładzie albo też na dziobie i rufie. Działa są zmodyfikowanymi wersjami standardowych działek polowych z lanej stali, na ciężkich, metalowych podstawach. Działka obrotowe (dwudziestopięciomilimetrowe na zawiasowym czopie) zamocowane są na barierce i pokładówce przeciwko abordażowi. Statki mają również wzmocnione, okute stalą tarany, znajdujące się na dziobach tuż pod powierzchnią wody. Jest to bardzo efektywna broń, lecz posługiwanie się nią wymaga wielkiej umiejętności i źle przeprowadzone, może uszkodzić statek.

Standardowa załoga statku liczy 150 ludzi, włącznie z 25 żołnierzami piechoty morskiej i 60 członkami „czarnej bandy” stanowiącej załogę maszynowni. Na oficerów składają się: kapitan, pierwszy, drugi i trzeci mat, główny inżynier i porucznik piechoty morskiej.

Zwykła załoga rekrutuje się z poboru – z ludzi wcielonych siłą spośród załóg kupieckich statków, jeśli było trzeba. Piechota morska wywodzi się z jednostek piechoty. Oficerowie mają zwykle kupieckie pochodzenie, umieją lepiej czytać i pisać i mają lepsze rozeznanie techniczne niż oficerowie armii, ale mają niski status społeczny.

Kilkaset transportowców wykorzystywanych do przewożenia żołnierzy i zapasów Korpusu Ekspedycyjnego to drewniane, kupieckie jednostki zakontraktowane na potrzeby Rządu Cywilnego ze swoimi zwykłymi załogami. Posiadają zwykle od 40 do 1500 ton wyporności, średnio 200–400. Większość statków jest trzymasztowa, z mieszanką kwadratowych i gaflowych żagli. Z pół tuzina największych ma wspomagane parą koła łopatkowe, zwykle używane tylko w okresach ciszy albo przy opuszczaniu i wchodzeniu do przystani.